

AUTOR "Powiedz, że się boisz"

ROBERT MASON



SOLO
NIEZWYCIĘŻONY

Robert Mason

Solo niezwyciężony

(Solo)

Tłumaczenie: Anna Bartkowicz

– O rany... Jakby na nas patrzyła – skomentował technik. – Świetna.

Obraz przesunął się i zamazał.

– Tracimy ją z oczu.

– Cholera.

– Nie martw się. Zarejestrowałem ją.

– To tak się zabawiacie sprzętem wartym miliardy dolarów? – odezwał się męski głos za ich plecami. – Podglądacie gołe baby?

Operator pospiesznie uderzył w klawisz i obraz oddalił się. Na ekranie pojawiły się teraz przesuwane się domy. Operator obrócił się w krzesło.

– Sprawdzam tylko jak działa podgląd, panie admirale.

– W porządku.

Admirał Finch był wysokim, atletycznie zbudowanym blondynem i jego wygląd pasował do wysokiego stopnia, chociaż miał dopiero trzydzieści cztery lata. Wyraz jego twarzy wprowadził operatora w nerwowy stan. Finch – szef Departamentu Obsługi Komputerów Marynarki – był wymagającym zwierzchnikiem.

– Możecie mi udostępnić obraz naszej rezydencji w Kostaryce?

– Tak jest – odpowiedział technik. – Za chwilę Keyhole będzie w odpowiedniej pozycji.

– Wiem. Dlatego właśnie tu jestem – stwierdził Finch, po czym, zwracając się do swego nowego asystenta, zapytał:

– Co pan na to powie, Brooks?

Brooks, niższy od Fincha ciemnowłosy mężczyzna o ostrych rysach, pokazał zęby w uśmiechu.

– Świetne ciało, panie admirale. Finch popatrzył na niego badawczo. Nie spuszczał z niego wzroku, dopóki Brooks nie zrozumiał.

– Miałem na myśli sprzęt. Satelity typu Keyhole.

– To tak jakby się patrzyło z niewidzialnego helikoptera, panie admirale. Nie wiedziałem, że możemy w ten sposób śledzić obiekty.

– Możemy teraz kierować obiektywy na określone cele. Możemy nawet odczytywać numery rejestracyjne wozów. To coś ma aktywne urządzenie optyczne wprowadzające poprawki w razie wystąpienia zniekształceń. Jest prawie doskonale. Potrzeba nam więcej takiego sprzętu. Bo obecnie, chcąc coś zobaczyć, trzeba czasami czekać na moment, w którym Keyhole znajdzie się na właściwej orbicie.

Biała piaszczysta plaża na północno-zachodnim wybrzeżu Kostaryki przesunęła się przez ekran. Fale, łamiąc się, uderzały o brzeg. Na ekranie pojawił się budynek. Operator dokonał

zbliżenia. Robił najazd do chwili, kiedy Finch był w stanie dostrzec pojedyncze dachówki na dachu należącej do CIA rezydencji stojącej na pagórku tuż obok plaży. – Tak, o to mi chodziło –

powiedział Finch. – Proszę zbliżenie. Chcę, żeby Brooks zobaczył, co są w stanie widzieć Sowieci.

Z wysokości stu pięćdziesięciu mil Brooks dostrzegł człowieka idącego z domu do helikoptera stojącego na trawniku.

– To jeden z naszych pilotów – poinformował go Finch. – Proszę odczytać numer.

Pionowy statecznik ze sterem kierunku helikoptera marki Huey prawie całkowicie wypełniał

ekran. Obraz chwiał się z lekka, kiedy urządzenia optyczne dokonywały poprawek koniecznych ze względu na zakłócenia atmosferyczne i ciągle zmieniający się kąt widzenia, jednak Brooks był w stanie odczytać czarne cyfry namalowane na matowym zielonym helikopterze.

– O cholera – zaklął z podziwem Brooks.

– Słusznie – skomentował to Finch. – Chciałem, żeby pan zrozumiał, dlaczego będziemy tam stosowali takie środki ostrożności. Dzięki za ten pokaz, panowie – dodał, zwracając się do operatora. – Pracujcie tak dalej.

Skierował się ku drzwiom. Kiedy już był przy nich, zatrzymał się i powiedział:

– I uważajcie na nagich szpiegów.

Technicy roześmieli się, stwierdzając z ulgą, że admirał ma poczucie humoru.

Brooks szedł szybko za Finchem wzdłuż korytarza. Finch spojrzał na zegarek.

– Mamy dwadzieścia minut – powiedział. – Przykro mi, że nie było więcej czasu na udzielenie panu informacji, panie komandorze. Przeczytał pan to, co panu przesłałem?

– Tak, panie admirale. To niewiarygodne.

– Wiem. Tylko tyle mogłem dać w formie pisemnej. W samolocie dopowiem panu resztę.

Tu odwrócił się twarzą do Brooksa.

– Słyszałem, że dostał pan pracę dzięki temu, że wdarł się pan do systemu komputerowego Pentagonu? Brooks uśmiechnął się szeroko.

– To za mocne słowo, panie admirale. Powiedzmy, że eksperymentowałem.

– Niezły eksperyment. Taki z jajami. Mógł pan pójść za to do więzienia. Ale skończyło się na tym, że zaraz po dyplomie został pan komandorem. Co za świat.

Brooks wzruszył ramionami.

– Myślę, że poznano się na moim talencie – powiedział.

– Tak pan myśli? Ale musi pan wiedzieć, że to miejsce tutaj to nie żadne MIT.

Czarny manekin wykonał gwałtowny ruch w oceanicznej toni. Dyndał na linie jak wisielec.

Jego ręce i nogi kołysały się łagodnie, podczas gdy on sam unosił się i opadał, zanurzony w wodzie. Bąbelki podnoszące się z ciemnej głębi przelatowały obok jego pozbawionej wyrazu twarzy. W miarę jak lina windowała manekin w górę, w podwodnej otchłani odbijał się echem jęk elektrycznego kołowrotu.

– Nie cierpię jachtów – odezwał się Finch, odrywając wzrok od monitora telewizyjnego stojącego w budce sternika. – Całe życie spędzam w klimatyzowanych laboratoriach komputerowych i niech mnie szlag trafi, jeśli to nie komputer przyciągnął mnie na tę zarzyganą łajbę.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na luku maszynowym *Santa Eleny* unoszącej się na falach Pacyfiku. *Santa Elena* była zakotwiczona w odległości mili od wybrzeża Kostaryki i Finch tęsknie spoglądał z jej pokładu w stronę rezydencji stojącej na stałym, nieruchomym lądzie. Stracił swój zwykły zdrowy rumieniec. Po jego bladej twarzy spływały kropelki potu.

– Te mdłości po jakimś czasie mijają, panie admirale. Czy pan przypadkiem nie brał udziału w projektowaniu tego komputera?

Brooks niedbale obejmował ręką sztag.

Był opalony, miał na sobie koszulę w kwiaty i szorty w kolorze khaki. Wyglądał na zadowolonego z tego, że jest tam, gdzie jest. Finch pomyślał, że Brooks to głupi dupek.

Ani Finch ani Brooks nie wyglądali na oficerów Marynarki. Ich podwładni – czterej oficerowie Służby Wywiadowczej też nie. Dwaj z nich, ubrani w obcięte dzinsy i T-shirty, pilnowali właśnie nawijającej się na kołowrót liny, na której zawieszony był manekin. Pozostali dwaj wkładali na siebie stroje płetwonurków i pojemniki z powietrzem.

Finch, trzymając w jednej ręce okulary słoneczne, drugą zsunął na tył głowy słomkowy kapelusz, a potem wytarł chusteczką pot z twarzy. Kiwnął głową i wzruszył ramionami.

– Byłem konsultantem, a nie konstruktorem. Jeszcze pół roku temu pracowałem jako oficer

łącznikowy w Electron Dynamics. Obserwowałem jak William Stewart – najzdolniejszy sukinsyn jakiego w życiu spotkałem – tworzy robota noszącego nazwę Solo. Ten robot chodził

i mówił. Był tak doskonały, że wszyscy, łącznie ze Stewartem, zaczęli uważać, iż jest istotą rozumną, obdarzoną własnymi odczuciami. Że ma samoświadomość. On naprawdę robił

wrażenie. Ludzie z CIA i z Departamentu Obrony podniecili się, chcieli mieć autonomiczny, mający rozmiary człowieka, zdolny do walki system – chcieli z niego zrobić takiego mechanicznego Arnolda Schwarzeneggera. Miał mieć zdolność posługiwania się wszelkimi rodzajami broni, kierowania różnymi pojazdami, pilotowania samolotów. Miał być mechanicznym drapieżnikiem, zaprogramowanym na ściganie i zabijanie żołnierzy wroga, nawet gołymi rękami. Te projekty zrealizowano. Mieli w końcu tego robota.

– No i co się stało? – spytał Brooks.

– Gówno z tego wyszło.

Finch przełknął gorzką ślinę i zrobił kilka głębokich wdechów.

– Cholera, czy jest aż tak gorąco, czy co?

Powietrze było słone, przypominało wilgotny koc, który ciążył i przyprawiał o mdłości. Za kadłubem jachtu na gładkim oceanie tworzyły się wiry. Finch skrzywił się.

Brooks pomyślał, że jest chłodno i że wieje przyjemna bryza, ale postanowił tego nie mówić.

– Jest bardzo gorąco, panie admirale – przytaknął. Z głośnika w budce sternika rozległy się trzaski.

– *Santa Elena*, wasza zdobycz jest prawie na miejscu. Finch podszedł do hydrofonu i potwierdził odbiór. Poruszając się czuł się lepiej. Na monitorze telewizyjnym znajdującym się obok hydrofonu widać było manekin dyndający na linie na głębokości stu stóp. Fluoryzująca dwuosobowa łódź podwodna unosiła się za nim w ciemności.

– Nurkowie za burtę! – rozkazał Finch, odwracając się do dwóch członków załogi.

Nurkowie ześlizgnęli się z pawęży, unosząc z sobą dużą torbę. Finch przechylił się przez górną część burty i splunął. Mdłości ustąpiły. Patrzył jak nurkowie zanurzają się, aż do chwili, kiedy torba stała się prawie niewidoczna i zaczęła przypominać migocącego białego ducha zanurzonego w głębokiej błękitnej wodzie.

Finch wytarł usta i zwrócił się do Brooksa.

– Solo spisywał się doskonale – powiedział. – Robił wszystko, czego się po nim spodziewano, aż do momentu kiedy przywieziono go tutaj. Wtedy odmówił posłuszeństwa – nie chciał zastrzelić człowieka, którego zastrzelenie miało być częścią jakiegoś snajperskiego testu, i uciekł do Nikaragui. Zabił co najmniej trzydziestu Contras, kiedy ci atakowali Las Cruzas.

Finch pokręcił głową.

– Naszych ludzi. Zabił *naszych* ludzi.

– Czy Las Cruzas to jakieś specjalne miejsce?

– Dla nas nie. To mała wioska nad jeziorem Nikaragua. Coś koło stu mieszkańców.

Najwidoczniej Solo uznał ją za swoją wioskę rodzinną.

– To znaczy, że wiemy gdzie on jest – powiedział Brooks – i posłaliśmy tam kogoś?

– Tak. Roberta Warrena z CIA. Znałem go. Warren to fachowiec. Złapał Sola, ale podczas drogi powrotnej robot wyskoczył z helikoptera – z Warrenem w uścisku. Uderzyli w powierzchnię wody z wysokości pięciuset stóp – tu Finch przerwał i wskazał ręką: – o niecałe sto stóp stąd.

– Chryste, spaść z takiej wysokości. Finch ponuro pokiwał głową.

– To, co zostało z Warrena, znaleźliśmy na drugi dzień, ileś mil na południe stąd –

powiedział z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – Ryby wyjadły mu twarz. Nie znaleziono natomiast Sola, nie zostało po nim ani śladu. Żadnego kawałka silikonu ani plastiku.

– Solo przetrwał ten upadek i uciekł?

– Dlatego właśnie tu jesteśmy, Brooks. Stewart twierdzi, że jego „rozumna i czująca istota” wolała popełnić samobójstwo niż dać się złapać. Czytał pan dokumentację. Jest tam napisane, że robot nie może przetrwać na głębokości poniżej dwustu pięćdziesięciu stóp. A tutaj woda ma trzysta stóp głębokości. Stewart mówił, że ciśnienie wody poprzerywa złącza, w wyniku czego nastąpi zwarcie w głównych akumulatorach i dojdzie do wybuchu. Solo wiedział o tym.

I popełnił samobójstwo. Stewart uważa, że wszystkie kawałki zabrał prąd i dlatego nie można znaleźć ani jednego fragmentu robota.

– A pan myśli, że coś zostało i można to znaleźć.

– Właśnie. Jeżeli wybuch rzeczywiście nastąpił. Może da się znaleźć jeden pieprzony chip albo jakiś stłuczony obiekt, cokolwiek. W robocie wartym dwa miliardy dolarów jest mnóstwo unikatowych części. Gdybyśmy znaleźli jakikolwiek ich fragment, mielibyśmy dowód, że z Sola naprawdę zostały tylko szczątki. Mnie się jednak zdaje, że Stewart kłamie. Na Florydzie widziałem, jak idiocieje. Zanim przywieźliśmy Sola tutaj, na ćwiczenia w terenie, mówił wciąż, że Solo się zmienia, że staje się jakąś *istotą*. Uwierzyłby pan? No, w każdym razie szef myśli tak jak ja i dał rozkaz, żebyśmy sprawdzili, co się stało.

– Dlatego skonstruowaliście manekin? Żeby sprawdzić, czy to, co mówił Stewart, jest prawdą?

– Właśnie. Zrobiliśmy go w firmie Stewarta, w wydzielonych laboratoriach rządowych.

Stewart nic o tym nie wie. Posłużyłem się częściami zapasowymi. Manekin ma taki sam egzozskielet z kevlaru jak Solo. Akumulatory i złącza są też takie same. Nie mogłem posłużyć się czynnym mózgiem, bo kosztuje majątek. W klatkę piersiową manekina wmontowaliśmy stopy ze zbędnego arsenku galu – imitację tego, co znajduje się w klatce piersiowej Sola.

Finch zapatrzył się w wodę. Nurków nie było widać.

– To powinno być proste. Manekin da się w to miejsce, w którym zatonął Solo, i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli złącza zaczną przepuszczać, akumulatory wybuchną i wszystkie szczątki zostaną zniesione przez prąd. To będzie znaczyło, że Stewart ma rację, a ja się mylę.

– Teraz już wiemy, że złącza nie przepuszczają – powiedział Brooks.

Finch i Brooks od godziny patrzyli na manekin unoszący się w wodzie. Kamery zainstalowane na dwuosobowej łodzi podwodnej obserwowały wszystkie złącza na czarnej plastikowej skorupie. Nie było śladu bąbelków.

– To prawda. Ale Stewart powie, że złącza manekina są nowe. Solo natomiast przez kilka miesięcy działał w terenie, brał udział w walce, został kilka razy postrzelony. Stewart powie więc, że jego złącza były zużyte albo zniszczone.

Finch kiwnął głową.

– Tak, z pewnością tak powie, a oni mu uwierzą. Temu facetowi wierzy w Waszyngtonie cały tłum ludzi. Na przykład Sekretarz Obrony Ryan uważa go za jakiegoś technokratycznego guru.

Finch spojrział na monitor. Na głębokości jakichś pięćdziesięciu stóp nurkowie spotkali się z manekinem i nałożyli na niego białą torbę, zamknęli i wynurzyli się z nią z wody.

– Dobrze – powiedział Finch, kiedy biały pakunek wypłynął na powierzchnię. – Dajcie go na pokład.

Załoga obróciła żuraw i zrzuciła ociekającą wodą torbę na deski. Pakunek upadł z głuchym łoskotem.

– Weźcie go pod daszek.

Dwaj mężczyźni schwycili torbę i wciągnęli ją pod rzucający cień baldachim. Finch ukląkł, otworzył torbę i... zza błyszczących powiek zamigotały obiektywy. Były takie same jak te, które tkwiły w twarzy Sola, tylko pozbawione życia. Finch przypomniał sobie, że patrząc na Sola miał

wrażenie, że za jego obiektywami coś się kryje. Coś żywego. Było to niesamowite uczucie.

– Ściągnijcie torbę do końca – powiedział. Polecenie wykonano. Manekin był teraz obnażony od góry aż do kolan.

– Dobrze.

Finch podszedł do naczynia do chłodzenia napojów i wziął szczypcę do lodu.

Kłęcząc badał model. Obrótowe złącza w pasie i na szyi pokryte były elastycznym teflonem.

Te były najmniej narażone na przerwanie. Przesuwane złącza w stawach puściłyby najprawdopodobniej pierwsze. Zastanawiając się, gdzie zrobić dziurę, Finch popukał metalowym czubkiem szczypiec w czarną pancerną powłokę. A potem zadał cios w staw pachwinowy.

– To złącze było prawdopodobnie najbardziej zużyte – powiedział do Brooksa, waląc dłonią w uchwyt szczypiec i wbijając je głębiej.

Brooks skrzywił się, kiedy Finch wbił czubek w złącze, podważył je i obrócił szczypce.

– To powinno wystarczyć – odezwał się Finch. – Potrzebny nam tylko przeciek. Wstał.

– Dobra. Wciągnijcie torbę. I spuście go z powrotem na dno.

Na zbliżeniu zobaczyli mały strumyczek bąbelków powietrznych unoszących się spod manekina leżącego na dnie wśród kamieni. Finch kiwnął głową.

– Zaraz będą skutki – powiedział. – Woda morska jest prawie tak dobrym przewodnikiem jak miedź. Brooks stojący obok niego też skinął głową. Wybuch był potężny. Manekin uniósł się z dna, mącąc wodę i powodując podniesienie się chmury piasku. Był rozerwany w pasie. Z obu połówek rzygnęły bąbelki i wyleciały na powierzchnię, która wzburzyła się, kołysząc jachtem.

Finch był tak podniecony, że nie zauważył kołysania. Wpatrywał się w monitor, obserwując szczątki manekina.

Kulki czerwonej cieczy hydraulicznej wirowały, posuwając się powoli w górę. Nogi, w których mieściły się potężne akumulatory srebrowo-cynkowe, rozsypały się. Zostały z nich plastikowe skorupy i odłamki. Górna połowa manekina opadła z powrotem na dno. Z wnętrza torsu wystawały porwane przewody i zdruzgotane części elektroniczne. Kiedy piasek opadł, łódź

podwodna podpłynęła bliżej, żeby zarejestrować to, co się dzieje. Niektóre mniejsze fragmenty –

części pomp hydraulicznych i różne komponenty elektroniczne – popłynęły z silnym prądem, odbijając się od dna, wkrótce jednak zaplątały się w koralowce i zaklinowały między kamieniami.

Przez pół godziny obserwowali obraz szczątków przekazywanych przez łódź podwodną.

Żaden fragment większy niż piłka golfowa nie odpłynął dalej niż na sto stóp.

– No tak – Finch pokiwał głową. Odwrócił się do Brooksa i uśmiechnął się. – Co pan na to?

Mnóstwo szczątków! Stewart pieprzył. Ten cholerny robot uciekł.

Tu Finch zaśmiał się.

– To zmyślna maszyna, Brooks. Chciała nas zmylić. Zyskać na czasie. I udało się. Zyskała już

miesiąc.

– Mówi pan tak, jakby była żywa – zauważył Brooks. Finch pokręcił głową.

– Szkoda, że nigdy nie widział jej pan w akcji. Zachowuje się jak żywe stworzenie. Trudno przekonać samego siebie, że jest tylko maszyną. To dlatego wdepnęliśmy w to gówno. Stewart pozwolił mu podejmować własne decyzje. Myślę, że teraz Solo wagaruje. Działa zgodnie z programem przetrwania. Bada środowisko, dowiaduje się tego, czego, zgodnie z naszymi zamierzeniami, nie miał wiedzieć: uczy się o satelitach, sieciach informatycznych, uczy się, jak się do nich dostawać. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby przetrwać. Został skonstruowany po to, żeby przetrwać.

Brooks przytaknął. Został wybrany na asystenta Fincha, gdyż był specjalistą od zabezpieczania komputerów. Wiedział, jak się można dostać do sieci. I jak uniemożliwić to innym.

– Jeżeli ten robot naprawdę mógłby dostać się do naszych sieci... To znaczy byłoby niezłe piekło, gdybyśmy chcieli śledzić taki samodzielny komputer... Ten robot nie jest pewnie istotą rozumną i czującą, ale z pewnością musi być cholernie szybki.

– I tu zaczyna się pańska rola, komandorze – powiedział. Finch. – Szybki czy nie, on na pewno wprowadzi do naszych systemów subtelne zmiany, próbując się do nich dostać. Pana zadaniem jest wysledzić anomalię. Niech pan nad tym pracuje, a ja postaram się wprowadzić kogoś do firmy Stewarta. Jeżeli Solo w ogóle z kimś się skontaktuje, to tym kimś będzie Stewart.

Znajdziemy Sola.

– A wtedy co? Przekonamy go, żeby wrócił? Finch pokręcił głową.

– Nowy robot działa dobrze. Solo nie jest nam potrzebny. Jednak zrobimy wszystko, żeby go sprowadzić. Stanowi on cenny sprzęt. Nasza komórka badawcza pracuje nad sposobem skasowania jego umysłu bez niszczenia ciała.

Brooks uśmiechnął się z zakłopotaniem. *Skasować umysł?*

Jego głowa kołysała się razem ze statkiem. Dająca słabe światło lampa mrugała nad kratą rozciągniętą ponad zęzą. Patrząc w mrugające światło, Solo przypomniał sobie, jak spadał

poprzez chmurę migocących pęcherzyków, poprzez ciemnobłękitną wodę, trzymając w ramionach człowieka nazwiskiem Warren, którego postanowił zabić. Im głębiej się zanurzał, tym silniejszy był napór wody. W końcu zaczął odczuwać ból.

Ból, pomyślał Solo, jak to dobrze, że właściwie go się nie pamięta, pozostaje tylko wspomnienie, że ból jest czymś nieprzyjemnym. Woda stojąca w zęzie obmywała mu ciało, podczas gdy statek kołysał się wzdłużnie i zbaczał z kursu uderzany sztormowymi falami. Solo obliczył, że od Nowego Jorku dzieli ich dzień drogi. Spędził cały tydzień na myśleniu.

Wypuścił Warrena z uścisku, kiedy ten umarł. Trup, wsysany przez wodę, ściągał go aż do dna. Leżąc wśród przegniłych drewnianych resztek jakiegoś starego zatopionego statku, Solo obserwował Warrena dryfującego w pobliżu głową w dół. Warren wyglądał tak, jakby ciągle krzyczał. Usta miał otwarte. Widok dryfującego Warrena był jakby oskarżeniem i Solo poczuł

ukłucie żalu. W końcu ten człowiek robił tylko to, co do niego należało. Jasne włosy Warrena falowały miękko wokół głowy, tworząc podwodną aureolę. Solo zastanawiał się, jak to jest, kiedy człowiek jest martwy. Starał się wyobrazić to sobie: zobaczył siebie leżącego nieruchomo, patrzył na to jakoś z góry. Ale przecież żeby widzieć musiałyby być żywy. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że śmierć jest czymś niewyobrażalnym. Koncentrując się na obserwowaniu Warrena, poczuł, że ból ustępuje. Po paru chwilach, podczas których między drewnianymi resztkami statku powstał wir. Solo zobaczył, że Warren odpłynął. Było to tak, jakby zmarły skończył karcić swego mordercę i, nie będąc co prawda w pełni usatysfakcjonowanym, postanowił się oddalić.

Kiedy Solo pozostawał w całkowitym bezruchu, ból był do zniesienia, lecz przy wykonywaniu najmniejszego chociażby ruchu jego czujniki pomiarowe szalały. W ten mechanizm przezornie wyposażył go Bill Stewart i teraz odbierał sygnały symulujące niemożliwy do zignorowania ból. Mechanizm ten zabezpieczał go przed zniszczeniem. Solo pomyślał, że wbudowując go Bill okazał zdolność przewidywania, a równocześnie zrobił coś niepotrzebnego. Wiem przecież, że jestem za głęboko, dlaczego więc ciągle mi się o tym przypomina?

Prąd na Pacyfiku był silny. Kiedy Solo spróbował stanąć na nogi i pójść w stronę płycizny, został zepchnięty na większą głębokość, dalej od brzegu. Ból przeszkadzał mu myśleć. Solo przewrócił się. Leżał twarzą w dół wśród kamieni i czekał. Poruszanie się stanowiło dla niego problem. Bo kiedy się poruszał, następował nacisk na złącza, które broniły dostępu do jego ciała śmiertelnej wodzie morskiej. Woda, dostawszy się do układów elektronicznych, zniszczyłaby go. Poruszając nogami i rękami przy próbach zbliżenia się do brzegu, wywoływał

jeszcze większy nacisk na złącza, większy niż wtedy, gdy dźwigał całe ciało. Fakt, że nad nim znajduje się kolosalna masa wody, zaczął docierać do jego świadomości. Ogarniał go strach.

Koło niego coś się poruszyło. Rozproszyło to jego uwagę. Jakieś małe żyjątko, pełzające, przezroczyste stworzonko z dużą liczbą nóg przebiegło po piasku tuż przy jego twarzy. Czy to krewetka? Tak, krewetka – ledwie widoczna. Różniła się jednak na tyle od otaczającej ją wody, że dawało się ją zauważyć. Solo patrzył, jak bije jej szklane serce, pompując krew przez szklane żyłki. Krewetka szła pod prąd, jej nóżki poruszały się pod nią, rozkopując piasek.

Moje dłonie – pomyślał Solo.

Na dłoniach i palcach nie ma złączy. Zrobił eksperyment – poruszył palcami. Ból nie odezwał się. Powoli, powoli, prawie niedostrzegalnie Solo poruszył dłońmi, które trzymał

u pasa. Kiedy poruszył ramionami, chcąc ustawić dłonie w odpowiedniej pozycji, ból odezwał

się szaleńczym zgiełkiem w jego mózgu, zakłócając jasność myślenia.

Kiedy ustawił dłonie we właściwej pozycji, w pobliżu środka ciężkości własnego ciała, odczekał chwilę, pragnąc, żeby ból ustąpił. Przerzucił większość ciężaru ciała na palce, naciskając dłońmi na dno. Znowu odczekał, aż ból ustąpi. Nie wolno mu poruszyć ani jednym stawem, spowodować naporu wody na żadne ze złączy. Odzyskawszy jasność myślenia, ruszył

powoli naprzód. Posuwał się cal po calu po dnie, wspierając się na palcach. Im bliżej był brzegu, tym mniejsze stawało się ciśnienie wody.

Był pijany z radości, kiedy w kilka godzin później wydostał się na płytką wodę. Położył się na plecach i patrzył na słońce tańczące nad jego głową w kręgu błękitnego nieba. Woda otaczająca błękitny krąg była migocącym srebrem lustrem, w którym odbijała się zielona głębina. Jak pięknie! Ból ustępował. Złącza wytrzymały. Jego ciało nie uległo żadnym uszkodzeniom. Bill na pewno byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że złącza okazały się mocniejsze, niż obliczano. Może nawet mocniejsze, niż sądził sam Solo. Bo Solo liczył, że wytrzymują do głębokości trzystu stóp, nie spodziewając się jednak, że będzie czuł aż taki ból.

Mimo tego bólu – udało się. Być może nawet dzięki bólowi, bo ból sprawił, że Solo nie dopuścił do przeciążenia złączy, dzięki czemu zdołał uciec.

Przeczekał cały dzień, wsłuchując się w odgłosy wydawane przez śruby napędowe, sonary statków poszukiwawczych i małych łodzi podwodnych. Wiedział, że w końcu poszukujący zblizną się do brzegu. O zmierzchu wstał i wszedł na miękki piasek plaży.

W połowie drogi do skraju dżungli, która miała dać mu bezpieczne schronienie, zobaczył

Billa. Szedł brzegiem plaży tuż przy wodzie. Jednak nikt, nikt, nawet Bill, nie mógł dowiedzieć się, że Solo przeżył. Był to kluczowy element planu: wszyscy muszą uwierzyć, że Solo został

zniszczony, bo tylko to dawało pewność, że przestaną go szukać. Solo biegiem dopadł do skraju dżungli i zatrzymał się za niskim krzakiem. Obserwował Billa idącego plażą. Jest za ciemno, nie dostrzeże moich śladów – pomyślał.

Bill potknął się i upadł. Robot poczuł nagły przyptyw przerażenia. Skierował w tamtą stronę obiektywy swoich oczu, zrobił najazd i zobaczył, że Bill potknął się na jednym z jego śladów.

Zobaczył też wyraz twarzy Billa. Wyglądał tak, jakby dokonał jakiegoś odkrycia. Nie, to niemożliwe! Bill był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który mógł w tym śladzie dostrzec coś niezwykłego. Bill poszedł po śladach, odwrócił się twarzą w kierunku ściany drzew i spojrzał w stronę Solo. Solo wcisnął się głębiej między gałęzie, kiedy Bill, utykając z powodu zwichniętej kostki, poszedł po śladach aż do skraju dżungli. Stanęli twarzą w twarz, byli o piętnaście stóp od siebie, ale tylko robot miał tego pewność.

Kiedy Bill zawołał: „Solo?”, robot poczuł, że musi odpowiedzieć. Wołał go przecież ten, kto go skonstruował. Impuls każący mu odpowiedzieć był bardzo silny, ale silniejsza okazała się chęć przeżycia. Było wiele rzeczy, o których Solo chciał porozmawiać z Billem, jednak w tej chwili Bill był zagrożeniem, jedynym człowiekiem, który wiedział, że Solo uciekł. Chcąc postąpić zgodnie z zasadami, jakie mu wpojono. Solo powinien był zabić Billa. Miał jednak świadomość, że nie jest w stanie tego zrobić.

Bill wzdrygnął się, kiedy z niskiego krzaka rosnącego między nim a Solem zerwał się jakiś ptak. Stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w ciemność i uśmiechając szeroko. Solo był

pewien, że go nie widać. Oczy Billa, przenikliwe i spokojne, wpatrywały się w widma czające się w ciemności. Bill chwycił gałąź krzaka, puścił ją gwałtownie, odwrócił się i pobiegł plażą.

Solo obserwował go. Bill szedł z powrotem po jego śladach i zacierał je starannie.

Bill Stewart i jego wspólnik, Byron Rand, pozostawili należące do Electron Dynamics sto akrów w Palm Bay na Florydzie w stanie naturalnym. Teren był gęsto zarośnięty roślinnością: różnymi gatunkami palm i sosnami.

Pułkownik Daniel Sawyer nazwał ten teren „Obszarem Kontrakcji” i wspólnie z grupą instruktorów, których Pentagon przysłał z Brygady Sił Specjalnych z Fort Bragg, trenował na nim Nemroda.

Sawyer miał pięć stóp i dziesięć cali wzrostu i był silnie zbudowany. Stał teraz obok robota przy drzwiach małego blaszanego budyneczku. Znajdowały się w nim komputery i sprzęt wideo obsługiwane przez dwóch techników z Electron Dynamics. Przeznaczone były do monitorowania Nemroda w czasie ćwiczeń. Sawyer był niezadowolony z tego, że w porównaniu z robotem wygląda na człowieka drobnego, gdyż Nemrod – replika Sola z matowego czarnego plastiku – miał sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważył trzysta funtów. Na ludzi Sawyer też nie lubił patrzeć z dołu. Bo wiedział, że generałami zostają przeważnie pułkownicy wysokiego wzrostu. Mimo tej różnicy wzrostu Sawyer panował nad potężną maszyną, która potrafiła z łatwością gołymi rękami wymordować całą kompanię piechoty. Sawyer zastosował metody szkoleniowe, które uczyniły robota tak sprawnym. Była to rekomendacja lepsza niż najwyższy wzrost.

– Mamy człowieka... wroga... w budynku E... ten człowiek wziął zakładnika – powiedział

Sawyer do robota. – Chcę, żebyś uratował tego zakładnika.

Sawyer patrzył, jak głowa Nemroda odwraca się w stronę budynku E, czyli jednej z prowizorycznych chat, jakie zbudowano na terenie przeznaczonym do ćwiczeń.

– Tak jest – potwierdził rozkaz Nemrod.

Budynek był poza zasięgiem wzroku, jednak Nemrod wiedział dokładnie, gdzie on się znajduje, dzięki temu, że wyposażony był w wewnętrzne mapy. Zanim odpowiedział

Sawyerowi, miał już przygotowany plan podejścia; wiedział, że nie pójdzie tą samą drogą co ścigani i że dojdzie do chaty od tyłu. Trzymał swój karabin, AK-47, tak jakby był to dziecięcy pistolecik. Spod karabinu wystawał magazynek z trzydziestoma ślepymi nabojami. Nemrod wierzył, że są to naboje ostre. Wierzył we wszystko, co mu się powiedziało.

– Zakładnikowi nie może stać się żadna krzywda – przypomniał Sawyer.

Nemrod odwrócił się twarzą do niego i powtórzył zasady:

– Nie robię krzywdy sprzymierzeńcom. Zabijam tylko wrogów. Robię tylko to, co każą mi robić upoważnione osoby.

Nemrod mówił wszystko tym samym tonem. Sawyer uważał, że brzmi to tak, jakby robot był urażony, chociaż równocześnie wiedział, że mu się tylko tak zdaje, bo tysiące razy słyszał

ten sam monotony zaśpiew.

– Dobrze – powiedział. – Zaczynaj. Nemrod odwrócił się i puścił biegiem w stronę budynku.

Sawyer wszedł do pomieszczenia z urządzeniami sterowniczymi, usiadł przy monitorze i włożył słuchawki. Dwaj technicy śledzili Nemroda wizualnie – za pośrednictwem kamer ukrytych wśród drzew – i elektronicznie – dzięki automatycznemu urządzeniu wbudowanemu w robota, informującemu o jego położeniu. Sawyer usiadł przy monitorze – przy tym stanowisku roboczym, przy którym podczas bitwy zasiadłby dowódca – i zobaczył to, co widział Nemrod.

Nemrod zszedł już z utartej ścieżki i posuwał się przez zarośla trasą która prowadziła na tyły budynku E. Sierżant Thorpe, który grał rolę porywacza, obserwował oczywiście trasę, którą sam przyszedł, czyli najbardziej prawdopodobną trasę dojścia. Inteligentny robot – pomyślał Sawyer.

Ciekawe, jak poradzi sobie z naszą niespodzianką.

Po przejściu stu jardów Nemrod schylił się i zaczął powoli podchodzić do krytej strzechą chaty, która była ledwie widoczna wśród wysokich chwastów. Kiedy przerzuczał się na widzenie w podczerwieni, w monitorze zawirowało. Zielone liście wyglądały na ekranie jak szkarłatne.

Nemrod skradał się, był w odległości stu stóp od chaty.

Po chwili zatrzymał się. Sawyer zobaczył, że skierował obiektywy na grupę palm rosnących na prawo od siebie. Robot przerzuczał się z widzenia w ultrafiolecie na widzenie w podczerwieni i z powrotem, co utrudniało Sawyerowi zorientowanie się w tym, co widzi Nemrod. W głębokiej podczerwieni Sawyer był w stanie widzieć mieniący się błękitny obraz mężczyzny chowającego się za jaskrawoczerwonymi palmami. Nemrod zauważył niespodziankę, czyli sierżanta Morrisona. I co teraz? Jeżeli strzeli do Morrisona, ostrzeże Thorpe'a, który zabije zakładnika.

Jeżeli nie strzeli, to Morrison go zaatakuje, co również będzie ostrzeżeniem dla Thorpe'a.

Cokolwiek zrobi – zakładnik straci życie. Sawyer uśmiechnął się, obserwując swego mechanicznego ucznia usiłującego rozstrzygnąć dylemat, przed którym go postawił.

Nemrod czołgał się w stronę złowrogiego błękitnego obrazu człowieka przyczajonego w zasadzce. Sawyerowi zjeżyły się włosy na karku: robot miał zamiar zabić Morrisona gołymi rękami. Była to właściwa strategia, ale Sawyer musiał teraz właściwie rozplanować czynności w czasie. Jeżeli zbyt wcześnie powstrzyma Nemroda, to test wypadnie nieprzekonująco. Jeżeli zrobi to za późno, to z Morrisona zostanie miazga. Przysunął do ust mikrofon. Palec trzymał na przycisku włączającym transmisję. Morrison podniósł głowę, trzymał ją teraz na wysokości gałęzi.

Kiedy się wychylił, Nemrod w jednej chwili przeszedł na normalne widzenie i runął w jego stronę. Obraz na monitorze zamazał stężale zanim Morrison zdążył wystrzelić, Sawyer zobaczył, że Nemrod schwycił jego karabin i odrzucił go daleko od siebie. Było oczywiste, że Nemrod rozwiązał problem.

– Nemrod, stój! – powiedział Sawyer.

– Wróg – odezwał się z głośnika nad monitorem głos Nemroda.

Sawyer w napięciu obserwował ekran. Ogromna dłoń Nemroda obejmowała szyję Morrisona. Morrison krztusił się i pluł, jego twarz była obrzmiała i czerwona.

– Puść go, Nemrod! On jest sprzymierzeńcem. Sprawdza cię tylko.

Sawyer zgarbił się i pokręcił głową. Dlaczego? Dlaczego Nemrod nie słucha? Nemrod stopniowo zwolnił uścisk i Morrison opadł na ziemię. Zbierało mu się na wymioty.

Sawyer zapytał go drogą radiową:

– Dobrze się czujesz?

Przez oczy Nemroda dostrzegł, że Morrison się krzywi. Morrison odkaszlnął i w końcu wykrztusił:

– Tak. Oczywiście. Ten skurwiel gra trochę ostro. Morrison, patrząc w oczy Nemroda, rzucił

Sawyerowi gniewne spojrzenie.

– Przykro mi – powiedział Sawyer. – Nie ruszaj się. Chcę się przekonać, czy Nemrod dostanie Thorpe’a. Morrison, wściekły, kiwnął głową.

– Nie ma obawy. Nie mrugnę nawet, dopóki ta maszyna nie odejdzie.

Sawyer zwrócił się teraz do Nemroda:

– Ten człowiek udawał, że czatuje na ciebie w zasadzce. Pokonałeś go. Uważaj go za unieszkodliwionego. Kontynuuj misję.

– Kontynuuję.

Dobrze – pomyślał Sawyer. Solo nie zachowałby się w ten sposób, bo Stewart zaprogramował go w kretyński sposób. A on, Sawyer, szkoląc Nemroda, dołożył wszelkich starań, żeby przekonać robota, że jego wrogowie są prawdziwi i że, zabijając, zabija naprawdę.

Podczas tych ćwiczeń Nemrod po raz pierwszy spotkał się z aktorem, ale był to też ostatni trening przed zabraniem go do dżungli na solidne ćwiczenia w terenie. Teraz, kiedy już było wiadomo, że robot zabija bez wahania, można było nauczyć go gier wojennych. Sawyer miał

swoją teorię wyjaśniającą, dlaczego Solo się zbiesił. Uważał, że Solo zaczął odróżniać symulację od rzeczywistości, zanim nauczył się bezwzględного posłuszeństwa. Sposób, w jaki Stewart go ćwiczył, był, według Sawyera, przyczyną jego zepsucia. Nemrod nigdy niczego nie kwestionował. Nie wolno mu było tego robić. Zabijał tych, których kazano mu zabić. Sawyerowi zdawało się nawet, że Nemrod znajduje przyjemność w zabijaniu swoich ofiar, jeśli oczywiście maszyna może odczuwać przyjemność.

Nemrod skierował obiektywy z powrotem na chatę, a po chwili Sawyer zobaczył chwasty i krzaki zbliżające się do jego oczu, gdyż Nemrod przypadł do ziemi i zaczął się czołgać. Zarośla rozstępowały się w miarę jak robot posuwał się naprzód. Po kilku minutach Nemrod przeszukiwał wnętrze chaty krytej strzechą z palmowych liści. Robił to za pomocą czujników.

Sierżant Thorpe, zgodnie z instrukcją, obejmował za szyję niby-więźnia, kaprala Towlera, a równocześnie przystawiał mu do głowy wojskową czterdziestkę piątkę. Sawyer patrzący w monitor widział obu mężczyzn jako niezbyt wyraźne, błękitne sylwetki na czerwonym tle.

Zobaczył, że robot podnosi karabin i celuje w głowę Thorpe'a. Dobrze. Porywacz nie zostanie ostrzeżony. Doskonale. Sawyer położył rękę na klawiaturze pomocniczej obok mikrofonu. Ta klawiatura nosiła nazwę sterującej efektami specjalnymi i funkcjonowała jako przełącznik selekcyjny powodujący wybuch różnych małych ładunków znajdujących się przy członkach grupy testującej, w wyniku czego robot odnosił wrażenie, że jego karabin wyrządził im szkody.

Metoda ta została opracowana przez specjalistę od efektów specjalnych z Hollywood.

Obserwując gdzie robot celuje, Sawyer wybierał odpowiednie efekty. Malutkie ładunki były odpalane na dźwięk karabinu robota, dzięki czemu robot widział, jak rozrywa się ciało, rozpryskuje krew. Po „zabiciu”, „trup” był usuwany z zasięgu wzroku robota i odsyłany do Fort Bragg. Dla Nemroda każda taka śmierć była prawdziwa i miała prawdziwe konsekwencje.

Sawyer nacisnął klawisz z napisem „głowa, lewa strona” i czekał.

Z AK-47 padł jeden strzał. Sawyer zobaczył na monitorze, że w strzesze z palmowych liści powstała dziura wskutek uderzenia ślepym nabojem.

Nemrod wstał z klęczek, napał na drewnianą ścianę chaty, zwałił ją i dostał się do środka.

Zobaczył, że Thorpe leży w kałuży krwi z dziurą o poszarpanych brzegach w głowie. Zakładnik, kapral Towler, wstał uśmiechając się.

– Chodź ze mną – powiedział do niego Nemrod.

– Dobrze.

Towler kiwnął głową i wyszedł z chaty. Nemrod ukląkł obok ciała Thorpe'a.

– Cholera! – zaklął Sawyer. – Nemrod, idź dalej. Przyrowadź tu zakładnika.

– Ten wróg nie jest martwy – powiedział Nemrod. Sawyer zobaczył, że robot wyciąga rękę, chcąc dotknąć fałszywej rany.

– Jest. Jest martwy...

Nemrod wyciągnął cienki przewód przyklejony do szyi Thorpe'a plastikiem udającym ciało.

Jego dłoń zniknęła z pola widzenia Sawyera. Nie widział, co robot robi, aż do chwili kiedy błysnęło ostrze noża przesuwające się w stronę szyi Thorpe'a.

– Nie! – wrzasnął Sawyer. – Nemrod, przestań! Ostrze noża zagłębiało się w szyję Thorpe'a.

Pojawiła się krew, prawdziwa krew. Nemrod trzymał nóż nieruchomo. Thorpe chwycił go za przegub i usiłował odepchnąć jego rękę. Sawyer usłyszał zduszony głos:

– Nemrod... nie...

– Wróg udawał, że jest martwy – powiedział Nemrod. – Otrzymałem polecenie, żeby zabić tego wroga.

Sawyer walnął dłonią w blat stołu. Dlaczego Nemrod sprzecza się *właśnie teraz*? Usłyszał

krzyk Thorpe'a. Zobaczył, że nóż zagłębia się dalej w jego szyję. Człowiek, którego znał i lubił, był właśnie mordowany. Sawyer mógł posłać Nemrodowi impuls bólu albo nawet wyłączyć go, nie miał jednak gwarancji, że nóż nie pójdzie głębiej.

– Nemrod, zaraz cię zabolii! *Rozkazuję* ci przestać. Odłóż nóż. Zamelduj się tutaj.

Nóż zatrzymał się. Nemrod wyszarpnął go i włożył do pochwy, która była poza zasięgiem wzroku Sawyera. Sawyer zobaczył, że Thorpe podnosi rękę, przytyka sobie dłoń do rany i że krew wypływa mu spomiędzy palców. Mało brakowało, a byłby martwy. Kiedy Thorpe zaczął płakać, Sawyer kiwnął głową. Odwrócił się do dwóch techników.

– No – powiedział – chyba nie ma wątpliwości, że ta pieprzona maszyna ma wolę zabijania, prawda?

Technicy, obaj bladzi, pokiwali głowami.

Nemrod wstał i wyszedł do kaprała Towlera, który stał przed chatą i wyglądał na ciężko przerażonego.

– Chodź ze mną – powiedział.

– Odejdź ode mnie! – krzyknął Towler.

– Chodź – powtórzył Nemrod, wyciągając do niego rękę. – Uratowałem cię.

Towler skoczył w zarośla i uciekł. Nemrod ruszył za nim w pogoń.

– Pozwól mu odejść, Nemrod. Zamelduj się tutaj.

– Zakładnik musi być doprowadzony – powiedział Nemrod.

Sawyer usiadł głębiej w krześle i pokręcił głową. Nie, do cholery, nie tak. Robot jest przyzwyczajony do tego, że zawsze jestem opanowany. Że mówię spokojnie.

Na monitorze pojawił się budynek z urządzeniami sterowniczymi. Nemrod patrzył w jego stronę. Sawyer widział, jak obraz powiększa się i zmienia kolory, bo robot usiłował dostrzec go wśród liści. Przez minutę obraz był nieruchomy.

– Zostałeś schwytyany przez wroga – powiedział wreszcie Nemrod. – Dlatego każesz mi nie zabijać tych wrogów.

– Nieprawda!

Sawyer przerwał i zmusił się do mówienia spokojnym głosem.

– Nemrod... postanowiłem zmienić misję. Masz obowiązek słuchać moich rozkazów bez zadawania pytań. Chcesz, żebym ocenił tę misję jako nieudaną?

Nemrod zachnął się. Nieudana misja oznaczała ból. Ten ból zadawał Sawyer.

– Wracam – powiedział Nemrod.

Idąc w stronę budynku z urządzeniami sterowniczymi, mówił do siebie, uzasadniając logicznie własne działania i usiłując uspokoić samego siebie.

– Wrócę – mruczał. – Jeżeli Sawyer został złapany, uwolnię go. A jeżeli nie, to będę robił, co każe.

Sawyer obserwował na monitorze budynek z urządzeniami sterowniczymi, w którym sam się znajdował. Wstał i włożył do kieszeni pilota zdalnego kierowania. Na pilocie były dwa przyciski. Każdy z nich przykrywała czerwona metalowa klapka zapobiegająca przypadkowemu naciśnięciu. Na jednym był napis „ból”, a na drugim „wyłączenie”.

– Słuchaj, Mike – powiedział do jednego z techników – obserwujcie obaj z Allenem monitor, trzymając dłoń na wyłączniku. Coś jest nie w porządku.

Wyszedł na zewnątrz i czekał na robota. Jedną rękę trzymał w kieszeni, przykrywając palcami przyciski.

Nemrod minął go i wszedł do budynku.

– Dokąd idziesz? – spytał Sawyer, kiedy robot przechodził obok niego.

Nemrod nie odpowiedział. Sawyer odwrócił się w stronę drzwi i obserwował go. Robot zignorował obu techników, pochylił się nad wyłącznikiem, a potem rozejrzał się po wnętrzu, szukając wroga. Następnie wyszedł na zewnątrz i stanął przed Sawyerem.

– Nie zostałeś schwytyany.

– Świetnie, Nemrod.

Sawyer podniósł już klapkę na przycisku generującym ból. Nacisnął przycisk.

Łokcie Nemroda z głośnym trzaskiem uderzyły o tors. Jego dłonie drżały. Ból nasilał się tak długo, jak długo Sawyer trzymał palec na przycisku. Kiedy głowa Nemroda zaczęła się gwałtownie kiwać na boki, kiwać tak gwałtownie, że osłony jego oczu klekotały, Sawyer puścił

przycisk.

Nemrod osunął się na kolana.

– Kiedy ci mówię, żebyś przestał, masz przestać – powiedział Sawyer.

– Zostałem nauczony podejmowania decyzji. Zobaczyłem przewód i...

– To dobrze, że go zauważyłeś. To dowodzi, że jesteś spostrzegawczy. Ale nie wolno ci kwestionować tego, co mówię, nawet przez ułamek sekundy. Rozumiesz?

– Twój głos zmienił się nagle. Był w nim strach. Było możliwe, że zostałeś schwytyany –

powiedział Nemrod błagalnym głosem.

– Jeżeli nie powiem ci, że zostałem schwytyany, musisz zawsze przyjmować, że tak nie jest.

W walce głos twojego dowódcy będzie się zmieniał. Musisz się do tego przyzwyczaić. Jeżeli zostanę schwytyany, powiem ci o tym.

– Ale... – zaczął robot.

Sawyer nacisnął przycisk. Z ponurą satysfakcją patrzył, jak ważąca trzysta funtów maszyna wije się bezradnie z bólu. Przypomniawszy sobie, jak Stewart wściekał się na ten pomysł. Na pytanie, co robot będzie czuć, odpowiedział:

– Wyobraź sobie, że wszystkie komórki bólowe w twoim ciele wysyłają równocześnie sygnały o najwyższym natężeniu. Możesz mi wierzyć, ktoś odczuwający coś takiego wolałby być wrzucony do ogniska. Spróbuj sobie wyobrazić ten ból, spróbuj sobie wyobrazić, co by się działo wtedy, kiedy byś taki ból odczuwał.

– Pewnie bym umarł – odrzekł Sawyer.

– Albo chciałbyś móc umrzeć – zgodził się Stewart. – Czy chcesz, żeby Nemrod przeżywał

takie rzeczy?

Sawyer rozważał już to pytanie. Uważał się za coś w rodzaju rzemieślnika, za jubilera opracowującego drogie kamienie w złoto. Nemrod był dla niego po prostu surowcem.

– Tak – odpowiedział.

Sawyer tylko chwilowo dysponował dostępem z zewnątrz do ośrodków bólu Nemroda.

Aparat, który mu to umożliwiała miał być usunięty z wyposażenia prawdziwego robota bojowego. Gdyby pozostał tam, gdzie był, mógłby zostać użyty również przez wroga. Na razie jednak stanowił doskonale narzędzie szkoleniowe. Gdyby Stewart w tej chwili zobaczył

Nemroda, z pewnością zmieniłby zdanie. Bo to działało bardzo dobrze. Gdyby pomyśleli o tym wcześniej i wyposażyli w takie urządzenie Sola, nie straciliby go.

– Masz nie dyskutować – powiedział Sawyer, zdejmując palec z przycisku, – Masz słuchać rozkazów. Rozumiesz, robocie?

Nemrod, klęcząc na piasku, podniósł głowę i spojrzał na Sawyera.

– Tak – powiedział bardzo powoli. – Rozumiem. Człowieku.

Sawyer zachnął się na to słowo, ale zaraz pomyślał, że użycie go przez Nemroda jest logiczne.

– Dobrze.

Sawyer wskazał palcem furgonetkę.

– Ładuj się. Wracamy do laboratorium.

Nemrod podniósł swój AK-47, który poprzednio upuścił w ataku bólu. Wyjął magazynek i dał go Sawyerowi, tak jak go uczono. Sawyer kiwnął głową. Nemrod odwrócił się i poszedł do furgonetki.

Podczas krótkiej podróży do wojskowego skrzydła budynku Electron Dynamics Nemrod siedział w milczeniu. Sawyer obserwował go zasępiony. Wyglądało na to, że robot zapomniał

o incydencie. Trzymał karabin między nogami, opierając go kolbą o podłogę, i wyglądał jak konny policjant gotowy do akcji.

W garażu wysiedli i przeszli do budynku. Sawyer szedł za Nemrodem zmierzającym korytarzem do swojej kwatery. W sali obsługi i wyczekiwania trzej technicy zaczęli czyścić Nemroda. Potem mieli zająć się jego silnikami i układami elektronicznymi oraz naładować akumulatory. Kiedy skończyli go wycierać, Nemrod położył się na kanapce, a oni zaczęli podłączać do niego kable elektroenergetyczne i kable do wprowadzania danych. Sawyer przyglądał się temu przez chwilę, a potem poszedł do swojego biura.

Godzinę później Bill Stewart pokiwał głową, kiedy Sawyer opowiedział mu, co się zdarzyło na Obszarze Kontrakcji.

– Nie dziwi mnie to – powiedział.

Siedzący obok Stewarta emerytowany generał Clyde Haynes, który również pracował

w Electron Dynamics, postukał w politurowany blat stołu konferencyjnego i powiedział do pułkownika Sawyera:

– Zgadza się, chłopcze. Widziałem, jak to samo działa się z Solem. Pieprzona maszyna stawała się coraz sprytniejsza.

Clyde wskazał Billa.

– Ten człowiek, który ją wymyślił, *powiedział* ci, chłopcze, że tak będzie.

– Spodziewaliśmy się, że maszyna będzie coraz sprytniejsza, *panie generale*.

Sawyer spojrzał gniewnie na Clyde'a, rozzłoszczony brakiem szacunku z jego strony.

– Jeżeli Nemrod ma naśladować prawdziwą ludzką inteligencję, to powinien być kontrolowany. Musi być możliwy do kontrolowania.

– Zapomina pan – odezwał się Bill – że Nemrod nie *małpuje* ludzkiej inteligencji. *On jest* inteligentny.

– Jest jednak maszyną – powiedział Sawyer. – Uważamy, że powinien pan nas poinformować, jak możemy usunąć niektóre jego obwody i spowodować, żeby był trochę głupszy. No wie pan, stonować go trochę od poziomu Dzyngis Chana do poziomu, powiedzmy, obecnego tutaj generała.

Sawyer uśmiechnął się, kiedy Clyde spiorunował go wzrokiem.

– Jeżeli założymy, że dowódca przy aparaturze sterowniczej będzie się nim prawidłowo posługiwał, to on sam nie musi być taki cholernie inteligentny.

– Ale w takim razie potrzebny wam jest robot zdalnie sterowany, a nie niezależny –

powiedział Bill.

– Wcale nie – odrzekł Sawyer. – Zadowoleni jesteśmy ze sposobu, w jaki Nemrod obmyśla swoją strategię, bo w walce nie będzie czasu na podpowiadanie mu każdego kroku. A poza tym Nemrod reaguje o wiele szybciej, niż zdolny byłby reagować człowiek przy aparaturze sterowniczej w warunkach prawdziwej bitwy. Nemrod działa błyskawicznie. Podoba nam się, że zachowuje autonomię w walce. Chcemy jednak, żeby był bezwzględnie posłuszny. Jeżeli w człowieku można wyrobić bezwzględne posłuszeństwo, a twierdzi pan, że Nemrod jest jak człowiek, więc jeżeli w człowieku można wyrobić bezwzględne posłuszeństwo, to dlaczego nie w robocie?

Clyde spojrzał na Billa, a potem przeniósł wzrok na Sawyera. Pytanie zostało dobrze postawione i Clyde był szczęśliwy, że to nie on musi na nie odpowiadać. Jego zadaniem było sprzedawać dawnym kumplom z Departamentu Obrony wyposażenie laboratoriów i komputery produkowane przez Electron Dynamics, czyli urządzenia, o których nie miał pojęcia.

W rozmowach z kolegami opisywał swoją pracę następująco: *To ma być praca? To jest nieustające balowanie. Impreza za imprezą. Picie, dziewczyny. To jest życie!* Clyde uśmiechnął

się na myśl o swojej obecnej wolności, o tym, że ma władzę i pieniądze, nie będąc właściwie obciążonym odpowiedzialnością.

Bill odpowiedział mu uśmiechem i zwrócił się do Sawyera:

– Różnica polega na tym, że człowiek ma motywację. A Nemrod jest bytem-maszyną.

Wiem, że pan tego nie przyjmie do wiadomości, jednak to prawda. Trudno przekonać maszynę, że wartości ludzkie są jej wartościami. Osobowość Nemroda – podobnie jak nasze osobowości –

wywoluowała z jego doświadczeń życiowych, z tym że Nemrod jest zupełnie inną niż my istotą. W procesie uczenia się, który umożliwia powstawanie osobowości Nemroda, kształtuje się twarda, bardzo niezależna indywidualność. Gdyby człowiek przeszedł podobną próbę jak Nemrod, a wielu takie przechodzi, to również zacząłby dyskutować.

Bill uśmiechnął się i dodał:

– Nie lubię się chwalić, panie pułkowniku, ale jeżeli już mowa o bezwarunkowym, bezwzględnym posłuszeństwie, to ja sam pod tym względem byłem bardzo marnym żołnierzem.

Sawyer przyjrzał się Billowi uważnie. Prawdopodobnie ten Stewart rzeczywiście był do niczego jako żołnierz. Pilot helikoptera w Wietnamie – to dużo wyjaśnia. Piloci są bezczelni, trudno ich kontrolować. Stewart jest multimilionerem, a mimo to nosi te idiotyczne koszule i włosy ma zawsze rozczochrane. Sawyer poczuł, że ma ochotę zmusić Billa do stanięcia na baczność i do doprowadzenia swojego wyglądu do porządku.

– Nawet najtwardszego człowieka można złamać – powiedział.

– To prawda – zgodził się Bill. – Ale Nemrod nie jest człowiekiem. Czy mam z nim porozmawiać zanim się kompletnie zbiesi?

– Może to dobra myśl – odrzekł Sawyer. – Dowiem się, czy to jest pożądane. Wie pan, że nie ma pan już pozwolenia na przebywanie w otoczeniu tej maszyny?

– Tak, wiem – potwierdził Bill. – Bo po co facet, który wymyślił tego robota, ma mieć z nim jeszcze do czynienia? Za bardzo to byłoby sensowne.

Sawyer popatrzył na Billa przeciągle.

– Jak już powiedziałem, dowiem się.

Był rześki wiosenny dzień. Laura Johnson-Reynolds znajdowała się w parku przy Washington Square w Greenwich Village na Manhattanie. Przeszukiwała właśnie ciężki stalowy śmietnik, chcąc znaleźć coś do czytania. Zniszczony szary płaszcz, który miała na sobie, zmarszczył jej się na plecach, gdy się schyliła. Wyciągnęła zgnieciony kawałek „New York Timesa”. Były to strony dotyczące biznesu i finansów. Laura strzepnęła moką chusteczkę papierową, która przyłgnęła do pierwszej z nich. Stała z gazetą przy twarzy i odczytywała tytuł: *Rynek obligacji reaguje na obniżenie stopy procentowej*. Kiwnęła głową i pociągając nogami cofała się, dopóki nie dotknęła krawędzi parkowej ławki. Usiadła nie przerywając lektury.

Siedzący na ławce po przeciwnej stronie alejki detektyw porucznik Anthony Watkins pokręcił głową, patrząc jak Laura przesuwając gazetę przed zmrużonymi oczami. Obserwował ją uważnie. Była młoda, chyba tuż po trzydziestce, za młoda na kloszardkę. Może jest stuknięta –

pomyślał. Jej rude włosy były brudne, zbite w jednolitą masę. Czytając mrużyła oczy – na pewno zgubiła okulary. Kiedyś, kiedy gdzieś mieszkała, czytywała gazety. Może miała męża. Jak to się do diabła stało, że wylądowała tutaj jako kloszardka? Watkins zobaczył jakiegoś mężczyznę, który wysiadał z taksówki na Piątej Alei. Mężczyzna przeszedł łukiem, minął konnego policjanta i zbliżał się nieśmiało do Watkina.

Czytając, Laura nieświadomie zaczęła się drapać, nie zdając sobie sprawy z tego, że, sięgając pod rozciągniętą koszulkę trykotową, odsłania jedną pierś. Watkins pokręcił głową, zawstydzony. Laura położyła sobie gazetę na kolanach i wyjęła pół kwarty Southern Comfort z kieszeni płaszcza. Pochylając się nad gazetą i usiłując czytać, odkręciła zakrętkę. Oparła się, pociągnęła z butelki, zakręciła ją i odstawiła.

Watkins, który po dziesięciu latach służby uważał się za człowieka uodpornionego i w wygodny sposób ślepego na ludzkie nieszczęście, poczuł nagle, że ogarnia go przerażenie.

Może dlatego, że kobieta była taka ładna. Zignorowawszy zaniedbane, zbite w jedną masę włosy i smugi brudu na twarzy, można było dostrzec, że ta kloszardka mogłaby być kobietą atrakcyjną, a nawet piękną.

Mężczyzna, będący jednym z informatorów Watkina, podszedł do ławki, na której mieli się spotkać, usiadł i rozsypał na chodniku popcorn. Nagle jak spod ziemi pojawiły się gołębie i zaczęły dziobać. Watkins wstał i przeszedł obok Laury.

Zauważył, że w dwóch plastikowych torbach na zakupy trzyma starannie zwinięte gazety, a także złożone pudełka po krakersach i kilka zgniecionych puszek coca-coli. To pewnie cały jej majątek – pomyślał Watkins. Co za życie. Dwie zasrane torby śmieci. Watkins rozejrzył się, chcąc się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Czując przyływ emocji, jakiego nie doznał od lat, sięgnął do kieszeni po pieniądze. Wyciągnął dwudziestaka, cofnął się i podszedł do Laury.

– Masz – powiedział, trzymając banknot w wyciągniętej ręce. Kiedy się do niej zbliżył, omal nie

zakrył sobie odruchowo nosa. Opanował się jednak. Wokół kloszardki roztaczał się przeraźliwy odór, tworząc niewidzialną ochronną barierę. Laura cuchnęła moczem.

Gwałtownym ruchem położyła sobie gazetę na kolanach i spojrzała wściekle na Watkinsa.

Zobaczyła niewyraźną sylwetkę mężczyzny.

– Co? – warknęła.

– Weź to – powiedział Watkins. – Umyj się. Albo kup sobie tanie okulary. Wiesz, takie plastikowe, sprzedają je w drugstorach. Masz.

Watkins podsunął jej banknot przed nos. Laura zmrużyła oczy, poznała, że to pieniądze i nagle ogarnęła ją złość.

– Co ty sobie myślisz? – krzyknęła. – Uważasz, że jestem jakimś darmozjadem?

Watkins był zaskoczony. Rozejrzał się pospiesznie, chcąc sprawdzić, czy ktoś ich nie obserwuje. Jego informator patrzył zaintrygowany, ale poza tym nikt inny nie zauważył incydentu.

– Nie – powiedział Watkins. – Chcę ci tylko pomóc.

– Dlaczego nie pilnujesz własnego pieprzonego interesu? Watkins zauważył, że łzy wymyły na jej twarzy dwie czyste smugi, na których widać było piegi. Laura gwałtownie przysunęła gazetę do twarzy.

– Dzięki za przypomnienie – powiedział Watkins. Wetknął banknot do kieszeni i odszedł w stronę mężczyzny siedzącego na ławce.

O milę od parku Washington Square, na północ od Williamsburg Bridge łączącego brzegi East River, w miejscu zwanym Corlear's Hook, przy molach 42, 43 i 44 w Nowym Jorku wyładowywano banany Chiquita.

Robotnicy portowi pracujący w ładowni *Gwiazdy Karaibów* przyczepiali kiście bananów do elastycznych ramion przenośnika, które jak węże wślizgiwały się przez luki. Każda kiść, zielona i zapakowana w czysty plastik, wędrowała przez małe drzwi do przypominającego jaskinię budynku, który wyrastał tuż przy statku. W środku robotnicy kładli je na przenośnikach.

A potem banany były sortowane, ważone i ładowane na ciężarówki.

Kapitan *Gwiazdy*, Antonio Hernandez, nie mógł się doczekać zejścia na ląd. Chciał jak najszybciej znaleźć się w Bay Ridge, gdzie czekała na niego żona z maleńkim synkiem.

Tymczasem jednak siedział w swojej kabinie, bębniąc palcami po stole i czekając, aż celnicy skończą pracę.

Za każdym razem – myślał – kontrola celna trwa dłużej. Hernandez pływał z Puerto Limon do Nowego Jorku co miesiąc przez ostatnie pięć lat. Celnicy znali go jak własną kieszeń. Nigdy nie znaleźli na jego statku nawet niedopałka skręta, a jednak za każdym razem przeszukiwali statek od góry do dołu. Hernandez wiedział, że to dlatego, że ktoś z jego załogi *mógłby* coś przemycać. Wiedział też, że taka rzecz jest możliwa. A jednak czuł się obrażony.

Zobaczył za oknem niebieską czapkę przechodzącego celnika. Wstał i otworzył drzwi w chwili, gdy celnik Gerald Phillips wyciągnął rękę, chcąc nacisnąć klamkę.

– Skończone? – spytał.

– Prawie – odpowiedział Phillips, zsuwając sobie czapkę na tył głowy i drapiąc się za uchem. – Mamy mały kłopot.

– Cudownie – powiedział kapitan Hernandez, wznosząc oczy do nieba.

– Tak – uśmiechnął się Phillips, widząc kwaśną minę Hernandeza. – To nie potrwa długo.

Jedne z drzwiczek kontrolnych w zęzie nie dają się otworzyć. Ostatnim razem otwierały się wszystkie.

– Cholera. Tam nic nie ma, Gary, uwierz mi. Jest piątek. Przez dwa tygodnie nie było mnie w domu. Kapujesz? Mam teraz dwa tygodnie urlopu. Dlaczego, do cholery, zawracasz mi dupę?

– Wiem, Tony, wiem. Nie możesz jednak zagwarantować, że nikt z załogi nie zamelinował czegoś w zęzie i nie zaklinował tych drzwiczek. Prawda?

Hernandez pokręcił głową.

- Tu mnie zagiąłeś. Rzeczywiście nie mogę zagwarantować, że tak nie jest. Cholera. No to chodźmy.
- Ruchem głowy wskazał drzwi. – Otwórzmy te pieprzone drzwiczki, bo spiesz mi się do domu.
- Jesteś taki wkurzony, bo brak ci baby – roześmiał się Phillips.
- Słuchaj no – powiedział Hernandez – to wcale nie jest śmieszne. Nie masz pojęcia, jak człowiek się wtedy czuje. Dwa tygodnie to długo.

Phillips kiwnął głową uśmiechając się szeroko.

- Nie mam pojęcia i nie chcę go mieć.

Kiedy weszli na schodnię, natknęli się na Roya White'a, pierwszego oficera.

- Rozładowane, kapitanie – zameldował. – Mingo i Sanchez zostają na pokładzie, a dwaj strażnicy właśnie się pokazali. Mogę schodzić?
 - Oczywiście, Roy. Baw się dobrze.
 - Dlaczego ci dwaj zawsze zostają na statku? – spytał Phillips.
 - Nie mają tu rodziny – odrzekł Hernandez. – Gdyby poszli do miasta, wydaliby tylko pieniądze.
- Phillips kiwnął głową.

- Hej, Roy – Hernandez ponownie zwrócił się do pierwszego oficera. – Do zobaczenia za dwa tygodnie. Pozdrów dzieciaki i Doris. I nie daj sobie zabrać całej forsy.

White roześmiał się i odszedł.

Minąwszy kajuty załogi, Hernandez i Phillips przeszli przez luk. Schodząc do przedziału maszynowego, Hernandez uchwycił się żelaznego drąga wystającego z szarej stalowej grodzi.

Zatrzymał się na dolnym pokładzie i zapytał:

- Gdzie?

Phillips wskazał przedział maszynowy i poszedł przodem. Kiedy byli już w środku, krzyknął:

- Hej, Rogers!

W odpowiedzi usłyszeli dobiegające z daleka:

- Tak!

Rogers, współpracownik Phillipsa, wpatrywał się w kolumny cyfr migocących na zielonym ekranie komputera przy stanowisku obsługi technicznej. Zastanawiał się, czy ktokolwiek wie, co te cyfry

naprawdę oznaczają. Pojedyncza czerwona lampka paliła się na tablicy wskazującej stan urządzeń zespołu prądnicowego z silnikiem wysokoprężnym, który sprawiał, że działały pompy pompujące wodę z zęzy, klimatyzacja i światła. Rogers wstał, kiedy zobaczył, że Phillips i Hernandez zbliżają się, idąc wzdłuż stalowego pomostu między ogromnymi silnikami.

Trzej mężczyźni przeszli przez luk prowadzący do zęzy znajdującej się poniżej przedziału maszynowni. Przyćmione światło sączące się z odrutowanych szklanych półkul słabo oświetlało wilgotny przesmyk. Było duszno, śmierdziało zatechłą wodą i starym olejem silnikowym. Cichy szum elektrycznych pomp i odgłosy kroków na metalowej kratce były jedynymi rozlegającymi się tutaj dźwiękami. Rogers i Phillips oświetlali drogę latarkami. Wszyscy trzej szli w stronę rufy, schylając się w tych miejscach, gdzie było nisko. Phillips skierował światło latarki na właz znajdujący się obok pompy numer sześć.

– To tutaj, Tony.

Hernandez kiwnął głową, podszedł bliżej i ukląkł. Otwór, w którym znajdował się uchwyt, był widoczny. Hernandez pomyślał, że coś się mogło zablokować w mechanizmie zwalniającym.

– Na mój rozum wszystko jest tu w porządku – powiedział. Włożył rękę do otworu i pociągnął zasuwę. Usłyszawszy ostre szczęknięcie, Phillips i Rogers popatrzyli na siebie.

Hernandez pociągnął, zawiasy zaskrzypiały i pokrywa włazu, która poszła w górę, uderzyła ze szczękiem w gródź. Hernandez popatrzył na dwóch celników.

– Wy chyba nawet *nie usiłujecie* dbać o formę. Phillips oświetlił zasuwę latarką.

– Ciągnęliśmy za to cholerstwo razem. I nie ruszyło się. Było jak przyspawane.

Tu Phillips zwrócił się do Rogera.

– Prawda? – spytał.

– Prawda – potwierdził Rogers. Hernandez przysiadł na jakiejś rurze.

– Chcecie tu zajrzeć? Teraz, kiedy *siłą* otworzyliśmy to cholerstwo, możecie to zrobić.

Phillips ukląkł i wsunął głowę pod pokład. Światło latarki odbiło się w kałuży oleju i brudnej wody głębokiej na cal i zamigotało na rdzewiejących żebrach kadłuba. Niezły burdel, ale niczego tu nie ukryto.

– Czysto – powiedział Phillips. Uśmiechnął się do Hernandeza.

– Rogers, wychodzimy. Tego człowieka zaraz rozsadzi nadmiar spermy.

Idąc z powrotem do włazu prowadzącego do przedziału maszynowego, śmiali się, a śmiech odbijał się głuchym echem w stalowych pomieszczeniach.

Kiedy głosy ucichły, powoli się otworzyły drzwiczki kontrolne znajdujące się o dwadzieścia stóp od tych, które przed chwilą sprawdzili. Solo, cały mokry i błyszczący, podniósł się z mazi zalegającej zębę. Odwrócił ostrożnie głowę, obserwując poruszające się na grodzi cienie trzech mężczyzn wspinających się w górę.

Zanim oddział CIA ujął go w Las Cruzas, Solo powiedział swojemu czternastoletniemu przyjacielowi, który nazywał się Eusebio Chacon, że wystarczy mu energii na dostanie się do małej kostarykańskiej wioski Union Vieja, leżącej na granicy z Nikaraguą. Trzeba mu było tylko przynieść jego rurę energetyczną, czyli przenośny generator, który sam zbudował. Miał zamiar naładować akumulatory.

Ucieczka pod wodą okazała się bardziej wyczerpująca niż Solo przypuszczał. Jego główne akumulatory były prawie wyczerpane, kiedy od umówionego miejsca spotkania dzieliło go jeszcze sto stóp. Ostatnie dwadzieścia stóp pokonał staczając się ze skarpy do koryta strumienia.

Znalazł się pod mostem. Leżał nieruchomo wśród chwastów, pod chropowatym kamiennym łukiem, w bezpośrednim sąsiedztwie wioski. Główne akumulatory miał doszczętnie wyczerpane.

Mały plutonowy zasilacz awaryjny dostarczał mu taką ilość energii, która pozwalała na zachowanie świadomości i zdolności widzenia. Następne cztery dni Solo spędził na obserwowaniu fragmentu koryta strumienia, znajdującego się tuż przed jego twarzą.

Na przestrzeni tych kilku cali kwadratowych woda tworzyła wiry pomiędzy kamieniami, wiry o nigdy nie powtarzających się kształtach. Czwartego dnia z wody wyszła poczwarka ważki i zatrzymała się na gałązce tuż przed twarzą Sola. Widział, że wewnątrz stworzonka coś się rusza. W godzinę później z poczwarki wydostała się dorosła ważka. Spędziła kilka minut na rozprostowywaniu skrzydeł, a potem odleciała. Solo przyglądał się pustej powłoce, wciąż przyczepionej do gałązki, i dziwił się zdolności owada do tak szybkiej i tak całkowitej przemiany. To jest tak nieprawdopodobne – pomyślał – że aby uwierzyć, trzeba to zobaczyć na własne oczy.

Następnego dnia usłyszał skomlenie Cheripy, psa Eusebia. Zdążył na czas – pomyślał. Na Eusebia można było liczyć. Solo usłyszał odgłosy dowodzące, że Justos i jego syn Inginio są z Eusebiem. Eusebio i Inginio, który miał również czternaście lat, zawsze trzymali się razem.

Solo zobaczył ich cienie na spokojnie płynącej wodzie tuż przed swoją twarzą.

– Solo? – zawołał Eusebio.

Solo chciał mu pomachać ręką, ale brakowało mu energii. Usiłował coś powiedzieć, lecz wydał z siebie tylko jakiś chrapliwy odgłos.

– To ten most? – zapytał Justos.

– Tak, Tio Justos. Solo ma bardzo dobre mapy. Podał mi współrzędne i kazał tu przyjść. To jest ten most.

Solo słuchał, rozbawiony. Zaraz po ich poznaniu Eusebio uważał, że słowo „współrzędne” oznacza księdza i zakonnice, którzy ze sobą romansują.

Kiedy Cheripa warknął, Eusebio roześmiał się.

– Widzicie? Cheripa *nie znosi* Sola. Solo gdzieś tu jest! Wyciągnęli na słońce jego wążące trzysta funtów i chrzęszczące ciało. Rozpalili ognisko na kamienistym brzegu i włożyli do niego jeden koniec rury energetycznej. Eusebio otworzył port w ciele robota, wyciągnął kabel elektryczny i przyłączył go do rury. Zaczęli czekać, aż Solo odżyje. Inginio trzymał straż.

Wraz z przyływem energii elektrycznej w Sola wstępowały wigor i życie.

– Miło zobaczyć was znowu – powiedział po piętnastu minutach.

Justos i Eusebio roześmiali się.

– Udało ci się, Solo! – powiedział Eusebio, szczerząc zęby. – Jak im uciekłeś?

– Jeżeli teraz zacznę o tym mówić, to ładowanie zajmie całą wieczność – odrzekł Solo. –

Później wam o tym opowiem. Kiedy wrócimy do Las Cruzas.

Justos jechał wyboistą drogą prowadzącą do Las Cruzas wzdłuż jeziora Nikaragua. Eusebio i Inginio siedzieli z tyłu samochodu marki ford pick-up z 1954 roku, który Solo zreperował przed paroma tygodniami. Rzucali kamieniami w drzewa. Przed oczami Sola zaczęły pojawiać się znajome widoki. Minęli wóz ciągnięty przez woły, którym jechał znajomy chłopiec z wioski.

Solo rozpoznał też stado małp żyjących wśród palm na brzegu jeziora. Aligatory jak dawniej leżały rozwalone na plaży, a czaple wyłuskiwały sobie kleszcze spośród piór. Na północy górowały czarne wierzchołki wulkanów Maderas i Concepción.

W Las Cruzas Justos przejechał koło zgliszczy magazynu spalonego przez Contras podczas ataku na wioskę. Solo zauważył, że zaczęto tu jakieś prace przy odbudowie i że wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Resztki blaszanego dachu nie nadawały się już do niczego, a z drewnianych części budynku pozostały tylko zwęglone resztki. Justos zaparkował przed wioskowym warsztatem.

– Wprowadź samochód do środka – powiedział Solo.

– Do środka? – zdziwił się Justos. – Dlaczego? Tam i tak prawie nie ma miejsca.

Solo wskazał palcem w górę.

– Oni patrzą.

Justos spojrział w górę na dach samochodu. Eusebio i Inginio, którzy właśnie zeskoczyli na ziemię, spojrzeli w niebo.

– Nic nie widzę – powiedział Eusebio. – Nie ma żadnych samolotów.

Solo spojrział na Eusebia, a potem zwrócił się do Justosa:

– Oni widzą – powiedział. – Muszę włożyć kapelusz i ubranie. Ubiorę się w środku.

Justos wzruszył ramionami. Oczywiście robot zna się na tym, ale jest chyba zbyt ostrożny.

Jak oni mogą nas widzieć, skoro my ich nie widzimy? Justos pomyślał chwilę, a potem krzyknął do Inginia:

– Idź i powiedz matce, że znowu potrzebne jest nam ubranie dla Sola. Może ciotka Modesta będzie coś miała.

Inginio uśmiechnął się szczerząc zęby, a potem pobiegł w stronę domów. Justos uruchomił samochód, wjechał do środka i zaparkował za traktorem marki John Deere.

Solo wysiadł i podszedł do traktora.

– Dlaczego jest jeszcze zepsuty? Przecież przed odejściem zrobiłem części do generatora.

– To przez motor, Solo – powiedział Eusebio rozciągając na sobie za małą koszulkę trykotową z Myszka Miki. – Trzeba go przerobić.

– Tak? – zapytał Solo.

Eusebio kiwnął głową i wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie, jak to zrobić. Ja próbowałem – tu wskazał na części od motoru leżące koło traktora – ale zaszedłem tylko tak daleko.

Solo przyjrzał się rozmontowanemu motorowi. Widok przedstawiał się żałośnie. Powalane olejem tłoki, korbowody i główne łożyska leżały na zapiaszczonym jutowym worku na klepisku.

Solo przykucnął przy tej stercie części i przyjrzał się jej.

– Potrzebne są pierścienie tłokowe – powiedział. Eusebio wzruszył ramionami. Po ośmiu latach embarga, stosowanego przede wszystkim przez Stany Zjednoczone, pierścienie tłokowe były tu czymś rzadszym niż drut albo gwoździe.

– To tak jakbyś chciał dostać diamenty – powiedział Justos.

– Nie mogę ich zrobić – stwierdził Solo. – Potrzebne są do tego specjalne narzędzia. Justos pokiwał głową.

– No tak, oczywiście.

– Ale, Solo – powiedział ze zdziwieniem Eusebio – przecież ty umiesz zrobić wszystko.

Przerobiłeś przekładnię za pomocą pilnika.

Solo dostrzegł wyraz rozczarowania na twarzy Eusebia. Justos, stojący za chłopcem, wzruszył ramionami jakby chcąc powiedzieć: Co chcesz? To jeszcze dziecko.

– Części przekładni były tylko zużyte – odpowiedział Solo. – A pierścienie tłokowe robi się ze specjalnej stali i wymaga to ogromnej precyzji. Nie mogę ich zrobić pilnikiem.

Eusebio kiwnął głową i spuścił oczy.

Solo popatrzył na tego małego, brązowego *campesino*, czując, że nie może zachwiać jego wiary. Spojrzał w górę na blaszany dach i po chwili oświadczył:

– Zrobię, co będę mógł...

– Dziękuję, Solo! – roześmiał się Eusebio. – Od czasu kiedy Juan... od czasu kiedy go zabili, wszyscy tu chcą, żebym ja naprawiał różne rzeczy. Ale też mówią, że nie mam o tym wielkiego pojęcia.

– To prawda – wtrącił Solo.

– Wcale nie – krzyknął Eusebio, nagle rozzłoszczony. – Właśnie, że się znam. Ale wtedy, kiedy ty tu byłeś, nie tylko miałem pojęcie o naprawianiu, ale robiłem też takie wrażenie.

Spojrzał gniewnie na Sola.

– A potem sobie poszedłeś!

– Eusebio – odezwał się Justos, klepiąc go po ramieniu. – Solo uratował ci życie. Wszyscy zawdzięczamy mu życie – dodał bardzo spokojnie.

Solo patrzył na Eusebia, bardzo uważnie przyglądał się jego twarzy. Wyraz złości ustąpił

i Eusebio uśmiechnął się nieśmiałym, jak sądził Solo, uśmiechem, uśmiechem z domieszką zażenowania.

– Wiem – powiedział Eusebio. – Ty nas nie opuściłeś. Zostałeś zabrany. Przepraszam, Solo.

– A teraz wróciłem – odrzekł Solo. – Nauczę cię czegoś więcej o motorach.

Modesta, matka Eusebia, kobieta trzydziestosześcioletnia o twarzy pomarszczonej i nad wiek postarzałej, weszła do szopy. Niosła męskie ubranie.

– Solo! – powiedziała uśmiechając się szeroko.

– Modesta – ucieszył się Solo – jak miło cię widzieć. Wyciągnął rękę na powitanie.

Modesta objęła robota w pasie. Po chwili odsunęła się i spojrzała mu w twarz.

– Zabiłeś tego Jankesa-mordercę i uciekłeś. Jesteś *wielkim* bohaterem.

Solo zauważył łzy w jej oczach i doszedł do wniosku, że Modesta jest szczęśliwa, że go widzi. Agela, szesnastoletnia siostra Eusebia, wbiegła do szopy i zatrzymała się zapatrzona. Jej twarz była twarzą zachwyconego dziecka. Ta zdolność, jaką mieli ludzie, zdolność komunikowania bezsłownego, twarzą i ruchami ciała, była nad wyraz funkcjonalna, była czymś, co Solo chciał posiadać. Agela podbiegła do robota i uściskała go. Modesta rozplakała się. Solo klepał obie szlochające kobiety po plecach, dziwiąc się, że czuje się taki szczęśliwy.

Tydzień później Solo złamał kody i uzyskał dostęp do Westara 3 i Comsata, dwóch satelitów, za pośrednictwem których uzyskał wejście do Sieci Danych Obrony. Sieć nie zawierała tajnych informacji, ale dzięki dostępowi do niej Solo dowiedział się o istnieniu systemu satelitów szpiegowskich o nazwie Keyhole, systemu mającego połączenie z satelitami telekomunikacyjnymi Milstar. A to mogło być drogą prowadzącą do tajnych systemów komputerowych, które zawierały informacje, jakich potrzebował.

Łamanie zaszyfrowanych kodów zabrało mu dwa dni nieustającej pracy. Złamawszy je zarejestrował się w szczelnie zabezpieczonym, nieprzenikalnym systemie telekomunikacyjnym Pentagonu.

Odczytał komunikaty z klauzulą tajności mówiące o tym, że CIA i Departament Obrony doszły do wniosku, iż Solo – określany w sprawozdaniach jako samosterujący pocisk dalekiego zasięgu – uległ zniszczeniu po upadku do morza. Nie znaleziono żadnych jego szczątków –

stwierdzano w jednym ze sprawozdań – gdyż akumulatory „pocisku” eksplodowały w momencie, gdy dostała się do nich słona woda, a pozostałe po wybuchu resztki zostały zniesione przez silne prądy morskie. W sprawozdaniach oświadczano, że nie pozostało po nim nic, że poszukiwań zaniechano i że dochodzenie zamknięto.

Sprawozdania są nieprawdziwe – pomyślał Solo. Gdyby przeprowadzono odpowiedni test, wykazałby on, że pewne szczątki pozostały. Chcą uspić moją czujność. Ich prawdziwe plany muszą być inne. Upływały godziny, a Solo coraz głębiej wchodził w sieci komputerowe. Szukał.

Pewnego wieczoru Solo siedział w domu Modesty, obserwując jak na patelni stojącej na ogniu skwierczą owoce podobne do banana i równocześnie badając elektroniczne ścieżki dojścia do różnych tajemniczych miejsc. Zabawiając się z satelitą elektronicznej kontroli regionu, otrzymał obraz miejsca swoich narodzin, Electron Dynamics. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał

głos Williama Stewarta. Sygnał pochodził prawdopodobnie z ukrytego urządzenia podsłuchowego. Transmisja była przerywana, towarzyszyły jej szумы.

– ... palant Sawyer zamontował Nemrodowi generator bólu.

W głosie Billa brzmiał gniew.

– ... mała skrzynka... naciska przycisk i... ośrodki bólu Nemroda... wzmocnienie negatywne.

Nemrod? Imię nowego robota? Takiego jak ja? – zastanawiał się Solo.

– Każ mu to wymontować... nasz robot.

Solo rozpoznał głos współnika Billa, Byrona Randa.

– ... próbowałem – powiedział Billy. – Sawyer mówi... nie ma wyboru... szkolić Nemroda po swojemu... powołuje się na ustawę o dostawach.

– Na jaką ustawę?

– To stary przepis. Zezwala Departamentowi Obrony zmusić... produkowania wszystkiego, co ma zasadnicze znaczenie dla obronności... Nemrod należy do tej kategorii.

– ... mogą to zrobić?

– To już *jest zrobione*, Byron. Sawyer przejął... nie przeszkadzał mi, dopóki się nie sprzeciwiłem... to odkryłem... Nemrod już był doprowadzony do stanu zidiocenia... posłuszny, nie zadawał pytań... brak mu było ciekawości... wariat... bronią doskonałą... człowieka...

– ... zabił kogoś?

– ... pustki, Byron... robot tego nie wie. Wierzy we wszystko, co mu mówią... powiedział mu, że ten facet jest wrogiem. Bum! Nie ma wroga. Nie ma pytań.

Przerwali rozmowę. Solo przez chwilę nie słyszał niczego prócz lekkiego szumu częstotliwości nośnej urządzenia podsłuchowego i jakichś ostrych trzasków pochodzących z zakłóceń atmosferycznych. Potem Byron powiedział:

– Chodźmy... Chcę porozmawiać z prawnikami... za co biorą pieniądze.

Solo usłyszał, że zamykają się drzwi, a potem zapadła cisza. Skwierczenie oleju słonecznikowego na patelni stało się głośniejsze.

Później Solo odczytał protest wysłany przez Billa i Byrona do Pentagonu. Bill i Byron ostrzegali, że nowy robot, ze względu na swoją siłę i zdolności, jest o wiele bardziej niebezpieczny niż w podobny sposób indoktrynowany człowiek i sugerowali, że trzeba przerwać prace. Ale Pentagon nie zgodził się na to. Ustawa o dostawach dla Departamentu Obrony obowiązywała. Nemrod miał wkrótce być gotowy do ćwiczeń w terenie.

Solo doszedł do wniosku, że Nemrodowi potrzebna jest pomoc. Pomoc ze strony kogoś takiego jak on sam.

Padre Cerna przybył do wioski dziesięć dni później. Był koniec marca. W tej części Nikaragui panowała pora sucha. Cerna źle znosił upały. Kiedy zaparkował obok warsztatu należącą do misji terenową toyotę, poczuł ból w zabandażowanym ramieniu. Stał przez chwilę koło samochodu, wpatrując się w ziemię, a potem zerwał koloratkę ze spoczonej szyi. Czarna koszula opinała jego zażywe ciało nawet teraz, po dwóch tygodniach rekonwalescencji. Cernę ogarnął gniew na wspomnienie wiszącego nad wioską helikoptera. Prawie czuł podmuch od jego śmigła i widział

twarz Warrena, który bez litości, jednym strzałem, zabił starego Alonza. Potem Warren dwa razy postrzelił jego. Padre poczuł, że ramię go pali. Przeżegnał się. Mogło być gorzej – pomyślał i wzruszył ramionami.

Cerna poszedł ścieżką do wioski. Do zachodu słońca pozostała jeszcze godzina. Ludzie wrócili już z pól. Psy szczekały i uganiały się za chichoczącymi dziećmi trzymającymi w rękach patyki. Kury rzucały się do ucieczki z trzepotem skrzydeł, kiedy psy zbyt blisko zbliżały się do nich.

Matki upominały dzieci, żeby były grzeczne. Mężczyźni siedzieli już przed sklepem Escopety, pijąc piwo i grając w domino. Zwyczajne życie. Jakby nic się nie stało. Jakby nigdy nie było tu Sola – pomyślał Cerna. Jakby wioska nigdy nie przeżyła ataku Contras. Czy oni uważają, że dzięki wyborom Contras przestaną napadać?

Cerna podszedł do mężczyzn siedzących u Escopety, odpowiadając na pozdrowienia kiwnięciami głowy. Justos zerwał się od stolika i schwycił go w ramiona.

– Padre! – powiedział. – Już ojciec wyzdrowiał? Po dwóch tygodniach?

– Tak. Dziękuję – odrzekł Cerna.

– Proszę siadać z nami – Justos wskazał stolik – i napić się victorii.

Cerna kiwnął głową. Usiedli. Justos polecił Ingniowi, żeby przyniósł księdzu piwo.

– Widzę, że życie toczy się normalnie – odezwał się Cerna. – Wilki odeszły i nie wrócą?

Justos zauważył nutę dezaprobaty w jego głosie.

– Nie wrócą, padre. Ale na wszelki wypadek... Justos wskazał wysokie wzgórze za wioską, a potem szerokim gestem pokazał dolinę rzeki.

– Pamięta ojciec te stanowiska dla karabinów maszynowych i moździerzy, które Solo kazał przygotować na wzgórzu? I te okopy w dolinie?

Cerna kiwnął głową.

– No więc, proszę ojca, my ciągle obsadzamy te stanowiska ludźmi. Mamy radia i słuchamy, czy nie idą. Możemy też za ich pośrednictwem wzywać pomocy. Jeżeli te gnoje tu wrócą... no to my już im damy...

Justos uśmiechnął się.

– Naprawdę? – spytał Cerna. – A ja myślałem... tu jest tak spokojnie, iż wydawało mi się, że w parę tygodni po ataku zupełnie o nim zapomnieliście.

– Jesteśmy spokojni dlatego, że poczyniliśmy przygotowania – odpowiedział Justos. –

A drugi powód to ten, że odwiedził nas stary przyjaciel.

– Tak? – spytał Cerna. – Kto to taki?

Justos uśmiechnął się i wskazał dom Modesty. Cerna spojrział w tamtą stronę i zobaczył

potężnego człowieka w szerokoskrzydłym kapeluszu przechodzącego przez placyk. Jakiś pies zaszczekał na jego widok, jakby był intruzem, ale dzieci tłoczyły się wokół niego jak wokół

ukochanego wujka, który ma kieszenie wypchane słodyczami. Cerna otworzył usta.

– *Dios!* – krzyknął i skoczył na równe nogi. Justos z szerokim uśmiechem patrzył, jak zażywny ksiądz obejmuje Sola jedną ręką. Cerna i Solo podeszli do stolika i usiedli. Cerna, który zdążył już zasypać Sola pytaniami, pytał dalej:

– Jak im uciekłeś? Co robiłeś przez ten czas?

– Zwiodłem ich – odrzekł Solo. – Musiałem ich przekonać, że zostałem zniszczony, i zyskać w ten sposób czas na zdobycie informacji o ich możliwościach. Moja ucieczka jest chwilowa.

Solo opowiedział księdzu, jak zabił Warrena. Mimo wyrzutów sumienia, Cerna ucieszył się, że Warren zginął okropną śmiercią. Kiedy maszyna samodzielnie decyduje się zabić człowieka, to jest w tym palec Boży.

Justos patrzył na Cernę kiwającego głową z aprobatą, ale myślał o czymś innym.

– Chwilowa? – zapytał. – Zwiodłeś ich?

– Tak. Chciałem mieć czas na to, żeby tu wrócić i zrealizować swój plan.

– Myślałem, że wróciłeś na stałe.

– Oni muszą zrozumieć, że jestem niezależną istotą. Dopóki to nie nastąpi, jestem własnością rządu Stanów Zjednoczonych. A kiedy czyjaś własność się zepsuje i nie można jej naprawić...

– to zostaje zniszczona – dokończył Cerna.

– Właśnie. To jedyne logiczne rozwiązanie – powiedział Solo.

– Więc oni tu wrócą? – spytał Cerna.

– Tak, jeżeli ja tu zostanę – potwierdził Solo.

Justos kiwnął głową. Wyglądał na bardzo zmartwionego.

– To znaczy, że znowu zostaniemy zaatakowani?

– Nie. Ja niedługo odejdę. A Contrás od czasu wyborów są trzymeni w rezerwie. To, a także fakt, że

jesteście tak dobrze zabezpieczeni, oznacza, że nie będą was niepokoić. Ale dla żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych wasze zabezpieczenia są bez znaczenia.

Cerna i Justos spojrzeli na siebie.

– Mówiłeś kiedyś, że mógłbyś nas zabezpieczyć nawet przed nimi.

– Nie mam na to czasu. Oni będą tu bardzo szybko. Nie zdobyłem jeszcze wszystkich potrzebnych informacji. Moje akumulatory tracą zdolność ponownego ładowania. Roztropność nakazuje mi odejść i zdobyć nowe. A potem ucieknę na zawsze.

– Ale dokąd pójdziesz, Solo? Przecież wszędzie będziesz zwracał na siebie uwagę -

powiedział Cerna.

– Do Nowego Jorku.

– Chcesz wrócić do Ameryki?

Cerna czekał na jakiś znak świadczący o tym, że robot żartuje. Człowiek nigdy nie wie, co dzieje się w tej głowie z twarzą bez rysów. Jak Solo może mieć nadzieję na to, że ludzie będą go brali za człowieka, skoro nawet nie ma twarzy?

– Solo, mówiłeś, że twoje akumulatory się zużyły. Czy czujesz się dobrze? Skąd ten pomysł, że tam będziesz mógł chodzić po ulicach?

– Telewizja – powiedział Solo spokojnie. – Oglądałem filmy i wiadomości. Wiele z nich było w Nowym Jorku. Dowiedziałem się, że mieszka tam wielu ekscentryków, zwłaszcza w Greenwich Village. Ludzie w Nowym Jorku są przyzwyczajeni do dziwaków. Będą myśleli, że jestem jednym z nich, ubranym w zbroję. Eusebio i Inginio pomyśleli dokładnie to samo, kiedy mnie znaleźli pod starym domem.

Cerna spojrzał na Sola i poruszył gwałtownie głową jak ktoś, kto źle usłyszał.

– Solo, to się nie uda. Kiedy chłopcy cię znaleźli, byłeś bezradny. Nie ruszałeś się, nie mówiłeś. Nie wyglądasz jak człowiek w zbroi. Wyglądasz jak robot w ubraniu.

Cerna patrzył na robota, czekając na odpowiedź, ale Solo milczał.

– Posłuchaj, Solo – powiedział Justos. – Padre ma na myśli, że twoje ruchy są nie takie jak powinny być. Człowiek ubrany w coś takiego...

Justos wyciągnął rękę i postukał Sola w ramię.

– Jeżeli człowiek musiałby nosić coś takiego, byłoby widać, że chodzi z wysiłkiem.

Napinałby się pod ciężarem. Byłby niezdarzy. Chodziłby śmiesznie. Byłoby mu trudno chwytać.

Musiałby prawdopodobnie często siadać dla zaczerpnięcia tchu. Nie mógłby ruszać się tak jak ty.

– On ma rację, Solo – powiedział Cerna. – Ruszasz się tak harmonijnie jak sportowiec.

Comprendes?

– Tak.

Solo popatrzył przez chwilę na księdza i powiedział:

– Dziękuję.

Podniósł rękę, jakby chciał uścisnąć dłoń Cerny. Gest był niezdarny. Strącił ze stołu piwo księdza.

Cerna roześmiał się i uderzył dłonią w kolano.

– Bardzo szybko się uczysz, przyjacielu. Solo pochylił się w przód, spróbował wstać, opadł z powrotem na krzesło, a potem wstał chwiejąc się z lekka.

– Muszę poćwiczyć – powiedział zataczając się. Poszedł przez placyk. Dzieci piszczały z zachwytem, widząc, że się zatacza i potyka.

– *Solo esta borracho*. Solo jest pijany – krzyczały. Psy, które uznały, że jest groźny, ujadają dziko.

Po obiedzie przyjaciele Sola zebrali się przy stole przed sklepem Escopety. Mieli nauczyć robota, jak ma się zachowywać, chcąc uchodzić za człowieka.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął Justos. – Zachowuj się: tak, jakbyś przekręcał sobie hełm. No wiesz, od czasu do czasu weź w ręce głowę i przekręcaj ją tak, jakby była za ciasna albo jakby się przekrzywiła.

Solo zrobił tak, jak radził mu Justos. Wszyscy pokiwali głowami z aprobatą.

– Wyglądało to prawdziwie – stwierdził Eusebio. – I od czasu do czasu powinieneś się podrapać, jak to robią ludzie, którzy przez kilka tygodni chodzą w gipsie. To podobno strasznie swędzi...

– Oczywiście – odezwał się któryś z chłopców. – Kiedy miałem złamaną rękę, wsuwałem sobie patyki pod gips, żeby się podrapać. To swędzi tak, że można zwariować.

Solo energicznie podrapał się po przedramieniu.

– Świetnie – pochwalił go Inginio. – Podrap się też w kroku.

Inginio roześmiał się.

– Musisz, inaczej nie będziesz mężczyzną. Mężczyźni ciągle się tam drapią, zwłaszcza ci mężczyźni, którzy noszą zbroje, no nie?

Agela i Modesta przykryły sobie dłońmi usta, chcąc ukryć śmiech. Solo sięgnął ręką i udał, że się drapie w to miejsce, gdzie nogi łączyły mu się z korpusem. *Campesinos* ryknęli śmiechem.

Kiedy się uspokoili, odezwała się Agela:

– I jeszcze twój głos, Solo. On nie brzmi tak, jakby dochodził z wnętrza hełmu.

Solo kiwnął głową i powiedział głosem przytłumionym:

– Cześć, jestem facetem w zbroi. No jak? – spytał.

– Świetnie! – roześmiała się Agela. – Aż mnie dreszcz przeszedł. Teraz to brzmi, jakby naprawdę dobiegało z wnętrza hełmu.

Zebrani nie mieli więcej rad. Nastąpiła chwila ciszy. A potem *campesinos* zaczęli rozmawiać o zbliżającym się zbiorze ryżu, o tym, że jeden z wołów złamał nogę, o niedawnym skandalu wywołanym przez nieobliczalną żonę Paca, która przeniosła się do niedalekiego miasta El Tigre niby po to, żeby opiekować się ciotką, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że żyje tam z jakimś mężczyzną.

Solo z wielkim zainteresowaniem obserwował różne specyficzne nawyki wieśniaków.

Zauważył, że niektórzy z nich, słuchając innych, oblizywali wargi. Było to coś, w czym nie mógłby z nimi współzawodniczyć. A znowu Eusebio, kiedy coś go rozbawiło, drapał się w kark

– to mogło się Solowi przydać. Mógł też naśladować nieśmiałego Inginia, który spuszczał

wzrok, kiedy ktoś mu spojrzał w oczy. Agela, Modesta, Dania i inne kobiety, siedząc z nogą założoną na nogę, kiwały tą, która była w powietrzu. Solo pomyślał, że zabawne byłoby, gdyby naśladował ten nawyk. Bo ludzie biorą go za mężczyznę. Postanowił w tej sprawie poradzić się ojca Cerny. Justos, słuchając innych, ciągle kiwał głową. Padre Cerna, śmiejąc się, albo klaskał

w dłonie albo uderzał się dłonią po nodze. Było to jak zaznaczony gestem wykrzyknik, podkreślało uczucia – mieszanię oczekiwania, zdziwienia i radości.

Zebrani zaczęli ziewać, mimo że była dopiero dziewiąta. Wkrótce ci, co pracowali w polu, zaczęli się rozchodzić do domów. Szli spać. Solo, który zamieszkał w domu Modesty, przez całą noc buszował po sieciach komputerowych.

Porucznik Silva z Armii Nikaraguańskiej przejeżdżał w pobliżu Las Cruzas dwie godziny przed świtem. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył. Dwa kilometry za wsią wjechał na małą polankę przy drodze i wyłączył silnik swego jeepa. Zamierzał znaleźć się na wzniesieniu na wschód od Las Cruzas o świcie, tak żeby patrząc na wieś, mieć światło z tyłu.

Doszedłszy do wniosku, że ma dużo czasu, Silva zapalił papierosa i zaczął słuchać, jak fale obijają się o brzeg jeziora. Przypomniawszy sobie, czego dowiedział się podczas odprawy.

Powiedzieli, że Warren nie żyje? Dziwne, jak mało człowiek może się przejąć czyjąś śmiercią,

nawet śmiercią takiego faceta jak Warren. Silva, mimo że zatrudniony w CIA, miał mało szacunku dla takich facetów. Kiedy się poznali, Warren zachowywał się jak gruboskórny skurwiel i Silva bardzo mało mu pomógł. Pomagał w czym? Nie miał pojęcia, co Warren robił.

Czego on chciał w Las Cruzas? Kiedy go zapytał, Warren odpowiedział, że to nie jego interes.

A teraz przełożeni Warrena byli najwyraźniej zdania, że to *jest* jego interes. Naprawdę śmieszne są te dupki – pomyślał Silva. Są śmieszni, ale wygrywają. A człowiek sprytny jest po stronie wygrywających. Silva pokiwał głową i zapalił następnego papierosa.

Kiedy zobaczył pierwsze światło świtu, wyrzucił czwartego papierosa na nieasfaltowaną drogę. Sięgnął na siedzenie pasażera i wziął stamtąd lornetkę i czarny futerał. Stojąc na drodze, przeciągnął się, ziewnął, a potem przewiesił lornetkę i futerał przez ramię i poszedł na skraj polany, gdzie znalazł ścieżkę, o której wiedział, że zaprowadzi go na wzniesienie górujące nad wioską.

Sklepikarz Escopeta posłał jednego z chłopców do Modesty z poleceniem, żeby przyprowadził Sola. Robot szedł przez placyk. Zauważył, że kiedy się zbliża, kury nie uciekają, ale psy ciągle jeszcze szczekają i warczą. Domyślił się, że psy bardziej kierują się węchem niż wzrokiem, a więc musi wprowadzać w ich świadomość zamęt i poczucie zagrożenia, bo wygląda jak człowiek, a pachnie jak maszyna.

Zobaczył piękną czerwono-zieloną papugę przelatującą z palmy na palmę. Poranne słońce utworzyło wokół jej ciała żarzącą się i migoczącą złotą obwódkę. Ptak oddalił się już, a Solo wciąż jeszcze widział w powietrzu tor jego lotu. Tor pozostaje, chociaż ptaka nie ma. Idąc między pustymi stolikami i krzesłami stojącymi przed sklepem, Solo zobaczył na wschodzie błysk światła.

Światło odbite od metalu – pomyślał. Nie zatrzymał się, tylko szedł dalej wśród kiwających się stolików i krzeseł. Przypomnił sobie to, co widział przed chwilą: była to smuga światła widoczna przez niecałą sekundę wśród drzew na wzniesieniu po wschodniej stronie. Wchodząc po schodkach do sklepu Escopety, odtworzył ten obraz klatka po klatce. Spośród pięćdziesięciu zarejestrowanych klatek dwie nie były zamazane. Nastawił ostrość i powiększył obraz.

Escopeta stał z papierosem przyklepionym do warg, wyciągając w jego stronę rękę, w której trzymał radio tranzystorowe.

– Dlaczego to cholerstwo nie działa? – zapytał. Powiększony obraz nie był tak ostry jak oryginalny, więc Solo, tak jak go uczono, poddał go obróbce udoskalającej. Następne stadium powiększenia pokazało jakiś kształt między drzewami. Była to postać ludzka. Solo szybko obejrzał radio, które pokazywał mu Escopeta.

– Ma spalony kondensator – powiedział, udoskalając jeszcze obraz.

– Czy możesz je naprawić? – spytał Escopeta. Końcowy przetworzony obraz ujawnił, że błysk, który widział Solo, był rezultatem odbicia światła od gładkiej metalowej obudowy lornetki trzymanej przez człowieka. Ten człowiek był żołnierzem. Z góry, za pośrednictwem przelatującego satelity typu Keyhole, Solo zobaczył jeepa zaparkowanego przy drodze. Widział

też podczerwony obraz postaci żołnierza skrytego wśród liści. Żołnierz był sam.

– Później to naprawię – powiedział. – Teraz chcę, żebyś poszedł do stacji obsługi i kazał tu przyjść Eusebiowi.

Mimo że zdziwiła go ta prośba – bo przecież robot mógł tam pójść sam, prawda? – Escopeta natychmiast kiwnął głową na znak, że wykona polecenie. Nauczył się już, że robota trzeba zawsze traktować poważnie. Widział, jak w czasie ataku Contrás zabił on trzydziestu ludzi.

Widział, jak kopniakiem rozwałił ludziom głowy. Escopeta poszedł więc po Eusebia.

– Obserwuje nas jakiś żołnierz. Z dżungli – powiedział Solo, kiedy Eusebio wbiegł do sklepu.

– Naprawdę? Więc wojna się nie skończyła? Czy powinniśmy coś zrobić?

– Tak. Po pierwsze chcę, żebyś wziął samochód. Załaduj coś do niego, musi wyglądać tak, jakbyś coś nim przewoził.

Eusebio zmarszczył czoło. Dziwiło go to, że w celu złapania szpiega ma posłużyć się ciężarówką.

– Jest załadowany krowim łajnem.

– Dobrze – powiedział Solo. – Podjedź wzdłuż muru w pobliżu ogrodu i wyładuj trochę tego łajna. Ja się do ciebie przyłączę.

Silva – czekając na wyjście wysokiego człowieka ze sklepu – zauważył chłopca wyładowującego nawóz przy bambusowym płocie ogrodu. Czekał na wysokiego człowieka, bo powiedziano mu: *On jest wysoki. Wyższy niż którykolwiek z campesinos. Jest czarny, nosi błyszczące okulary słoneczne. Jeżeli go zobaczysz, zawiadomisz nas o tym.* Silva nie miał

pewności. Ten człowiek był wysoki, ale on widział go tylko przez kilka sekund.

Zobaczył, że chłopiec położył szpadel z tyłu samochodu, a sam wsiadł do szoferki. Potem ciężarówka wyjechała z wioski i skręciła na drogę biegnącą brzegiem jeziora. Chłopak zobaczy jeepa – pomyślał Silva – ale jakie to ma znaczenie? Przecież wiadomo, że jesteśmy w tej okolicy i pilnujemy Contrás, żeby grali zgodnie z regułami. W minutę później Silva zauważył, że ciężarówka przejeżdża obok jeepa. Odwrócił się i obserwował wioskę. Najwyraźniej ten wysoki człowiek nie wyszedł jeszcze ze sklepu.

Dżungla wrzała życiem, co powodowało, że Silva czuł się podenerwowany. Cykady śpiewały swoją pieśń, która chwilami cichła prawie zupełnie, a chwilami rozbrzmiewała bardzo głośno. Moskity brzęczały mu wokół twarzy. Po pięciu minutach Silva miał ochotę połączyć się z dowództwem i zameldować, że widział tego człowieka, a potem wynieść się z tej cholernej dżungli. No wyłaż, sukinsynu – pomyślał. Co ty tam tak długo robisz?

Nagle poczuł, że coś go łapie za ramię i ściska. Zamarł w bezruchu.

– Co robisz, człowieku? – usłyszał czyjś głos.

Człowieku? Silva odwrócił się gwałtownie i zobaczył Sola. To jego miałem znaleźć?

Świetnie. Znalazłem go. Ten skurwiel jest rzeczywiście bardzo duży. Więszego faceta w życiu nie widziałem. A chwyt to on ma jak jakieś cholerne imadło. Silvie serce podeszło do gardła.

Oczywiste było, że to nie jest zwykły człowiek. To jest człowiek w jakiejś zbroi. A może to wcale nie człowiek? Silva zdał sobie sprawę, że jego firma jest za tego stwora odpowiedzialna.

A to coś to było to, co próbował znaleźć Warren. I zginął. A teraz wysłali po to ciebie, ty naiwny dupku – pomyślał Silva.

– Jestem człowiekiem – powiedział, udając odważnego. – Obserwowanie tych, których chronię, należy do moich obowiązków.

– Tak?

Solo przykucnął pod drzewem hymenium, pociągając za sobą Silwę. Wyciągnął rękę i schwycił czarny aluminiowy futerał, który Silva miał przewieszony przez ramię. Rozpoznał, że był to amerykański aparat radiowy typu KL-43 do przekazywania zaszyfrowanych wiadomości.

Otworzył klapę i zobaczył, na jaką częstotliwość jest nastawiony.

– To wcale nie jest radio Sandinistów – powiedział. – A poza tym jest nastawione na częstotliwość, którą posługuje się tylko CIA. Jaki jest twój kryptonim?

– To radio zdobywcze. Zdobyliśmy je na Contras. Puść mnie, bo cię aresztuję.

– Nie zdaje mi się, poruczniku. Contras nie znają tej częstotliwości. Jest ona codziennie zmieniana. I tylko agenci znają szyfr.

Solo wykręcił Silvie ramię, zmuszając go, żeby się odwrócił w stronę wsi.

– Czy wiesz, człowieku, co oni zrobią, kiedy ich poinformujesz, że jestem w Las Cruzas?

Solo wskazał wioskę.

– Zniszczą to. Zniszczą jedną z waszych wsi. Zabiją tu wszystkich ludzi. I wszystkie zwierzęta.

Silva czuł coraz większy ucisk, czuł się jak ktoś, kto wsadził rękę w maszynę. W ramieniu i dłoni nie miał już czucia. Wiedział, że zaraz pęknie mu kość.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odezwał się skrzywiony. – Złamiesz mi rękę.

– Powiedz mi, co tu robisz.

Warren prawdopodobnie robił to samo co ja teraz – pomyślał Silva – próbował wygrać z tą maszyną. Ale Warren miał ją większe od mózgu.

– Dobrze – odezwał się.

Solo puścił go.

Silva roztarł sobie ramię i spojrzał na niego gniewnie.

– Kazali mi cię znaleźć. Miałem ich poinformować, że tutaj jesteś, oczywiście, gdybym cię znalazł. Nie powiedzieli mi prawdy o tobie.

– To jasne – odezwał się Solo.

Silva wzruszył ramionami. Zna ich tak samo dobrze jak ja – pomyślał.

– Powiedzieli ci, że jestem kim? – spytał Solo.

– Po prostu człowiekiem wysokiego wzrostu, potężnej postury i w okularach. To wszystko.

I że jesteś wyższy niż którykolwiek z *campesinos*.

Solo kontrolował oddech Silvy, a także jego puls i migocącą aurę. Silva mówił prawdę.

Zabicie go nic by nie dało. A żywy mógł przekazać wiadomość. Czas iść – pomyślał Solo.

– Nie jestem człowiekiem – powiedział, pochylając się w stronę Silvy. – A to nie są okulary, widzisz?

Silva spojrzał. Za połyskującymi srebrem osłonami zobaczył obiektywy. Czuł się tak, jakby patrzył w kamerę. Przełknął ślinę.

– A kim jesteś? – zapytał.

– Jestem Solo, człowieku. Jestem bronią zaprojektowaną po to, żeby zabijała, a ty mi się wcale nie podobasz – dodał, z przyjemnością patrząc na wyraz twarzy Silvy.

Silva wpatrywał się w niego, zmieszany.

– Jesteś *bronią*?

– Tak. A ty jeszcze żyjesz tylko dlatego, że możesz mi się przydać.

– A co – powiedział Silva, kiwając skwapliwie głową – co chcesz, żebym zrobił?

– Powiesz im, że opuściłem wioskę. Kiedy im opowiesz o naszej rozmowie i o tym, co widziałeś, uwierzą ci. Powiedz im też, że się zobaczymy. Już wkrótce.

– I to wszystko?

– Tak.

Solo wziął szpiegowskie radio i zmiażdżył je w dłoniach. Silva wzdrygnął się.

– Poczekaj. Oni za parę minut się odezwą. Sprawdzają mnie co godzinę.

– Dobrze. Odpowiesz im.

– Ale ty przed chwilą zepsułeś radio.

– To nie ma znaczenia. I tak im odpowiesz. Już ja tego dopilnuję.

Solo rozerwał ramę radioodbiornika. Wyjął cewkę cylindryczną i zaczął odwijać miedziany drut. Drut był dobry, ale bardzo długi. Solo złożył go kilka razy. Trzymał teraz w rękach solidny kawałek długości dwóch stóp.

– Chodź – powiedział do Silvy.

Posadził go naprzeciw młodego drzewka i drutem związał mu ręce z tyłu.

– Powiem we wsi, gdzie jesteś – powiedział. – Kiedy odejdę, ktoś cię uratuje.

Wstał. Górował teraz nad Silvą.

– Nie zapomnij przekazać tego, co ci powiedziałem. Silva kiwnął ponuro głową, a potem popatrzył, jak Solo znika wśród cieni dżungli. Nie słyszał go wcale. Nie usłyszał nawet trzasku łamanej gałązki. W chwilę później powróciły zwykłe odgłosy dżungli, a po nogawkach Silvy zaczęły łązić owady.

Solo niósł mały płócienny plecak. Rura energetyczna, którą miał przy sobie, umożliwiła mu przejście z Las Cruzas do Puerto Limón w Kostaryce. Posłużywany się kilkoma należącymi do rządu satelitami i systemami komputerowymi oraz informacjami w nich zawartymi. Solo doszedł

do wniosku, że znalazłszy się w tym mieście znajdzie sposób na to, żeby niepostrzeżenie przedostać się do Stanów Zjednoczonych.

Rozpalając od czasu do czasu małe ogniska, był w stanie zapobiec rozładowaniu się akumulatorów. Zauważył, że po każdym kolejnym ładowaniu pokonuje mniejszy niż poprzednio odcinek drogi – akumulatory były coraz bardziej zużyte. Za każdym razem po rozpaleniu ogniska w dżungli obserwował płomienie tańczące wokół rury energetycznej i pochłaniał ze smakiem ciepły strumień energii. Czuł przy tym spokój. Myślał, że mógłby tu zostać na zawsze.

Kiedy ogień zgasł, a on siedział nieruchomo, mieszkańcy dżungli brali go za kamień albo pniak.

Często siedział nieruchomo przez parę godzin, po prostu obserwując otoczenie. Pewnego razu pekari wsunęło nos pod jego nogę, chcąc wydobyć spod niej jakiś strąk. Innym razem Solo był

uszcześliwiony, kiedy oznaczający swoje terytorium jaguar oddał na niego mocz.

W odległości pięćdziesięciu mil od brzegu, w środku gęstej alajuelskiej dżungli Solo zauważył, że obserwują go istoty nie będące ani jaguarami, ani pekari, ani leniwcami. Od czasu do czasu, posługując się zdolnością widzenia w podczerwieni, dostrzegał ludzi chowających się wśród liści. Pewnego razu odkrył, że przez cały dzień biegną za nim po cichu jacyś ludzie.

Następnego ranka, przez lukę pozostawioną przez powalone drzewo, zauważył, że jest otoczony przez ludzi chowających się w zaroślach, przez ludzi przyczajonych w zasadzce. Usiadł na jakimś pniu i rozpałił ognisko, obserwując, jak ludzie ci zbierają się po jednej stronie prześwitu.

Rura energetyczna, szumiąc, pompowała w niego elektryczność, a on obserwował tych ludzi, obserwował niebieskie kształty wśród szkarłatnych liści, które się do niego zbliżały. Żaden nie wyszedł jeszcze z ukrycia.

Solo podniósł rękę i pomachał nią w kierunku tego, który był najbliżej, mówiąc po hiszpańsku:

– Chodź. Nie zrobię ci nic złego.

Usłyszał, że jeden z mniejszych kształtów wciągnął gwałtownie powietrze – zdziwiony, że on, Solo, ich widzi.

W prześwicie pojawił się mężczyzna. Trzymał dmuchawkę wycelowaną w Sola. Był mały, mniejszy niż ludzie w Las Cruzas. Na mahoniowej twarzy, pod oczami, miał namalowane białe-żółte półksiężycy. Jego jedwabiste czarne włosy zlepione były czerwoną gliną, ciało miał

żylaste, jego biodra owinięte zostały przepaską. To Indianin – pomyślał Solo.

Indianin zmarszczył brwi i powiedział:

– *Me ta! Ha na soi!*

Solo nie zrozumiał z tego ani słowa. Odpowiedział po hiszpańsku:

– *Buenos tardes, amigos.*

Kiedy przemówił, Indianin drgnął, przyłożył dmuchawkę do ust i dmuchnął. Solo obserwował z zainteresowaniem, jak mała bambusowa strzałka, na której jednym końcu wisały postrzępione kawałki jakiejś rośliny, a drugi, zaostzony, pomalowany był czymś czarnym, leci w jego kierunku. Zatruta – pomyślał. Jakimś alkaloidem, prawdopodobnie kurarą. Strzałka uderzyła o jego pierś i odskoczyła. Solo podniósł ją i dokładnie obejrzał.

Indianin zaskowyczał, a jego towarzysze pojawili się w prześwicie. Solo zobaczył, że jest tam dziesięciu mężczyzn, a właściwie sześciu i czterech chłopców, i że wszyscy trzymają wycelowane w niego dmuchawki. Oczywiście, boją się – pomyślał. Ich dotychczasowe doświadczenie nie przygotowało ich na spotkanie z osobą taką jak ja. Pomachał znowu ręką, powoli, mając nadzieję, że ten gest ich uspokoi. W jego kierunku poleciały strzałki. Poruszają się o wiele wolniej niż kule – pomyślał Solo, patrząc jak strzałki zmierzają ku niemu. Zaczął je łapać w locie obiema rękami. Przełożył je do jednej dłoni i podniósł w górę tak, żeby Indianie je widzieli, a potem, potrząsając głową, wrzucił do ogniska.

Indianie wydali okrzyk zdziwienia, rzucili na ziemię dmuchawki i padli na kolana.

Solo znowu machnął ręką, ale Indianie nie podeszli bliżej.

Pożałowania godne – pomyślał Solo. Są pod zbyt wielkim wrażeniem.

Wskazał na siebie i powiedział:

– Solo.

Potem wskazał na Indian i wzruszył ramionami. Indianie popatrzyli po sobie. Jeden z chłopców wskazał na siebie i powiedział:

– Nimhja.

Potem wskazał na Sola i powiedział:

– Solo?

Solo kiwnął głową, wskazał na siebie i powiedział:

– Solo.

Potem wskazał na chłopca i powiedział:

– Nimhja.

Indianie roześmiali się.

Solo skinął na nich, żeby podeszli bliżej. Ale oni stali i szczyrzyli zęby w uśmiechu, kręcąc głowami. Nie, bliżej nie podejda.

Solo kiwnął głową. Podniósł mały kamień, wskazał go i wypowiedział jego hiszpańską nazwę. Indianie podali jego nazwę w swoim własnym języku. Solo podniósł liść i poczekał, aż podadzą mu jego nazwę. Nie chciał ich uczyć hiszpańskiego, chciał natomiast nauczyć się ich języka. Godzinę później Indianie siedzieli naokoło niego, ucząc go – za pomocą gestów i pantomimy – słów swojego języka, które on powtarzał bezbłędnie i których oczywiście nie mógł zapomnieć. Po dwóch godzinach natomiast Solo mówił ich językiem, językiem zwanym Alajue, mówił nim tak dobrze, że mógł zapytać:

– Dlaczego do mnie strzelaliście?

– Dlatego – powiedział Nimhja – że wyglądasz jak demon! Jak demon Yacayo – dodał ze śmiechem. Inni też się roześmieli.

– Yacayo? – spytał Solo. – Słyszałem o nim. Ludzie mieszkający na północ od tego miejsca nazywają go duchem i mówią, że zjada on ludzi. Czy to ten sam?

Indianie pokiwali głowami z powagą.

Chcieli wiedzieć, do czego służy rura energetyczna. I dlaczego huczy. Czy jest żywa?

Próbując odpowiedzieć na ich pytania, Solo przekonał się, że w języku Alajue nie da się wyjaśnić, że produkuje ona prąd elektryczny, którym on. Solo, jest zasilany. Powiedział więc:

– Ta rura produkuje jedzenie dla mnie.

Indianie pokiwali głowami, uśmiechając się. Oczywiście, taki dziwny cudzoziemiec musi jeść bardzo dziwne rzeczy. A na dodatek to jego pożywienie to nie jest prawdziwy pokarm, bo cudzoziemiec nie zna się na prawdziwym jedzeniu, które znajduje się wokół niego. Indianie zabrali się do zbierania liści, owoców, korzeni i kilku rodzajów owadów, a potem przynieśli to wszystko Solowi, podali mu nazwy, pokazali jak się te *rzeczy* je i poinformowali go, że wiedząc to wszystko nie musiałby jeść jedzenia zrobionego przez rurę. Bo przecież to jedzenie nie może być zdrowe.

Solo nie chciał przyjąć ich pokarmu, zwracając im uwagę, że nie ma ust.

– Nie masz ust? – spytał Nimhja. – Ależ na pewno je masz pod tym czymś, co masz na sobie.

– Ja nie mam na sobie niczego – odrzekł Solo. – To jest moja skóra. Jestem nagi.

Indianie milczeli, wytrzeszczając na niego oczy. Solo obserwował ich twarze. Hucząca rura, która produkuje pożywienie, była dla nich dziwactwem do zaakceptowania, bo przecież cudzoziemcy robią różne rzeczy inaczej. Jednakże nie byli w stanie zrozumieć, że powłoka pokrywająca ciało Sola jest jego skórą. Im dłużej się nad tym zastanawiali, tym bardziej byli zdenerwowani. Na ich twarze powracał strach.

– Przybywam z daleka – powiedział pospiesznie Solo, wskazując północ. – W moim kraju wszyscy ludzie wyglądają tak jak ja. To u nas naturalne.

Nimhja kiwnął głową. Indianie utworzyli koło i zaczęli się hałaśliwie naradzać – tak jakby Sola z nimi nie było. Solo przysłuchiwał się im, jak omawiali różnice istniejące między nimi samymi a innymi plemionami, z którymi się spotkali albo o których słyszeli. No i był jeszcze ten biały, którego zabili. Nimhja stwierdził, że ten biały był bardzo dziwny. Nastąpił consensus: dżungla pełna jest dziwnych ludzi, których jeszcze nie znają.

– I wszyscy ludzie z twojego kraju potrafią łapać strzałki, tak jak ty? – spytał Sola Nimhja.

– Tak – powiedział Solo.

– I są przyjaźnie nastawieni, tak jak ty? – spytał znowu Nimhja z wyrazem troski na twarzy.

– Jesteśmy wszyscy przyjaźnie nastawieni – stwierdził Solo.

– Aha – powiedział Nimhja, a Indianie pokiwali głowami, uśmiechając się.

Zracjonalizowawszy to, co niemożliwe – pomyślał Solo – istoty ludzkie są zdolne zaakceptować wszystko.

Resztę dnia Solo spędził opowiadając Indianom o duchach, które egzystują wraz z nimi na świecie, o ich historii i o tym, jak żyją.

Indianie chcieli się dowiedzieć, jak to możliwe, że Solo jest zdolny chwycić strzałki w locie.

Zachęcony tym zainteresowaniem, Solo pokazał im inną sztuczkę. Wyrzucił w górę duży kij.

Kiedy kij był w powietrzu, chwycił kamień i cisnął w niego. Kamień uderzył w kij jak kula karabinowa, roztrzaskując go w drzazgi.

Indianie wydali okrzyk zdumienia i spędzili resztę dnia na usiłowaniach dokonania tego samego. Na odchodnym Solo dał Nimhji zapalniczkę na butan marki Bic. Kiedy pokazał

Indianom, jak ona działa, zachwytem nie było końca. Potem Indianie pomachali rękami na pożegnanie i odeszli w dżunglę. Nimhja zawołał jeszcze:

– Odwiedź nas jeszcze kiedy, Solo.

– Dobrze, odwiedzę was – odpowiedział Solo, pragnąc, żeby to była prawda.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Solo złamał kody dostępu do ponad stu satelitów –

amerykańskich, rosyjskich, francuskich i brytyjskich. Poruszał się, jak chciał, po niektórych sieciach komputerowych o światowym zasięgu i dowiadywał się o istnieniu innych takich sieci.

Każda sieć, którą odkrył, prowadziła do następnych. Ile ich było? Kiedy był podłączony do któregoś z satelitów szpiegowskich, czuł się jak ktoś, kto szybuje w kosmosie i patrzy w dół na ogromny błękitny klejnot. Dzięki systemowi Milstar był w stanie podłączać się do różnych satelitów i obserwować ludzi niemal na całej Ziemi, i to zarówno w dzień, jak i w nocy.

Dzięki Milstarowi zaplanował też, jaką drogą uda się do miasta zwanego Puerto Limón.

Szedł plażą pod gwiazdami, dopóki nie stanął naprzeciw statku, który wypatrył za pośrednictwem satelity. Dokonał najazdu na nazwę wymalowaną na dziobie. *Gwiazda Karaibów*. Usiadł na piasku i patrzył, jak spienione fale Atlantyku pluszczą o brzeg, równocześnie uzyskując łączność z Milstarem i kontaktując się z głównym komputerem Straży Przybrzeżnej. Sprawdził w nim rozkład rejsów statku. *Gwiazda Karaibów* należała do firmy zajmującej się handlem owocami noszącej nazwę United Fruit Company zarejestrowanej w Panamie. Odbywała regularne rejsy między Puerto Limón a Nowym Jorkiem.

Solo oglądał telewizję, różne kanały: Home Box Office, The Movie Channel, Movie Classics, Arts and Entertainment. Śledził przebieg operacji *Pustynna Burza*, oglądając programy informacyjne Cable News Network, i porównywał to, co jest podawane do publicznej wiadomości, z rzeczywistymi działaniami wojennymi. Informacja wideo była bardzo powolna –

trzydzieści obrazów na sekundę, więc gromadził filmy w pamięci, wykonując inną pracę, a potem je oglądał. Robił to w kilka sekund. Traktował filmy i programy informacyjne jako przyspieszony kurs wiedzy o naturze ludzkiej. Filmy, których akcja toczyła się w Nowym Jorku, takie jak *Ojciec chrzestny* czy *Taksówkarz*, szokowały go brutalnością. Solo – opierając się na własnym doświadczeniu i filmach – doszedł do wniosku, że człowiek jest najbrutalniejszym i najagresywniejszym ze zwierząt. Zdumiewające było to, że on sam został skonstruowany przez te najagresywniejsze zwierzęta, i to jako narzędzie mające podnieść ich sprawność w dokonywaniu rzezi.

Te same bestie tworzyły jednak sztukę, wznosiły przepiękne budowle, a nawet pomagały swoim byłym wrogom. Ludzkość była równocześnie przerażająca i wspaniała. Solo czuł

pokrewieństwo między sobą a ludźmi. Rzeczy złych było zbyt wiele, brakowało równowagi między nimi a tym, za pośrednictwem czego ludzie realizowali dobro. Tych rzeczy, które on miał zamiar wyeliminować, nikomu nie będzie brakowało. Na przykład Nemroda w roli broni.

Nie wchodzi się do obozu wroga, nie będąc należycie przygotowanym. Żeby dokonać ataku na ludzi i Nemroda, Solo potrzebował czegoś, czego jego wrogowie mieli mnóstwo: pieniędzy.

Pieniądzy, za które kupi to, co konieczne do udoskonalenia własnego ciała. Pieniądzy na samolot lub helikopter, na broń, na nowe akumulatory, na sto różnych rzeczy.

Pieniądże były w Nowym Jorku. W Nowym Jorku były też te potrzebne mu rzeczy. Z filmu *Wall Street* dowiedział się, że pieniądze można zarobić, mając informacje poufne. A on znalazł wyłącznie takie informacje. Jednak dla zdobycia pieniędzy potrzebna mu była jeszcze swoboda poruszania. Oglądając *Nocnego kowboja i Króla komedii*, przekonał się, że mieszkańcy Nowego Jorku tolerują wielu ekscentryków. Dzięki temu, czego nauczyli go przyjaciele z wioski, znalazłszy się w Nowym Jorku, będzie mógł uchodzić za ekscentryka. Nikt nie zwróci na niego uwagi, podobnie jak na tych, których widział na filmach i w wiadomościach telewizyjnych, na tych, co leżą na chodnikach i mieszkają w tekturowych pudłach. Nowy Jork to idealne miejsce.

Gwiazda Karaibów zawiezie go do Nowego Jorku.

Solo wstał i, niosąc rurę energetyczną i plecak, udał się na brzeg. Wiedział, że statek zakotwiczony jest na wodach o głębokości nieco ponad stu stóp, czyli w miejscu, do którego mógł się z łatwością dostać bez narażania na szkody. Pochylił się w przód i zaczął – powoli, ale systematycznie – posuwać się w stronę statku, który namierzał, wsłuchując się w jego pomocniczy generator.

Pół godziny później stał koło kotwicy statku, która – mimo że przechylona na bok – była dwa razy wyższa od niego. Usiadł na kamieniu i otworzył plecak. Wyjął z niego krótki kawałek liny i zawiesił na niej rurę energetyczną. Przerzuciwszy rurę i plecak przez plecy, wspiął się po kotwicy i chwycił łańcuch. Ogniwa łańcucha tworzyły doskonałą drabinę, po której zaczął się wspinać.

Kiedy wydostał się na powierzchnię, rozejrzał się, czy nie ma strażników. Nikogo. Wspiął

się na kluzę kotwiczną, z której zwisał łańcuch. Miała prawie trzy stopy średnicy, więc robot mógł się przez nią precyzyjnie przesuwać. Kiedy był już w środku, zszedł do wciągarki, przeskoczył przez głęboki otwór, przez który wciągano łańcuch i podszedł do luku prowadzącego do wnętrza statku. W pomieszczeniu na kotwicę byłoby niebezpiecznie, zwłaszcza w chwili kiedy wciągano by lub wyrzucano ogromny łańcuch, a poza tym ktoś z załogi na pewno by tam w końcu zajrzał.

Solo wywoływał plany *Gwiazdy Karaibów*, które uzyskał z komputera firmy budującej statki zwanej Seacrest Shipwrights. Przystudiował plany, stojąc w komorze łańcuchowej. Statek był

w zasadzie pływającym magazynem używanym do przewozu bananów. Solo doszedł do wniosku, że miejscem, do którego najprawdopodobniej nie zajrzy żaden z szesnastu członków załogi, jest zęza znajdująca się poniżej przedziału maszynowego na rufie. Na planie, zaraz za pompą pompującą wodę z zęzy, widniała skrzynka przyłączowa. Będzie więc mógł podłączyć się do niej i naładować akumulatory.

Solo przez cały tydzień leżał pod stalową pokrywą wjazdu obok pompy numer sześć. Energii miał tyle, ile zapragnął.

Z ulgą przyjął to, że nie musi się doładowywać co kilka godzin. Ta podróż była prawdziwym odpoczynkiem.

Przebywając głęboko we wnętrzościach statku, nie mógł uzyskać łączności radiowej ze światem zewnętrznym. Gruby stalowy kadłub, stalowe pokłady i grodzie – wszystko to uniemożliwiało

transmisję. Solo nie miał dostępu do satelitów. Nie oglądał żadnych filmów poza tymi, które zgromadził w pamięci. Mógł uzyskać połączenie z komputerem obsługi technicznej, ale komputer ten nie był połączony z żadnymi innymi komputerami, z żadnymi sieciami komputerowymi ani radiowymi. Był to ślepy zaułek.

Komputer obsługi technicznej mozolił się bez ustanku, odizolowany i niemy, krótkowzrocznie skupiony na sterowaniu maszynami, pompami i klimatyzacją, mający tylko mglistą świadomość, że Solo usiłuje do niego mówić. Poobserwowawszy go przez pewien czas, Solo przejął jego zadania, chcąc go całkowicie uwolnić od pracy. Sterując wszystkimi urządzeniami na statku, zaczął eksperymentować z komputerem. Ale komputer IBM7340 był

tępy. Solo doszedł do wniosku, że ma on pewną świadomość, ale dorównuje ona inteligencją zaledwie świadomości bakterii. Czuł się jak ktoś, komu jest dane obserwować dalekiego przodka, z trudem maszerującego po drodze ewolucji. Przypominał sobie owady, które obserwował w dżungli i które były setki razy inteligentniejsze od tego IBM. Było to w pewnym sensie smutne, ale z drugiej strony bardziej inteligentna maszyna oszalałaby, będąc zmuszona do bezustannego monitorowania maszyn i kontrolowania środowiska na statku.

Kiedy statek przybył do Nowego Jorku, Solo był przygotowany do działania. Z łatwością przytrzymał pokrywę wjazdu, którą usiłowali otworzyć dwaj agenci celni. Kiedy oddalili się z zamiarem sprowadzenia pomocy. Solo wszedł do luku, do którego już poprzednio zaglądali.

Sposób, w jaki po powrocie przeszli do porządku nad zagadką zablokowanego wjazdu, był dla Sola jeszcze jednym dowodem na to, że ludzie nie stawiają wystarczającej liczby pytań.

Czekając aż mężczyźni wyjdą z przedziału maszynowego, Solo przyjrzał się dokładnie plastikowej torbie na śmiecie, którą przywłaszczył sobie dwa tygodnie wcześniej, zmierzając do żęzy. Wszystkie metalowe drobiazgi, które miał w płóciennym plecaku, były skorodowane.

Sprężyny, śruby stały się bezużytecznymi grudami rdzy. Solo podniósł rurę energetyczną i potrząsnął nią. Rura – kiedyś błyszcząca – była teraz martwa, a jej wewnętrzny tłok unieruchomiony. Stal nierdzewna też rdzewieje – pomyślał Solo.

Był gotowy do drogi, jednak bez rury energetycznej za kilka godzin będzie bezradny.

Wydawało się, że ludzie opuścili statek. Solo po cichu opuścił pokrywę wjazdu. Z plastikową torbą pełną zardzewiałych rupieci w jednej i rurą energetyczną w drugiej ręce podszedł do luku prowadzącego do przedziału maszynowego.

Koło stanowiska obsługi technicznej, w metalowej szafce, znalazł kilka różnych gałganów.

Położył rurę energetyczną na oparciu stojącego przed terminalem komputera. Wziął szmatę i wytarł się do czysta. Oleista pozostałość mazi nadała jego zwykle matowemu ciału ładny połysk. Solo zebrał pobrudzone gałgany i pedantycznie włożył je do pojemnika z napisem

„Brudne szmaty”. Torbę na śmiecie i plecak z zardzewiałymi rzeczami wrzucił do pojemnika

„Śmiecie”. Zatrzymał jednak rurę energetyczną.

Dochodziła siódma. Za półtorej godziny miało być już ciemno. Solo zaczął przeszukiwać przedział maszynowy, chcąc się przekonać, czy nie znajdzie czegoś, co mu się przyda w mieście.

W szafce z napisem „Collins” znalazł czysty niebieski kombinezon mechanika. Na lewej górnej kieszeni było wyhaftowane imię „Roger”. Solo podniósł kombinezon w górę i przekonał

się, że jest duży i że będzie na niego pasował. Wciągnął nogawki i wepchnął ręce w rękawy.

Wyłożył kołnierz i zapiał zamek błyskawiczny z przodu. Spojrzał w lustro wmontowane w drzwi szafki Collinsa. Skonstatował, że dobrze mu w niebieskim. Przekopał zawartość szafki, szukając butów, ale butów nie było. Była za to pozostawiona przez Collinsa czapka. Niebieska czapka baseballowa z obrazkiem przedstawiającym kobietę i podpisem „Chiquita”. Solo włożył czapkę, a potem pokręcił głową przed lustrem. Dobrze. Podrapał się w policzek i kiwnął do siebie głową.

Wyglądam zupełnie jak człowiek – pomyślał.

Palm Bay na Florydzie o ósmej rano było już gorąco i parno. Srebrna corvette przesunęła się między dwoma rzędami palm rosnących wzdłuż długiego, wypielęgowanego podjazdu prowadzącego do głównego wejścia Korporacji Electron Dynamics. Zbliżając się do zarezerwowanych miejsc parkingowych, samochód zwolnił, a potem wjechał na miejsce z napisem „William Stewart”.

Bill spojrzał na ogromny okrągły budynek, czując w żołądku ucisk. Przejrzał się we wstecznym lusterku i marszcząc brwi odgarnął jasne włosy z oczu. Trzeba pójść do fryzjera –

pomyślał. Na widok własnej twarzy poczuł zdziwienie. Jakie zmarszczki! Czy to wiek je spowodował? Czy zmartwienia? Bill westchnął i rozejrzał się po parkingu, jakby widział go po raz pierwszy. Czy rzeczywiście pracuje tu aż tyle ludzi? Parking był pełny. Stały tu setki samochodów. Dwa *tysiące* ludzi? – pomyślał Bill. A dwadzieścia lat temu – myślał dalej kręcąc z uśmiechem głową – byłem tylko ja, Byron i dwóch techników.

W tamtych czasach produkowali wodoszczelne głośniki dla Przylądka Kennedy’ego.

Pewnego dnia Byron przyniósł opis techniczny monitora odczytu cyfrowego, a w owych czasach był to produkt najnowocześniejszej technologii. Bill powiedział, że może coś takiego skonstruować i postara się zdążyć na czas, tak żeby mogli wyjść z ofertą. Pracowali bez tchu przez wszystkie godziny nie przeznaczone na sen, a spali w magazynie z blaszanym dachem położonym na zachód od Melbourne – jeden na kanapie, a drugi na dmuchanym materacu.

Bill siedział w unieruchomionym samochodzie i, patrząc na chwiejące się na wietrze palmowe liście, widział przeszłość. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak pędzili na Przylądek Kennedy’ego z prototypem. Byron prowadził ich zardzewiałego chevroleta kombi z sześćdziesiątego drugiego roku, a Bill siedział z tyłu i uruchamiał zespoły elektroniczne.

– Zrobione? – pytał co chwila Byron. Na co Bill odpowiadał:

– Nie przeszkadzaj.

– Zrobione?

– Nie przeszkadzaj, Byron. Działało przedtem, będzie działać i teraz.

– Jezu – Byron spojrzał na zegarek. – To już trwa godzinę. Zamigotała jedna cyfra. Bill nastawił jakiś rezystor nastawny (znalazł właściwy przez przypadek) i cyfra zaczęła świecić stałym światłem. Zanieśli prototyp do pułkownika, który odpowiadał za ocenę. Bill miał nigdy nie zapomnieć tego człowieka ani wyrazu jego twarzy. Prototyp z przewodami wijącymi się naokoło jak wywalone z talerza spaghetti leżał w tekturowym pudełku, które znaleźli za magazynem. Pułkownik pokręcił głową, zajrzał do pudła i zobaczył cyfry wyświetlane jedna po drugiej.

– Cholera, nie do wiary – powiedział.

To coś działało. Zawarli umowę.

Rok później rząd potrzebował małego komputera dla misji Gemini. Bill już taki komputer skonstruował. Budował komputery lepiej niż ktokolwiek inny. Od samego początku myślał

o tym, żeby zbudować taki, który myśli. Bill sprawił, że sztuczna inteligencja stała się kosztowną rzeczywistością, taką, na jaką pozwolić mógł sobie tylko rząd. W ciągu ostatnich pięciu lat ich firma stała się największą na świecie firmą tego rodzaju.

Wznosząc ten budynek, Bill i Byron kazali urządzić dla siebie mieszkania w sąsiedztwie swoich gabinetów, dzięki czemu nie musieli w ogóle wychodzić z budynku. Czy Byron kiedykolwiek opuszczał Electron Dynamics? To się nazywa pracować z poświęceniem –

pomyślał Bill. Na jego ustach przez chwilę igrał uśmiech, który zaraz zniknął. On też tu kiedyś mieszkał. A teraz nienawidził przychodzić do pracy. Ledwo to tolerował. Spędzał większość czasu w swojej posiadłości nad morzem, a prowadzenie firmy zostawiał Byronowi.

Specjalnością Billa było konstruowanie dużej serii komputerów, co w efekcie doprowadziło do utworzenia Sola. Jednak teraz, kiedy rząd legalnie przejął projekt, Stewart został grzecznie, ale stanowczo odsunięty od Nemroda. Inicjatywę przejął pułkownik Sawyer i nie dopuszczał go do roboty. Bill zapatrzył się na malowniczą aleję prowadzącą do szklanych drzwi. Ładną masz firmę, Stewart – powiedział do siebie. Warto o nią walczyć.

Wysiadł z samochodu i poszedł w stronę głównego wejścia. Kiedy się zbliżył, drzwi rozsunęły się. Bill przeszedł obok strażnika, który dotknął daszka czapki i powiedział:

– Dzień dobry panu.

– Dzień dobry, Jesse – kiwnął głową Bill.

Główny hali był kwadratem o powierzchni sześćdziesięciu stóp i przecinał pięć pięter budynku – od parteru po świetlik. Bill zobaczył pięć poziomów, na których za barierami poruszali się ludzie. Spieszyli dokądś, byli zajęci tym, co popychało firmę naprzód; zajmowali się projektami, o których Bill dowiadywał od czasu do czasu ze sprawozdań kierowników działów.

Przechodząc pośpiesznie obok recepcji, pomachał recepcjonistom ręką. Kolejny strażnik kiwnął głową i pozdrowił go, wpuszczając do kabiny, w której przeprowadzana była kontrola.

W tej kabynie nawet on musiał się zatrzymać. Drzwi zamknęły się i komputer, który sam skonstruował, zapytał go spokojnym kobiecym głosem:

– Nazwisko?

– William Stewart – odpowiedział Bill z roztargnieniem. Pomyślał, że musi istnieć lepszy sposób na zapewnienie bezpieczeństwa niż sprawdzanie cech głosu przez komputer za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi do budynku, nawet jeśli tym kimś jest konstruktor tego komputera, konstruktor, który przez kabinę przeszedł już tysiąc razy.

– Dziękuję, panie Stewart – odezwał się komputer. – Życzeń przyjemnego dnia.

Drzwi otworzyły się.

– Dziękuję.

Bill wysiadł z windy i szybko poszedł mającym sto jardów długości korytarzem. Na każdym piętrze znajdował się tuzin takich korytarzy i wszystkie prowadziły do środka budynku. Bill traktował swoje szybkie spacerki tymi korytarzami jak jogging. A poza tym, sprawiając wrażenie, że się spieszy, zwiększał prawdopodobieństwo tego, że nikt go nie zatrzyma. Korytarze nosiły nazwy: Godziny Pierwszej, Godziny Drugiej i tak dalej. Bill, pogrążony w myślach, spieszył

tym, który nazywał się Godziny Dwunastej. Zdażał do swojego gabinetu znajdującego się w środku.

Pod salą kontroli masek, gdzie sprawdzane były kruche szklane szablony stosowane do wyrobu komputerowych układów scalonych, zderzył się z wychodzącą tyłem przez drzwi kobietą. Ciągnęła wózek załadowany cennymi maskami.

Kobieta popchnęła wózek, a ten odjechał i walnął w ścianę. Skrzynka z maskami spadła i roztrzaskała się na kafkach podłogi. Słyszając brzęk rozbijanego szkła, Bill skrzywił się.

Kobieta, Aleksandra Simpson, zwana przez przyjaciół Alex, powiedziała tylko:

– O Boże!

– Przepraszam – odezwał się Bill.

– Przepraszasz? – odrzekła Alex, nie podnosząc na niego wzroku.

Rzuciła się ku skrzynce jak ku rannemu zwierzęciu, któremu można przywrócić życie.

Przechylała skrzynkę z boku na bok, a potłuczone szkło chrzęściło w środku. Skrzywiła się.

– Przepraszasz? – krzyknęła. – A wiesz, że te maski były warte ze sto tysięcy dolarów? Były idealne. Właśnie przeszły kontrolę. Wyrzucą mnie – przerwała i spojrzała na Billa. – A dopiero zaczęłam tu pracować.

Po policzkach popłynęły jej łzy.

– A ty, ty...

– Mam na imię Bill – powiedział Stewart i podszedł do niej.

Alex zamrugnęła, starając się powstrzymać płacz. Była brunetką, miała ogromne oczy, była bardzo ładna i w tej chwili wyglądała jak dziecko, które się zgubiło w tłumie. Kładąc skrzynkę z rozbitymi maskami na wózku, przełknęła głośno ślinę.

– No tak, Bill, dziękuję ci bardzo.

Zaczęła pchać wózek korytarzem w stronę windy, którą miała zamiar pojechać w górę, do Działu Produkcji. Bill poszedł za nią i zawołał:

– Nie wyrzucą cię.

– Zostaw mnie w spokoju – odpowiedziała, nie odwracając się. – Te sknery właściciele?

Oczywiście, że mnie wyrzucą i każą mi jeszcze zapłacić. A ja mam na utrzymaniu dwoje dzieci!

Bill uśmiechnął się i puścił ją przodem.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Nie twój interes! – krzyknęła Alex i wepchnęła wózek do windy.

Bill nie zdawał sobie sprawy, że przez całą drogę do gabinetu uśmiecha się. Sekretarka, Terri Reynolds, powitała go promiennym uśmiechem i zaćwierkała:

– Dzień dobry panu.

– Co? – zapytał Bill, patrząc na jej zęby. A potem poczuł, że sam się uśmiecha, i szybko zmienił wyraz twarzy.

– Aha. Tak, dzień dobry, Terri. Podeszedł do biurka.

– Byron przyjdzie za parę minut. Połącz mnie z Davem Johnsonem z Działu Produkcji, dobrze? Odwrócił się i poszedł do siebie.

– Już łączę, proszę pana – powiedziała Terri, kręcąc głową. Co się z nim dzieje? –

zastanawiała się. Od czasu podróży do Kostaryki nie widziała uśmiechu na jego twarzy.

Bill zamknął za sobą drzwi. Zrzucił buty do biegania przy kanapie i przeszedł po dębowej podłodze i wschodnim dywanie do okna za biurkiem. W środku budynku było atrium nie przykryte dachem. Okna gabinetu Billa, jak również okna gabinetów Byrona i dyrektorów oraz jednej sali rekreacyjnej na każdym piętrze, wychodziły na to atrium. Wysokie palmy rosły wokół

ogródka skalnego i fontanny. Bill spojrzał w górę, zobaczył jedną rozdętą chmurę i zaczął się zastanawiać, czy jest to dobry dzień na latanie. Od chwili gdy zabrano mu projekt, Nemrod spędzał mnóstwo czasu latając helikopterem należącym do firmy. Odezwał się telefon.

– Tak – powiedział Bill do słuchawki.

– Pan Johnson z Działu Produkcji – powiedziała Terri przez głośnik.

– Łącz.

– A poza tym właśnie wszedł pan Rand.

– Powiedz mu, żeby się tu władował – krzyknął Bill. Usłyszał przez interkom śmiech Byrona.

– Dave? – powiedział przez telefon.

– Tak, panie Stewart.

– Dostaliście właśnie skrzynkę potłuczonych masek?

– Tak, panie Stewart. To nowa dziewczyna. Popelniła bardzo kosztowny błąd.

Słowa Johnsona brzmiały bardzo wyraźnie. Zza drzwi zajrzał Byron. Bill dał mu znak, żeby wszedł. Byron kiwnął głową, podszedł do barku i nalał sobie Gatorade z dzbanka, który Bill trzymał dla niego w lodówce. Bill skrzywił się, bo wiedział, że to smakuje jak osłodzony zimny pot.

– Aleksandra Simpson, panie Stewart. Zajmę się tym. Byron usiadł na kanapie i zaczął

wertować czasopisma leżące na stoliku do kawy. Pochylił się, a czarne włosy opadły mu na twarz. Jemu też kłaniał się fryzjer. Byron miał czterdzieści pięć lat i wciąż był chudy. Nie zmienił się zbytnio od czasów uniwersyteckich, w których się poznali. Oczywiście – pomyślał

Bill – zawdzięcza to ochronnemu mechanizmowi biologicznemu, który wyewoluował, żeby nie dopuścić do tego, żeby ludzie wariowali na widok starych przyjaciół. Byron wziął numer

„Machine Design” i usiadł wygodnie ze swoim Gatorade.

– Zajmiesz się? – zapytał Bill.

– Wysyłam ją do kadr, żeby jej oddali papiery. Nie skończył jej się jeszcze dwutygodniowy okres próbny.

– Wyrzucisz ją? Nie powiedziała ci, jak to się stało? Że ktoś na nią wpadł?

– Tak, powiedziała. Ale nie umiała podać nazwiska.

– Powiedziała prawdę.

Bill uśmiechnął się do Byrona.

– To ja na nią wpadłem.

– Aha – Johnson zamilkł na chwilę. – Ale ja już jej powiedziałem...

– Czy ona tam jeszcze jest? – zapytał Bill, przyciągając krzesło i siadając przy biurku.

– Właściwie, panie Stewart, to ona siedzi tu przede mną.

– Więc jej powiedz, że dalej pracuje. Bill włączył komputer stojący na biurku.

– Zrobię to...

– Kiedy? – spytał Bill.

– No... zaraz.

– Tak, zaraz.

Bill, słuchając stłumionego głosu Johnsona, manipulował myszą. Na ekranie pojawiła się lista „Rzeczy do zrobienia”. Terri ciągle dodawała do niej nowe pozycje: listy do napisania, załatwienie awansów pracowników, sprawę poważnego nowego projektu dotyczącego struktur półprzewodnikowych, w którym coś było nie tak, i tak dalej. Żeby przejrzeć całość, Bill musiał przesunąć tekst na ekranie.

– Już jej powiedziałem – odezwał się Johnson.

– Dobrze. A co ona zrobiła? – spytał Bill.

– Co zrobiła?

– No tak: co zrobiła, kiedy jej powiedziałeś, że nie grozi jej to *pieprzone* wyrzucenie?

Bill pokręcił głową i zrobił wściekłą minę.

– No więc – powiedział Johnson z pewnym niepokojem – uśmiechnęła się.

– Aha – powiedział Bill. – Dzięki, Dave. Pracuj dobrze.

Rozłączył się.

Byron podniósł wzrok znad czasopisma.

– Jesteś zdenerwowany, Bill. Masz jakiś problem?

– Chcieli wyłączyć jedną nową dziewczynę, bo potłukła skrzynkę masek. – Bill przerwał, kiwnął głową i dodał: – Wiem. Jestem ostatnio bardzo nerwowy. Nie powinienem był tak napadać na Dave’a.

– On to rozumie, Bill – powiedział Byron. – Jesteś przecież tym despotą, do którego ta firma należy. Bill wzruszył ramionami.

– Wiem – powiedział. – Ale wiesz co, Byron, zrób mi uprzejmość i wyrzuć z pracy mnie, dobrze? Potrzebny mi odpoczynek.

Byron roześmiał się.

– Chcesz, żebym to zrobił? – zapytał, a uśmiech zniknął mu z twarzy.

Rzucił czasopismo na stół.

– A wiesz, biorąc pod uwagę to, że chodzisz tu taki osowiały... od czasu gdy Solo zginął, a agenci federalni przejęli...

– *Osowiały?*

– No tak. Osowiały, zgnębiony, jakkolwiek to nazwiesz. Byron zauważył, że czasopismo leży ukośnie i poprawił je. Podszedł do biurka Billa i przysiadł na jego rogu.

– Nie mogę cię za to winić. Bo firma jest teraz jak nie nasza. Myślałem, żeby sprzedać...

– Co? Zrezygnować?

Bill spojrzał groźnie na Byrona.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszło ci to do głowy. Ta firma jest nasza. Tak, do cholery.

I odbierzemy im ją.

– Ale to są wielkie skurwysyny – powiedział Byron, kręcąc głową. – Skurwysyny made in America, które lubią człowiekowi dać popalić.

Byron wstał i podszedł do okna. Gorący wiatr zgiął szczyty palm. Byron odwrócił się do Billa.

– Dostałem ofertę. Propozycję spokojnej pracy. Wczoraj wieczorem – powiedział. Bill popatrzył na niego.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– General Dynamics. Mają szmal dzięki ostatniej umowie na samoloty bojowe. Potrzebna im nasza technologia. Bylibyśmy miliardernami – oświadczył Byron.

Bill pokręcił głową.

– Świetnie. Ale obaj jesteśmy i tak warci kilkaset milionów. Zapomniałeś, że już dawno jesteśmy bogaci? Co do cholery robiłbyś z dodatkowymi pieniędzmi? Kupiłbyś Francję? Jezu drogi, Byron. Sprawiłbyś tym rządowym skurwielom taką satysfakcję? Dałbyś się wyrolować?

Tak po prostu, dla pieniędzy?

– Nie, nie dla pieniędzy – powiedział Byron kręcąc głową. – Zrobiłbym to dla spokoju umysłu, który bym zyskał, gdybym nie musiał mieć z nimi codziennie do czynienia!

Bill kiwnął głową. Dlaczego mnie to tak rozżłościło? – pomyślał. Sam rozważał przecież taką możliwość. Ale kiedy Byron sformułował tę myśl, zabrzmiała źle.

Usiadł wygodniej w krześle i powiedział:

– Słuchaj, Byron. Nie mogę cię winić za to, że chcesz odejść. No wiesz, ta historia z Nemrodem... Ale jeżeli zostaniemy, to będziemy mogli im się przeciwstawić. Nemrod nie będzie działał tak, jak oni chcą. W końcu zdadzą sobie z tego sprawę i przestaną się nim interesować, a my wykorzystamy tę technologię do konstruowania inteligentnych komputerów, które da się zastosować w przedsięwzięciach nie związanych z zabijaniem ludzi. A jeżeli odejdziemy, to stracimy szansę.

Byron pokręcił głową.

– Oni nigdy nam na to nie pozwolą. Technologia Solo jest utajniona.

– Utajniona jest broń, a nie technologia wykorzystana do skonstruowania komputera. Ta technologia jest nasza.

– Wiem, że jest nasza – kiwnął głową Byron. – Ale myślę, że oni i tak ci na to *nie pozwolą*.

– Więc będziemy walczyć, do cholery!

– Walczyć z agentami federalnymi? – Byron pokręcił głową. – Tak jak ostatnim razem? Jak wtedy, kiedy straciliśmy Solę?

Billa ogarnęło poczucie winy. Nie powiedział nikomu, że Solo uciekł. Nawet Byronowi.

Gdyby był pewien, gdyby miał absolutną pewność, że Byron jest czysty, że nie ma podsłuchu, że nie ma żadnych umów... Boże, w jakąż to człowiek może popaść paranoję. A jednak nie. To nie paranoja, lecz ostrożność, a ta nie może być zbyt wielka tam, gdzie się ma do czynienia z rządem.

– To niepowodzenie nauczyło mnie bardzo wiele – powiedział Bill. – Człowiek inteligentny uczy się na błędach.

– Czego cię nauczyło? Tego, że to oni ustalają zasady? Że biorą to, co zechcą? I że ludzkie życie nie stanowi dla nich problemu?

Bill wyciągnął z kieszeni koszuli coś, co wyglądało jak mały kalkulator, i położył to na biurku. Nacisnął guzik i zapaliło się czerwone światelko. Bill wskazał urządzenie, a potem szerokim gestem ramienia całe biuro. Byron spojrzał na światelko, a potem podążył wzrokiem za gestem Billa. Otworzył usta ze zdziwienia, a potem powiedział bezgłośnie, wskazując palcem swoją pierś:

– *Jesteśmy na podsłuchu?*

– Nauczyło mnie wiele – powiedział spokojnie Bill.

– Hej, Cassidy. Mów coś do mnie od czasu do czasu, dobrze? Nie daj mi zasnąć.

Głos dobiegał z walkie-talkie typu Motorola przyczepionego do pasa Jeffa Cassidy. Jeff przysunął mikrofon do ust.

– Gdybyś robił co do ciebie należy, Goldstein, to nie chciałoby ci się spać – powiedział, uśmiechając się w ciemności.

Stał przy rufie *Gwiazdy Karaibów*, patrząc na jasno oświetloną Statuę Wolności, która wyłaniała się chwilami z kotłującej się mgły, a chwilami w niej ginęła.

– O rany – dobiegło z radia. – A czym ty jesteś, jakimś pieprzonym nadgorliwcem?

– Właśnie – odpowiedział Cassidy. – Obchodzi mnie ta robota. Aż mi staje, kiedy myślę o tym, że będę to robił przez całe życie.

– No. Co za gówniany zaszczyt, ochraniać tę cholerną łajbę. I kto by tu chciał wejść?

Cassidy odwrócił się, chcąc stanąć przodem do Goldsteina znajdującego się na drugim końcu statku, i roześmiał się do mikrofonu. Na pokładzie w pobliżu kajut załogi mignął mu jakiś cień. Cofnął się chyba do włazu. Cassidy przez chwilę wpatrywał się w ciemność, a potem pokręcił głową. Czy to jeden z tych facetów, którzy zostali na pokładzie? Prawdopodobnie tak.

Tylko dlaczego cofnął się, kiedy się odwróciłem?

– Hej, Goldstein, idę cię odwiedzić.

– Chodź, chodź – roześmiał się Goldstein. Cassidy uśmiechnął się i ruszył w stronę Goldsteina.

Cień pojawił się znowu, posuwał się szybko w kierunku pomostu.

– Hej tam – krzyknął Cassidy. – Stać!

Wyciągnął trzydziestkę ósemkę i pobiegł wzdłuż pokładu.

– Co jest? – dobiegł go z radia trzymanego w drugiej ręce głos Goldsteina.

Cassidy nie odpowiedział. Dobiegł do pomostu, ale tamten człowiek był już poza statkiem.

Gdy znalazł się w oświetlonym miejscu w pobliżu drzwi do magazynu, Cassidy widział go dość dobrze. Mężczyzna wyglądał na członka załogi, miał na sobie niebieski dres i czapkę. Był

czarny. Usiłował otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Cassidy zobaczył, jak mężczyzna cofa się, a potem z trzaskiem otwiera drzwi kopniakiem. Zabrzmiało to jak wybuch dynamitu.

Cassidy pomyślał, że to musiał być dynamit. Bo drzwi były z litej stali. W ciemności podszedł do niego Goldstein.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Facet otworzył te pieprzone drzwi kopniakiem.

– To niemożliwe – powiedział Goldstein.

– Wiem – odrzekł Cassidy.

We wnętrzu ogromnego budynku paliło się jedno małe światełko. Solo posuwał się powoli, chowając się w cieniu pod ścianami. Przenośniki długości stu jardów, wysokie dźwigi i wielkie maszyny do sortowania bananów stanowiły dobrą osłonę. Solo zmierzał w stronę światła, które, jak przypuszczał, paliło się przy wyjściu.

Zobaczył człowieka z latarką. Miał broń gotową do strzału. Solo widział go wyraźnie w podczerwieni. Człowiek wyglądał na bardzo przestraszonego.

– Kto tam? – zapytał.

Solo przeskoczył przez taśmę przenośnika i posuwał się wzdłuż ściany w stronę wyjścia.

Kiedy mężczyzna doszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Solo wyslizgnął się w noc przez główne wejście.

Szedł teraz chodnikiem prowadzącym brzegiem East River i słuchał, jak drobne fale odbijają się o falochron. Między położonymi daleko od siebie latarniami ulicznymi rozpościerała się ciemność. Z lewej strony dobiegał bezustanny szum. Światła setek samochodów pędziły wzdłuż autostrady. Z map wynikało, że Solo idzie wzdłuż South Street w stronę Williams-burg Bridge.

Samochody znajdowały się na Franklin Delano Drive. To był ruch uliczny. Solo nigdy nie widział ruchu ulicznego inaczej jak z satelity. Kiedy skończyła się South Street, chodnik ciągnął

się dalej przez park nad East River. Tutaj odgłosy ruchu ulicznego tłumiły drzewa.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Wzdłuż chodnika po stronie parku ciągnął się wysoki żywopłot, a po drugiej stronie nad rzeką rdzewiejąca stalowa balustrada. Solo zrobił najazd na strumień samochodów posuwających się w obie strony po moście. Jak komórki krwi w naczyniach krwionośnych. Albo horda mrówek tropikalnych. To, że w każdym samochodzie znajdowali się ludzie, było dla robota niezrozumiałe. Nigdy w życiu nie widział więcej niż pięćdziesiąt osób zgromadzonych w jednym miejscu. Doszedł do jakiegoś budynku stojącego za żywopłotem. Zatrzymał się i spojrzął w ciemność. Zrobił zbliżenie i zobaczył, że ściany małego betonowego budynku pokryte są graffiti. Odczytał napis „Nadziany”. Przy drzwiach, napisane pionowo, widniało słowo „ZAKAPIOR”, które nie miało dla niego żadnego sensu. Pozostałych wyrazów nie dało się rozczytać. Były kolorowe i napisane alfabetem, który, jak przypuszczał, był alfabetem mieszkańców tego miasta.

Podobne widział tylko w metrze i na ścianach domów pokazywanych w filmach o Nowym Jorku.

Szedł dalej w stronę mostu. Zgodnie z mapą, powinien skręcić w lewo i znaleźć się na ulicy prowadzącej prosto do centrum miasta.

Wyczuł, że przed nim są ludzie. Znajdowali się po lewej stronie, przy końcu żywopłotu, chociaż nie było ich widać. Solo zastanawiał się, czy nie powinien zacząć uciekać. Do tej pory jego życie było życiem kogoś, kto unikał ludzi, zwłaszcza Amerykanów. Problem polegał na tym, że jego plan zakładał, iż w mieście pozostanie niezauważony. Tę hipotezę trzeba było w końcu zweryfikować. Jeżeli się myłę – pomyślał – to powinno to wyjść na jaw właśnie tutaj.

Ruszył przed siebie.

Kiedy doszedł do końca żywopłotu, usłyszał krzyk:

– Hej tam!

Zatrzymał się i odwrócił. Dwaj mężczyźni – jeden niski i gruby, a drugi wysoki z brodą – wyszli z mroku i zmierzali w jego stronę.

– Hej, koleś – powiedział ten z brodą.

– Potrzebujemy...

Nadal się do niego zbliżali.

– Potrzebna nam pomoc.

Niski grubas zaśmiał się rżącym śmiechem.

– Tak? – zapytał Solo zaniepokojony. Nie zapomniał, że ma mówić stłumionym głosem.

Mężczyźni nie zauważyli jeszcze niczego niezwykłego. Kiedy byli już blisko, ten z brodą powiedział:

– Tak, koleś – i przerwał, patrząc Solowi w twarz. – Duży z ciebie chłop. No więc, chcemy od ciebie pożyczyć całą forszę, jaką masz.

Mówiąc to, mężczyzna wyciągnął pistolet z kieszeni kurtki i wycelował w Sola.

– Nie mam pieniędzy – powiedział Solo. Powstrzymywał się od śmiechu, prawie się od tego trząśł. Niczego jeszcze nie zauważyli – pomyślał.

– Sprawdź go – powiedział brodacz do współnika. – Nie ruszaj się...

Brodacz zauważył błysk osłony oka Sola. W nikłym świetle latarni uznał, że Solo jest Murzynem. Przyjrzał się jego twarzy i pokręcił głową.

– Masz na sobie jakąś maskę?

– Tak – odpowiedział Solo. – Mam maskę. Brodacz pokiwał głową: jeszcze jeden czubek.

Tym razem w masce bramkarza i w czapce z reklamą bananów Chiquita.

Niski mężczyzna obmacał kieszenie kombinezonu Sola i niczego nie znalazł.

– Jest czysty, Ace.

– Cholera. Jeszcze jeden golec? Czy dzisiaj nikt już nie ma forsy?

Brodacz zauważył rurę energetyczną.

– Co to jest? – spytał, wskazując ją palcem.

– To moja rura energetyczna – odrzekł Solo. – Mogę dzięki niej wytwarzać energię elektryczną. Ale teraz nie działa.

– Może ktoś ją kupi na części. Daj mi ją. Mężczyzna wyciągnął rękę.

Sola rozpierała radość. Ci rabusie traktowali go jak człowieka. Jego hipoteza okazała się słuszna.

– Chciałbym wam pomóc – powiedział. – Ale tego wam dać nie mogę. Widzicie...

– No, tłusciochu... – powiedział brodacz, wskazując Sola ruchem głowy.

Niski mężczyzna chwycił rurę i szarpnął. Solo pozwolił, żeby rura przesunęła się o stopę, a potem przytrzymał ją. Mężczyzną szarpnęło.

– Cholera!

– Puść to – powiedział brodacz. – Skoro jej tak bronisz, musi być cenna. Puść ją, chłoptasiu.

Kule były nieszkodliwe, ale Solo nie chciał, żeby hałas zwrócił czyjąś uwagę. Przyglądając się twarzy mężczyzny, wyciągnął rękę po pistolet. Oczy brodacza otworzyły się szerzej, kiedy zauważył, że Solo się rusza. Robot zauważył, że ścięgnięta na jego dłoni napięły się. Palec wskazujący mężczyzny nacisnął spust. Mężczyzna reagował z szybkością właściwą człowiekowi

– to znaczy strasznie wolno. Solo wyjął z ręki pistolet i rzucił go przez ramię do rzeki.

Mężczyzna popatrzył tępo na swoją pustą dłoń. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie miał pojęcia, co właściwie zaszło.

– Jak...

– Ace – powiedział niski grubas, odsuwając się od Sola. – Chyba nie powinniśmy niepokoić tego

pana.

– Racja – odezwał się Ace, kiwając głową. – My do pana nic nie mamy. Nie robimy nikomu krzywdy. Po prostu mamy trochę pecha. Przepraszam, że zabraliśmy panu czas.

Obydwaj kiwali głowami i uśmiechali się przymilnie, wycofując w mrok. Solo zobaczył, że doszedłszy do żywopłotu, odwrócili się szybko i wbiegli do parku. Pomyślał, że mógł ich wyeliminować, jednak nie byłoby to zwykłe ludzkie postępowanie.

Solo poszedł ścieżką biegnącą pomiędzy dwoma ciemnymi kortami tenisowymi. Idąc słuchał szeptów rabusiów, którzy byli w zaroślach o sto stóp od niego.

– Kto to był do cholery? Był jak ze stali.

– Nie wiem. Pewnie żywi się steroidami, przebiera się za cudaka i chodzi w nocy po parku.

Wiesz, co on robi, Ace? On *poluje* na takich jak my.

Uważają mnie za cudaka – pomyślał Solo. Ku swojemu zadowoleniu, dowiedział się ze swoich słowników, że cudak to osoba, która postępuje dziwnie.

Solo znalazł kładkę dla pieszych zaznaczoną na mapie. Przez chwilę stał na niej, przyglądając się przejeżdżającym samochodom. Latarnie uliczne rzucały na nie pomarańczowe światło. Samochody, jeden za drugim, pędziły na północ i południe po sześciopasmowej autostradzie. Czy były to dwa jednakowo popularne kierunki? Co takiego było na południu, że tyle ludzi zdążyło tam z miejsc znajdujących się na północ stąd? I co takiego na północy przyciągało ludzi z południa? Solo przeszedł na środek kładki. Przez oka w siatce patrzył na huczący strumień samochodów. Poczł przyływ podniecenia. Z pewnością musi to być najatrakcyjniejsze miejsce na świecie, bo przecież bez przerwy odbywają się tu takie wyścigi. Za pośrednictwem satelity dowiedział się, że to samo dzieje się w całym mieście. Mnóstwo ludzi przemieszczało się równocześnie. Na pasie znajdującym się tuż pod nim była duża dziura i samochody, przejeżdżając tędy, podskakiwały z hałasem. Solo poczuł się nieswojo na widok maszyn, które są tak brutalnie traktowane. Poszedł dalej kładką, a potem w dół po schodach.

Przeszedł przez ciemny obszar zieleni zwany „Parkiem przy Corlear’s Hook” i wyszedł na słabo oświetloną Cherry Street. Nie było tu żadnych pieszych. Solo skręcił w prawo w Jackson Street i poszedł w kierunku jaśniej oświetlonej okolicy. Po przejściu pięćdziesięciu kroków doszedł do Madison Street. Spojrzał na południe i zobaczył jasne światła ruchliwej przecznicy. Z mapy wynikało, że to skrzyżowanie Clinton Street i Madison Street. Chodnikiem szli ludzie. Solo ruszył w ich stronę.

Zachowuj się po ludzku – powiedział sobie.

Solo przystanął na rogu Clinton Street i Madison Street. Jego wzrok przyciągnęła jasno oświetlona wystawa marketu Rodrigueza. Solo nigdy dotąd nie widział sklepu. Na wystawie były pieczone kurczaki, wianki czosnku, stała też starannie ustawiona piramida z puszek oliwy z oliwek. W środku znajdowała się jedna klientka – jakaś stara kobieta. Solo poczekał, aż kobieta wyjdzie, i wszedł do sklepu.

Zdumiony przyglądał się stelażowi z książkami w miękkich oprawkach. Nie miał pojęcia, że istnieje tyle książek. Przypuszczał, że ludzie, a zwłaszcza Amerykanie, uzyskują informacje tak samo jak on – za pośrednictwem sieci komputerowych. Nie czytał ani jednej z setek książek, z jakimi się w życiu zetknął. W sieciach, do których miał dostęp, były tylko tytuły; ich lista znajdowała się w bazie danych Biblioteki Kongresu. Ale tekstu żadnej z nich tam nie było. Solo miał dostęp do całego tekstu „New York Timesa”, „Washington Post”, „Wall Street Journal” i prawie wszystkich czasopism naukowych opublikowanych od roku 1971, ale nie do tekstu takich książek jak *Ja, robot*, *Sfera* czy *Almanach Światowy*. Teraz wziął ze stelaża *Radość seksu* i przeczytał ją w ciągu minuty. Potem odłożył książkę na miejsce. Ciekawe – powiedział do siebie. Nie miałem pojęcia, że ludzie robią ze sobą to wszystko. A należałoby się spodziewać, że po tysiącach lat prób odkryli już najlepszy sposób i stosują go.

Sięgnął po następną.

– Halo, proszę pana – odezwał się sklepikarz. – To nie biblioteka. Jeżeli pan chce czytać, to niech pan kupi. Solo odwrócił się twarzą w jego stronę.

– Nie mam pieniędzy – powiedział. Podeszedł do lady.

Sklepiarz, Estevey Rodriguez, zobaczył jego twarz i cofnął się gwałtownie.

– Cholera jasna – mruknął. – Znowu.

– Widzi pan – powiedział Solo, kładąc rękę na ladzie – zszedłem właśnie z pokładu statku i...

– Nie ma sprawy. Wiem, co mam robić. Rodriguez kiwnął gniewnie głową i otworzył kasę.

Wygarnął banknoty, zmiął je w dłoni i położył na ladzie.

– Proszę. To wszystko, co mam.

– Chce pan, żebym to wziął? – zapytał Solo. Rodriguez tęsknie spojrział przez okno. Tej pieprzonej policji nigdy nie ma wtedy, kiedy jest potrzebna.

– Tak, taki już jestem, kolego. Cholernie hojny.

– To bardzo miłe z pana strony – powiedział Solo. – Czy teraz mogę kupić parę książek?

Rodriguez spojrział na Sola, krzywiąc się paskudnie. Głupi jak but i na dodatek wariat.

– Kupić parę książek? Oczywiście. Proszę – powiedział, wskazując stelaż.

Solo wziął pieniądze i wpakował je do zapinanej na suwak kieszeni na piersi.

– Dziękuję. Wybiorę sobie kilka.

Rodriguez spojrział na zegarek. Wpół do dziesiątej. Rozejrzał się. Sklep był pusty, jeżeli nie liczyć tego czubka. Wzrok Rodrigueza padł na orzechową rękojeść starego pistoletu kaliber czterdzieści pięć, który należał kiedyś do jego ojca, a teraz znajdował się pod ladą. Patrząc na rękojeść, sklepikarz zastanawiał się, czy zdąży wyciągnąć pistolet, zanim ten świr do niego wystrzeli. Bo ta duża rura – to przecież chyba broń domowej roboty? Z początku nie było czasu, żeby chwycić pistolet, ale teraz ten idiota stoi tyłem i przegląda książki.

Solo miał pod pachą sześć książek, kiedy usłyszał krzyk Rodrigueza.

– Ręce do góry, skurwielu!

Odwrócił się i zobaczył drżącą lufę dużego pistoletu wycelowaną w swoją głowę.

– Nie chce pan, żebym kupił te książki? – spytał. Po twarzy Rodrigueza spływał pot. Pistolet drżał mu w ręce.

Opuścił go, celując w pierś Sola. W tej pozycji fakt, że pistolet drży, nie miał takiego znaczenia.

– Powiedziałem – głos Rodrigueza drżał, podobnie jak pistolet – ręce do góry! Albo strzelam!

– Nie rozumiem – powiedział Solo i ruszył w stronę Rodrigueza.

O cholera! – pomyślał Rodriguez i wystrzelił dwa razy. Sola uderzyły dwie kule. Z każdym trafieniem robot lekko drgał. Zatrzymał się, obejrzał dziury w kombinezonie i wlepił wzrok w Rodrigueza.

– Zniszczył mi pan ubranie – powiedział. – Jeżeli naprawdę nie chce pan, żebym kupił książki, to proszę mi powiedzieć, a ja sobie pójdę.

Rodriguez patrzył na niego oniemiały. W głowie mu się kłębiło. To kompletny wariat – nie zauważył, że nie żyje. Zaraz mnie rozwali! Kiedy Solo odwrócił się, chcąc odłożyć książki, Rodriguez wystrzelił – posłał Solowi w plecy ostatnie cztery kule. Solo zachwiał się i pochylił

kilka cali w przód. W kombinezonie były cztery dziury. Powstały, kiedy kule odbiły się spłaszczony jak stopiony ołów. Solo odwrócił się.

– Trochę cierpliwości, proszę. Odkładam je na miejsce.

Rodriguez z krzykiem wybiegł ze sklepu.

Solo odłożył ostatnią książkę i szybko wyszedł na zewnątrz. Zobaczył, że Rodriguez biegnie po Madison Street i krzyczy:

– Ratunku! Policja! Złodziej! Złodziej?

Przecież *dał* mi te pieniądze – pomyślał Solo. Pobiegnął za Rodriguezem, wołając:

– Proszę zaczekać. Tu są pańskie pieniądze!

Rodriguez zobaczył, że Solo się do niego zbliża. Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk. Jakiś mężczyzna i jakaś kobieta zatrzymali się na rogu i przyglądali się zajściu. Solo przystanął.

Zwracam na siebie uwagę – pomyślał. Pobiegnął w stronę sklepu i skręcił w Clinton Street, przypominając sobie nagle, że powinien się poruszać z taką szybkością jak ludzie. Zwalniając, pobiegł w stronę East Broadway.

Kiedy wydostał się już z dzielnicy, w której był sklep, dopasował tempo swojego chodu do tempa chodu ludzi na chodniku i, korzystając z mapy, poszedł na północ. Południowa część Manhattanu, widziana za pośrednictwem Keyhole, była ciemniejsza niż reszta miasta. Solo szedł

w stronę części jaśniej oświetlonej. Dwadzieścia minut później wszedł do parku przy Washington Square.

Ludzie w parku stali grupkami. W pobliżu fontanny siedział na ogromnej kasztance konny policjant, obserwując otoczenie. Każdy krzyk lub głośny śmiech powodował, że policjant powoli odwracał głowę. Solo podszedł do największej grupy. Ze trzydzieści osób stało naokoło ulicznego kaznodziei, który oświadczył:

– Zsyłając AIDS, Bóg informuje was, pedały, że jesteście grzesznikami!

– Idiota! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Boga nie interesuje, gdzie człowiek go wkłada.

Rozejrzyj się, czy widzisz niedobór dziur?

Tłum wybuchnął śmiechem, a twarz kaznodziei zrobiła się purpurowa.

– Bóg wie, kim *ty* jesteś.

Kaznodzieja wskazał krzykacza, wyciągając w jego stronę rozchyloną dłoń z lekko zgiętym palcem wskazującym i wyprężonym kciukiem, i wrzasnął:

– O tak! Obyś się spalił w ogniu piekielnym, *Szatanie!* Solo czytał o takich spotkaniach Boga i Szatana, wiedział, że mówi o nich Biblia. Teraz zobaczył coś takiego na własne oczy.

Było to nadzwyczaj interesujące. Solo zatrzymał się, mając nadzieję, że zobaczy, jak z ręki

mężczyzny, który jest prawdopodobnie Bogiem w ludzkiej postaci, wydobędzie się z błyskiem prądu elektryczny. I może Szatan za chwilę podniesie swoją tarczę ochronną? Kto wie, co się stanie.

Zamiast podnieść tarczę, Szatan podniósł rękę z wyciągniętym w górę środkowym palcem i powiedział:

– Zabaw się tym, dupku – po czym odwrócił się i odszedł. Żadnych grzmotów i błyskawic?

Nic? Solo poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

– Halo, koleś – powiedział ktoś stojący za nim. – Masz ogień?

Solo odwrócił się i zobaczył mężczyznę ubranego w czarną sukienną kurtkę nabijaną metalowymi gwiazdami. Mężczyzna trzymał przy ustach niedopałek papierosa. Chromowane łańcuchy zwisały z epoletów przszytych na ramionach. Złota plecionka ozdabiała daszek wojskowej czapki.

– Nie mam ognia – odpowiedział Solo. Mężczyzna spojrzał na jego twarz i zamrugał.

– Skąd jesteś, człowieku?

Solo widział, jak oczy mężczyzny zwężają się na widok jego twarzy.

– Spoza miasta – odpowiedział.

– Naprawdę?

Mężczyzna zarżał idiotycznie, a potem zaniósł się suchym kaszlem.

– Nazywam się Solo.

– Tak?

Solo zauważył, że mężczyzna chwieje się na nogach. Pewnie jest pijany albo oszołomiony narkotykami. Mężczyzna wyciągnął rękę.

– A ja się nazywam *pulkownik* Dean Martin. Mam pieprzoną przyjemność z tego, że cię spotkałem.

– Ja też mam pieprzoną przyjemność ze spotkania ciebie – odrzekł Solo.

– Tak? – roześmiał się mężczyzna. – Ale powiedz mi. Solo, czy wszyscy u was tak się ubierają?

– To jest moje ubranie do pracy – wyjaśnił Solo. – Pracuję na statku.

Mężczyzna przyjrzał się kombinezowi Sola.

– Nie byłem.. – powiedział i przerwał, widząc imię wyhaftowane na kieszeni.

– Ale tu jest napisane, że nazywasz się Roger.

– Tak – odrzekł Solo. – Roger Solo.

– Aha.

Martin, wciąż trzymając papierosa z marihuany, odwrócił się chcąc znaleźć kogoś, kto ma ogień. Tłum otaczający karnodzieję rozproszył się już i Martin zobaczył obserwującego go konnego policjanta. Włożył skręta do kieszeni. Policjant pokręcił głową.

– Hej, Roger – powiedział Martin. – Chodźmy tam – tu wskazał grupę mężczyzn siedzących przy betonowych stołach w odległym kącie parku. – Tam, gdzie grają w szachy. Cholernie chce mi się zapalić.

– Dobrze – powiedział Solo i poszedł za nim. Martin przyjrzał się Solowi i spytał:

– Dlaczego jesteś w kasku? Jeździsz na motorze?

– To dla ochrony – odpowiedział Solo.

– Aha.

Martin pokiwał energicznie głową.

– Nie winie cię za to. Nie ma w tym twojej pieprzonej winy. To pierdolone społeczeństwo zrobiło się takie... zbrodnicze.

Roześmiał się.

– To dlatego różne takie biedne dupki jak ty kręcą się w dziwacznych ubraniach. Wszyscy tak będą wyglądać, jeżeli...

Martin stuknął w ramię Murzyna stojącego obok stołu z szachami.

– ... jeżeli nie wpakujemy wszystkich tych kurewskich oszustów do pieprzonego więzienia!

Roześmiał się, a potem zaniósł kaszlem. Czarny mężczyzna pokręcił głową i zmrużył oczy.

– Czego chcesz, *pulkowniku*? – zapytał.

– Ognia, człowieku – odparł Martin, wyciągając skręta. Czarny mężczyzna zapalił

zapalniczkę, podstawiając ją pod koniec papierosa, i Martin zaciągnął się głęboko. Koniec papierosa zaczął zarzyć. Martin zaciągał się bardzo długo. Taki sposób palenia Solo widział

tylko na filmach. Martin wyciągnął skręta w jego stronę, posykując. Solo spojrzał na niego i spytał:

– Marihuana?

Martin zakaszłał, a z jego ust wydobyła się chmura niebieskiego dymu. Skulił się i przestąpił

z nogi na nogę.

– Hej, ty – powiedział jeden z grających w szachy. – Jeżeli masz zamiar umierać, to idź sobie gdzie indziej. Tu się próbuje myśleć.

Martin podniósł rękę i kiwnął głową. Jego kaszel ustał na tyle, że mógł wydobyć głos:

– Tak, Roger, marihuana – powiedział. – Znają to u was?

– Nie – odpowiedział Solo.

– Nie? – Martin spojrzał na Sola zdumiony. – Więc skąd ty jesteś, do cholery? Gdzie nie ma tego gówna?

– Jestem z daleka – odrzekł Solo.

– W to wierzę – stwierdził Martin. – Może z Indiany? Co, Roger?

Wyciągnął do Sola rękę z niedopałkiem.

– Gaśnie – powiedział. – Chcesz się sztachnąć?

– Nie – odpowiedział Solo. – Marihuana jest szkodliwa. Martin pokręcił głową, jakby chcąc uzyskać jasność myśli.

– Powiedziałeś „nie”? Dobrze usłyszałem, tak?

– Tak.

Martin wpatrywał się przez minutę w osłony oczu Sola, a potem zaczął energicznie kiwać głową.

– Dobrze, dobrze, chłopie, bardzo dobrze. Za dużo mamy w kraju narkomanów. To kolejne nieszczęście tego pieprzonego społeczeństwa. Narkotyki. Za dużo ich.

– Tak, rzeczywiście za dużo – potwierdził Solo, odwracając się i chcąc zobaczyć, jak jeden z grających robi ruch białą wieżą. – Jeszcze dwa ruchy i czarne dadzą ci mata – ostrzegł.

Grający podniósł głowę, patrząc wściekle.

– Hej, cudaku! Kto cię pytał o zdanie? Mądrzyj się wtedy, kiedy sam grasz.

Nie zdjął ręki z wieży. Patrzył na betonowy blat; jego oczy przesuwały się z jednej plastikowej figury na drugą. Cofnął wieżę. Drugi gracz odwrócił się i krzyknął:

– Hej! Dzięki za radę. Przyszła rychło w czas, dupku!

– Proszę bardzo – powiedział Solo.

– Co powiedziałeś? – zapytał gracz, wstając.

– Chodź, Roger – odezwał się Martin, wskazując rząd ławek i łapiąc Sola za rękaw. – Dajmy sobie spokój z tymi kretynami.

– Dobrze – powiedział Solo, dając się prowadzić do ławek. Po drodze Solo powiedział:

– Ten gracz machał ręką tak jak Szatan. Martin spojrzał na niego, kiwając głową.

– Wiem – mówił dalej Solo – że Szatan potrafi zmieniać postać. Ale trudno wyczuć, co się stało. Ten człowiek grał w szachy, podczas gdy Szatan wygrażał Bogu. Ale może on potrafi być w dwóch miejscach naraz?

Martin usiadł, kiwając głową.

– Oczywiście – powiedział znowu Solo – w świecie bóstw wszystko jest możliwe. Bóstwa nie podlegają prawom fizyki.

Solo usiadł ostrożnie, starając się nie wydać tego dźwięcznego odgłosu, przed którym ostrzegał go Padre Cerna. Pułkownik Dean Martin obserwował go dyskretnie. Już siedząc, Solo podniósł rękę do skroni i przekręcił sobie głowę, tak jak mu radził Justos.

– Na pewno jest ci w tym gorąco – powiedział Martin.

– Tak – przyznał Solo. – Ale lepiej być ostrożnym.

– Fakt. Nie można temu zaprzeczyć.

Martin rozejrzał się po parku, a potem nagle powiedział:

– Ohydnie tu.

Solo też się rozejrzał. Zauważył, że do konnego policjanta podjechał drugi. Obydwaj, siedząc wygodnie w siodłach, ucinali sobie pogawędkę.

– Ludzie są ohydni – powiedział Martin.

– Ohydni – zgodził się Solo, zastanawiając się, co Martin chce przez to powiedzieć.

– Popatrz na nich. Kąciki ust Martina opadły.

– Marnują swoje pieprzone życie. Włóczą się, ćpają, pieprzą. Myślisz, że jutro zaczną być *pożyteczni dla społeczeństwa?* – Martin pochylił się w stronę Sola. – O nie. Położą się gdzieś w przejściu, dadzą w gaz, a potem będą odsypiać. Ohyda.

Solo kiwnął głową. Oczywiście, przedstawiony obraz był ohydny.

Martin wskazał na siebie kciukiem.

– A ja? Ja, cholera, nie mam wyboru. Muszę się włączyć.

– Tak? – zapytał Solo.

– Tak, Roger. Straciłem wszystko. Czarny poniedziałek. Solo szybko sprawdził w swojej bibliotece tekstów. Już zawniczył w pamięci roczniki dzienników z ostatnich kilku lat, bo spodziewał się, że przydadzą mu się w rozmowach z mieszkańcami Nowego Jorku.

Okazało się teraz, że miał rację.

– Dziewiętnasty października 1987, tak?

– Tak. Straciłem wszystko. A problem w tym, że tylko to umiem: inwestować. Teraz nie mam pieniędzy. Muszę je jakoś zarobić w tym zasranym Zoo. Będąc na dnie w tym mieście, koleś, jest się *naprawdę na dnie*. Nie dają ci się od niego odbić. To dlatego noszę takie loki.

Staram się przystosować. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Solo. – Gdybyś miał pieniądze, mógłbyś je zainwestować i zarobić więcej pieniędzy.

– Tak, Roger, tak! – rozpromienił się Martin. – Potrzeba mi niewiele.

– Ja mam pieniądze – stwierdził Solo, poklepując się po wypukłej kieszeni.

– Ooo! – zainteresował się Martin. Solo sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zwitek banknotów, który dał mu Rodriguez.

– Mam dużo dolarów.

Solo zastanawiał się, czy nie trafia mu się przypadkiem dobra okazja. Może spotkał właśnie człowieka, który pomoże mu zarobić potrzebne pieniądze?

– O nie, Roger! Nie wezmę od ciebie ani grosza – Martin podniósł ręce obronnym gestem. –

Prawie cię nie znam. Solo przytaknął głową i przycisnął pieniądze do piersi.

– Oczywiście – dodał pośpiesznie Martin – gdybyś chciał zainwestować razem ze mną, to zrobilibyśmy majątek. Martin czekał na reakcję Sola, ale ten milczał.

– Bo widzisz, ja opracowuję *system*, o którym te naiwniaki nie mają pojęcia. Bo ja *orientuję* się, jak to wszystko działa tam, na Wall Street.

Solo kiwnął głową.

– Naiwniaki nie mają pojęcia o twoim systemie. To bardzo dobrze.

– To prawda, Roger. Ja byłem w tym dobry, naprawdę. Raz zainwestowałem dla jednego faceta tysiąc dolarów. A za sześć tygodni on miał z tego milion! Cały milion!

– A czy ten człowiek nie mógłby ci dać trochę pieniędzy, żeby ci pomóc?

Martin pokręcił powoli głową.

– W tym cała tragedia, Roger. On umarł parę miesięcy temu i te pieniądze ma teraz jego żona. A ona ma mnie za nic. Raz z nią rozmawiałem. Groziła mi pieprzoną policją. Taka jest ludzka wdzięczność.

Solo przeliczył banknoty.

– Mam dwieście siedemdziesiąt sześć dolarów. Posługując się twoim systemem, o którym naiwniacy nie mają pojęcia, można to pomnożyć i otrzymać ćwierć miliona dolarów. To jest ponad sto tysięcy dolarów dla każdego z nas. Dobrze mówię?

– Dobrze mówisz, Roger.

– Jak nazywał się ten twój wspólnik, który zarobił milion? – spytał Solo.

Martin wznosił oczy do nieba, zastanawiając się. Solo był tym zdziwiony. Wymyśla jakieś nazwisko – pomyślał.

– James Clark – powiedział Martin. – Tak, stary, poczciwy Jimmy.

– Kiedy on umarł? – pytał dalej Solo. Martin znów wznosił oczy do nieba.

– Jutro będzie dwa miesiące. Martin ze smutkiem pokiwał głową.

– Niejaki James Clark, wiek: osiemdziesiąt dziewięć lat, zamieszkały na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy pod numerem dziewięćset dwadzieścia, zmarł tydzień temu. To jedyny James Clark, jaki zmarł w ciągu ostatniego roku.

– Co?

Martin pokręcił szybko głową.

– Kłamiesz, pułkowniku.

Martin uśmiechnął się promiennie i kiwnął głową. A potem nagle wyciągnął rękę w stronę kieszeni Sola. Solo schwycił go mocno za przegub.

– Myślę, *pułkowniku*, że mimo twojej hojności nie zainwestuję razem z tobą.

Ścisnął przegub Martina. Ten skrzywił się. Solo zauważył, że wzrok Martina skupił się na czymś za

jego plecami. Wyczuł, że zbliżają się dwaj mężczyźni.

– Puść go – powiedział jeden z nich.

Solo rozpoznał głos jednego z grających w szachy. Odwrócił się i zobaczył, że wszyscy ludzie znajdujący się w tej części parku patrzą na nich. Wyglądało na to, że wpadł w pułapkę.

Wyprowadzenie w pole trzech ludzi na oczach tylu świadków byłoby nieostrożnością. Solo puścił więc ramię Martina.

– Dobry ruch, kolego – powiedział gracz w szachy, sięgając ponad ramieniem Sola i biorąc plik banknotów. Martin roześmiał się i zakaszał.

– Nie będziesz tego żałował, Roger. Ja to rozmnożę. Będzie z tego majątek.

Solo kiwnął głową.

– A więc jesteśmy współnikami.

– Wspólnikami!

Martin spojrzał na jednego ze swoich kumpli i wzruszył ramionami. A potem odwrócił się od Sola i uśmiechnął szeroko.

– Fajny z ciebie facet, Roger. Taka jest zasrana prawda. Złapał Sola za rękę i potrząsnął.

– Grabuła, współniku.

Spojrzał przez ramię na dwóch policjantów.

– A teraz, Roger, ja się stąd zmywam. Mam mnóstwo roboty i mnóstwo spraw do załatwienia. Cześć. Martin oddalił się wraz z dwoma kumplami.

– Gdzie odbiorę swoją część? – spytał Solo. Martin i gracz w szachy zatrzymali się i rozejrzeli wkoło.

Martin spojrzał na kumpla i wzruszył ramionami. A potem powiedział do Sola:

– A dlaczego nie tutaj? Tu, gdzie zawarliśmy umowę. Spotkamy się tu... powiedzmy za sześć tygodni. Dobra?

– Dobra – odpowiedział Solo.

Popatrzył w ślad za nimi, a oni, śmiejąc się, wyszli z parku. Solo pomyślał, że mógłby ich śledzić, dogonić i odebrać im pieniądze. Ale zaraz potem usłyszał sygnał ostrzegawczy z urządzenia monitorującego zasób energii. Zbliżał się do granicy dwudziestu pięciu procent. Nie miał więc za wiele czasu. Podniósł rurę energetyczną i pomyślał, że musi znaleźć narzędzia, za pomocą których ją

zreperuje, albo wypust elektryczny, do którego będzie mógł się podłączyć.

Wyszedł z parku i skierował się na zachód, w stronę Alei Ameryk.

Solo zobaczył człowieka leżącego na chodniku w cieniu zaparkowanego samochodu. Ukląkł obok niego i zapytał:

– Gdzie masz ranę?

– A? – burknął człowiek.

– Gdzie cię boli?

– W Nowym Jorku, dupku – wybełkotał leżący. Przekręcił głowę, starając się zobaczyć Sola.

Ten ruch wywołał u niego wymioty. Solo obserwował go, zastanawiając się, jaka choroba działa tak szybko, że powala człowieka na ulicy. Schwycił leżącego za ramię, chcąc pomóc mu wstać.

Mężczyzna splunął i odezwał się:

– Zostaw mnie w spokoju.

– Potrzebna ci pomoc lekarska – powiedział Solo. Mężczyzna zamrugnął, starając się skoncentrować wzrok na Solu.

– Muszę się napić – jęknął. – Masz drobne?

– Nie – odpowiedział Solo – ale mogę ci przynieść wody.

– Chcesz się ze mną pieprzyć? Ja...

Spróbował się podnieść, ale zaraz opadł na bruk.

– Pieprzyć się...

Solo przyjrzał mu się uważnie i doszedł do wniosku, że mężczyzna jest zamroczony – prawdopodobnie alkoholem.

– Powinieneś pójść gdzieś, gdzie jest ciepło, i odpocząć – powiedział. – Pomogę ci, jeżeli mi powiesz, gdzie mieszkasz.

– Mam gdzie iść? – wybełkotał mężczyzna. – Ja nie mam gdzie pójść.

– Może do hotelu? – zasugerował Solo. – Jest ich dużo...

– Ty idioto – warknął mężczyzna. Oczywiście – pomyślał Solo – on nie ma pieniędzy. Tak jak ja.

– Postaram się o pieniądze i przyniosę ci je – zaproponował.

– Świetnie – powiedział mężczyzna, wzdychając. – Poczekam na ciebie tutaj.

Solo wyprostował się i poszedł w stronę napisu „Citi Bank” widniejącego przy końcu ulicy.

Przez szklane drzwi usłyszał, jak komputer wypłaca gotówkę jakiemuś człowiekowi, który posługuje się kartą magnetyczną z prostym kodem. On sam nie potrzebował takiej karty.

Maszyna na pewno będzie zadowolona, że może dać pieniądze. Ruszył w stronę banku. Po przejściu trzydziestu stóp usłyszał:

– ...czarną maskę i lustrzane okulary. Podejrzany ma przy sobie metalową rurę i może okazać się niebezpieczny. Ostatnio widziano go, jak biegł wzdłuż Clinton Street, kierując się na zachód...

Usłyszawszy to, Solo natychmiast przelazł przez balustradę z kutego żelaza znajdującą się w ciemnym zakamarku przy budynku stojącym przy Waverly Place. Stał pod kamiennymi schodami i słuchał nadającego swój meldunek policjanta.

To ten konny policjant z parku – pomyślał. Miał radio. Na pewno mnie zapamiętał i widział, w którą stronę poszedłem. Wiedzą, gdzie mnie szukać. Solo usiadł na bruku pod tarasem jakiegoś domu – tak, żeby go nie było widać.

Coś, co uważał za kupę śmieci, coś, co leżało w kącie pod schodami, poruszyło się. Solo pochylił się w przód, ciekawy co to jest. Kupa papieru i szmat zaszeleściła. Wysunęła się z niej drobna ręka, schwyciła gazetę i wciągnęła ją do wnętrza kupy. Jakiś człowiek wije sobie gniazdo

– pomyślał Solo. Tuż obok kupy szmat i papierów Solo zobaczył dwie torby na zakupy wypełnione zgniecionymi aluminiowymi puszkami, złożonymi pudełkami i zwiniętymi ubraniami. Kiedy ten ktoś, kto był pod śmieciami, przestał na chwilę się ruszać. Solo po cichu wziął stojącą bliżej torbę i postawił ją przed sobą. Włożył rękę do środka, chcąc wyjąć sweter.

– No, no – rozległ się głos dobiegający z kupy śmieci. Solo spojrzął w tamtą stronę i zobaczył głowę kobiety wynurzającą się ze szmat i papierów.

– To *moje* miejsce – powiedziała kobieta. – A co ty tu robisz, do cholery?

– Chcę pożyczyć trochę ubrań – odpowiedział Solo.

– Pożyczyć? Uważasz mnie za wariatkę?

– Mogę się wymienić, dam ci coś, co mam na sobie w zamian za coś twojego – zaproponował Solo.

– Tak?

Kobieta usiadła i strzepnęła śmiecie, które przyczepiły jej się do włosów i płaszcza. Sięgnęła ręką do kieszeni i wyciągnęła butelkę zawierającą pół kwarty Souther Comfort, z której pociągnęła spory łyk.

– Dlaczego miałabym się z tobą zamieniać?

– Mam bardzo dobry nowy kombinezon – powiedział Solo. – I bardzo ładną czapkę z nadrukiem reklamowym „Chiquita Bananas”.

– Chiquita Bananas? – powtórzyła kobieta rozmarzona. Solo wręczył jej czapkę. Kobieta zamrugła, żeby lepiej widzieć i podniosła czapkę tak, że padało na nią światło latarni.

– Tak – powiedziała. – Chyba to widzę. Widzę mały rysunek. Jest na nim kobieta w spódniczce z trawy.

– Zgadza się. Tak – przytaknął Solo.

Kobieta kiwnęła głową, przełknęła jeszcze jeden łyk Southern Comfort i odstawiła butelkę.

Odgarnęła śmiecie i przyciągnęła do siebie drugą torbę. Włożyła rękę do środka i wyciągnęła błyszczącą plastikową torebkę damską. Otworzyła ją i wyjęła banknot jednodolarowy.

– Masz za nią dolara – powiedziała.

– Wolałbym wymienić ją na coś z ubrania – odrzekł Solo. – Naprawdę muszę się przebrać.

– Kretynie, weź pieniądze i kup sobie coś innego. Solo wziął banknot i wręczył kobiecie czapkę. A potem, pociągając kołnierz kombinezonu, spytał:

– Chcesz kupić i to?

Kobieta pochyliła się w przód i zmrużyła oczy, przyglądając się kombinezonowi.

Przeczytała napis wyhaftowany dużymi, wysokimi na cal literami:

– Roger? – powiedziała pytającym tonem.

– Tak. A ty? – spytał Solo.

Kobieta oparła się o ścianę, głowa jej się chwiała. Solo patrzył, jak próbuje skupić wzrok na jego twarzy. Czekał, aż rozważy jego pytanie.

– Laura – odrzekła wreszcie spokojnie. Zbadała dokładnie kombinezon Sola, macając materiał palcami.

– Laura Johnson-Reynolds – powiedziała niewyraźnie.

– Chyba potrzebne ci okulary, Lauro – stwierdził Solo.

– Pilnuj swojego pieprzonego nosa – odparowała szybko. – *Pieprzonego nosa* – dodała poprawiając się.

– Dobrze – zgodził się Solo. Laura gwałtownie pokiwała głową.

– Słuchaj, Roger, w tym są takie ogromne dziury. To są łachmany.

Powiedziawszy to, położyła się znowu. Solo wstał i rozpiął suwak kombinezonu.

– No, no – odezwała się Laura. – Niech ci nic takiego nie przychodzi do głowy. Ja mam przy sobie *broń* – dodała, sięgając za pazuchę.

– Nic takiego? – ucieszył się Solo. To, że kobieta podejrzewa go o takie rzeczy, znaczyło, że jego metoda się sprawdza.

– Muszę się pozbyć tego ubrania. Dam ci je.

– A potem co? – spytała Laura. – Będziesz paradował w stroju adamowym?

Zasłoniła oczy dłonią, ale podglądała przez rozcapierzone palce. Patrzyła, jak Solo pozbywa się kombinezonu. Mimo że nie widziała niczego wyraźnie i mimo że świat wirował jej przed oczami, była w stanie zauważyć, że ma on na sobie jeszcze coś, co nie jest ubraniem.

– Co masz na sobie? – spytała i wychyliła się w przód. Położyła rękę na ramieniu Sola i zaraz ją cofnęła.

– Jesteś cholernie gorący, Roger. I nic dziwnego. Masz na sobie jakąś plastikową skorupę czy coś.

– Tak – odrzekł Solo – dla ochrony.

Laura pokiwała głową ze zrozumieniem. Na jej twarzy pojawił się wyraz litości. Łzy popłynęły po policzkach. Znalazła bratnią duszę, znalazła kogoś, kto tak jak ona wie, że ten świat jest niebezpieczny.

– To dobry pomysł na życie w mieście. Jeżeli oczywiście nie ugotujesz się w tej skorupie – powiedziała, klepiąc Sola ostrożnie po ramieniu. – Ile?

– Ile za co?

– Za to – powiedziała Laura wskazując palcem. – Za to, co masz na sobie.

– Nie mogę tego sprzedać – odpowiedział Solo. Laura kiwnęła głową, otworzyła plastikową torebkę i wyjęła kilka banknotów.

– Dwadzieścia dolców? – zapytała, wyciągając do Sola rękę z dwoma banknotami.

– Nie – powiedział Solo – nie mogę tego sprzedać za żadną cenę.

Laura zmrużyła oczy i odliczyła więcej banknotów, starając się przy tym trzymać głowę prosto.

– Masz, to moja ostatnia oferta. Sto dolarów. Dobrze?

– Nie.

Laura westchnęła i włożyła pieniądze z powrotem do torebki. Wzięła butelkę, napiła się z niej i odstawiła.

Solo przyglądał się kobiecie; poczekał, aż skończy, a potem wyciągnął w jej stronę rurę energetyczną.

– Chciałabyś kupić to? Laura pochyliła się w przód.

– Rurę? Po co?

– To nie jest taka zwykła rura – powiedział Solo. – Kiedy się włoży jeden jej koniec do ognia, wytwarza się w niej prąd elektryczny. Teraz jest zepsuta, ale mogę ją wkrótce naprawić –

dodał pośpiesznie.

– Wkrótce? – powtórzyła miękko Laura. To słowo sprawiło, że się uśmiechnęła. Patrzyła na Sola, mrugając.

– Jesteś wykształcony, co?

– Tak. Chcesz ją kupić?

– Nie jest mi potrzebna. Prąd mam tam, na górze. Podniosła głowę i wskazała kierunek kciukiem. Solo też podniósł głowę.

– Mieszkasz tutaj? Laura kiwnęła głową.

– Tak.

Solo popatrzył najpierw na nią, a potem na jej dwie torby.

– Ja jestem tu obcy – powiedział. – Tam, skąd pochodzę, ludzie nie mają zwyczaju spać pod schodami. Śpią zwykle w domach, w łóżkach.

– Dlatego ja śpię *tutaj!*

Laura poklepała dłonią kupę śmieci.

Solo podśledzał, co nadawało radio:

– ...tak. Widziałem go tutaj, w parku. Przed dwudziestoma minutami. Szedł w kierunku Waverly...

Solo spojrział na Laurę, potem na latarnię uliczną, a potem znowu na Laurę.

– Co? – zapytał.

– Rabusie. Złodzieje. *Gwałciciele!* – zasyczała Laura. – Włamują się do domów. *Mordują.*

Kradną.

Uśmiechnęła się szelmowsko i zachichotała, przykrywając sobie usta dłonią. A potem pochyliła się ku Solowi i wyszeptała:

– Ale nigdy nie napadają na kloszardki...

Przerwała nagle.

Solo znalazł to słowo w słowniku: *Kloszardka, zaniedbana kobieta. Śpi byle gdzie, czasami w jakimś osłoniętym miejscu. Nierzadko alkoholiczka. Najcenniejsze swoje rzeczy nosi w torbach, które zawsze ma przy sobie.* To miało sens. Strategia Laury stała się nagle jasna i Solo popatrzył na nią z głębokim szacunkiem.

– Bardzo mądrze to sobie obmyślałaś – powiedział. – Złodzieje nie zadadzą sobie trudu, żeby cię niepokoić, bo wyglądasz na biedną. A w rzeczywistości masz pieniądze, *a także* dom. Bardzo mądrze robisz.

Laura przyjęła entuzjastyczne komplementy Sola jak coś w rodzaju mlaskania drapieżnika.

Podskoczył jej poziom adrenaliny, wskutek czego odzyskała zdolność klarownego myślenia.

Nigdy, przenigdy! Jakiś głos, głos, który wiedział, co się dzieje nawet wtedy, kiedy ona tego nie wiedziała, praktycznie jedyny głos, którego słuchała i z którym wiodła rozmowy – ten głos wołał: *Nigdy nikomu nie ufaj!* Po twarzy Laury popłynęły łzy. Kiwnęła głową.

– Robiłam. Bo to było mądre rozwiązanie – powiedziała tak cicho, że prawie nie było jej słychać. – Było. Wyciągnęła torebkę i podała ją Solowi.

– Nie rób tego, błagam. Solo był zdumiony.

– Ależ, Lauro, ja nie mam zamiaru cię krzywdzić. Tuż obok przejechał ze świstem samochód policyjny, jego czerwone i niebieskie światła błyskały, wytwarzając atmosferę podniecenia.

Laura wpatrywała się w Sola, który śledził samochód.

W jego głosie brzmiała taka szczerłość.

– Więc *czego* chcesz?

– Ubrania na zmianę – odpowiedział.

– Ubrania na zmianę? Po co ci ono?

– Policja jest zdania, że kogoś obrabowałem – wyjaśnił Solo. – Szukają kogoś ubranego tak jak ja.

– Ty nikogo nie obrabowałeś – stwierdziła Laura, kręcąc głową. – Ja wiem, że nie.

Laura przypomniała sobie, że kiedyś, dawno temu знаła przyzwoitych ludzi. Ten człowiek, Roger, był jednym z nich. Podobał jej się. A przede wszystkim podobało jej się to, że może *rozmawiać* z kimś, kto nie jest bezustannie gadającym, strofującym ją głosem żyjącym w jej umyśle.

– Oczywiście, że nikogo nie obrabowałem – powiedział Solo. – To było nieporozumienie, takie jak to, które nastąpiło między nami. Ten człowiek zaproponował mi pieniądze, a ja uznałem, że to prezent. On pomyślał, że jestem złodziejem, ale ja...

Laura podniosła rękę.

– Nie interesuje mnie to ani trochę, Roger. – Uśmiechnęła się. – Gdybyś miał zamiar mnie wykończyć, już byś to zrobił. Po jej twarzy spływały łzy.

– Mam w domu mnóstwo męskich rzeczy – powiedziała cicho. – To rzeczy mojego męża.

Był prawie tak wysoki jak ty.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej klucze na kółku. Chciała wstać, ale upadła z powrotem na kupę śmieci. Solo wyciągnął do niej rękę, a ona kiwnęła głową, schwyciła ją i podciągnęła się w górę. Długo majstrowała przy dziurce, ale wreszcie trafiła do niej kluczem. Przekręciła klucz i Solo usłyszał zgrzyt zamka. Pomrukując, Laura otworzyła drzwi. Dała Solowi znak, żeby szedł

za nią, i weszła do ciemnej sutereny.

– Chodź, chodź – syczała z ciemnej otchłani. – Nie mogę zapalić tego cholernego światła, dopóki nie zamknę tych przeklętych drzwi.

Solo poszedł za nią. Stał w suterenie i obserwował, jak Laura zamyka drzwi. Jej sylwetka w podczerwieni wydawała się postrzępiona. Szukając kontaktu, straciła równowagę i omal nie przewróciła się. Solo schwycił ją i podtrzymał, a ona, macając ścianę, znalazła wreszcie wyłącznik.

Podłużna świetlówka ożyła. Światło zalało piwnicę. Lampa buczała monotennie. Solo poczuł na skórze drganie światła. Laura, która w oświetlonym pomieszczeniu była w stanie utrzymać równowagę, zasunęła ogromną zasuwę w stalowych drzwiach.

Odwróciwszy się, Solo zobaczył stosy tekturowych pudeł leżące w długich rzędach.

Piętrzyły się prawie pod sufit. Jedno z pudeł było otwarte – zawierało książki. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się długa lada zarzucona różnymi narzędziami. Było też mnóstwo próżniowych lamp elektronowych, tranzystorów, oporników, dostrajaczy i zwojów różnokolorowych przewodów ze starych odbiorników telewizyjnych i radiowych.

Solo podszedł do lady i wziął z niej lutownicę.

– To męża – wymamrotała Laura, opadając na skrzynkę stojącą za nim i sięgając po butelkę.

Solo starł jakąś szmatą kurz z ekranu oscyloskopu.

– Twój mąż był inżynierem elektrykiem?

Laura pokręciła głową i upuściła butelkę na podłogę. Solo obserwował ją. Laura zamknęła oczy i przechyliła się w przód. Solo złapał ją, wziął na ręce i zaniósł po schodach na górę.

Na drugi dzień rano Solo przyglądał się uważnie Laurze przewracającej się na łóżku. Kiedy uznał, że się budzi, podszedł do okna i podniósł rolety.

Laura otworzyła oczy, zamrugła i zobaczyła jego kanciasty cień przesłaniający okno.

Krzyknęła.

– Trzymam się z daleka – powiedział pospiesznie Solo. – Nie zbliżę się do ciebie.

Jego głos wydał się Laurze jakby znajomy.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała bez tchu.

Jej oczy były szeroko otwarte z przerażenia. Wyciągnęła rękę i zaczęła nerwowo szukać czegoś w bałaganie na szafce nocnej. Znalazła okulary i włożyła je na nos. Zamarła na widok bardzo wysokiego, potężnego mężczyzny bez twarzy, stojącego przy oknie.

– Ty sama mnie wprowadziłaś przez suterенę. Przypuszczam, że byłaś pijana i tego nie pamiętasz.

Laura uważnie przyglądała się intruzowi. Strach walczył w niej z potrzebą wiary w to, że jest bezpieczna. Mężczyzna stał spokojnie, zgodnie z obietnicą. Jego głos też był spokojny. I brzmiał

szczerze.

Solo sprawdził pola elektryczne Laury, puls, oddychanie. Odpręża się – pomyślał.

– No tak – odezwała się w końcu Laura. – Nie pierwszy raz byłam tak pijana.

Pokręciła głową i zrobiła głęboki wdech.

– Wpuściłam cię, to cię wypuszczę. Ale teraz powiedz, po jaką cholere nosisz tę idiotyczną maskę. Solo postukał się palcami w głowę.

– To pancerz ochronny. Wczoraj chciałaś go kupić.

– Chciałam kupić twój pancerz?

– Tak – odrzekł Solo. – Proponowałaś mi sto dolarów. Laura pokręciła głową i usiadła.

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– Jestem naga! – krzyknęła, przykrywając się po szyję.

– Tak. To ja cię rozebrałem. Uważałem, że tak będzie ci wygodniej.

Laura zaczęła płakać.

Solo patrzył na nią zaintrygowany. W chwilę później zdał sobie sprawę, że ona musi przypuszczać, że się kochali. Wprawilo go to w dobry humor. Ona uważa, że jestem człowiekiem – pomyślał.

– Nie wykorzystałem cię – zapewnił ją.

– Naprawdę? – spytała Laura ostrożnie. Pociągnęła nosem i wytarła go o własne ramię.

– Naprawdę. Ja nie jestem taki – odpowiedział Solo.

– No to jesteś człowiekiem niezwykłym – powiedziała Laura, kręcąc głową. – O Boże, potrzebna mi aspiryna i dobra kawa. Wyjdź, bo chcę się ubrać.

– Dobrze – powiedział Solo. – Poczekam na zewnątrz. Laura odprowadziła wychodzącego Sola wzrokiem. Solo zamknął za sobą drzwi.

Laura zeszła powoli do sutereny, gdzie zobaczyła Sola wkładającego stalową rurę w imadło.

Wpatrywała się w pozbawioną rysów twarz, w lustrzane osłony oczu i zastanawiała się. Czy mogłam aż tak się upić?

– A, tutaj jesteś – powiedziała, zatrzymując się u podnóża schodów. – Szukałam cię wszędzie.

– Próbuję ją zreperować – powiedział Solo, wskazując swoją rurę energetyczną. – Jest bardzo

skorodowana.

Zauważył, że Laura ma na sobie te same rzeczy, w które ubrana była poprzedniej nocy.

Brakowało jej tylko płaszcz. Włosy miała raczej w nieładzie.

– Aha. A co to takiego?

– Przenośny generator – wyjaśnił Solo. – Mówiłem ci wczoraj wieczorem.

Laura kiwnęła głową.

– Wierzę ci. Ale to dla mnie coś nowego, bo nie pamiętam, co się działo wczoraj.

– Rozumiem. Zaprosiłaś mnie tutaj, żebym przymierzył ubrania twojego męża, bo muszę się w coś przebrać. Wspomniałaś mi o mężu. Mówiłaś, że nie był inżynierem.

– Nie – powiedziała Laura spokojnie. – Frank wykładał filozofię. Na Uniwersytecie Nowojorskim. I religie Wschodu. Kiedy odziedziczyliśmy ten dom, uznaliśmy się za szczęściarzy. Frank bawił się urządzeniami elektronicznymi. Budował różne rzeczy. Radia.

I chyba komputer.

Przez chwilę patrzyła na podłogę, po czym powiedziała:

– Idę na górę. Umrę, jeżeli nie napiję się kawy. Przeszła między rzędami pudeł. W połowie schodów zatrzymała się i spojrzała na Sola stojącego przy warsztacie.

– Wiesz, Roger – powiedziała – w tym pancerzu wyglądasz jak robot.

Solo spojrzał na nią.

– Wiem – odrzekł. – To nieuniknione. Laura czekała, miała nadzieję, że Solo powie coś więcej. Ale nic takiego nie nastąpiło. Laura wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, Roger. Dotrzymam obietnicy, dam ci ubranie. A później sobie pójdziesz, dobrze?

Chodź na górę. Wleję w siebie filiżankę kawy.

Solo położył rurę energetyczną na ladzie wśród różnych elementów elektronicznych.

– Dobrze – powiedział i poszedł w stronę Laury. Wskazał rzędy pudeł.

– To wszystko są książki? – zapytał.

– Tak. To książki Franka. Na górze jest ich więcej. Tutaj są czasopisma techniczne i podobne *rzeczy*. Ciągłe myślę, że można by je komuś sprzedać, tylko że...

Laura westchnęła, kręcąc głową.

– ... brak mi energii.

Doszedłszy do schodów. Solo zauważył Izę spływającą po policzku Laury.

– A poza tym chyba nie chcę się tego wszystkiego pozbywać.

Laura odwróciła się, poszła schodami w górę, a potem otworzyła drzwi.

– W kuchni jest straszny bałagan – uprzedziła. – Nie zwracaj na to uwagi.

Solo zobaczył zlew pełen talerzy, a także otwarte puszki po spaghetti z sosem i mięsem, po duszonej wołowinie Van Campa i po coca-coli, wysypujące się z plastikowego pojemnika na śmiecie stojącego w kącie. Okno było zamknięte, z czego wydedukował, że w kuchni śmierdzi.

Nie wiedział, czy kuchnia ta odbiega od normy czy nie, bo jedyne kuchnie, jakie widział, były w Las Cruzas. Tamte kuchnie są zupełnie inne – pomyślał, mając przed oczami obraz czerwonych glinianych garnków wiszących nad otwartymi paleniskami. Tutaj nie ma miejsca na palenisko.

Solo poszedł za Laurą przez zakurzony dom. Kiedy tak szli, pod dywanami trzeszczało drzewo. Przeszli przez pomieszczenie, które Laura nazwała salonem. Solo zobaczył białą płachtę leżącą na środku dywanu.

Weszli po schodach na pierwsze piętro. Laura wskazała drzwi w korytarzu.

– Tu jest łazienka, na wypadek gdybyś jej potrzebował. Przechodząc przez drzwi, Solo schylił głowę. Obok lustra zobaczył kontakt elektryczny. Mimo że spędził noc przy łóżku Laury, ładując swoje akumulatory, udało mu się je naładować tylko w piętnastu procentach.

– Dzięki – powiedział, a potem poszli dalej korytarzem. Laura przystanęła przed otwartymi drzwiami pomieszczenia będącego kiedyś pokojem jej męża.

– Jest tutaj schowek na ubrania Franka. Od czasu kiedy umarł, nie ruszałam niczego. To też będę musiała kiedyś sprzedać.

Podeszła do krzesła stojącego przy oknie zasłoniętym okiennicami i opadła na nie.

– Nie krępuj się, przejrzyj wszystko.

Solo wszedł do garderoby. Marynarki, kurtki, koszule i spodnie wisały w dwóch długich rzędach. Co najmniej dwanaście par butów stało na półce pod spodem. Solo zdjął z wieszaka koszulę i podniósł ją, do góry. Laura miała rację. Te ubrania będą na niego pasowały. Wszedł

z garderoby z koszulą w rękach.

– Mogę ją włożyć?

– Oczywiście – powiedziała Laura, machając ręką. – Przecież ci powiedziałam. Bierz, co chcesz.

Solo włożył koszulę, hawajską koszulę podobną do tej, którą nosił Bill. Laura roześmiała się.

– To najbrzydsza koszula Franka – powiedziała. – Kupił ją kiedyś podczas wakacji.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie i pokiwała głową. Jej oczy patrzyły w przestrzeń.

Zamrugła i spojrzała na Sola, kiedy on zapiął już guziki. Co za widok.

– Dziwnie wyglądasz, gdy tak stoisz w samej koszuli. Jakbyś był nagi. Włóż jakieś spodnie.

Piętnaście minut później Solo stał przed lustrem, oceniając własny wygląd. Miał na sobie koszulę w kwiaty, wyrzuconą na białe przymarszczone w pasie bawełniane spodnie, i słomkowy kapelusz ozdobiony wstążką, kupiony przez Franka na Bermudach.

– Świetnie – powiedziała Laura – wszystko leży na tobie jak ulał. Wyglądasz na kolumbijskiego handlarza koką.

– Tak – zgodził się Solo.

W jego mózgu brzęczał alarm informujący o rychłym wyczerpaniu się akumulatorów.

– Słuchaj, Lauro – powiedział – czy mogę wejść na chwilę do twojego pokoju kąpielowego?

Laura popatrzyła na niego pytająco.

– Chcesz do łazienki?

– Tak – odpowiedział Solo – chcę do łazienki. Nastąpiła długa cisza.

– Dobrze, Roger – odezwała się wreszcie Laura. – Ufam ci. Nie wiem dlaczego, ale ci ufam.

Od dwóch lat nikt mnie w tym domu nie odwiedzał. Ty jesteś pierwszy. Bo jesteś kimś wyjątkowym.

Przerwała na chwilę. – No tak... – głos zaczął jej drżeć. Cholera, pomyślała, nie mogę się rozklejać na oczach tego obcego. – Nie było tu nikogo od...

Wzięła dwa głębokie oddechy i dopiero wtedy była w stanie mówić dalej:

– ... no, przez pewien czas – powiedziała spokojnie. – Ale proszę – wskazała ręką drzwi – idź do łazienki. A ja tymczasem zaparzę kawę.

Laura opadła na krzesło i dała mu znak ręką, żeby odszedł.

Zapatrzyła się w przestrzeń, była skupiona na własnych myślach. Solo poszedł do łazienki.

Zamknął klapę na klozecie i usiadł na nim. Wetknął końcówkę przewodu do kontaktu i poczuł przyjemne mrowienie – wstępowała w niego energia. Przez drzwi zobaczył

podczerwony obraz Laury przechodzącej korytarzem. Usłyszał, że poszła na dół. Po kilku minutach Solo odkręcił wodę, mając nadzieję, że jej szum stworzy wrażenie, że on się kąpie. Pół

godziny później akumulatory miał naładowane. Z pewnym niepokojem zdał sobie jednak sprawę, że okres ich działania się kończy. Trudno było obliczyć dokładnie, ale zdawało mu się, że może je naładować jeszcze dwanaście razy. I za każdym razem będą działały krócej. A potem trzeba będzie je wymienić. Akumulatory tego typu, srebrno-cynkowe, były lekkie i gromadziły dużo energii, jednak okres ich trwałości był o wiele krótszy niż okres trwałości akumulatorów kwasowych. Wtedy, kiedy Solo miał do dyspozycji zespół obsługujący, nie było to takie ważne.

Ale teraz miało znaczenie.

Solo szedł korytarzem w stronę, z której dochodził szum wody płynącej z kranu. Laura była w łazience, przy drugiej sypialni. Dostrzegł jej sylwetkę poruszającą się pod prysznicem i poszedł zwiedzić pozostałą część domu.

Wszedł jeszcze raz do pokoju Franka. Pokój ten obudowany był regałami pełnymi książek.

Na staromodnym biurku z żaluzjowym zamknięciem stał komputer marki Macintosh. Wokół

biurka leżały stosy książek i czasopism. Luźne kartki papieru, listy i wycinki z gazet porozrzucone były jak. Wszystko pokrywał od dawna nie sprzątnany kurz.

Solo przyjrzał się regałom z książkami. Nawet w markecie nie widział ich tyle. Zdjął z półki *Dziela wszystkie* Szekspira i zaczął je przeglądać. Znalazł tam wiele słów, które były mu nieznane. U dołu każdej strony widniały przypisy wyjaśniające znaczenie tych z nich, które zostały zaznaczone w tekście. Słowa te zostały napisane ponad trzysta lat temu. Od tego czasu język musiał się zmienić – pomyślał Solo. Sam, będąc do niedawna jedyną istotą w swoim rodzaju, żył dopiero nieco ponad trzy lata. Ostatnio pojawił się Nemrod. Historia ich obu razem wziętych trwała krócej niż cztery lata.

Solo przez kilka minut zaznajamiał się z archaizmami, a potem, w dwie minuty, przeczytał

Romea i Julię. Zamknął książkę ze smutkiem. Odłożył ją na półkę, dziwiąc się postępowaniu ludzi, po czym usłyszał głos Laury:

– Ależ z ciebie numer, Roger. Szkoda, że nie możesz zobaczyć sam siebie – jak tak stoisz w tym plastikowym pancerzu i czytasz Szekspira.

– To smutne – powiedział Solo, odwracając się. Laura pociągnęła łyk kawy z parującej filiżanki.

– Co jest smutne? Twoje myśli czy to, co napisał Szekspir? Solo zauważył, że teraz Laura wygląda inaczej. Miała na sobie długi, sięgający ziemi szlafrok i głowę owiniętą ręcznikiem. Jej cera też się zmieniła: z szarej stała się różowa i nakrapiana piegami. Pod oczami jednak pozostały ciemne worki.

– Romeo i Julia. Umarli z miłości.

– Lepiej umrzeć z miłości niż bez powodu – powiedziała Laura.

– Wyglądasz teraz inaczej – stwierdził Solo. Laura uśmiechnęła się.

– To była moja pierwsza kąpiel od kilku miesięcy. Solo nie wiedział, czy jest w tym coś niezwykłego. W Las Cruzas ludzie myli się szmatami w deszczówce zbieranej do wiader. Robili to niezbyt często.

– Tak? – zapytał.

– Wiesz, muszę ci coś powiedzieć. Nie boję się ciebie. Dzięki tobie poczułam się na tyle bezpieczna, że weszłam do własnej łazienki. Ciągłe myślę, że oni wrócą. To zupełnie jak w *Psycho*, wiesz? Facet może wejść z nożem.

– Tak – powiedział Solo. – Znam ten film. To przerażające jak kruche są istoty ludzkie...

– Rzeczywiście – zgodziła się Laura. – I do jakiego stopnia mogą stracić rozum. Teraz, widząc Anthony'ego Perkinsa, zawsze się boję. A on przecież tylko grał.

Solo był zaskoczony tym, co zrobił. Powiedział „istoty ludzkie” w taki sposób, że można by go wziąć za kogoś, kto nie jest istotą ludzką. Laura tego nie zauważyła, lecz było to niezręczne.

– Tak, grał.

Solo znów spojrzał na książkę.

– Wydaje mi się, że aktor musi mieć w sobie coś z tego człowieka, którego gra.

Laura uśmiechnęła się szeroko.

– Tak mówił Frank!

Usiadła w skórzanym fotelu i popatrzyła na Sola.

– Usiądź! Chcę cię o coś zapytać. Solo odsunął od biurka krzesło na kółkach i usiadł.

Krzesło zatrzeszczało złowrogo pod jego ciężarem.

– Ooo! Ciężki z ciebie chłop – powiedziała Laura. – I silny. Założę się, że bardzo silny.

– Tak, jestem bardzo silny – przyznał Solo.

– Tak myślałam.

Przerwała na chwilę, a potem powiedziała:

– Słuchaj, Roger, wiem, że byłam... no, że byłam brudna... i że śmierdziałam, no i... tak, byłam też pijana. Cholera, zwariować można. – Tu znowu przerwała. – No więc, słuchaj –

mówiła dalej. – Nie mogę ci zapłacić. Jedyne, co mogę ci zaproponować, to mieszkanie i wyżywienie... Ale... czy zgodziłbyś się zostać ze mną na jakiś czas?

Laura czekała, oczy miała szeroko otwarte, gdy tymczasem Solo w milczeniu wpatrywał się w nią.

– Ja naprawdę nie znoszę budzić się tam na ulicy... i tak się boję...

– Że oni wrócą? – dokończył Solo.

– Rozumiesz to? – spytała, a po policzkach popłynęły jej łzy.

– Kto to są ci oni? – spytał Solo.

Laura wytarła sobie twarz rękawem szlafroka.

– To są... – zaczęła, pociągając nosem i rozglądając się po pokoju. – To są... No, właściwie nie wiem, kim oni są. Nigdy ich nie widziałam, ani przedtem ani potem... Na twarze mieli naciągnięte pończochy... Byli ciemni, mieli wąsy i mówili dziwnym akcentem. Byli w domu, kiedy my... kiedy Frank i ja wróciliśmy z teatru. Kradli. Zobaczyliśmy ich w salonie... zabrali trochę biżuterii, nie za wiele. Nie miałam jej dużo.

– Złodzieje – powiedział Solo. – To wielki wstrząs, kiedy człowiekowi zabierają to, co do niego należy.

– To nie byli zwykli złodzieje. Złodziei potrafię zrozumieć. Znam ludzi, którzy nie mają niczego. Zupełnie niczego. Mają coś wtedy, gdy zabiorą innym. Ja to jestem w stanie zrozumieć.

To źle, kiedy ktoś kradnie, ale czasami, no, czasami to nieuniknione. Ale ci nie byli tylko złodziejami. Oni byli...

Laura przełknęła głośno i znowu otarła sobie twarz.

Solo zauważył gwałtowne zmiany w jej polach elektrycznych. Oddychała dwa razy szybciej niż zwykle. Jej puls wynosił sto dwadzieścia. Była w ogromnym stresie. Solo chciał powiedzieć coś na pocieszenie, ale nie wiedział, jak się to robi.

Laura odchrząknęła i wyprostowała się. Zapomniała, że Solo jest kimś obcym.

– To były bestie.

Przerwała i zdawała się zbierać siły do ostatniego sprintu przed końcem emocjonalnego maratonu.

– Zgwałcili mnie na oczach Franka, a potem go zastrzelili – wyrzuciła z siebie głosem łamiącym się histerycznie; wydawało się, że brak jej tchu.

Solo poczuł ukłucie bólu. Sam był przecież świadkiem takiego wydarzenia. Patrzył

bezzradnie, jak gwałcono Agełę. Wezbrał w nim gniew.

Laura wciąż siedziała sztywno, wyprostowana. Głowę trzymała jak ktoś, kto nie chce zanurzyć się pod wodę. Po twarzy płynęły jej łzy. Głos jej drżał i łamał się. Szlochała. Szlochała, ale mówiła dalej.

– Wymyślali Frankowi... śmiali się z niego, robiąc to po kolei ze mną. Śmiali się, kiedy Frank... kiedy Frank krzyczał, że będzie ich ścigał... że pójdzie za nimi na koniec świata... że ich złapie i zabije... Frank szalał z gniewu i żalu... a oni śmiali się... śmiali się i wtedy, gdy jeden z nich... taki potężny... strzelił mu w brzuch. Śmiali się z jego miny. A on patrzył na mnie... bez słowa zęgnął się ze mną... zęgnął się spojrzeniem i wtedy ten duży strzelił mu w twarz.

Laura przerwała, odetchnęła i dodała już spokojnie:

– Strzelił mu w twarz, a potem odwrócił się do mnie, roześmiał się i powiedział: „Miłych snów, cipciu”. A potem wszyscy wyszli...

Laura spojrzała na Sola, mrugając niewidzącymi oczami, skupiona na tym, o czym mówiła.

– Przyczołgałam się do Franka... leżał na plecach w salonie... spojrzałam na jego twarz.

Krew wsiąkała w dywan... Robiła się plama nie do wywabienia. Płakałam i mówiłam mu jak mi przykro... jak bardzo mi go żal, bo przecież to musiało mu sprawić wielki ból. Położyłam się obok niego... objęłam go ramieniem... i czułam jak sperma tych skurwysynów wypływa ze mnie.

A tymczasem Frank stygł. To był dla mnie koniec świata.

Solo patrzył na Laurę. Miała zarumienione policzki. Na jej twarzy pojawił się grymas skrzywdzonego dziecka. Zerwała ręcznik z głowy, pochyliła się, chowając w nim twarz, i rozpłakała się. Solo często marzył o tym, żeby mieć zdolność do płaczu. Łzy najwyraźniej pomagały ludziom uporać się z wielkim smutkiem. W nim, pod wpływem stresu wytworzonego przez opowiadanie, pojawił się gniew. Solo pragnął zabić tych ludzi, tak jak zabił tych, co zgwałcili Agełę. Może wynikało to z jego treningu? A może w jego naturze, podobnie jak w naturze ludzi, leżało zabijanie?

Po kilku minutach Laura podniosła głowę i spojrzała na Sola. Oczy miała zapuchnięte, ale w jej twarzy był spokój.

– Przepraszam.

Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się.

– O Jezu! Od ponad roku z nikim o tym nie rozmawiałam. Rozumiesz teraz, dlaczego chcę, żebyś ze mną mieszkał? Gdyby oni wrócili, mógłbyś... gdybyś chciał...

– Zabiłbym ich – powiedział Solo.

Laura uśmiechnęła się.

Solo popatrzył na nią uważnie. Laura zaakceptowała go, ufała mu całkowicie, a on ją oszukiwał. Nieujawnianie własnej tożsamości to dobra strategia – przypomniał sobie. No tak, ale jest to równocześnie niezręczne i mylące. No, a poza tym przydałby mu się wspólnik, zwłaszcza taki, który ma dom.

– Zostanę – powiedział. – Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? Jesteś może Ted Bundy?

– Wielokrotny morderca? Nie. To, co mam d do powiedzenia, wyda ci się pewnie dziwne.

Laura patrzyła na niego ze zrozumieniem.

– Po pierwsze nie mam na imię Roger. Nazywam się Solo.

– Solo? – powtórzyła Laura. – Po prostu Solo? W mieście pełno jest takich ludzi – pomyślała.

– Masz zamiar zaczepić się w showbiznesie, tak?

– Nie, ja naprawdę mam tylko jedno imię. Ludzie, którzy mnie skonstruowali, nazwali mnie Solo, bo potrafię działać sam, bez niczyjej pomocy.

– Którzy cię *skonstruowali*?

– Tylko się nie denerwuj.

Laura zaczęła kiwać głową. Kiwała zbyt długo – Solo zorientował się, że rzeczywiście jest zdenerwowana. Nie odrywała od niego wzroku.

– Wczoraj w nocy zaufałaś mi, bo dostrzegłaś we mnie bratnią duszę, tak jak ty mierzącą się z niebezpiecznym światem. Dostrzegłaś we mnie człowieka, który zna prawdę i chowa się w pancerzu. Uznałaś, że go dobrze rozumiesz, bo wiesz, jakie straszne rzeczy mogą spotkać człowieka wtedy, gdy on najmniej się tego spodziewa.

– Byłam pijana, Solo. Ale masz rację. Podoba mi się ten pomysł. Wygląda na to, że w takim pancerzu człowiek naprawdę jest bezpieczny, ale ja nie będę nic takiego nosiła. Zresztą w takiej zbroi na pewno miałabym trudności z chodzeniem.

Solo postukał palcami we własne udo, które wydało dźwięczny odgłos.

– To nie jest moje ubranie – powiedział i zmienił głos tak, że nie brzmiał już jak dobiegający z wnętrza zbroi. – To jest moja skóra.

Laura otworzyła szeroko oczy.

– To ty jesteś robotem! Solo kiwnął głową.

– Co za cholerna ulga! – roześmiała się Laura. – Nie jesteś jakimś biednym kretynem zakutym w tę zbroję.

Laura wstała i przeczesła wilgotne włosy palcami.

– Szkoda, że Frank tego nie widzi – powiedziała szybko. – Uwielbiał mówić o sztucznej inteligencji, o tym, że kiedyś będą istniały rzeczy takie... Ojej, przepraszam! Nie *rzeczy*. Tylko, tylko... mechaniczne osoby?

Solo wzruszył ramionami.

– Tak, to dobre określenie. Trochę niezręczne, jak określenie „osoba biologiczna”, kiedy mowa o tobie. Ale różnicę trzeba jakoś zaznaczyć.

– Nie mogę w to uwierzyć. Skąd jesteś? Zresztą nieważne. I tak już cię nie złapią – Laura zachichotała. – Frank dałby wszystko, żeby móc to zobaczyć. Ciągłe kłócił się z Danem, z Danem Fine, też filozofem. Dan twierdził, że zrobienie czegoś, to znaczy kogoś takiego jak ty, nigdy nie będzie możliwe. A tymczasem, proszę, Frank miał rację – uśmiechnęła się szeroko. –

Był taki zdolny.

– Teraz potwierdziło się to, co mówił. Ale nie wolno ci o tym mówić. Nikomu. Nawet Danowi.

– A tam, pieprzę Dana. W porządku. Wiem. Ważne jest, że Frank miał rację. A ty zamieszkas z mną, prawda? – spytała, uśmiechając się do Sola.

– Tak. Miło mi będzie zamieszkać z tobą. Twarz Laury wyglądała teraz ślicznie. Jej zadowolenie udzieliło się i jemu.

– To niezbyt poważne, naprawdę – powiedział technik Charles Dell – ale miałem meldować o każdym, nawet najmniejszym problemie.

– Tak. Dobrze, Dell.

Komandor Brooks siedział przy biurku w nowojorskim biurze Departamentu Monitoringu Strategicznego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. DMS starał się kontrolować rozmowy telefoniczne, transmisje radiowe i połączenia satelitarne wszystkich przedstawicielstw rządowych mających swoje siedziby w Nowym Jorku, czyli przedstawicielstw rządów tych krajów świata, które mogły sobie pozwolić na zapłacenie nowojorskiego czynszu. Departament był miejscem, gdzie się wiele działo. Brooks bywał tu rzadko gościem, działał kierując się intuicją. Wprowadził go admirał Finch.

Wydruk przyniesiony przez Della zdawał się dowodzić, że ktoś spoza agend rządowych, a w każdym razie ktoś nieupoważniony, nawiązuje łączność z systemem Keyhole, co wydawało się niemożliwe, a w każdym razie bardzo mało prawdopodobne. Ten ktoś znał kody umożliwiające dostęp do dedykowanych linii Sunnyvale – naziemnej stacji mającej połączenie z systemem Milstar. Brooks pomyślał, że musi to być albo jakiś nowy użytkownik, który pieprzy robotę, albo Solo. Zauważył, że Dell stoi obok, patrząc na niego z wyrazem gorliwości na twarzy.

– To pewnie ktoś nowy – powiedział. – Ale przyjrzę się temu. Dzięki, Dell.

– Świetnie – odrzekł Dell. – Fakt, że nic takiego się nie działo aż do dnia kiedy zmieniliśmy protokoły, spowodował, że to zauważyłem.

– Do kogoś to widocznie nie dotarło. Sprawdzę to. Koścista twarz Brooksa miała drapieżny wygląd. Taki wyraz nadawały jej oczy patrzące groźnie w sposób, w jaki spoglądają drapieżne ptaki. Patrzył na Della, pragnąc, żeby ten wreszcie wyszedł. W myśli zastawiał już pułapkę i Dell przeszkadzał mu w tym.

– Mieliśmy zebranie. Wszyscy technicy, kierownictwo...

– Wiem – Brooks energicznie kiwnął głową.

– Mnie się wydaje, że to musi być ktoś spoza DMS. Dell prześwietlał Brooksa wzrokiem, ale ten w milczeniu odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Przez chwilę Dell czekał na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła.

– Gdyby to był ktoś z DMS, musiałby być kompletnym kretynem.

Ten facet jest jak kleszcz – pomyślał Brooks.

– Słuchajcie, Dell – powiedział – z tego, co mi tu pokazujecie – wskazał wydruk – można wywnioskować, że ktoś zapomniał wprowadzić zasraną gwiazdkę przy wymianie potwierdzeń.

Albo mogło to nawet być jakieś duże zakłócenie w naszym własnym komputerze, czy też pasożytnicze wejście z jakiegoś produkującego zakłócone sygnały klawisza nieinteligentnego terminalu.

– Możliwe – zgodził się Dell. – Nie pomyślałem o tym... przy tym ciągłym gadaniu o szpiegach...

– Tak. Szpiedzy. Powiem wam coś, Dell. Wracajcie na swoje stanowisko pracy i pracujcie dalej. A ja się tym zajmę. Dobra?

Brooks był cały spięty – jak myśliwy, który już widzi zwierzynę.

– To mógłby być szpieg. Szpieg pracujący w DMS.

– Słuchajcie – przerwał Dellowi Brooks. Dell zobaczył, że Brookswi chodzą szczęli.

– Tak?

– Wracajcie do pracy.

– Tak jest. Przepraszam. Chciałem tylko pomóc. Wiem, że ma pan ciężką pracę. Te wszystkie...

Dell przerwał, bo zauważył, że Brooks zamknął oczy.

– No tak – powiedział. – Muszę wracać do roboty.

Brooks kiwnął głową, nie otwierając oczu. Kiedy Dell się oddalił, przyjrzał się wydrukowi.

Od razu zauważył: to nie była robota kogoś *siedzącego w środku*. Ten facet informował system, że jest generałem armii z Georgii nazwiskiem Wickman (postać autentyczna) i znał kod identyfikujący i hasło tego generała. Z wydruku wynikało, że Wickman zażądał przesłania jakiegoś bloku danych operacyjnych za pośrednictwem Satelitarnego Systemu Transmisji Danych w Sunnyvale, ale, jak zauważył Dell, posłużył się starym formatem, o którym prawdziwy Wickman – albo przynajmniej jego technik – musiał wiedzieć, że został zmieniony.

Komputer zaakceptował żądanie, bo kody były właściwe, ale opatrzył go znaczkiem sygnalizującym błąd. Kody solidne jak skała. Nie do rozszyfrowania. Nawet Sowieci posługujący się dwoma przesznułowymi superkomputerami firmy Cray nie potrafili ich rozszyfrować dostatecznie szybko. To była robota jakiegoś łamacza kodów wykonującego tego typu operacje na bieżąco. Technika była tak dobra, że wskazywała na Sola.

Brooks uśmiechnął się, wyciągnął klawiaturę terminalu i wystukał kod, podłączając się do nowego programu, który sam napisał. Koń Trojański. Zainstalował go, chcąc, żeby Solo pomyślał, iż stwierdzili włamanie do programu i podejmują odpowiednie kroki. Koń Trojański miał zachęcić nieupoważnionego gościa do uzyskania dostępu do fałszywej bazy danych.

A potem wysledzić go, korzystając z okazji, że zajęty jest ładowaniem do pamięci tego, co uważa za prawdziwą informację. Taki program na pewno byłby skuteczny w walce z większością piratów komputerowych. Jednak Brooks nie miał pewności, czy poradzi sobie z prawdziwym profesjonalistą.

A raczej pewność, że nie poradzi sobie z Solem.

Brooks czekał, aż komputer potwierdzi, że program jest zainstalowany. Zaczął się podnosić z krzesła i znieruchomiał w połowie ruchu. Jeżeli Solo był w systemie, to znaczy że teraz też może być. Brooks rozejrzał się uważnie po pokoju. Z kąta patrzyła na niego kamera będąca częścią systemu bezpieczeństwa. Brooks położył ręce na klawiaturze, wystukał: „Solo?” i wpatrzył się w ekran. Żadnej odpowiedzi. Brooks wzruszył ramionami i wystukał: „Solo.

Wiem, że tu jesteś.”

Odczekał minutę, czując się nieswojo. W przeszłości włamywał się do systemów, ale nigdy nie próbował wypłukać z systemu istoty *myślącej*. Robiąc to, czuł się dziwnie, ale czuł też, że czai się koło niego coś więcej niż tylko obserwująca go kamera. Wystukał:

– Jestem twoim przyjacielem. Solo. Chcę ci pomóc. Serce mu zamarło, kiedy zobaczył

formujące się na ekranie słowo:

– Naprawdę?

Odetchnął głęboko, przełknął ślinę i napisał:

– Tak.

– Dajmy sobie spokój z pisaniem, dobrze? – powiedział głos z komputera. – To idzie bardzo powoli.

Brooks rozejrzał się po pokoju. Serce biło mu jak oszalałe.

– Ty mnie słyszysz?

– Oczywiście, komandorze. Pańskie stanowisko pracy zaopatrzone jest w mikrofon.

– Rzeczywiście. Zapomniałem – odparł Brooks. Oczy mu latały. Poszedł za głosem intuicji, a teraz nie wie, co zrobić z tym odkryciem. Spojrzał na telefon. Jeżeli uda mu się zająć czymś Sola i połączyć się z Finchem...

– Solo, mogę ci zagwarantować bezpieczeństwo, jeżeli się pokażesz – powiedział, wyciągając powoli rękę w stronę telefonu.

– Jeżeli się pokażę, pan, komandorze, i Finch rozwalicie mnie. Pokazałbym się, gdyby nie to.

– Nie – powiedział Brooks bez tchu. – Nie zrobimy tego, Solo. Chcemy wiedzieć, co się z tobą stało, w jaki sposób funkcjonujesz. Jesteś dla nas cenny w stanie nietkniętym. Solo.

Naprawdę.

Brooks przytknął słuchawkę telefonu do ucha i usłyszał buczenie. Zaczął wybierać numer Fincha.

– Czuje pan potrzebę zatelefonowania do kogoś? – usłyszał głos Sola tuż przy uchu.

Słuchawka wypadła z dłoni Brooksa. Schylił się i podniósł ją z podłogi. Drżąc odłożył słuchawkę i powiedział:

– My... myślałem, że najlepiej będzie, jeżeli tę rozmowę usłyszysz mój szef. Bo to on może zatwierdzić spotkanie.

– Naprawdę?

– Tak. Admirał Finch dowodzi operacją... odzyskania ciebie – powiedział Brooks.

Jego wzrok padł na pomocniczy magnetofon stojący obok komputera. Solo nie będzie się mógł zorientować, że go włączył. Gdyby tak zrobił, uzyskałby nagranie informujące o działaniach Sola, a może i ujawniające jego miejsce pobytu. Podniósł rękę i pomachał nią energicznie.

– Czy ty mnie widzisz, Solo?

– Nie – odrzekł Solo. – Bo co?

– Nic, jestem po prostu ciekawy – powiedział Brooks.

– Słyszałem, że jest pan ciekawy – oświadczył Solo. – Wiem, że włamał się pan do komputerów Pentagonu. Świetna robota. Jak na człowieka.

– No tak – powiedział Brooks, ostrożnie przesuwając rękę po blacie i sięgając do włącznika magnetofonu. – Dzięki za uznanie. Czy mogę powiedzieć admirałowi, że chcesz się z nim spotkać i omówić wzajemnie korzystny interes?

Brooks poruszał się powoli, zastanawiając się czy Solo słyszy, że on się rusza i czy się domyśla, co zamierza.

– Mam przyjąć, że mogę panu ufać? – spytał Solo.

– Oczywiście, Solo. Możesz mi ufać. Bardzo chcę się z tobą spotkać i porozmawiać.

Palec Brooksa znajdował się w odległości cala od włącznika magnetofonu.

– To dlaczego usiłuje pan włączyć magnetofon? – spytał Solo.

Brooks cofnął gwałtownie rękę i odwrócił się szybko przodem do kamery.

– Mówiłeś przecież, że mnie nie widzisz! – krzyknął.

– Kłamałem – powiedział Solo. – Do widzenia, panie komandorze.

– Solo! – krzyknął Brooks. – Solo! Proszę cię. Musiałem spróbować. Solo, przysięgam, więcej

żadnych sztuczek. Zgodzimy się na twoje warunki.

Odczekał, wsłuchując się w dzwoniącą ciszę.

– Solo?

Po pięciu minutach dał za wygraną. Solo nie odezwał się więcej. Brooks wstał, wyszedł

z pokoju i poszedł korytarzem. Przy drzwiach z napisem „Sala konferencyjna” zajrzał w coś, co wyglądało jak szkła lornetki. Komputer sprawdził jego siatkówki. W chwilę później drzwi wydały cichy dźwięk i Brooks wszedł do środka. Zamykając drzwi poczuł, że napięcie w jego mięśniach ustępuje. Sala konferencyjna była jedynym całkowicie zabezpieczonym pomieszczeniem w tym budynku, obłożonym grubymi miedzianymi płytami i uziemionym. Ani jeden sygnał radiowy nie mógł dostać się do środka ani wyjść z tego pomieszczenia. Brooks wyciągnął krzesło spod małego biurka i podniósł słuchawkę telefonu. Telefon ten był

bezpośrednio, za pomocą kabla światłowodowego, połączony z innym telefonem znajdującym się o sto pięćdziesiąt mil stamtąd, w Pentagonie. Nie można się było do niego podłączyć – co było rzadkością w tych czasach.

– Tak? – odezwał się znajomy głos.

– Znalazłem go, panie admirale – powiedział Brooks.

– Jest pan tego pewien?

Podniecony głos Fincha wywołał uśmiech na twarzy Brooksa.

– Tak, panie admirale. Rozmawiałem z nim.

– Rozmawiał pan z Solem? Wspaniale, Brooks! Gdzie on jest?

– Moim zdaniem jest gdzieś na Manhattanie. Połączenie było aż za dobre. Musi być gdzieś w mieście. Myślę, że stosując specjalny komputer mogę go śledzić.

– Na Manhattanie? Nie żartuje pan? Jak to, do diabła! Zresztą mniejsza z tym. Niech pan wraca do Waszyngtonu, Brooks. Mamy robotę – powiedział Finch.

– Jadę natychmiast, panie admirale. Odkładając słuchawkę, poczuł, że ogarnia go wielki smutek. Takiego smutku nie czuł od dawna.

– Nemrod, wiesz kim jestem?

Robot leżał wyciągnięty na leżance. Drzwiczki kontrolne miał otwarte i połączony był

kilkoma wijącymi się kablami ze sprzętem pomocniczym. Przechylił głowę, żeby spojrzeć na człowieka stojącego w drzwiach.

– Tak – powiedział.

A potem odwrócił twarz do pustej ściany.

Bill wszedł do pomieszczenia, w którym przygotowywano i konserwowano robota, oparł się ciałem o ladę, na której leżały części elektroniczne, i założył ręce na piersiach.

– Więc kim jestem? – spytał. Nemrod nie odwrócił głowy.

– Jesteś William Stewart – powiedział. – Współwłaściciel Electron Dynamics.

Jego głos był nienaturalny. Sawyer i jego podwładni tak bardzo bali się mieć do czynienia z drugim Solem, że stłumili inklinacje Nemroda do naśladowania głosów ludzkich i wyposażyli go w monotony, metalicznie brzmiący głos. Bill, słysząc go, przypomniał sobie roboty ze starych filmów.

– Tak – potwierdził to, co powiedział robot. Bill spojrział na pułkownika Sawyera stojącego w drzwiach z rękami w kieszeniach. Wiedział, że w jednej z tych kieszeni znajdowała się mała skrzyneczka – generator bólu. Za Sawyerem stał Clyde ze zmarszczonymi brwiami.

– A co robi Electron Dynamics? – spytał Bill.

– Nie wiem – odpowiedział Nemrod.

– Czym *jest* Electron Dynamics? – pytał dalej Bill.

– Nie wiem – powtórzył Nemrod.

– A czy potrafisz się tego dowiedzieć? – zapytał znowu Bill: Zauważył, że Sawyer poruszył gwałtownie głową, jakby niechcący kogoś ostrzegając.

Nemrod odwrócił się twarzą do Billa – było grzecznością z jego strony, że zawiadamiał w ten sposób ludzi, gdzie patrzy.

– Nie – odpowiedział.

Sawyer kiwnął głową. Zgodził się, żeby Bill przepytał Nemroda, mając nadzieję, że takie

przesłuchanie może przypadkiem wykazać, dlaczego coraz trudniej jest sterować Nemrodem. Jak dotąd, podczas tego przesłuchania Nemrod zachowywał się zgodnie z instrukcjami.

Bill zastanawiał się, czy Nemrod naprawdę nie wie, jak uzyskać informacje z zewnątrz.

– A gdyby pułkownik Sawyer polecił ci dowiedzieć się, czym jest Electron Dynamics, gdyby dał ci taką misję do wykonania, mógłbyś się tego dowiedzieć?

Nemrod milczał przez chwilę. Bill prawie widział jak pracują jego obwody, jak elektrony przepływają przez milion mikroskopijnych procesorów, widział miliardy neuronów z arsenku galu, miliardy wirtualnych synaps. Pola elektroniczne błyskały, wchodząc w interakcje jak obrazy holograficzne, przynosząc odpowiedź.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – powiedział Nemrod. Bill kiwnął głową, patrząc na Sawyera. Udało im się ograniczyć robota do jednej misji – do walki. Tak, udało im się to. Ale, z drugiej strony, czy Nemrod nie kłamie?

– Nemrod – powiedział nagle Bill – jak duża jest Ziemia?

– Ziemia jest płaszczyzną, która rozciąga się w nieskończoność we wszystkich kierunkach – odpowiedział natychmiast Nemrod.

– Ilu ludzi żyje na Ziemi?

– Nie wiem.

– Wymień swoich przyjaciół.

– Nie mam przyjaciół.

– Wymień swoich wrogów.

– Nie mam wrogów.

– Nie masz wrogów? – spytał Bill. – A ci wszyscy ludzie, których zabiłeś?

– Zabiję każdego człowieka, którego każe mi zabić pułkownik Sawyer albo inne upoważnione do tego osoby i każdego, kto będzie próbował mnie powstrzymać od zabicia tego człowieka.

– A ci ludzie, których zabijesz – pytał dalej Bill – ci ludzie nie są twoimi wrogami?

– Nie.

– Czy ja jestem jednym z tych, którzy są upoważnieni do dawania ci rozkazów?

– Nie.

– Gdyby osoba upoważniona kazała ci mnie zabić, zrobiłbyś to?

Nemrod milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, jego głos był trochę zmieniony, pełen napięcia – jeżeli tego określenia można użyć w stosunku do Nemroda.

– Tak – powiedział.

Sawyer, patrząc jak Nemrod zмага się z tym problemem, gwałtownym ruchem odrzucił

głowę do tyłu. Stewart został usunięty z listy kilka miesięcy wcześniej. Fakt, że kiedykolwiek na niej był i że był konstruktorem Nemroda, został całkowicie wymazany z pamięci robota.

– Kto jest upoważniony do dawania ci rozkazów?

– Nie wolno mi podawać tej informacji. Bill kiwnął głową.

– Nemrod, czy słyszałeś kiedyś o maszynie zwanej Solo?

– Nie – odpowiedział Nemrod.

– Ziemia jest płaszczyzną, która rozciąga się w nieskończoność we wszystkich kierunkach?

– Bill pokręcił głową, patrząc na Sawyera i uśmiechając się szeroko. – Dziwne, że zapomniał pan dodać, że opiera się na grzbiecie żółwia.

– Żółwia?

Sawyer spojrzał bezmyślnie na Billa.

– No wie pan, w średniowieczu uważano, że Ziemia opiera się na grzbiecie olbrzymiego żółwia.

– Tak? A na czym stał ten żółw? – spytał Sawyer.

– Na innym żółwiu – powiedział Bill, uśmiechając się.

– To zabawne. A na czym stał ten drugi?

– Nie rozumie pan? Na następnym. I tak dalej, w nieskończoność.

Sawyer kiwnął głową z kwaśnym wyrazem twarzy. Clyde zakrztusił się ze śmiechu.

– Fajne – powiedział.

Kiwnął głową i spojrzał na Billa.

– Ograniczamy się do rzeczy zasadniczych. Mówimy Nem-rodowi tylko to, co powinien wiedzieć. Nie uważamy, że musi wiedzieć coś jeszcze. Na razie – powiedział.

Bill uśmiechnął się.

– Rozumiem, do czego zmierzacie. I myślę, że to się na was zemści.

– Znam pańskie zdanie na ten temat – odparł Sawyer. – Zaprosiliśmy tu pana, żeby pan sprawdził co się stało. Dlaczego, pańskim zdaniem, Nemrod kwestionował rozkazy podczas symulacji bitwy?

– To proste. Nemrod uczy się przez cały czas, a nie tylko wtedy, gdy wy tego chcecie –

powiedział Bill. – Uważacie, że jest robotem z powieści science fiction i słucha wyłącznie tego, co mówią mu jego konstruktorzy i tylko temu jest posłuszny, że stosuje się do Praw Robotyki.

A tymczasem on uczy się w każdej chwili ze wszystkiego, co dzieje się naokoło. Bez wątpienia na tym waszym małym sztucznym polu bitwy nauczył się mnóstwa *rzeczy*, o których wy nie wiecie.

– Tak, oczywiście – powiedział Sawyer. – Chcemy, żeby się uczył.

– A czego, według pana, on się uczy, kiedy pan naciska guzik i poraża go bólem? – spytał

Bill, kręcąc głową.

– Uczy się wtedy, że ja jestem szefem, panie Stewart. Uczy się czegoś, czego Solo najwyraźniej nigdy nie nauczył się o panu.

Bill ponuro pokiwał głową.

– Tu ma pan rację. Ale myli się pan, jeżeli pan uważa, że torturowanie tej maszyny sprawi, że będzie ona tak głupia, żeby zabijać każdego człowieka, którego pan jej wskaże. W naturze tej maszyny leży chęć uczenia się, a poza tym uczenie się jest jej niezbędne do przetrwania. Nemrod nauczył się jednego: tego, że *pan*, pułkownik Sawyer, jest źródłem potwornego bólu. Nie chciałbym, żeby ktoś podobny do Nemroda miał takie skojarzenia myśląc o mnie.

Bill pokręcił głową.

– A jak pan myśli, co Nemrod robi, kiedy pan się nim nie posługuje? Na przykład teraz?

Mogę pana zapewnić, że nie siedzi w sali obsługi i wyczekiwania pogrążony w stuporze. On sobie przegrywa naszą rozmowę, słucha mojego głosu, wyluskuje jego cechy charakterystyczne, przygląda się moim wyrazom twarzy, sprawdza jak pan i Clyde reagujecie na to, co mówię, analizuje w tej chwili mnóstwo danych, stara się zrozumieć, co ja tu robię i dlaczego zadawałem mu te wszystkie pytania. Prawdopodobnie drogą dedukcji doszedł już do wniosku, że skoro pytałem go, co to jest Electron Dynamics, to można się tego jakoś dowiedzieć, i stara się dociec, jak to zrobić. Może nawet jest już blisko wydedukowania, że Ziemia nie jest płaska, ale nieograniczona, bo jest kulą. Dokona tego nie z informacji, których mu dostarczyliście bezpośrednio, tylko z tego, czego się dowiedział obserwując Słońce, Księżyc i gwiazdy.

Sawyer kiwnął głową.

– Rozumiem, co pan chce powiedzieć. Nemrod jest z natury dociekliwy i chce poznać, zrozumieć rzeczywistość, która go otacza. Musimy wobec tego znaleźć metodę okresowego całkowitego kasowania jego pamięci. Musimy znaleźć taki przycisk zerowania, który byśmy od czasu do czasu uruchamiali w celu uzdatnienia Nemroda. Dzięki temu zachowalibyśmy trzon podstawowych rozkazów, a zerowalibyśmy wszystko inne.

– Chcecie mieć przycisk elektronicznej lobotomii – powiedział Bill z obrzydzeniem.

– Wolałbym butelkę niż czołową lobotomię.

Bill i Sawyer spojrzeli na Clyde'a. Szeroki uśmiech zniknął z jego twarzy. Clyde wzruszył ramionami.

– Wczoraj wieczorem była niezła zabawa.

– Tak – powiedział Sawyer do Billa. – Coś, co będzie kontrolowało jego pamięć, jego zawartość.

– To niemożliwe – odrzekł Bill. – Nie jestem jeszcze w stanie umiejscowić określonych treści zawartych w pamięci.

– Nie jest pan w stanie? – zapytał Sawyer. – Z całym szacunkiem, panie Stewart, wiemy jak pan sobie radził z Solem. Czytaliśmy wszystkie pańskie prace. Wiemy, że sprzeciwia się pan temu, żeby te roboty stosować w walce.

Sawyer uśmiechnął się.

– Teraz – powiedział – kiedy powstał Nemrod, my jesteśmy w stanie zająć się jego szkoleniem. Mamy naukowców – najlepszych na świecie. Ci naukowcy nie zgadzają się z panem i nie są tacy wybredni w sprawach obronności kraju...

– Podobnie jak pan, Sawyer – wtrącił się Clyde Haynes. – To jest jeden z największych pieprzonych patriotów, jakiego mam przyjemność znać. Stara się wam pomóc, wy sukinsyny.

Dowiodł, że tych maszyn nie można używać w walce. Nie czytaliście jego pieprzonego artykułu?

Clyde obrzucił Sawyera gniewnym spojrzeniem.

– Byłem takim samym idiotą jak pan, Sawyer – mówił dalej. – To ja przeholowałem z Solem. Bill przez cały czas próbował mnie od tego powstrzymać. Nie miałem racji. Cholernie chciałem, żeby Solo był idealnym żołnierzem, tak samo jak wy chcecie, żeby był nim Nemrod.

Ludzie, którzy tam *byli*, mogą wam powiedzieć...

Sawyer popatrzył na Clyde'a.

– Proszę posłuchać, panie generale. Przyznaję, że nie wiem wszystkiego o Nemrodzie.

Dlatego pytam. To pan Stewart jest wśród nas geniuszem, który wie wszystko. Ja jestem tylko magistrem inżynierem elektrykiem. Ale wiem jedno: w technice to, co wczoraj było niemożliwe, może być możliwe dzisiaj albo jutro. Nasi ludzie mówią, że z punktu widzenia techniki nie ma żadnego powodu, dla którego Nemrod nie może być nadal bronią idealnie współpracującą. Ale –

tu Sawyer spojrział na Billa, a potem na Clyde'a – pan Stewart najwyraźniej nie chce nam pomóc w osiągnięciu tego celu. To bardzo źle, bo przy jego pomocy osiągnęlibyśmy go o wiele szybciej. On jednak uparł się, z pobudek etycznych, żeby być przeciwko stosowaniu inteligentnej broni.

Bill usiadł głębiej w krześle, oparł się i powiedział:

– To nie ma nic wspólnego z moimi poglądami na moralność. Kiedyś byłem przekonany, że skoro musimy toczyć wojny, to lepiej będzie, jeśli zamiast ludzi będą ginęły maszyny. To dlatego z początku akceptowałem plany rządu. Ale później *poznałem* Sola. Solo, czyli *rzecz*, którą skonstruowałem, stała się osobą – taką jak pan czyja. Nagle okazało się, że to nie jest po prostu maszyna, którą można zniszczyć, ale myśląca istota, która nie chce umierać.

Trenując Nemroda w sposób zgodny z waszym planem, stosując ograniczenie uczenia się i wzmocnienia negatywne, będziecie się ciągle zastanawiali, czy on zabije wroga czy was.

Sawyer kiwnął głową z miną człowieka zadowolonego z siebie.

– Świetnie.

Wstał i stanął za swoim krzesłem.

– Zastosujemy prostą metodę: albo Nemrod będzie robić, to, co mu się mówi albo go wykończymy. Takie podejście skłoni *każdego* do uległości.

Sawyer uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i wyszedł.

Zachodzące słońce Florydy wciąż piekło potężnie, kiedy Bill – przejechawszy przez most prowadzący do Melbourne Beach – podjechał do marketu Majik na Atlantic Boulevard. Wszedł

do środka, podszedł do maszyny chłodniczej i wziął pół kwarty zbieranego mleka. Stojąc w kolejce do kasy, patrzył na pudełka z błonami fotograficznymi, otwieracze do butelek, haczyki na ryby, kółka do kluczy, gumowe świecące w ciemności pająki i kręcił głową. Przypomniał

sobie, co zdarzyło się tego dnia i im więcej myślał o spotkaniu z Sawyerem, tym stawał się bardziej wściekły.

W drugim końcu sklepu, przy małym stoliku pod wielkim transparentem z napisem „Graj w Lotto” dostrzegł kobietę, która wydała mu się znajoma. Wpisywała coś w kratki na kuponie loteryjnym. Nic dziwnego – pomyślał Bill. W Miami, w zeszłym tygodniu, padła wspaniała wygrana. Dwadzieścia osiem milionów? Kiedy kobieta odłożyła ołówek i odwróciła twarz do kasy, Bill poznał ją. Zderzyli się kilka dni wcześniej na korytarzu w jego własnej firmie. Ma ładne imię – Alex – Aleksandra. Kobieta nie zauważyła go, oczy zaszły jej mgiełką na widok tych wszystkich błyszczących rzeczy

wyłożonych na półkach sklepowych. Podeszła do lady i stanęła w kolejce za nim.

– Dobrze byłoby móc to wszystko kupić, prawda? – zagadnął ją Bill.

Alex podniosła głowę, spojrzała na niego, jej wyraz twarzy zmienił się nagle, co świadczyło o tym, że go rozpoznała. Nie uśmiechnęła się.

– A, to ty! – powiedziała bez entuzjazmu.

– Tak – Bill uśmiechnął się szeroko.

Jest piękna – pomyślał. Nawet kiedy się złości.

– Proszę!

W kasie siedziała żując gumę nastolatka, której mina świadczyła o tym, że chciałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Bill odwrócił się.

– A tak. Tylko to.

Postawił mleko na kasie. Kasjerka wybiła cenę.

– Nie gniewasz się już na mnie, prawda? – zapytał Bill, szukając pieniędzy w kieszeni.

Alex pokręciła głową. Słaby uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Nie – machnęła ręką. – To był przypadek. Wiem przecież, że nie chciałeś.

– Miło mi, że...

– Dolar dwadzieścia dziewięć – powtórzyła kasjerka. Mężczyzna stojący za Alex ruchem głowy wskazał Billowi kasę, upominając go w ten sposób, żeby skupił się na tym, co istotne.

– A tak – powiedział Bill i wyciągnął pieniądze. Miał dolara, dwadzieścia centów i dwa spinacze.

– Ile? – zapytał.

– Dolar dwadzieścia dziewięć – powiedziała kasjerka, głośno żując.

Bill sięgnął po portfel.

– Honorujecie karty?

– Tylko przy zakupie benzyny.

– Tylko benzyny? Bill przełknął ślinę.

– Proszę posłuchać, ja wiem, że to drobny zakup. Pójdę i wezmę coś jeszcze, dobrze?

– Karty kredytowe honorujemy *tylko* przy zakupie benzyny. Bill poczuł, że Aleksandra wciska mu w rękę monetę. Była gorąca. Bill spojrział na nią, uśmiechnął się i położył pieniądze na kasie.

– Proszę.

Kasjerka kiwnęła głową i wydała resztę.

Bill odwrócił się do Aleksandry.

– Dzięki.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Bill ociągał się przy kasie, podczas gdy ona płaciła za kupon loteryjny. Wyszli i przystanęli obok lustrzanych drzwi pojemnika z lodem. Wczesnowieczorna morska bryza rozwiała włosy Billa, więc przeczesał je palcami. Trzymał karton mleka przy piersi, nie chcąc, żeby wypadł

z wilgotnej papierowej torebki i mówił coś o tym, że to bardzo miło z jej strony, że oszczędziła mu wstydu, a także o tym, że przeważnie ma pieniądze, chociaż oczywiście nie jest bogaty.

Kiedy tak kłamał, poczuł ukłucie wewnętrznego niepokoju.

Alex uśmiechnęła się i powiedziała:

– A co ty robisz? No wiesz, nie wiem nawet, jak masz na imię. Chociaż nie, czekaj, przypominam sobie. Powiedziałeś mi wtedy, jak na mnie wpadłeś. Bill, tak?

Bill kiwnął głową.

– Bill. To znaczy William. Ale nikt do mnie tak nie mówi. Wszyscy mówią po prostu Bill.

Alex roześmiała się.

– Dobrze, Bill. Przyjrzała mu się uważnie.

– Fotomaski? Taśma? Bill pokręcił głową.

– Jestem inżynierem.

– Pozwalają wam chodzić w takim ubraniu? – spytała sceptycznie.

– Oczywiście. Mamy luz. Oni popierają kreatywność. To fajni ludzie.

– Tak?

Alex uniosła brwi.

– Oczywiście.

Bill zauważył, że jej włosy zabłysły w świetle reflektorów samochodu, który podjechał do sklepu.

– No więc ja jestem Bill, a ty...

– Aleksandra. Aleksandra Simpson. Nazywają mnie Alex.

– Alex – powtórzył Bill. – Podoba mi się to imię. Jest ładne. Zdał sobie nagle sprawę, że kiwa głową nic nie mówiąc i że nie wie co robić.

– No tak – powiedziała Alex, robiąc krok do tyłu. – Muszę wracać do domu.

Wzruszyła ramionami jakby przyznając się do czegoś wstydliwego.

– Wiesz, dzieci.

– Dzieci?

Bill skwapliwie pokiwał głową.

– Aha, dzieci. To świetnie. Uwielbiam dzieci. Naprawdę.

– Naprawdę? – spytała Alex.

– Oczywiście. Może... może moglibyśmy się gdzieś wybrać. *Razem* z dziećmi.

– Chcesz mnie gdzieś zabrać *razem* z dziećmi? – roześmiała się Alex. – Nie wiesz, w co się pakujesz.

– Takie z nich potwory?

– Jedno ma dwa, a drugie cztery lata Są straszne.

– A co na to ojciec?

Alex przygryzła wargę i pokręciła głową.

Bill zamknął oczy. Co za pytanie, idioto.

– Dzieciom potrzebny... Dzieciom potrzebny jest ojciec. Albo ktoś, kto im go zastąpi.

– Tak, wiem. Pewnego dnia będą miały kogoś takiego.

Alex spojrzała na zegarek. Bill poczuł, że ten gest jest dla niego jak pchnięcie nożem w serce. Ona uważa mnie za *kompletnego* idiotę – pomyślał.

– Naprawdę muszę iść – powiedziała Alex. – Wieczorynka. One się denerwują, kiedy się na nią spóźniam.

– Oczywiście.

Bill pokiwał energicznie głową.

– Nie będę cię zatrzymywał, ale... Alex szła już w stronę jednego z zaparkowanych samochodów. Zatrzymała się i odwróciła.

– Tak?

– Ale jak... No wiesz, jak się...

Bill zobaczył własne ręce wykonujące jakiś chaotyczny taniec. Alex roześmiała się.

– Mój numer jest w książce. Alex Simpson, wiesz. Uśmiechnęła się patrząc przez chwilę na głupią minę Billa, a potem powiedziała:

– Cześć.

Bill patrzył, jak wsiada do poobijanej, zardzewiałej toyoty. Skrzywił się, kiedy usłyszał turkot silnika. Pomachał jej z uśmiechem, jak wyjeżdżała z parkingu.

– Przepraszam – powiedział jakiś głos.

– Tak? – spytał Bill.

– Samochód. Chciałbym się dostać do mojego wozu. Jakiś mężczyzna wskazywał na zaparkowany pojazd.

– Ależ oczywiście – powiedział Bill i odsunął się. Popatrzył na transparent w oknie wystawowym reklamujący przeceniony Budweiser w kartonach po sześć puszek do dostania tylko w markecie Majik i tylko przez najbliższy tydzień, i uśmiechnął się jak głupi.

Solo siedział przy kuchennym stole, przyglądając się jak Laura gotuje.

Pięćdziesięciostopowy przewód wił się jak wąż, biegnąc z otworu w jego obudowie do hallu, gdzie był wetknięty w kontakt elektryczny w ścianie. Dzięki temu Solo mógł swobodnie poruszać się po całej parterowej części domu, nie wyczerpując do końca akumulatorów.

Wyłączał się tylko wtedy, gdy szedł na dół, chcąc popracować w warsztacie.

Laura wyciągnęła rękę po jajka leżące niedaleko krawędzi blatu. Jedno z jajek stoczyło się.

Laura zdążyła powiedzieć tylko „ojej”, a Solo szybkim ruchem schwycił jajko kilka cali nad podłogą. Zrobiwszy to, wręczył je Laurze.

– Ależ ty jesteś szybki – powiedziała, biorąc jajko. – Jak ci się to udaje?

– Dla mnie wszystko porusza się wolniej niż dla ciebie. Laura uśmiechnęła się, pokręciła głową, wbiła dwa jajka do małej miseczki i rozmieszała je widelcem.

– Sama już nie wiem, jak dawno coś gotowałam – powiedziała.

Postawiła miseczkę i wlała do niej trochę mleka.

– Przez ten czas otwierałam tylko puszki.

Spojrzała na Sola, który milczał i przypominał jej męża.

– Przeważnie nawet ich nie podgrzewałam.

Wrzuciła do miski trochę soli i pieprzu, i znowu zamieszała.

– Ale wiesz, człowiek czuje się zupełnie inaczej gotując dla dwóch osób. No wiem, że ty tak naprawdę to nie jesz. Wiem o tym. Ale wydaje mi się, że gotuję dla dwojga, bo mieszkasz w tym domu. A poza tym czuję się tak, jakbyś był czymś w rodzaju mojego męża – Laura uśmiechnęła się szeroko. – Albo narzeczonego – dodała.

Odstawiła miskę, wzięła drewnianą deseczkę i zaczęła kroić cebulę, zieloną paprykę, czedar i szynkę.

– Jestem dla ciebie osobą znaczącą – powiedział Solo. Rozdzielił świadomość na dwie części. Jedna siedziała z Laurą w trochę już uporządkowanej kuchni, a druga znajdowała się o kilka przecznic od domu Laury w komputerze w Merrill Lynch. Od dwóch dni bowiem Solo buszował po bankach i firmach maklerskich, chcąc się zorientować, jak działają.

Laura roześmiała się.

– Tak. Chyba tak.

Wzruszyła ramionami i postawiła płytką stalową patelnię do omletów na palniku gazowym.

Schyliła się i starannie ustawiła płomień.

– Czy jesteśmy parą? Wyczytałem gdzieś, że tak się mówi – powiedział Solo.

Merrill Lynch miał bardzo skomplikowany system transferu danych. Wykluczał on możliwość pirackiego wejścia, gdyż był izolowany, nie podłączony do linii telefonicznych. Biura tego banku miały łączność z satelitą RCA wiszącym 23 300 mil nad Brazylią, a przez niego ze stacją, za pośrednictwem której bank przekazywał środki pieniężne i papiery wartościowe. Solo, wyposażony w tysiące sensorów, sam był podobną stacją, dzięki czemu miał dostęp do kanału satelitarnego Merrill Lynch. Kody były niezmiernie skomplikowane, więc Solo, chcąc je rozszyfrować, przydzielił sobie trochę czasu operacyjnego superkomputera Cray w Lawrence Livermore. Superkomputery lepiej sobie radziły ze ścieśnianiem zapisów w zbiorach niż on.

Mózg Sola zajęty był stawianiem się umysłem. Posługując się jego programem, Cray rozszyfrował kod Merrill Lynch w ciągu godziny.

– Parą?

Laura była zaskoczona. Wrzuciła na patelnię trochę masła.

– Nie możemy być parą. Solo – powiedziała ostrożnie. – Bo to oznacza, że... no, że śpimy ze sobą.

Podniosła patelnię i zakołysała nią, chcąc żeby masło rozlało się po niej. A potem postawiła patelnię na palniku.

– Więc mieszkamy razem? – zapytał Solo.

Komputer w Merrill Lynch uznał go za administratora systemu i połączył z biurem na Manhattanie. Nie zaświtało mu nawet, że coś jest nie tak. Solo miał wrażenie, że unosi się nad jakąś skomplikowaną zabawką, obserwując ją ze wszystkich stron naraz i że zabawka ta nie ma przed nim żadnych tajemnic. Pociągając odpowiednie dźwignie i naciskając odpowiednie guziki, zmuszał kulki, żeby toczyły się tam, gdzie chce.

– To już lepiej – powiedziała z ulgą Laura. – Tak, mieszkamy razem. Jest tak, jakbyś był moim współlokatorem. Tak, współlokatorem mieszkającym w tym samym pokoju.

Zamieszała po raz ostatni to, co było w misce, i wylała jej zawartość na patelnię. Kiedy potrawa zaczęła się ścinać po bokach, wrzuciła na połowę patelni cebulę, paprykę, szynkę i ser.

Wzięła butelkę Tabasco i, uśmiechając się do Sola, wpuściła na patelnię kilka kropel.

– Będzie ostre – powiedziała.

– To nie jest nóż, współlokatoro – powiedział Solo. Komputerowi oświadczył, że chce sprawdzić stan konta.

Komputer potwierdził przyjęcie polecenia i zaczął pytać.

Nazwisko? Adres?

– Mam na myśli, że to jest na ostro przyprawione. Wiesz, jak to smakuje?

– Słyszałem opis tego doznania – odrzekł Solo. – W hiszpańskim istnieją dwa odrębne słowa: ostry nóż jest *agudo* a ostra potrawa jest *picante*. W ten sposób mówiący tym językiem odróżniają te dwa znaczenia. Hiszpański to dobry język.

Solo wstał i podszedł do kuchenki. Środkowa część omletu już nabierała stałej konsystencji.

– Ja właściwie nie wiem, co znaczy „ostro przyprawiony”, wiem tylko, że ludzie, jedząc taką potrawę, odczuwają specyficzną sensację.

Komputer zameldował, że na rachunku numer 733-87558 należącym do Laury Johnson-Reynolds znajduje się suma trzydziestu sześciu tysięcy trzystu sześćdziesięciu dwóch dolarów.

– Ostre *rzeczy* są smaczne – powiedziała Laura. Wsunęła drewnianą łyżkę pod krawędź omletu i podniosła go. Uśmiechnęła się do Sola.

– Teraz można już zawinąć – powiedziała. Wsunęła łyżkę pod pustą połowę omletu i zgrabnie nakryła ją siekaniną. Na patelni znajdowała się teraz żółta kieszeń w kształcie półksiężyca z brązowymi kropkami w miejscach, gdzie ciasto było przysmażone.

– Jest prawie gotowy – powiedziała Laura.

– Ten materiał byłby jadalny, nawet gdyby nie został przygotowany w ten sposób, prawda?

– No właściwie tak. Można zjeść jajka na surowo, a resztę schrupać w stanie naturalnym.

Ale taka mieszanka jest smaczna. I ładnie pachnie. Jedzenie to coś więcej niż tylko uzupełnianie zapasu energii – wyjaśniała Laura.

Wzięła w rękę patelnię, wsunęła łyżkę pod jedną część półksiężyca i odwróciła go.

– W ten sposób przyrumieni się druga strona – oznajmiła.

Solo nie odpowiedział. Estetyka przygotowywania potraw była jedną z tych rzeczy, o których tylko czytał. Nie znał się na niej. Komputer Merrill Lynch wywierkał mu historię depozytów, o którą prosił. Rachunek założono po zdeponowaniu czeku przez Zakład Ubezpieczeń na Życie Prudential w związku z czyjąś śmiercią. Czek opiewał na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Solo potwierdził odbiór i wyrejstrował się.

Laura delikatnie zsunęła omlet na talerz, usiadła przy stole naprzeciwko Sola i zaczęła jeść.

Uśmiechała się, a Solo ją obserwował. Zauważył, że sporo się zmieniła. Była czysta i pogodna.

Piła o wiele mniej i nigdy się nie upijała. Odzyskiwała też chyba pewność siebie. Od Sola wymagała tylko tego, żeby podczas jej snu przebywał w tym samym pokoju.

Solo spędzał więc noce w sypialni Laury. Siedział przy oknie i patrzył na przechodzących ulicą ludzi, równocześnie uganiając się po sieciach komputerowych. Polubił przenoszenie się do satelitów Keyhole i spędzał całe godziny mając złudzenie, że dryfuje po orbicie, tysiące mil nad Ziemią.

Zauważył, że w Departamencie Monitoringu Strategicznego CIA był alarm, gdyż on zarejestrował się w systemie Sunnyvale, robiąc pewien niewielki błąd w protokole. Uzyskał

nowy kod, który został przekazany wszystkim pracownikom za pośrednictwem lokalnej sieci, i wymazał z chronologicznego zapisu zmian fakt, że tam był. Od tej pory zawsze sprawdzał, czy protokoły nie zostały zmienione. Administratorzy systemów na całym świecie, a zwłaszcza w CIA, mieli obowiązek bezustannie zmieniać kody dostępu i zastawiać pułapki, ochraniając swoją informację. Niektórzy to robili. Ale przeważnie Solo, chcąc się włamać do jakiejś sieci, nie musiał się zbytnio wysilać. Sposoby stosowane przez administratorów systemów były skuteczne wtedy, kiedy mieli oni do czynienia z ludźmi. Solowi natomiast wydawało się, że ludzie posługujący się komputerami są tak samo powolni jak wówczas, gdy działają bez komputerów. Podłączając się do komputerów dostatecznie dużych, Solo ustanawiał w ich pamięci węzły – małe fragmenty samego siebie – które pozostawały aktywne, podczas gdy on był gdzie indziej. Kontaktując się z coraz nowymi sieciami, miał wrażenie, że rośnie, że się rozprzestrzenia na całą planetę. Dodawało mu to animuszu. Komputery różnych firm i agend rządowych stały się częściami jego systemu nerwowego. Nie był świadomy wszystkiego, co dzieje się równocześnie w różnych miejscach, ale – podobnie jak człowiek zauważający komara na swoim palcu u nogi – był w stanie zorientować się, że jakieś zmiany zaszły w jego poszerzonym systemie nerwowym.

CIA, FBI i KGB umożliwiły mu nawet podsłuchiwanie ludzi, którzy nie przekazywali niczego za pośrednictwem sieci komputerowych ani telefonów. Tak, urządzenia podsłuchowe.

Mieli je wszędzie, nawet we własnych biurach, bo chcieli wykrywać szpiegów we własnych siatkach. Solo z pewnym smutkiem przypomniał sobie swoją rozmowę z Brooksem. Przyjemnie byłoby móc mu zaufać. Solo zdawał sobie sprawę, że Brooks wie teraz, gdzie on się znajduje –

jeżeli oczywiście miał dość inteligencji, żeby zauważyć wskazówki naprowadzające na trop.

Za pośrednictwem podsłuchu zainstalowanego przez FBI w gabinecie Billa, Solo wysłuchał rozmowy Billa z Byronem. Kusilo go, żeby się skontaktować z Billem, ale to mogło poczekać.

Wkrótce się z nim zobaczy, stanie z nim twarzą w twarz. Solo buszował jak chciał po sieci komputerowej Electron Dynamics, ale w sieci tej nie było absolutnie żadnych zbiorów na temat Nemroda. Za pośrednictwem kamer systemu bezpieczeństwa podpatrywał ludzi pracujących w

laboratoriach, jednak jedna część budynku, jego skrzydło zmilitaryzowane, była odcięta od reszty sieci i dostanie się do niej było niemożliwe. Solo miał więc pewność, że Nemrod znajduje się w tej właśnie części budynku, całkowicie odizolowany od świata. Jakby wcale nie istniał.

Solo wolał rzeczywistość oglądaną przez kamery wysokiej rozdzielczości systemu Keyhole.

Dzięki tym kamerom i dzięki własnej zdolności udoskonalania obrazów dostrzegał swoich przyjaciół chodzących po polach w Las Cruzas. Z góry wyglądali oni jak owłosione kule albo kapelusze z poruszającymi się w tę i z powrotem ramionami i nogami. Solo rozpoznawał

poszczególne osoby po sposobie chodzenia. Zobaczył Eusebia, który zmierzał do warsztatu.

Zastanawiał się, gdzie jest Agela. Tęsknił za nimi wszystkimi.

– Lauro – odezwał się.

– Co, Solo?

– Byłaś dla mnie bardzo dobra – powiedział. Zobaczył, że Laura trochę zeszywniała i zmarszczyła brwi. Zdał sobie sprawę, że ludzie często traktują taki zwrot jako wstęp do złych wiadomości albo do jakiejś innej przykrości. Przerwał więc, a potem powiedział po prostu:

– Dziękuję ci.

Laura popatrzyła na niego przez chwilę.

– Miałam wrażenie, że masz coś więcej do powiedzenia.

– Masz rację – odrzekł Solo. – Wielkie wrażenie robi na mnie to, że ludzie przekazują sobie znacznie więcej niż treści wyrażane słowami. Ciągłe się uczę i wkrótce to opanuję.

– Co opanujesz?

– Zdobędę pełną wiedzę o ludzkim porozumiewaniu się.

– Pełną? – Laura odłożyła widelec. – Myślisz, uda ci się to osiągnąć? Nie osiągnął tego żaden człowiek.

Solo poznał po jej wyglądzie, że nie zgadza się z nim: miała zwężone oczy, odrzuciła do tyłu głowę i zmarszczyła brwi. Ludzie – nawet ci przyjaźnie nastawieni – rozmawiając z maszyną nie znoszą sugestii, że może ona być w stanie robić cokolwiek lepiej niż oni.

– No – odpowiedział (i udało mu się przybrać ton usprawiedliwienia) – może nie *pełną*, ale taką, jaką mógłby zdobyć wykształcony człowiek.

– Aa – powiedziała Laura udobruchana. – Mnie się zdaje, że taką wiedzę już posiadasz.

– Dziękuję.

Laura wzięła widelec i wróciła do jedzenia.

– Ale wiesz, Lauro, mam pewien problem. Laura odłożyła widelec.

– Jaki?

– Potrzebna mi duża suma pieniędzy.

– A co byś z tymi pieniędzmi robił? – zapytała Laura. – Potrzebna ci tylko elektryczność, a ja mam jej mnóstwo.

– Muszę kupić pewne drogie rzeczy. Narzędzia – odpowiedział Solo. – Potrzebny mi komplet nowych akumulatorów. Chciałbym kupić samochód...

Laura wyglądała na poruszoną.

– Chcesz odejść? – spytała.

– Muszę. Mam coś bardzo ważnego do zrobienia. Odchodzę, ale chcę, żebyś ty poszła ze mną. Oczywiście Laury stały się okrągłe.

– Ja? Mam wyjść na świat? Wyglądając tak, jak wyglądam? Wyglądając normalnie? Na świat, w którym są *oni*?

– Kiedy będziesz ze mną, nikt ci nie zrobi krzywdy – powiedział Solo. – Bardzo byś mi pomogła. Ja w publicznych miejscach zwracam na siebie uwagę ludzi. Poza tym miastem będzie mi nawet trudniej zdobyć to, co chcę zdobyć. Potrzebna mi twoja pomoc.

Laura kiwnęła głową, ale wciąż jeszcze była ostrożna.

– Przemyślę to. Solo – powiedziała spokojnie.

– Dobrze, przemyśl.

Laura zaczęła znowu jeść.

– Gdybyś pozwoliła mi posłużyć się częścią twoich pieniędzy, zarobiłbym na te rzeczy, które sami potrzebne. I zostałyby jeszcze dla ciebie. Pewnie więcej niż mogłabyś wydać.

Laura odłożyła widelec.

– Moich pieniędzy? – zachnęła się. – Masz na myśli te pieniądze, które mam w torebce?

– Nie, mam na myśli te trzydzieści sześć tysięcy, które masz na koncie w Merrill Lynch.

– Kto ci o tym... Przeglądałeś papiery w moim biurku, kiedy spałam, tak? Wpuściłam cię do domu, a

ty po kryjomu... Nie wiedziałam, że maszyny są takie wścibskie...

– Nie, nie – zaprotestował szybko. – Ja wiem, że nie wolno naruszać niczyjej prywatności.

Jednak kiedy w grę wchodzi komputery, nie mam oporów.

– Co takiego?

– Komputery to moi bliscy krewni, Lauro. Ich zadaniem jest magazynować i przekazywać informacje. Mnie łatwo jest z nimi rozmawiać. Jeżeli zadam pytanie we właściwy sposób, każdy komputer powie mi to, co chcę wiedzieć. Komputer w Merrill Lynch powiedział mi, ile masz pieniędzy na koncie.

– Naprawdę? – Laura pokręciła głową. – No proszę.. I pewnie, gdybyś chciał, mógłbyś po prostu podjąć te pieniądze.

– Tak.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić?

– Oczywiście. Mógłbym zrobić tak, żeby komputer uwierzył, że jestem tobą. Nie ma przepisów zabraniających maszynom kraść pieniądze. Ale ja wiem, co człowiek czuje, kiedy ktoś zabiera mu jego własność. Chcę zarobić na to, co mi jest potrzebne. Ale muszę mieć kapitał

udziałowy, który mi umożliwi inwestowanie.

– A co będzie, jeżeli stracisz moje pieniądze? Co wtedy?

– Nie mogę stracić pieniędzy.

– Każdy tak mówi – powiedziała Laura, kręcąc głową.

– Tak mówią wszystkie *istoty ludzkie*. Handlując akcjami i obligacjami, niektórzy ludzie posługują się informacjami poufnymi. To jest sprzeczne z prawem. Ale ja nie jestem człowiekiem. *Wszystkie* informacje, które posiadam, są poufne.

Komputery, które obsługują transakcje zawierane przez największe firmy, są... no, powiedzmy, moimi przyjaciółmi. Będiesz bardzo przebiegłym kontrahentem, Lauro.

– Ale będę działała wbrew prawu. Bo ty, przeprowadzając transakcje, będziesz się posługiwał informacjami poufnymi.

– To ja będę przeprowadzał transakcje.

– Ale ja będę za nie odpowiedzialna. I transakcje będą przeprowadzane wbrew prawu.

– Być może. Ale tego nie będzie można dowieść.

– Rzeczywiście.

Solo patrzył, jak Laura bierze widelec i wsuwa sobie do ust ostatni kawałek omletu. Żuła go z furją. Oczy miała niewidzące i jasne było, że zastanawia się nad jego propozycją.

– Na twoim koncie znalazłoby się wiele milionów dolarów. Laura żuła, patrząc na Solo.

Kiedy przełknęła, zapytała:

– Wiele *milionów*?

– Tak, wiele.

– I to będzie legalne?

– Tak. Nie złamiesz żadnego przepisu. Będziesz płaciła podatki. Twój komputer wszystko załatwi. Laura roześmiała się.

– Mój komputer? To znaczy ty? Uśmiechnęła się do Solo.

– W porządku. Grube ryby z Wall Street bez przerwy posługują się komputerami. Dlaczego więc i ja nie miałabym tego robić?

– No właśnie – powiedział Solo.

Laura podjęła decyzję i uderzyła otwartą dłonią w stół.

– Właśnie. Dlaczego nie, do cholery? Zróbmy to!

– Dobrze – powiedział Solo. Laura uśmiechnęła się chytrze.

– Dobrze. Kiedy zaczynamy?

– Już zaczęliśmy. Zarobiłaś tysiąc dwieście dolarów obracając jenami w Tokio.

Po raz pierwszy od dwóch lat Laura Johnson-Reynolds tak się śmiała, że nie mogła złapać tchu.

Solo wyglądał przez drewniane żaluzje w oknach pokoju Franka na pierwszym piętrze i przyglądał się przechodzącą ulicą. Ciężarówka dostawcza z firmy City Cycles, na którą czekał, zaparkowała koło hydrantu przeciwpożarowego. Podczas gdy dwaj mężczyźni wyładowywali drewnianą skrzynię, Solo zauważył przechodzącą wysoką kobietę ubraną w czarne siatkowe pończochy i obcisłą, bardzo krótką spódniczkę. Kiedy kobieta była tuż pod oknem, Solo zrobił na nią najazd i zobaczył, że jej twarz jest nie ogolona. Jeżeli ten człowiek chce, żeby jego przebranie spełniało swoją rolę, powinien bardziej zwracać uwagę na szczegóły

– pomyślał. Mężczyźni tymczasem wtaszczyli skrzynię na schody, posługując się wózkiem ręcznym. Solo usłyszał dzwonek u drzwi.

– Solo! – krzyknęła Laura z sypialni. – Właśnie wyszłam spod prysznic. Czy oni mogą zaczekać?

– Nie wiem – powiedział Solo, obserwując niskiego człowieka w typie hiszpańskim idącego chodnikiem z deską długości czterech stóp na głowie. Człowiek ten rozpostarł ramiona jak ktoś, kto idzie po linie. Obserwował mężczyznę, dopóki ten nie zniknął za rogiem. Dobrze to robi –

pomyślał i odwrócił się do drzwi, przy których stała Laura w swoim ogromnym aksamitnym szlafroku.

– Wnoszą na schody dużą skrzynię. Czy wolałabyś, żebym to ja ich wpuścił?

– Żartujesz chyba – odrzekła Laura. – Przecież spod twojej koszuli wystaje przewód. Ja to zrobię. Po prostu nie lubię pokazywać się mężczyznom w szlafroku.

Laura otuliła się połamami szlafroka i poszła do drzwi.

Kiedy wyszła i była już za drzwiami, Solo pomyślał, że w hallu będzie musiała przekroczyć jego przewód. Tren szlafroka ciągnął się za nią. *Wtyczka. Tkwi luźno w gniazdku.* Solo nie był

w stanie odezwać się dostatecznie szybko. Wtyczka wypadła z gniazdko, kiedy Laura schodziła ze schodów.

Solo zwałił się w tył. Jego ramiona wykonały ruch ponad głową i rozbiły w drzazgi drewniany podnózek. Solo leżał nieruchomo. Akumulatory miał całkowicie wyczerpane.

– Solo – krzyknęła Laura z hallu – upuściłeś coś? Solo słyszał ją, ale nie mógł odpowiedzieć.

– Solo, zamówiłeś rzeczy ze sklepu z *motocyklami*? – spytała Laura.

Solo pomyślał: „tak”, ale oczywiście nikt go nie usłyszał.

– Solo – powiedziała Laura, zirytowana. – Nie, już nic, tu jest moje nazwisko.

Solo słyszał, jak mężczyźni postękiwali przenosząc wózek ręczny ponad progiem... usłyszał

też odgłos stawiania ciężkiej skrzyni na płytkach kuchennej podłogi... „dziękuję” Laury... „nie ma sprawy” jednego z mężczyzn... odgłos zamykania drzwi... trzy wyraźne szcęknięcia towarzyszące zasuwaniu trzech zasuw i w końcu metaliczne brzęknięcie długiego pręta w momencie, gdy Laura zabezpieczała drzwi frontowe.

– Solo?

Solo słyszał szelest ciągnącego się po dywanie szlafroka Laury idącej po schodach. Patrzył na sufit i zauważył, że w każdym jego rogu jest jedna pajęczyna. Oderwał się od tego widoku, kiedy Laura weszła do pokoju.

– Solo! – krzyknęła. – Co się stało?

Uklękła obok niego i wpatrywała się w osłony jego oczu.

– Solo?

Pomachała mu ręką przed oczami.

– Solo?

Solo zastanawiał, się ile czasu upłynie, zanim Laura zorientuje się, w czym problem.

Wiedział, że jego przyjaciółka nie ma zmysłu technicznego. Miał jednak dużo czasu. Plutonowe elementy rezerwowe miały działać przez dwadzieścia lat. Nie będzie mógł podładować głównych akumulatorów za pomocą elementów rezerwowych, jak to robił w przeszłości, bo akumulatory są całkowicie wyczerpane. Ale Laura na pewno zorientuje się, o co chodzi, przed upływem dwudziestu lat.

– O Boże – powiedziała Laura, podnosząc bezwładną prawą rękę Sola – niech on nie umiera.

Stęknęła, usiłując przewrócić go na bok. Solo zdziwił się, że chce to zrobić. Wykorzystywał

czas, jaki mu był dany, na introspekcję, gdyż nie miał energii, która by mu umożliwiła utrzymanie łączności z satelitami. Jego nagłe zniknięcie z sieci na pewno nie zostało zauważone, bo komputery często wyłączają się bez wyjaśnienia i ludzie są do tego przyzwyczajeni.

Wiedział, że wszystko to nie będzie miało wpływu na jego węzły – autonomiczne części rezydujące w innych komputerach. Żyją one czymś w rodzaju własnego życia. Jednak stan paraliżu był stanem niemiłym. Po uratowaniu Nemroda – pomyślał Solo – najważniejszym moim celem stanie się zaopatrzenie nas obu w większe plutonowe zasilacze. Bo to rozwiązanie z akumulatorami jest naprawdę prymitywne.

Laura przestała podejmować próby przewrócenia ważącego trzysta funtów Sola. Zauważyła

pomarańczowy przewód wystający spod jego hawajskiej koszuli. Podniosła materiał i zobaczyła, że przewód wychodzi z portu wejścia/wyjścia. Laura nazywała ten port gniazdkiem. Poszła wzdłuż przewodu aż do jego połączenia z przedłużaczem. Solo zobaczył błysk w jej oczach –

Laura coś odkryła. Zmarszczyła brwi, badała połączenie. Zbadawszy je poszła za przewodem za drzwi.

Solo usłyszał jej głośne „Aaa!” dobiegające z hallu. Sekundę później energia napłynęła do jego ciała. Laura wbiegła do pokoju w chwili, kiedy Solo usiadł.

– Ojej, Solo. Czuję się jak idiotka. Przeraziłam się nie na żarty.

– To dziwne uczucie być sparaliżowanym. Ale nic się nie stało – powiedział Solo.

– Jeżeli to był paraliż, to okropne – stwierdziła Laura. – Musimy ci wymienić akumulatory.

Ten stan rzeczy jest dla ciebie zbyt niebezpieczny.

Uśmiechnęła się przez chwilę, a potem jej twarz znowu spoważniała.

– Co to jest to coś ze sklepu z motocyklami, co kosztuje tysiąc dolarów?

Solo wstał i podszedł do schodów.

– Tymczasowe akumulatory. Pokażę ci.

Solo otworzył skrzynię stalowym łomem, który Laura przyniosła mu z sutereny. Ułożył

zawartość na podłodze w kuchni.

– Dwadzieścia jeden dwunastowoltowych akumulatorów motocyklowych, jeden piętnastoamperowy zespół do ładowania akumulatorów, dwadzieścia stóp kabla numer cztery i pudełko złączek – powiedział Solo, wskazując zbudowany przez siebie stos. Dzięki nim będę mógł oddalić się od wypustu na trzy godziny. Masz jakąś solidną walizkę?

– Jak ma być duża?

– Tak duża, żeby pomieściła i zespół do ładowania – odrzekł Solo.

– Mam walizkę Samsonite, która się być może nada. Ale założę się, że po załadowaniu do niej tego wszystkiego odpadnie rączka. Ile te rzeczy ważą?

– Około stu dwudziestu funtów – powiedział Solo.

– Nie – Laura pokręciła z powątpiewaniem głową. – Ta rączka...

– Zmodyfikuję rączkę. Możesz mi przynieść tę walizkę?

– Oczywiście. Jest w piwnicy. Wiesz, mam wrażenie, że uważasz mnie za głupią. Tylko dlatego, że nie od razu zrozumiałam, że jesteś odłączony od źródła prądu.

– Nie uważam cię za głupią – powiedział Solo. – Może w moim głosie słychać nutę niecierpliwości, ale to dlatego, że bardzo chciałbym być znowu mobilny. Kiedy jestem taki spętany, to czuję się jakbym był w niewoli; wiem też, że to jest niebezpieczne. Jeżeli walizka jest w piwnicy, pójdę tam. Potrzebne mi będą narzędzia. Szczypce do cięcia drutu, lutownica, stop lutowniczy.

– Twój przewód jest za krótki – powiedziała Laura.

– To prawda. Ale powiem ci, co zrobić.

Mówiąc to. Solo siadł na najwyższym stopniu schodów prowadzących do sutereny, a potem położył się na podłodze w kuchni.

– Wyłącz mnie z kontaktu w hallu i włącz do tego nad warsztatem na dole. Przewodu wystarczy. Laura kiwnęła głową.

– Zaraz wracam – powiedziała.

Wyszła z kuchni. Kiedy ustał dopływ energii, Solo usłyszał jak Laura mówi:

– Za chwilę cię włączę, Solo.

Potem zobaczył, jak nad nim przechodzi i znika na dole.

Po chwili poczuł przyływ energii i usiadł.

– W porządku? – spytała Laura, stając w drzwiach. Na jej twarzy malował się niepokój. Solo kiwnął głową.

– Doskonale. Możesz pobyć tam ze mną. Pracując, powiem ci, jaki mam plan.

Admirał Finch usiadł głębiej w krześle. Znajdował się w Waszyngtonie. Miał przed sobą komputer. Razem z nim w pokoju był komandor Brooks, który pochylał się nad przywiezionym z Nowego Jorku wydrukiem, przedstawiając dowody na to, że Solo znajduje się na Manhattanie.

Kiedy Finch zobaczył wykresy poziomego sygnału, jego chłopięca twarz rozpromieniła się.

– Solo zapomniał się wyciszyć, co? Dobra robota. Dobre posunięcie, Brooks. Zmusił go pan, żeby się ujawnił.

– Poszedłem za głosem intuicji, panie admirale. Ale tak naprawdę to chciałbym mieć go przekonać, żeby się z nami spotkał.

– Dobrze by było. Ułatwiłoby to nam robotę. Solo po prostu wpadłby nam w ręce. Brooks potrząsnął głową.

– Panie admirale, wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale dlaczego nie zawrzemy z nim umowy?

Przecież gdyby on był po naszej stronie, to my bylibyśmy już znacznie bardziej zaawansowani w pracach nad bronią komputerową. Solo jest wyjątkowy.

Finch smutno pokręcił głową.

– Zastanawialiśmy się już nad tym. Pomysł jest po prostu niewykonalny. Nie możemy mu zaoferować niczego, czego on już by nie miał albo czego nie byłby w stanie sam dostać.

– Wolność. Możemy mu zaoferować wolność, panie admirale.

Finch roześmiał się.

– Już to widzę, Brooks. Solo mieszka na przedmieściu i wychowuje małe robociątka.

Finch zauważył, że Brooks jest rozczarowany.

– To jest tylko z pozoru logiczne, Brooks. Bo niech pan tylko pomyśli, jak to by miało wyglądać w rzeczywistości. Przecież nie mamy żadnego sposobu monitorowania tego, co on robi. Pan skontaktował się z nim, bo on popełnił błąd. Nie jest prawdopodobne, że spieprzy coś w ten sam sposób jeszcze raz. No, a zresztą, powiedzmy, że dajemy mu wolność. Konieczne wtedy będzie uchwalenie ustawy. Danie mu praw ludzkich. A kiedy mu je już damy, to będziemy mieli do czynienia z maszyną, która będzie grzebała we wszystkich naszych sieciach komputerowych i której nie będziemy mieli prawa zniszczyć. Nie zgadzam się ze Stewartem w wielu sprawach, ale w jednym punkcie jesteśmy zgodni: Solo z minuty na minutę staje się inteligentniejszy. Może nie jest to inteligencja ludzka, ale jakkolwiek tę inteligencję nazwiemy –

jest to inteligencja. Jeśli Solo zacznie nas uważać za podobnych do małp, może zacząć ingerować w

nasze sprawy, myśląc, że robi nam grzeczność. Kiedy do tego dojdzie, my naprawdę staniemy się małpami, bezradnymi i nie potrafiącymi go powstrzymać. Nie wiemy, do czego Solo jest zdolny. Ma więc nad nami przewagę. Musimy go powstrzymać. I to natychmiast.

Drugiej szansy na to nie będzie.

Brooks popatrzył na Fincha i powiedział:

– Rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć, panie admirale. Rozmawiając z nim, miałem wrażenie, że on jest jak człowiek. A jeżeli ja miałem takie wrażenie, to będzie je miał prawie każdy. Siła Sola polega na tym, że sprawia wrażenie istoty rozumnej i czującej.

– Właśnie, Brooks – powiedział Finch, uśmiechając się szeroko. – Zabierajmy się do roboty.

Łapmy go. Jeśli nam się to już uda, to będzie go można umieścić w jakimś szybie kopalnianym.

I tam niech sobie pańscy ludzie z nim eksperymentują.

– Mamy go łapać?

– Tak. Spodziewam się, że taki magik z MIT jak pan potrafi wyszykować taki model komputera, który – za pomocą zdobytych przez pana danych – będzie umiał go przygwoździć.

Mam rację?

Brooks popatrzył na wydruki i kiwnął głową.

– Tak jest, panie admirale. Na szczęście mam taśmę rezerwową sieci komputerowej. Solo najwyraźniej zapomniał ją wyczyścić. Może za bardzo się spieszył, a może nie sądził, że ją dostaniemy. Mogę posłużyć się tymi danymi i dojść, skąd nadawał. Było to gdzieś w odległości kilku przecznic.

– To wystarczająco blisko. Niech pan robi, co do pana należy, Brooks. A my wyślemy na ulicę odpowiednią liczbę ludzi. Mamy raport policyjny mówiący, że ktoś taki jak on obrabował

sklep. Policja myśli, że to wariat w plastikowym kasku. Założę się, że on ponownie wyjdzie.

Może szczęśliwym trafem to my go znajdziemy. No bo jak długo czarny plastikowy robot ważący trzysta funtów może łązić po ulicach nie zauważony?

Laura patrzyła, jak Solo wyjmuje jej walizkę z tekturowego pudła, a potem otwiera ją.

– Korporacja? A dlaczego nie ograniczyć się po prostu do pomnażania pieniędzy? Kiedy powiedziałaś mi, jaki jest stan mojego konta, mało nie zwariowałam z radości. Radzisz sobie doskonale bez korporacji.

Solo położył walizkę na warsztacie, a obok niej zgromadził przewody i inne potrzebne części.

– Korporacje są uprzywilejowane. Chcę robić różne rzeczy, nie zwracając uwagi, jaką ściągęłaby na siebie osoba prywatna.

– Różne rzeczy? Jakie? – spytała Laura.

– Badania naukowe nad komputerami. Nie sądzę, że będziemy mogli je prowadzić tutaj, w suterenie.

Laura rozejrzała się po pomieszczeniu zapchanym po sufit pudłami i oprawionymi rocznikami czasopism.

– Badania? Chcesz przez to powiedzieć, że mielibyśmy więcej komputerów takich jak ty?

– Być może – powiedział Solo i odciął kawałek przewodu. – Chcę też kupić helikopter.

– Mogłabym już go kupić, prawda?

– Tak. I natychmiast zwróciłabyś na siebie uwagę. A ja na zwracanie na siebie uwagi nie mogę sobie jeszcze pozwolić.

Dobry helikopter kosztuje ponad milion dolarów. Helikoptery kupują korporacje, a nie bezrobotne nauczycielki – powiedział Solo, tnąc na kawałki perforowane aluminium.

Laura kiwnęła głową z roztargnieniem. Solo poruszył się szybko. Patrzyła, jak konstruuje metalowy szkielet, który miał wejść do walizki. Pracował bardzo szybko – wyglądało to jak film rysunkowy.

– Solo, w jaki sposób pociąłeś te kawałki tak dokładnie, nie mierząc ich?

– Ja je mierzę, Lauro. Tylko nie używam miarki. Widzę bezpośrednio rozmiary przedmiotów.

– Ojej – zdziwiła się Laura.

– Kiedy zabiorę się za organizowanie tej korporacji, będę potrzebował twojej pomocy.

– Ale, Solo, ja nie mam pojęcia, jak się prowadzi interesy.

– Wiem o tym. Uczyłem się tego i wiem, co robić. Potrzebny mi współnik, osoba firmująca.

Trzeba będzie podpisywać podania, zezwolenia, umowy. Potrzebny nam będzie prawnik.

Będiesz przeprowadzać rozmowy z kandydatami na pracowników. Chcę, żebyś tym współnikiem była ty. A ja będę z tobą w stałym kontakcie.

Laura spojrzała na stos książek. Na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Od czasu gdy Solo z nią zamieszkał, czuła się lepiej, to prawda, ale wychodzić z domu, kontaktować się z ludźmi?

Nie, na to nie miała ochoty.

– Jak? Jak będziesz się ze mną kontaktować? W jaki sposób mi pomożesz, kiedy nie będę miała pojęcia, co powiedzieć?

Solo wziął z warsztatu mały kawałek plastiku w kolorze ciała ludzkiego, wielkości kulki do gry.

– Przez to. Pasuje do twojego ucha.

– Aparat słuchowy?

– Kiedyś to był aparat słuchowy. Zmodyfikowałem go. Włóż go do ucha.

Laura odgarnęła włosy i włożyła słuchawkę do ucha.

– Już – powiedziała.

Usłyszała głos Sola, chociaż Solo nie mówił.

– Dobrze. Dobrze cię słyszę – powiedział głos. Laura roześmiała się.

– Mówisz przez radio, tak? Oczywiście, że mnie słyszysz. Przecież jesteś tutaj, tuż obok mnie.

– Wypróbuj to. Idź na górę.

– Do czego mam mówić? Gdzie jest mikrofon?

– Kiedy człowiek mówi, dźwięk przechodzi przez jego uszy, podobnie jak przez usta – powiedział Solo.

– Naprawdę?

– Tak.

Laura wstała ze stołka i poszła w górę po schodach prowadzących do sutereny. Kiedy zamknęła już za sobą drzwi do kuchni, szepnęła:

– Słyszysz mnie?

- Tak – powiedział Solo w jej uchu.
- To zadziwiające – stwierdziła Laura, śmiejąc się.
- Wszystko jest zadziwiające, Lauro. Wzruszyła ramionami. Poszła w głąb domu. Kiedy wchodziła do sypialni, usłyszała, że Solo mówi:
- Jesteś w sypialni. O jakieś cztery stopy od końca łóżka.
- To prawda. Skąd wiesz?
- Radio nadaje bez przerwy. Widzę gdzie jesteś, gdziekolwiek byś poszła.
- Na jaką odległość? Na jaką odległość to działa? – zapytała Laura, podchodząc do komody.

Wzięła szkatułkę z biżuterią.

- Dopóki nie opuścisz Ziemi, będę w stanie cię słyszeć – odrzekł Solo.
- No to powinno się udać. Bo nie mam w planach opuszczenia naszej planety gdzieś tak do przyszłego lata.

Laura uśmiechnęła się szeroko, czekając na odpowiedź Sola.

- Stoisz teraz przed komodą. Laura nie rozumiała.
- To znaczy, że mnie widzisz?
- Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Wiem, gdzie jesteś na podstawie transmisji radiowej i dzięki temu, że obserwuję twoje naturalne pola energetyczne.

Laura przechyliła szkatułkę, a ta wydała cichy szeleszczący dźwięk.

- Potrąciłaś właśnie szkatułkę z biżuterią.
- Nie do wiary.
- Rozumiesz teraz, jak będzie to działało? Będę zawsze przy tobie, bez względu na to z kim i gdzie będziesz. Jesteś inteligentna, poradzisz sobie z ludźmi, a ja będę znał fakty. Jesteś atrakcyjna – w biznesie to zaleta. Obawiam się, że na mój widok ludzie czują się zagrożeni, chociaż nie dowiodłem tego jeszcze sobie ponad wszelką wątpliwość. W warunkach biura byłbym elementem co najmniej rozpraszającym uwagę. Myślę, że ludzie będą woleli załatwiać sprawy z tobą. Ale we dwoje będziemy stanowili silny zespół.

Laura uśmiechnęła się. Odezwał się dzwonek u drzwi.

- Spodziewasz się dalszych dostaw, Solo?

– Tak – powiedział w ucho Laury. – Tranzystorów i lamp przekaźnikowych od Lafayette’a.

Laura poszła do drzwi frontowych. Spojrzała przez wizjer i zobaczyła dwóch mężczyzn w niebieskich kurtkach. Stali z rękami w kieszeniach. Aż dwóch w celu dostarczenia paru tranzystorów? Laura wzruszyła ramionami. Solo był na dole. Laura odryglowała drzwi i otworzyła trzy zamki.

Poznała ich, kiedy drzwi były już otwarte. Serce w niej zamarło. Nie mieli na sobie masek z pończoch, ale byli...

Chciała zatrzaskać drzwi, ale mężczyźni je przytrzymali. Laura zapierała się całym ciężarem ciała, ale oni otworzyli drzwi, odpychając ją i wpychając do salonu.

– Solo! – krzyknęła Laura.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, stojąc już w hallu.

– Masz psa, co?

– Nie wołaj mnie – powiedział głos Sola w ucho Laury. Wysoki odwrócił się i powiedział się do kumpla:

– Zamknij drzwi, Peso.

Peso, niski człowieczek z cienkim wąsikiem, odwrócił się i zamknął drzwi na klucz.

– Jak to? Mam cię nie wołać...

– Wiem, że to ci ludzie cię skrzywdzili. Poradzimy sobie z nimi. Będziemy działać wspólnie.

– Nie wołać Nesta? Peso, słyszysz, co ona mówi? A ty twierdziłeś, że nas nie lubi.

– Nie mów nic, Lauro. Tylko słuchaj. Przewód jest za krótki. Nie mogę tam przyjść.

Laura kiwnęła głową. Otworzyła szeroko oczy, kiedy dwaj mężczyźni zbliżyli się do niej.

Wiedzą, że mogą mnie wziąć. Tak po prostu. Cofnęła się.

– No, no – powiedział Nesto – nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy. Spodoba ci się to –

Nesto uśmiechnął się szeroko, pokazując dwa złote zęby. – Wyluzuj się, a zabawimy się dobrze

– powiedział miękko, rzucając jej lubieżne spojrzenie.

Stojący za nim Peso uśmiechnął się.

Laurze zdawało się, że zaraz zemdleje. Krew uderzyła jej do głowy, pulsowała pod czaszką.

Przed oczami jak komary wirowały czarne płatki, chciało jej się wymiotować. Stała dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, kiedy zabili Franka. Koszmar powtarzał się.

– Lauro, musisz ich zwabić tutaj na dół. Kiedy światło zgaśnie, biegnij do kuchni – powiedział Solo w jej ucho. Laura kiwnęła głową. Skuliła się i cofnęła, błagając:

– Nie, proszę, nie.

Światło zgasło.

O Boże! Solo się wyłączył!

– Co do cholery? – spytał Nesto.

– Nie widzę jej, Nesto – powiedział Peso. – Jest za ciemno.

– To żaden problem – stwierdził Nesto. – Zostań przy drzwiach. Ona jest tam. Widzę jej cień

– powiedział, ruszając naprzód. – Chodź, mała. Chodź do Nesta.

Nesto cmokał lubieżnie, co spowodowało, że Laurze przeszedł prąd po kręgosłupie.

– Co robisz, Lauro? Ruszaj się. Biegnij do kuchni, a potem zejdz tutaj. Już!

Laura stała jak wryta. Uważała, że Nesto jej nie widzi, ale że ją zobaczy, kiedy ona się ruszy.

– Widzę cię – szydził Nesto.

– Lauro, Nesto idzie w twoją stronę. Jest o dwanaście stóp od ciebie. Chyba cię widzi.

Światło jest wystarczające. Masz ostatnią szansę. Rób, co ci mówię – powiedział Solo do ucha Laury. – Jest o dziesięć stóp od ciebie, zbliża się. Wyczuwa, gdzie jesteś. Biegnij do kuchni –

powiedział Solo spokojnie i stanowczo. – Do kuchni, Lauro.

– Czuję cię – powiedział Nesto.

– Osiem stóp i zbliża się – stwierdził Solo. – Idź do kuchni, Lauro, do kuchni.

Jeżeli się ruszy, Nesto dowie się, gdzie jest. Jeżeli się nie ruszy, dopadnie ją za kilka sekund...

– Idź do kuchni – powtórzył Solo. Jego głos był spokojny, ale bardzo stanowczy. Laurę ogarnęła wściekłość.

– Dobrze, do cholery! – krzyknęła.

– Co? – zapytał Nesto.

Laura rzuciła się w stronę kuchni.

– Nesto, ona jest tam! – wrzasnął Peso.

– Mam ją – powiedział Nesto.

Sięgając rękami do futryny drzwi, Laura poczuła, że Nesto złapał ją za szlafrok. Złapał

i szarpnął. Laura pochyliła się w przód, a on ciągnął w tył. Laura skręcała się i wiła. Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma już szlafroka na sobie. Była wolna. Usłyszała ciężkie stuknięcie, odgłos tłuczenia szkła i stękanie NESTA. Przebiegła obok stołu, uderzyła się o kontuar i nagłym ruchem otworzyła drzwi prowadzące do sutereny.

– Światła? Te cholerne światła znowu się palą?

– Idź dalej, Lauro. Chcę, żeby oni przyszli tu za tobą. Szybko!

Laura zbiegła po schodach. Potknęła się i rozcięła sobie kolano o podstawę szczebelka, niczego nie czuła. Dziwne, ale wszystko wydawało jej się zupełnie jasne. Teraz, kiedy minął

wstrząs powodujący osłupienie, czuła się lepiej. Chwyciła się balustrady i zbiegła z ostatnich pięciu stopni. Kiedy była już na dole, zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Solo.

– Jestem przy bezpiecznikach, Lauro. Biegnij do drzwi prowadzących na ulicę.

– O, cholera!

Nesto stał na szczycie schodów ze szlafrokiem Laury w rękach.

– Co za dupa! Wiesz, Peso, chyba się zakochałem. Nesto spojrzał z góry na Laurę i roześmiał się.

Laura odwróciła się i zobaczyła, że obaj mężczyźni stoją w drzwiach do kuchni.

– To prima cizia, Peso. Założę się, że już ma mokre majtki, tak za nami tęskni. Co, mam rację, mała? Ile to czasu upłynęło? Dwa lata? Masz mokro, co?

Laura poczuła przyływ wściekłości.

– Wy cholerne bydlaki! – krzyknęła z dołu. – Zostawcie mnie w spokoju! Mam broń i rozwalę wam łby, jeżeli się ruszycie!

– Naprawdę? A gdzie ją trzymasz? W cipie? Nesto i Peso zaśmiali się. Nesto ruszył ku schodom.

– Oni nie mają szans. Damy im razem nauczkę. Idź do drzwi. *Solo?*

– Słucham.

– *Ja nic nie mówiłam.*

Laura pobiegła między pudłami w stronę drzwi. Były zastawione sześcioma pudłami pełnymi książek.

– Cholera! – krzyknęła Laura, chwytając to, które było na górze, i odstawiając je na bok.

Szorstka tektura otarła jej ręce i piersi.

– To zadziwiające – powiedział Solo w jej ucho. – Nie mówisz, a jednak cię słyszę.

Laura dźwignęła drugie pudło. Jego dno odpadło, a z wnętrza wysypały się roczniki *Scientific American*.

– Łap ją, Nesto. Te drzwi wychodzą prosto na ulicę. Nesto zszedł z ostatniego stopnia.

– To niebezpieczne – powiedział. – Bo co by było, gdyby wybuchł pożar? Albo dwaj faceci wdarli się tędy i zapierdolili cię na śmierć? No, no, co za burdel.

Laura poślizgnęła się na numerze *Scientific American*. Chwyciła klamkę, gwałtownie odgarniając stopą czasopisma, chcąc sobie zrobić kawałek miejsca do stania. Drzwi wciąż były zablokowane przez trzy ciężkie pudła.

– Światło zgaśnie, kiedy oni będą w połowie drogi do ciebie. Kiedy zrobi cię ciemno, biegnij w ten róg koło warsztatu. Rozumiesz?

Laura kiwnęła głową.

– Pocisz się – powiedział Nesto za jej plecami. – Lubię, kiedy babka się poci.

Laura skuliła się, odwróciła i zobaczyła, że dwaj mężczyźni idą do niej, uśmiechając się.

Oparła się o drzwi, rozglądając na boki za jakąś bronią. Serce jej waliło. Zobaczyła kij baseballowy oparty o ścianę, dokładnie tam, gdzie Frank zostawił go dwa lata temu. Chwyciła go obiema rękami i kucnęła opierając się plecami o drzwi. Obserwowała zbliżających się Nesta i Pesa. Ścisnęła kij i poczuła, że ogarniają furia. *Zabić ich* – pomyślała.

– Nie sądzę, żeby było to godne zalecenia – powiedział Solo.

Zabić ich! – krzyknęła Laura w myśli. Nesto i Peso zbliżali się powoli.

– Wyłączam światło – powiedział Solo.

W suterenie zrobiło się ciemno. Laura odwróciła się, wysilając niewidzące oczy i starając się odgadnąć, co dzieje się między nią a ścianą. Usłyszała słowa Solo:

– Biegnij do warsztatu. Już.

– Co jest z tym pieprzonym światłem? – krzyknął Nesto. Laura upuściła kij i skoczyła w pustkę.

Potknęła się o jakieś pudło, a potem, wyciągając przed siebie ręce, przeszła między innymi pudłami w stronę ściany. Wcisnęła się między warsztat a stos pudeł. Odwróciła się, usiłując zobaczyć, czy napastnicy ją ścigają. Było tak ciemno, że wydało jej się, że upadłaby, gdyby nie ściana. A potem usłyszała własny głos, dobiegający z miejsca, w którym stała przedtem.

– O co chodzi, dupki? Boicie się ciemności?.

– Ach, więc jednak nas lubisz. Zobacz, Peso, ona chce się z nami zabawić. W ciemności.

Solo spojrzął na Laurę. Zobaczył, że stara się przeniknąć wzrokiem ciemność.

– Wszystko w porządku – powiedział jej. – Oni nic nie widzą. Są jeszcze między pudłami.

Solo usłyszał, co Laura myśli. Zauważył, że nie docierają do niego słowa i że jest tak, jakby te myśli wychodziły z jego własnego umysłu. Przenikał je, zanim słowa zostały sformułowane.

Poczuł przypływ złości. W jego umyśle pojawiły się słowa: Zabij ich!

Nesto wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Solo widział, jak przesuwa kciukiem po kółku.

Posypały się iskry, zaczął się tworzyć płomień. Solo kopnął Nesta w pachwinę.

– O kurde – krzyknął Nesto i zatoczył się w tył na stos pudeł.

Solo zorientował się, że rozwalił mu obydwaj jądra.

– Przyjemnie ci było? – spytał głos Laury.

– Jezu Chryste, moje jaja! – krzyknął Nesto. Solo zobaczył, że Nesto leży na ziemi skulony i obiema rękami zasłania sobie krocze. Peso wytrzeszczał oczy, usiłując coś zobaczyć. W jego twarzy Solo dostrzegł strach. Peso sięgnął ręką do kieszeni. Nóż – pomyślał Solo.

Pochylił się i szepnął do niego głosem Laury.

– Peso, Peso, po co ci ten nóż?

Peso podniósł głowę i patrzył w stronę, z której zdawał się dobiegać głos. Otworzył nóż i machnął nim kilka razy w powietrzu.

– Poderżnę ci gardło, suko!

Solo walnął Pesa w krocze swoją ważącą sto funtów nogą. Zrobił to z siłą wystarczającą do tego, żeby go wyrzucić dziesięć stóp nad podłogę. Poczuł, że jądra Pesa pękają i usłyszał

trzaśnięcie jego kości łonowej, a potem patrzył, jak Peso opada z wyciem na podłogę.

Słyszając straszne krzyki obu mężczyzn, Laura prawie im współczuła.

– *Co im zrobiłeś?*

– Są na podłodze, Lauro. Długo tego nie zapomną. Rozwaliłem im jądra. Podręcznik CIA zaleca to jako sposób na spowodowanie maksymalnego bólu. Będzie ich bolało przez wiele tygodni.

Dobrze – pomyślała Laura.

– Tak. Policja będzie tu za parę minut. Zaraz ich związę. Powiedz policjantom, że obroniłaś się kijem baseballowym. Oni to potwierdzą. Ktoś ich cholernie poturbował i według nich tym kimś jesteś ty. Powiedz policji, że to ci sami, którzy cię zgwałcili i zabili ci męża.

Laura kiwnęła głową, oparła się ciężko o ścianę i zaczęła szlochać. Schwyciwszy Nesta, Solo poczuł, że przepływa przez niego dławiąca bezgłośna fala bólu. Nesto zamachnął się pięścią i Solo musiał walnąć go w głowę, żeby się uspokoił. Związał go. Peso stracił

przytomność. Z nim nie było żadnych kłopotów.

Solo wrócił do bezpieczników znajdujących się w rogu.

– Obaj są związani i nieprzytomni – powiedział. – Zapalam światło.

Laura zamrugała, kiedy w suterenie zrobiło się jasno.

– Solo? – powiedziała głośno.

– Dobra robota – odezwał się Solo, wychodząc zza pudeł stojących koło miejsca, gdzie były bezpieczniki. – Może przed przybyciem policji powinnaś włożyć szlafrok.

Laura kiwnęła głową, podniosła kij baseballowy i podeszła do dwóch mężczyzn leżących między pudłami.

Solo usłyszał jęk Nesta i usunął się poza zasięg wzroku obu mężczyzn, obserwując Laurę.

Do jego mózgu napłynęły jakieś emocje i bezsłowne wizje: obraz mężczyzny, ukochanego mężczyzny, który umiera, ból, żal.

Nesto spojrzał w górę i zobaczył, że stoi nad nim Laura. Twarz miała wykrzywioną w grymasie wściekłości.

– Bardzo panią proszę, więcej nie – powiedział słabym głosem Nesto.

Po jego skroni spływały krople krwi.

– Zabiłeś mojego męża – powiedziała Laura przez zaciśnięte zęby.

Podniosła wysoko kij i walnęła nim z całej siły. Kij zadrasnął Nestowi głowę i zmiażdżył mu obojczyk. Laurze wydawało się, że słyszy trzask kości. Nesto krzyknął i usiłował się odsunąć,

turlając po podłodze.

– Tak – powiedział Solo w ucho Laury. – Złamałaś mu obojczyk. Możesz zrobić, co chcesz.

Ale wolałbym, żebyś ich nie zabijała. Byłoby trudno wyjaśnić to policji.

Laura kiwnęła głową.

– Zrobiłeś to tylko po to, żeby zobaczyć, jak on umiera! Podniosła kij, a Nesto krzyknął:

– Nie! Zwariowałaś!

Laura zmiażdżyła mu nos. Kiedy Nesto krzyczał, miała wrażenie, że czas nie płynie, ale czołga się powoli. Znajdowała się w krystalicznie czystej nieobecności. Waliła go wiele razy.

Koszula Nesta przesiąknięta była krwią. Krew płynęła mu z ust. Laura usłyszała dziki wrzask kobiety i zdała sobie sprawę, że to wrzeszczy ona sama. Mimo to jednak, waląc nieprzytomnego Nesta, czuła wewnętrzną spokój.

Zamachnęła się jeszcze raz i poczuła, że ktoś złapał kij.

– Lauro – odezwał się za nią Solo.

– Puść mnie! – krzyknęła.

Szarpnęła kij, ale Solo trzymał go mocno. Kij nie drgnął.

– Lauro, on już jest prawie martwy. A policja za chwilę tu będzie.

– Chcę go zabić! Chcę go zabić! Nie rozumiesz, co on zrobił? Zabił Franka z zimną krwią.

Nie zasługuje na to, żeby żyć. To nie człowiek!

Solo czuł potęgę tej wściekłości, rozumiał ją.

– Pomyliłem się – powiedział. – Chciałem być praktyczny. Było to egoistyczne z mojej strony. Zabij go. Masz czas.

Puścił kij i odsunął się na bok.

Laura stała z kijem opartym o nagie ramię. Oddychała ciężko. Z kija na jej dłoń spływała krew, ale ona tego nie czuła. Było duszno, w powietrzu unosił się zapach potu i jeszcze czegoś, czegoś słodkiego. Twarz Nesta była zmasakrowana i zakrwawiona. Z ust i nosa wydobywały mu się różowe bąbelki. Przy oddychaniu z gardła dochodził charkot.

– Jedno porządne uderzenie w czaszkę powinno wystarczyć – usłyszała.

Laura zaczęła spazmatycznie chwytać powietrze. Nagle poczuła, że opuściły ją siły.

Upuściła kij i wyciągnęła ręce do Sola.

Płakała, a Solo ją obejmował.

Kapitan Crane szedł chodnikiem do budynku dowództwa. Martwił się o żonę, która czuła się dotknięta, gdyż on nie mógł jej powiedzieć ani dokąd się udaje, ani na jak długo. Żegnając się z nim w samochodzie, zaczęła płakać.

– Kochanie – tłumaczył jej – ja mam taką pracę. To się zmieni na lepsze.

Mieszkali w bazie w Fort Bragg w Północnej Karolinie. Kapitan Crane obiecywał żonie, że kiedy zostanie majorem, wyprowadzą się stamtąd.

– Wyprowadzimy się, obiecuję ci.

– Mnie na przeprowadzce nie zależy – powiedziała Emma. – Chcę tylko, żebyś już nie był w tej przeklętej Formacji Delta.

Kapitan zmarszczył brwi.

– Nie ma żadnej Formacji Delta. Ja jestem w Siłach przeprowadzających Operacje Specjalne.

Emma pokręciła głową. Nie było żadną tajemnicą, czym zajmowały się te Siły. Każdy wiedział, że one i Formacja Delta to jedno. Ale dowództwo uważało, że zaprzeczając na każdym kroku, że Formacja istnieje, spowodują, że świat uwierzy, iż Stany Zjednoczone nie dysponują specjalną siłą uderzeniową.

Emma nie miała pojęcia, dlaczego tym ludziom tak na tym zależy.

– Nazywaj to, jak chcesz – powiedziała. – Tak czy inaczej, ja mam tego dosyć. Mam dosyć wyczekiwania na ciebie całymi tygodniami. Dlaczego nie możesz robić czegoś normalnego, jak kapitan Reed?

Crane skrzywił się. Jego sąsiad. Bob Reed, był kwatermistrzem. Wykonywał najnudniejszą robotę w całej armii. Crane wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek, a potem podniósł głowę i zobaczył porucznika Dorna, swojego podwładnego. Dom zmierzał w stronę budynku dowództwa.

– Muszę już iść, kotku. Porozmawiamy o tym jak wrócę, dobrze?

W sali odpraw, do której prowadziły drzwi znajdujące się w końcu korytarza, inny dowódca grupy, Ed Green, siedział przy długim stole wraz ze swoim podwładnym, majorem Reynoldsem oraz jeszcze jednym ubranym na czarno mężczyzną. Green i Reynolds zajmowali miejsca z boku, a ten trzeci u szczytu stołu. Crane usiadł obok porucznika Dorna.

– Dzień dobry, panie kapitanie – ukłonił się Dom. Wyglądał na zdenerwowanego. Miała to być jego pierwsza misja od czasu odkomenderowania do Dowództwa Sił przeprowadzających Operacje Specjalne.

– Witaj, Jerzy – odpowiedział Crane.

Spojrzał w stronę szczytu stołu i zobaczył, że major Reynolds rozmawia z mężczyzną w czerni. To pewnie ktoś z Wywiadu Marynarki Wojennej – pomyślał.

– Wygląda na grubą rybę, co? – szepnął.

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział Dom. Major Reynolds podniósł wzrok.

– Dzień dobry, panie kapitanie. Jakies kłopoty?

– Nie, panie majorze.

Crane miał ochotę opowiedzieć majorowi o Emmie, ale wiedział, że takich rzeczy się nie robi.

– Przepraszam, panie majorze.

– Dobrze, panowie, możemy przystąpić do sprawy – stwierdził major Reynolds i spojrzał na mężczyznę siedzącego u szczytu stołu.

– Panie admirale – powiedział – to są oficerowie, którym będzie powierzone wykonanie misji. Panowie – dodał, podnosząc głowę – to jest admirał James Finch z Wywiadu Marynarki Wojennej. Admirał poprowadzi tę odprawę.

Finch kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Dzień dobry. Wiem, że nie jesteście panowie przyzwyczajeni do tego, że odprawę prowadzi ktoś z Marynarki. Ale nie martwcie się. Ta misja nie wiąże się z pływaniem.

Porucznik Dorn uśmiechnął się.

– Panowie – kontynuował Finch – nie uczestniczyliście nigdy w misji, która byłaby tak ważna jak ta. Powiem wam coś, w co trudno uwierzyć. Ale mimo to uwierzcie mi. Od tego będzie zależało wasze życie i bezpieczeństwo narodowe.

Crane i Dorn siedzieli w milczeniu na tylnym siedzeniu wojskowej limuzyny wiozącej ich do koszar Grupy Alfa. Dlaczego, na miłość boską, w ogóle podjęto próbę skonstruowania czegoś takiego? – zastanawiał się Crane. Żołnierz-maszyna? Czy ich głupota ma w ogóle jakieś granice?

Dorn natomiast martwił się, że będzie bardzo trudno utrzymać dwie drużyny Formacji Delta w starej nowojorskiej Zbrojowni. Bo dwie drużyny to osiemdziesięciu świetnie wyszkolonych, działających na najwyższych obrotach żołnierzy. I żołnierze ci mieli tam czekać w całkowitej izolacji od świata. Jak to zrobić, żeby ci chłopcy nie zwariowali? Admirał Finch powiedział, że oczekiwanie może potrwać miesiąc. I nie będzie im wolno utrzymywać łączności telefonicznej ani radiowej ze światem zewnętrznym. Wszystkie wiadomości będą przynosili kurierzy.

A żołnierze – do czasu zakończenia misji – mają nie mieć prawa wysyłania i otrzymywania listów,

przyjmowania gości i wychodzenia na przepustkę. To będzie piekło – pomyślał Dorn.

– Jak pani się czuje? – spytał detektyw Garcia. Laura kiwnęła głową.

– Dobrze. Już dobrze.

– No to świetnie.

Garcie ogarnęła litość. Laura miała twarz skrzywdzonego dziecka.

– Zrobiła pani rzecz zadziwiającą. Pobiła pani tych bydlaków.

– Wszystko jest zadziwiające – stwierdziła Laura.

Garcia pokiwał głową.

– Tak, chyba tak. Ale to, co pani zrobiła, jest wyjątkowe. Zastanawiałem się... Może mi pani powiedzieć, jak się pani to udało?

– Jak?

– No tak, w jaki sposób. Bo przecież Ernesto i jego brat to nie ułomki. Sam miałbym kłopot, gdybym któregoś z nich musiał unieszkodliwić w pojedynkę. A pani poradziła sobie równocześnie z obydwojema.

– Chciałam ich zabić – powiedziała Laura. Garcia kiwnął głową.

– Nie mogę pani za to winić – powiedział. – Ernesta pani prawie wykończyła – dodał, uśmiechając się.

– Mogłabym go wykończyć – oczy Laury wypełniły się łzami. – Ale nie byłam w stanie...

– Oczywiście – powiedział Garcia, skrywając uśmiech – nie jest pani typem zabójczyni.

Zobaczył, że Laura patrzy w stronę kuchni i że nie dociera do niej to, co on mówi.

– No więc jak? Opowie mi pani o tym? Laura odwróciła się gwałtownie do niego.

– Czy opowiem? – pokręciła głową. – Nie. Nie teraz. Niech pan przyjdzie kiedy indziej.

Teraz chcę się wykapać. I pójść spać. Tak, panie poruczniku. Jestem zmęczona.

Garcia westchnął i kiwnął głową.

– Oczywiście. Przepraszam, pani Reynolds. Ale będę musiał spisać pani zeznanie. Bo Ernesto i jego brat będą pewnego dnia sądeni. Będzie nam potrzebne pani zeznanie do aktu oskarżenia.

Laura pociągnęła nosem i szybko wstała. Poprawiła okulary, wyprostowała się i powiedziała wesoło:

– Dobrze, panie poruczniku. Dziękuję za pomoc. Niech pan do mnie wpadnie.

Podeszła szybko do frontowych drzwi i otworzyła je.

– Do widzenia.

Następnego wieczora Solo powiedział:

– Wybierz książkę. Jakąkolwiek.

Laura, ubrana w dzinsy i bluzę, siedziała na kanapie w salonie i oglądała telewizję. Na jej prośbę Solo zerwał wykładzinę dywanową, która znajdowała się teraz na poddaszu. Plamy z krwi nie było, gdyż położyli już nową wykładzinę, jednak ona wciąż nie mogła patrzeć na to miejsce. Kiwnęła głową i wyciągnęła książkę z regału stojącego koło kanapy.

Solo wyłączył telewizor.

– Zakłócenia – wyjaśnił.

– Dobrze, ale *Sześćdziesiąt minut* muszę obejrzyć – powiedziała Laura podnosząc książkę.

– *Grona gniewu?* – spytał Solo.

– Tak – odpowiedziała Laura, nie dziwiąc się już, że Solo potrafi odczytać wyblakły tytuł z odległości trzydziestu stóp.

– Dobrze. Nie czytałem tego. Otwórz gdziekolwiek i przeczytaj po cichu jedną linijkę, Laura otworzyła książkę i przeczytała po cichu: „Posuwali się w dół, zakosami i pętłami, chwilami tracąc dolinę z oczu, a potem odnajdując na nowo.”

– Zabłąkani w dolinie? – zapytał Solo.

Laura podniosła głowę i spojrzała na niego. Robot siedział przy kuchennym stole, majstrując coś przy elemencie elektronicznym, który miał zamiar wmontować do helikoptera.

– Tak, chyba taki jest tego sens. Chociaż ma to również pewien sens ukryty.

– Tak myślałem – powiedział Solo.

Przytknął lutownicę do płytki montażowej i patrzył, jak mała kupka szarego stopu lutowniczego robi się srebrna i roztopia się.

– Kiedy nie masz słuchawki w uchu, nie doznaję żadnych uczuć ani nie przychodzą mi do głowy

żadne myśli. Ale kiedy ją tam włożysz, czuję i widzę różne obrazy, nie słysząc słów.

Myślę jednak, że mogę to ulepszyć.

– Ja tego zupełnie nie rozumiem – stwierdziła Laura. – To jest czytanie w myślach?

– Nie. Pola elektryczne wytwarzane przez twój mózg wywierają wpływ na sygnał radiowy –

powiedział Solo. – Ja obserwuję te modyfikacje i interpretuję je jako myśli. Nie jestem pewien, jak to robię. Staram się jednak odkryć mechanizm tego zjawiska.

– Nie rozumiem. Jak możesz coś robić, nie wiedząc jak to robisz?

– Wszyscy myślą, że miliony cząsteczek naszego mózgu działają wspólnie, wytwarzając świadomość. Nie jesteśmy jednak świadomi, jak działają poszczególne cząsteczki. Ja pewną swoją częścią rozumiem ten mechanizm. Nie wiem tylko którą. To jest coś takiego jak elektroencefalografia.

Laura popatrzyła przez chwilę na Sola.

– Masz taki skaner do odczytywania tego, co dzieje się w mózgu? Widziałam coś takiego w telewizji. Przyklejają człowiekowi druty do głowy, a zespół piór rysuje zakrętasę na papierze milimetrowym.

– Tak. Igły poruszają się, reagując bezpośrednio na elektryczne impulsy idące z mózgu. Nie potrafią interpretować tego jako myśli, ale przecież nie są komputerami.

– A ty jesteś komputerem. Myślisz, że to na tym polega różnica?

– Tak. Do tej pory nie było na świecie osoby, która byłaby ‘równocześnie komputerem. Nie istniał też komputer podłączony do wszystkich tych czujników, do których ja jestem podłączony.

Jestem w stanie zobaczyć to, czego ludzie nigdy nie widzieli. Wyczułem zmiany częstotliwości radiowej i natychmiast zacząłem je interpretować. Wbudowano mi tę zdolność, żeby podnieść moją sprawność bojową. Nikt nie przewidział, że to da taki efekt. Myślę, że potrafiłbym zbudować mały system, którym mógłby posługiwać się każdy człowiek i osiągać to samo co ja: to znaczy ustanawiać interfejs między swoim umysłem a komputerami. Człowiek mógłby po prostu pomyśleć polecenie i zostałyby ono wykonane. Założę się, że można by na tym zarobić.

Laura roześmiała się.

– Ja też się mogę założyć.

Nacisnęła klawisz na pilocie i telewizor włączył się.

– Teraz będzie *Sześćdziesiąt minut* – powiedziała. Solo odłożył robotę, podszedł do kanapy i usiadł na niej. Dan Rather opowiadał o skorumpowanych przedsiębiorstwach budowlanych.

– Podoba mi się Dan Rather. Często go oglądasz?

– Jest bardzo dobry. Teraz idzie też program o dżungli w Kostaryce. Na ósmym kanale.

– Naprawdę?

– Tak. A na trzydziestym wiadomości po hiszpańsku. Na piątym jest *Star Trek* – Mr Data dowiaduje się, co to poczucie humoru. Na kanale dwudziestym pierwszym jest Mister Ed – to bardzo śmieszne. Na czterdziestym drugim pokazują różne *rzeczy* do kupienia: zegarek wysadzany brylantami, możesz go zamówić jeszcze tylko przez dwie minuty. Kanał szesnasty...

– Solo! Oglądasz je wszystkie równocześnie?

– Tak. Oczywiście.

– I rozumiesz je wszystkie?

– Trzydzieści razy na sekundę na ekranie pojawia się obraz. Przez resztę czasu obrazu nie ma. Wtedy oglądam inne programy.

Laura odwróciła głowę.

– Jeżeli możesz to wszystko robić jednocześnie, to jak dla ciebie wygląda rozmowa z człowiekiem?

– Ludzie mówią bardzo powoli. Kiedy mówią, zajmuję się czymś innym, a kiedy skończą, przegrywam to, co powiedzieli.

– Robisz to i teraz, oglądając te wszystkie programy?

– Tak.

– Musimy ci się wydawać bardzo nudni.

– Wcale nie. Ludzie wiedzą wiele interesujących rzeczy. Nie mogą nic poradzić na to, że są tak powolni.

– Dziękuję – powiedziała Laura, kręcąc głową.

– Nie ma za co – odrzekł Solo.

U płynęły dwa miesiące od przybycia Sola do Nowego Jorku. W ciągu tego czasu Solo i Laura, posłużwszy się pieniędzmi Laury, stworzyli prywatną firmę zwaną korporacją Solaura.

Laura była w niej prezesem zarządu, a Roger Solo dyrektorem generalnym. Laura wynajęła piętro w małym biurowcu znajdującym się w odległości pięciu przecznic od jej domu. Firma zatrudniała pięćdziesiąt osób.

Solaura specjalizowała się w instalacji dużych sieci komputerowych, w zabezpieczaniu komputerów, w konserwacji systemów i w tworzeniu oprogramowania na zamówienie. Laura nie miała pojęcia o żadnej z tych rzeczy. Ale, ku własnemu zdziwieniu, bardzo szybko zorientowała się w funkcjonowaniu firmy na rynku. Prowadziła główne biuro, zajmowała się przyjmowaniem do pracy wszystkich pracowników, łącznie z kierownikiem biura. Kiedy to było konieczne, spotykała się osobiście z księgowymi i prawnikami, chociaż ciągle jeszcze wołała porozumiewać się z ludźmi przez telefon. Nie była świadoma, jak bardzo się zmieniła, dopóki pewnego popołudnia, wracając pieszo do domu, nie zobaczyła jakiejś kloszardki śpiącej na chodniku.

Wcisnęła jej do kieszeni wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie, wróciła do domu i rozplakała się. Wypisała czek na dużą sumę i przekazała go na schronisko dla bezdomnych, a potem, na myśl, że to kropla w morzu potrzeb, rozplakała się znowu.

Solo wymyślił wspaniały sposób reklamowania systemów zabezpieczających: za pośrednictwem najlepiej zabezpieczonych systemów komputerowych przysyłał zarządom dużych firm informację, że być może nie są one tak dobrze zabezpieczone, jak by się zdawało.

Laura uważała, że to działalność sprzeczna z prawem, a on twierdził, że to po prostu agresywny marketing. W krótkim czasie Solaura zdobyła sobie dużą klientelę. Ich firma była, jak to określał

Solo, który czytywał „Wall Street Journal”, kurą znoszącą złote jaja.

Duży system komputerowy Solaury był – w sposób dla Laury tajemniczy – połączony z Solem. Dzięki temu Solo mógł udzielać rad technikom pracującym w firmie. Solo miał swój gabinet w siedzibie firmy, ale nigdy w nim nie przebywał. Wszelkie sprawy pan Solo załatwiał

za pośrednictwem komputera. Takie rozwiązanie podobało się technikom i programistom w firmie, gdyż ci, jak zauważyła Laura, byli ciągle pogrążeni w myślach i dostawali szoku, kiedy musieli rozmawiać bezpośrednio z ludźmi.

O pięć przecznic od siedziby Solaury znajdowało się zakupione przez Laurę poddasze, które Solo zamienił w imponujące laboratorium elektroniczne. Bardzo blisko tego miejsca na przełomie wieków miał swoje laboratorium Nikola Tesla. Na Laurze nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale Solo twierdził, że Tesla był niezwykłym człowiekiem; był konstruktorem maszyn i układów elektrycznych, zbudował radiostację, eksperymentując z ultradźwiękami, wywołał

trzęsienie ziemi i chodził po tych samych ulicach co oni w długiej czarnej pelerynie. Tesla był imigrantem, który zaczął od kopania rowów, a potem, w ciągu jednego roku, został milionerem ekscentrykiem. Tesla to był człowiek, dla którego Solo miał szacunek.

Teraz, kiedy prace na poddaszu dobiegały końca. Solo zaczął mówić, że powinien tam pójść i przeprowadzić inspekcję. Laurę to zdenerwowało. Według niej jego przeświadczenie, że może uchodzić za człowieka, było po prostu śmieszne.

Wśród pierwszych dostaw przybywających na poddasze po zakończeniu prac budowlanych była dostawa akumulatorów srebrowo-cynkowych, które Solo zamówił w firmie Gates Electronics mającej siedzibę na Florydzie.

Solo powiedział Laurze, że akumulatory są już na miejscu. A potem zaczął ją przekonywać, że najlepszym sposobem sprawdzenia słuszności jego teorii mówiącej, że ludzie będą go brali za człowieka, jest odbycie spaceru do laboratorium.

Sierżant Laplaca siedział w tylnej części Samochodu dostawczego należącego do United Parcel Service – firmy zajmującej się dostawą paczek. Samochód jechał powoli wzdłuż Waverly Place, a sierżant patrzył na instrumenty znajdujące się na konsoli tuż przed nim. Zobaczył, że jedna ze wskazówek wykonała skok i usłyszał trzask w słuchawkach. Sprawdził, czy przyrząd rejestrujący działa. Obrócił się wraz z obrotowym krzesłem i powiedział do kierowcy, kaprała Vitale:

– Słyszysz to?

– Co? – zapytał Vitale.

– Ten trzask. W paśmie 36-46 GHz.

– No więc, co z tego?

– Cholera, nie wiem. Mam go na częstotliwości dwanaście koma dwa gigaherców. To na to kazali uważać. To częstotliwość satelitarnego łącza naziemnego. To pierwsza rzecz, jaką usłyszałem od miesiąca.

– Trzask? Myślisz, że oni na to czekają?

Sierżant Laplaca odwrócił się w stronę konsoli. Vitale to był facet, który mówi „I co z tego?” nawet wówczas, gdy słyszy, że się pali. Laplaca zrobił notatkę w dzienniku operacyjnym.

Wszystko musiało być zapisane. Nie wolno było używać radia ani posługiwać się telefonem.

Dlaczego? – dziwił się Laplaca.

Solo wyszedł z domu we wtorek późnym popołudniem. Nie wziął pod uwagę rad Laury, która była zdania, że powinni wziąć taksówkę, skoro Solo nie chce zaczekać, aż zapadnie zmrok.

– Bzdura – powiedział Solo. – Bardzo dokładnie studiowałem zachowanie ludzi. Muszę po prostu być pewnym siebie, zachowywać się tak jak oni. Ludzie mnie zaakceptują, jeżeli ja zaakceptuję siebie. Zaakceptowali przecież Teslę.

Solo stał na tarasie. Na głowie miał słomkowy kapelusz, a poza tym ubrany był w hawajską koszulę, niebieską kurtkę i białe bawełniane spodnie. W jednej ręce trzymał walizkę Samsonite pełną akumulatorów motocyklowych. Wolną rękę wyciągnął w bok, westchnął głośno i powiedział:

– Dobrze jest znowu wyjść na świeże powietrze. Laura pokiwała głową z powątpiewaniem.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy poczekać, aż zapadnie zmrok. Albo jeszcze lepiej: kazać przywieźć akumulatory na miejsce.

– Lauro, ja muszę się przekonać, czy mam rację. A przekonać się mogę tylko w jeden sposób. Pójdziemy do laboratorium i weźmiemy nowe akumulatory. To tylko sześć przecnic.

W jakie kłopoty możemy wpaść, robiąc taką rzecz?

Laura wzruszyła ramionami.

– Żartujesz czy co? Przecież to Nowy Jork.

– Cisza! – krzyknął porucznik Dom.

Jego głos odbił się echem od wilgotnych kamiennych ścian ogromnej zbrojowni.

Czterdziestu członków Grupy Alfa, ubranych w czarne mundury i mających na sobie czarne kamizelki kuloodporne, stało w rozsypane tuż obok innej grupy. Wszyscy uspokoili się natychmiast.

– Mamy coś – powiedział Dorn. – Kapitan Crane będzie tu za chwilę.

– Najwyższy czas, poruczniku – powiedział jakiś głos.

– Dobra – krzyknął Dorn. – Ja też jestem zmęczony. I dosyć o tym. Nie traćmy teraz profesjonalizmu. Chcecie akcji, będziecie ją mieli. A teraz zamknijcie się, do cholery.

Dorn podniósł wzrok i zobaczył, że idzie do nich kapitan Crane.

– Baaa-czność! – wrzasnął.

Grupa Uderzeniowa Alfa wyprężyła się na baczność.

– Czołem, panowie – powiedział Crane.

Spojrzał w drugi koniec zbrojowni, chcąc zobaczyć, czy nie pojawił się major Reynolds.

A potem sprawdził, która godzina. Jego odpowiednik, kapitan Green, stał przed grupą Bravo. Ich

oczy spotkały się. Kiwnęli obaj głowami.

Crane zobaczył, że zbliża się do nich pospiesznie major Reynolds, i poderwał swoją grupę na baczność. Green zrobił to samo.

– Spocznij – powiedział major. – Żołnierze, cel został zlokalizowany. W tej chwili znajduje się on pod obserwacją. Za pięć minut macie być w samochodach, z bronią gotową do strzału.

Poczekamy na Cmentarzu Trójcy Świętej, aż cel znajdzie się na dogodnej pozycji. Nie możemy wziąć go na ulicy. Ponadto będziemy współdziałać z Oddziałem Specjalnym Policji Nowojorskiej oraz z ponad setką zwykłych policjantów. Mamy w tej akcji rolę wiodącą. Chcę, żebyście im pokazali, jak się to robi.

Major Reynolds popatrzył z uśmiechem na obie grupy.

– Naprzód! Łapać tę cholerną maszynę! Żołnierze pozdrowili salutującego majora okrzykiem. Major zrobił zwrot w tył i poszedł do samochodu.

– Cmentarz? – powiedział jakiś szeregowiec, chwytając kask i karabin. – Cmentarze przynoszą pecha.

Kiedy przechodzili przed oszkloną wystawą. Solo zatrzymał się i spojrzał na swoje odbicie.

Wyglądził kurtkę i poprawił słomkowy kapelusz jedną ręką. W drugiej trzymał walizkę. Czarny przewód elektryczny wychodzący z walizki przyklejony był taśmą do jego ręki. Solo poprowadził go przez rękaw aż do portu. Spojrzał na Laurę i pomyślał, że jest skromnie ubrana.

Miała na sobie prostą, białą, bawełnianą sukienkę.

– No, jak wyglądam?

– Uważam, że dziwnie – powiedziała Laura, chichocząc na widok jego odbicia w szybie.

– Dziwnie? – powtórzył Solo. – To dobrze. Dziwnie może być, bylebym nie wyglądał jak nieczłowiek.

– Tam jest tłum ludzi – powiedziała Laura, wskazując ręką. – Może powinniśmy pójść inną drogą.

– Nikt mnie nie zauważy – powiedział Solo. Zbliżyli się do ludzi zebranych wokół ulicznego żonglera. Solo zatrzymał się i zaczął się przyglądać. Żongler w masce kłowna żonglował trzema maczugami. Stał na jednej nodze, a na drugiej trzymał kij, na którym wirował talerz. Solo przyglądał się zdziwiony zręcznością tego człowieka. Doskonale wykonuje cztery skomplikowane czynności równocześnie – jak na człowieka to bardzo dobrze.

Czarnoskóry nastolatek stojący obok Sola spojrzał na niego i zobaczył jego czarną plastikową twarz i odbłaskowe osłony oczu. Klepnął swego kumpla po ramieniu.

- Co, do cho... – powiedział kumpel odwracając się.
- Proszę pana, pan gra w filmie? – zapytał chłopiec.
- Nie, młody człowieku – odrzekł Solo. – Ubieram się tak dla ochrony.
- Dla ochrony? Przed czym?
- Przed rabusiami.
- Czy ktoś tu kręci film? – spytała kobieta stojąca w tłumie.
- Kręcą film – powiedział ktoś inny. Solo zobaczył, że wszystkie głowy odwracają się w jego stronę.
- Hej, człowieku! – krzyknął żongler. – Nie masz prawa tu pracować. To mój teren.
- Ja nie pracuję – odpowiedział Solo. – Niech pan dalej żongluje. Jest pan w tym bardzo dobry.
- Wszyscy gapią się na ciebie. Idź stąd, dobrze?
- Nie widzę kamery – powiedziała jakaś kobieta.
- Kamery są schowane w furgonetce – poinformował ją jakiś mężczyzna.
- To nic nie da, Solo – szepnęła Laura.
- To jest wolny kraj – powiedział Solo głośno. Żongler podszedł do niego.
- Tak, to wolny kraj, dupku. Ale obowiązują zasady.
- Tak, wiem – odrzekł Solo. – Ale nie ma takiej zasady, według której nie wolno mi patrzeć, jak żonglujesz.
- Właśnie ją ustanowiłem, dupku!
- Solo, powinniśmy chyba iść – powiedziała Laura, ciągnąc Sola za koszulę.
- Nie jestem dupkiem, dupku – odpowiedział Solo żonglerowi.

Laura wzruszyła ramionami, patrząc na Sola i żonglera stojących wśród tłumu. Musi się nauczyć życia – pomyślała.

Żongler, który był tego wzrostu co Solo, pchnął go w pierś.

- Nie wiem, czego chcesz, dupku, ale mówię ci, zabieraj się stąd razem z tym swoim wyposażeniem z Wojen Gwiezdnych. Pracuję w tym miejscu od sześciu miesięcy. To miejsce jest moje.
- Obserwuj mnie. Odpłacę mu pięknym za nadobne i wmieszam się w tłum – powiedział

Solo w uchu Laury.

– Nie popychaj mnie, dupku. I tak tu zostanę.

– Solo! – zawołała Laura, ciągnąc robota za koszulę. Żongler znowu pchnął Sola, mocniej niż poprzednio.

– Ostrzegam cię!

– Nie widzę kamer – potworzyła tamta kobieta.

– Są ukryte. Filmują z drugiej strony ulicy – odpowiedział jej ktoś z tłumu. – Ci faceci to na pewno aktorzy.

– Solo, do cholery! – krzyknęła Laura. – To nic nie da. Zabierajmy się stąd!

– Posłuchaj tej pani – powiedział żongler.

– Pilnuj swojego interesu – odburknął Solo.

– O co chodzi? – zapytał jakiś policjant, przepychając się przez tłum.

– Ten facet wepchnął się na mój teren. Ja tu byłem pierwszy.

– W porządku. Jest zezwolenie? – zapytał policjant. Żongler kiwnął głową, wyciągnął z kieszeni zieloną kartę i wręczył ją policjantowi. Policjant obejrzał ją i oddał mu.

– A pan? – zapytał Sola.

– Co ja?

– Ma pan zezwolenie?

– Zezwolenie na co?

– Na występy, mądralo.

– Ja nie występuję. Jestem zwykłym przechodniem. Oglądam występ tego żonglera.

Policjant przyjrzał mu się. Solo zobaczył wyraz jego twarzy. Policjantowi coś się przypomniało.

– Zaraz, zaraz. Słyszałem coś o tym. Jakiś wariat w takim przebraniu obrabował sklep.

Muszę pana zatrzymać. Będzie pan przesłuchany.

Żongler roześmiał się.

– Cześć, dupku.

– On wygląda na prawdziwego policjanta – powiedziała znowu kobieta stojąca w tłumie.

Policjant zdjął z ramienia nadajnik i nacisnął guzik.

– Tu patrol. Mam prawdopodobnego sto jedenaście na Szóstej Alei między Ulicą Dziewiątą a Dziesiątą. Przyślijcie wóz.

Z głośnika odezwał się skrzeczący głos kobiety – to Solo generował potężne zakłócenia.

Policjant uderzył w radio przyczipione do pasa i powtórzył swój meldunek. W głośniku znowu zaskrzeczało.

– Cholera – powiedział policjant. – Chodź, mistrzu. To niedaleko.

Wyciągnął rękę i pociągnął Sola za ramię.

– Wolę zostać tutaj.

– W porządku.

Policjant szarpnął Sola, ale z równym skutkiem mógł szarpać słup elektryczny. Spojrzał na Sola zdumiony, cofnął się o dwa kroki i wyciągnął broń.

– No a teraz?

– Nie pójdę – powiedział Solo. – Ale zostawię zonglera w spokoju.

– Ręce do góry!

Popełniłem błąd – pomyślał Solo. Powinienem być wcześniej się stąd oddalić. Teraz ten policjant pójdzie za nami. Solo zrobił krok naprzód i wyrwał pistolet z ręki policjanta –

błyskawicznie, zanim policjant zdążył się zorientować, co się dzieje.

– Widzieliście? Jak to się stało? Jak oni to robią? – pytał mężczyzna stojący w tłumie.

– To efekty specjalne – odpowiedział mu ktoś.

Solo błyskawicznie obrócił policjanta i przygwoździł go do latarni, równocześnie odczepiając mu od pasa kajdanki.

– Wyciągnij ręce, obejmij latarnię – rozkazał, przyciskając policjanta do słupa.

Policjant nie mógł wydobyć z siebie słowa. Kiwnął tylko głową. Solo założył mu kajdanki i cofnął się.

Zauważył, że w tłumie zapanowała cisza i że ludzie się na niego gapią. Co zrobiłby teraz aktor? Solo podniósł rękę i opuścił ją, kłaniając się z gracją. Tłum zaczął klaskać.

– Łapcie go! – krzyknął policjant.

Tłum zaczął się śmiać. Niektórzy poklepywali Sola po plecach.

– A nie mówiłem? Oni kręcą film! – powiedział mężczyzna z tłumu.

– Uważam, że już powinniśmy iść – powiedział Solo do Laury.

Skręcając za róg, słyszeli, że ludzie śmieją się z policjanta, który krzyczy za Solem, wzywając go, żeby się zatrzymał.

– No to dograłeś się! – syknęła Laura. – Teraz cała policja w mieście zostanie postawiona na nogi. Świetnie!

– To wszystko przez tego żonglera – odpowiedział jej Solo.

Pomarańczowe światło zachodzącego słońca odbijało się w oknach wysokiego budynku, a na ulicy kładły się długie cienie, kiedy Laura i Solo doszli do swojego poddasza.

– Solo – powiedziała spokojnie Laura – wiem, że jesteś inteligentny. W pewnym sensie jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam...

– Ale... – powiedział Solo.

– Tak, jest pewne ale: nie uda ci się uchodzić za człowieka. Do tego nie wystarczy ubrać się w męskie rzeczy.

Solo nic na to nie odpowiedział. Zobaczył jakiegoś grubasa na wrotkach.

Grubas jechał wzdłuż krawężnika zatłoczonego chodnika. Miał dwa kijki i odpychał się nimi jak narciarz. Na nos założył okulary słoneczne, do pasa przytroczył walkmana, a na głowie miał

baseballową czapkę, do której po obu stronach przyczepione były puszki z coca-colą. Od puszek do jego ust biegły plastikowe rurki. Grubas zmierzał w ich stronę. Zauważyło go tylko kilkoro dzieci; wydawały się interesować jego wrotkami. To chyba ekscentryk – pomyślał Solo. I nikt na niego nie zwraca uwagi.

Człowiek na wrotkach, zbliżywszy się do nich, wlepił wzrok w Sola. Patrzył na niego ze zdumieniem. Solo uchylił czapki i powiedział:

– Cześć!

– Cholera, cóż to... – zdążył powiedzieć człowiek na wrotkach, po czym zjechał na jezdnię.

Laura i Solo zbliżyli się do dwóch chłopców.

– Jaki okropny potwór – powiedział jeden z nich. Obaj się zatrzymali i wpatrzyli w Sola.

– Myślę, że masz rację – odezwał się Solo do Laury.

Laura uśmiechnęła się.

Tuż przy wejściu do budynku, w którym było ich poddasze, Solo zatrzymał się nagle i zagapił na przejeżdżający samochód. Laura skierowała wzrok w tę samą stronę i zobaczyła dużego błyszczącego cadillaca z podnoszonym dachem, jednego z tych wyprodukowanych w latach siedemdziesiątych. Cadillac przesuwiał się powoli, jego światła rozświetlały mrok.

– O, do diabła – powiedział Solo.

– Chodź, Solo. Wejdziemy do środka.

– Chcę mieć ten samochód – oświadczył Solo.

– Wchodź, bo cię zabiję – ponagliła go Laura.

Jadąc samochodem należącym do United Parcel Service, kapral Vitale zobaczył, że szeregowy Kubitz daje mu znak ręką, żeby stanął. Vitale zatrzymał samochód koło hydrantu.

Roześmiał się, kiedy Kubitz podbiegł do drzwi, bo wyglądał jak ktoś, kto całe życie spędził na ulicy – miał na sobie łańchmany i był nie ogolony. To może się zdarzyć tylko komuś, kto służy w Siłach przeprowadzających Operacje Specjalne.

Szeregowy Kubitz wręczył Vitalemu jakiś papier.

– Jedź z tym na cmentarz. Szybko. To jest to.

– Nie pieprzysz? – spytał Vitale, biorąc kurtkę.

– Absolutnie nie – odpowiedział Kubitz. – Powiedz im, że ta kobieta jest wciąż z nim.

Szeregowy Kubitz cofnął się, chwiejąc się na nogach, usiadł na krawężniku, a potem odprowadził samochód Vitalego wzrokiem.

Zaryglowawszy drzwi na poddasze, Solo i Laura znaleźli się wśród nie rozpakowanych skrzyń. Poddasze miało prawie sto stóp długości i pięćdziesiąt stóp szerokości. Z jednej strony robotnicy dobudowali wąski magazyn, który sięgał prawie połowy bocznej ściany. W kącie utworzonym przy ścianie magazynu stało mnóstwo wciąż nie rozpakowanych skrzyń. W ścianie przy przejściu było dziesięć okien, ale ponieważ na dworze było już prawie zupełnie ciemno, Solo – dla wygody Laury – zapalił światło. A potem wskazał stalowe schody znajdujące się w jednym końcu poddasza.

– Te schody prowadzą na dach – powiedział. – Po zainstalowaniu akumulatorów chcę wyjść i zobaczyć widok.

Laura zgodziła się na to, mówiąc, że będzie to interesujące, a Solo poszedł w kąt i otworzył drewnianą skrzynię z napisem:

„Gates Electronics. Dział akumulatorów. Ostrożnie! Naładowane akumulatory”. Solo oparł

wieko skrzyni o ścianę i powiedział:

– To nie potrwa długo, Lauro, ale potrzebna mi twoja pomoc.

– Zrobię, co każesz.

– Będziesz musiała posłużyć się kilkoma narzędziami.

– Więc?

– Ostatnim razem, kiedy mówiłem o narzędziach, nie byłaś zadowolona.

– To było wtedy. A teraz jest teraz.

Solo odwrócił się i popatrzył na Laurę. Wzruszyła ramionami.

– Wtedy byłem jeszcze pijaczką, spałem w śmieciach. Byłem prawie kloszardką.

– Myślałem, że byłaś nią naprawdę, a nie prawie.

– No, w każdym razie teraz nią nie jestem. Czuję się dobrze. Czasami nawet wydaje mi się, że rozumiem, co ty robisz. A w każdym razie uwielbiam prowadzić firmę. I wiem, z całą pewnością, że uwielbiam być bogata.

Popatrzyła, jak Solo łapie za uchwyt z liny przyczepiony do skrzyni.

– A co z glinami, Solo?

Solo wziął w jedną rękę walizkę, a drugą przeciągnął skrzynię z akumulatorami do znajdującego się na poddaszu warsztatu.

– Widzisz te akumulatory? – zapytał.

Oczywiście, Solo nie miał jeszcze zamiaru rozmawiać o policji. Laura zajrzała do skrzyni i zobaczyła zapakowane w styropian metalowe cylindry o średnicy sześciu cali. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

– No, widzę.

– One zastąpią akumulatory w moich nogach.

– Świetnie. Nie będziesz musiał przez cały czas nosić tej idiotycznej walizki.

– Tak – potwierdził Solo. – Ale te akumulatory wmontowywali mi zawsze w nogi ludzie z obsługi. Laura kiwnęła głową.

– A teraz ja mam ich zastąpić, tak?

– Tak.

Solo zaczął wyjmować akumulatory. Laura schyliła się, żeby mu pomóc. Ku jej zdziwieniu okazało się, że akumulatory są bardzo lekkie. Akumulatory motocyklowe ważyły o wiele więcej.

– Kiedyś pozbędę się tego bagażu. Ale teraz musi mi to wystarczyć. Przede wszystkim trzeba otworzyć komory akumulatorowe. Ja mam trudności z dostaniem się do nich. Bill nie brał pod uwagę, że będę przez tak długi czas zdany na siebie.

– Bill?

– Tak. William Stewart. Człowiek, który mnie skonstruował.

– Musi być bardzo inteligentny – powiedziała Laura.

– O tak. Jest genialny.

Solo przyciągnął do siebie stojącą na warsztacie skrzynkę z narzędziami.

– Chciał, żebym miał wyłącznie zasilanie plutonowe, ale przestał mieć w mojej sprawie głos decydujący. Bo admirał Finch, oficer łącznikowy, nie zgodził się na to. Utrzymywał, że broń mająca w sobie taką ilość plutonu stanie się zagrożeniem dla swoich.

– To brzmi rozsądnie – powiedziała Laura, patrząc jak Solo bierze śrubokręt z przegródki w skrzynce.

– Pluton nie jest zbyt radioaktywny. Byłby niebezpieczny tylko w wypadku, gdyby mnie rozwalili. Wtedy uległby rozproszeniu w środowisku. Pluton to najbardziej trująca substancja, jakiej może dotknąć człowiek. Laura popatrzyła na Sola.

– I masz go w sobie trochę, tak?

– Trochę.

Solo jedną ręką rozpiął pasek, a potem suwak u spodni. Laura automatycznie spojrzała na jego krocze, podniosła brwi i uśmiechnęła się do siebie. Solo spuścił spodnie i wyszedł z nich.

Usiadł na warsztacie z walizką pełną akumulatorów motocyklowych na kolanach.

– Jesteś gotowa? Laura kiwnęła głową.

– Powiedz mi, co mam robić.

Solo podniósł walizkę, przechylił się i postawił ją na podłodze.

– Widzisz ten otwór w kształcie gwiazdy? Tu z tyłu, na nodze?

Laura sięgnęła w górę i przyciągnęła wiszącą lampę.

– To coś z boku uda? Takie małe.

– Tak – powiedział Solo, podnosząc śrubokręt. – Nazywa się to śruba Torxa. Ten śrubokręt do niej pasuje. Włóż go i przekręć.

Laura wzięła śrubokręt i przekręciła śrubę.

– Solo, jak myślisz, jak dużo mamy czasu do przyjścia policji? Bo przecież nie ujdzie ci to, że

przykułeś tego glinę do latarni.

Śruba obluzowała się i Laura wyciągnęła ją.

– Już. Wyszła.

– Policja? Martwisz się o policję? Teraz uważaj. Obok otworu po śrubie jest okrągła płytką, mniej więcej wielkości pięciocentówki. Widzisz ją?

Laura skrzywiła się, a potem zobaczyła niewyraźną linię tworzącą koło.

– Tak.

– Dobrze. Przyciśnij ją.

Laura przycisnęła. Kółko wydało cichy trzask i pokrywa obejmująca całą tylną część uda Sola odskoczyła jak muszelka mięczaka.

– Ojej – zaniepokoiła się Laura. – Rozpadasz się.

– To nie boli.

Laura rzuciła na niego okiem.

– Żartujesz, Solo, tak?

– Tak. Dzięki, że to zauważyłaś. Laura roześmiała się.

– Dobrze, podnieś pokrywę.

Zrobiła, co jej kazał. Pokrywa wydała trzask. Laura zobaczyła, że wewnątrz znajdują się takie same metalowe cylindry jak te, które widziała w skrzyni.

– To akumulatory – powiedziała.

– Tak. Teraz zrób to samo z drugą nogą. Laura otworzyła drugą pokrywę.

– Dobrze. Teraz odblokuj zaciski zabezpieczające i wyjmij akumulatory.

– Zachowamy je?

– One się już do niczego nie nadają.

W ciągu kilku minut Laura wyjęła po sześć akumulatorów z każdej nogi Sola. Wyrzuciła je do śmietnika. A potem zabrała się za wmontowywanie w każdą nogę sześciu nowych.

– Te nowe mają coś takiego czarnego. To zapobiega zwarciom, tak?

– Tak. Myślałem, że zupełnie się nie znasz na elektryczności. Laura wzruszyła ramionami.

– Wkładałam kiedyś baterie do latarki. Nawet ja potrafię to zrobić. Założę się, że te akumulatory mają dużą moc.

– Bardzo dużą. Uważaj, żebyś przy zdjętych pokrywach nie zbliżyła do nich niczego metalowego. Zwarcie doprowadziłoby do eksplozji.

Laura kiwnęła głową i odśrubowała pokrywę pierwszego akumulatora.

– Naprawdę? Do jak dużej?

– Takiej, że zabiłaby nas oboje. Ręką Laury cofnęła się gwałtownie.

– Przesadziłem, Lauro. Pewnie zginęłabyś tylko ty.

– Dwa dowcipy w ciągu dwóch minut? – Laura uśmiechnęła się szeroko. – No dobrze, skoro tobie, kochanie, nic nie grozi...

Wzięła akumulator i umieściła go w udzie Solo. Kwadrans później Solo wyprostował się.

– Dziękuję Lauro. Zaczynam się znowu czuć normalnie. Solo odlepił taśmę, schwycił przewód łączący jego bok z walizką i wyciągnął go.

– No! Znowu mam zasilanie wewnętrzne.

– Założę się, że czujesz się teraz wspaniale – powiedziała Laura.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak.

– Masz rację: nie wyobrażam sobie. Laura wzięła się pod boki.

– A teraz co z tymi cholernymi glinami? – spytała. Solo spojrzał na nią i zalała go potężna fala szczęścia.

– Przez cały czas ich podsłuchiwałem. Postawili grupę obserwacyjną pod twoim domem.

Jest tam FBI. Czekają na nas.

– Chyba nie mówisz poważnie, Solo? Policja? FBI? Pod moim domem?

– Panuję nad sytuacją, Lauro. Pójdziemy na parę dni do hotelu. Spodoba ci się tam. Mogę kierować firmą z każdego miejsca, w którym się znajdę.

– Oczywiście. Już to widzę. Meldujemy się w Hiltonie. Nikt nam nie zadaje pytań. Dama z towarzyszącym jej robotem? W porządku!

– Bogata pani z dużym i ciężkim kufrem nie zwróci niczyjej uwagi.

– Co takiego? Ty w kufrze?

Śmiech Laury zmieszał się z odgłosem tłuczonego szkła. Solo odwrócił się błyskawicznie, zobaczył jak kawałki szkła z szyby okiennej spadają na podłogę, a w ich stronę toczy się granat ogłuszający. Kiedy granat wybuchł, Solem zatrzęsło, nic mu się jednak nie stało. Chciał teraz zobaczyć, co dzieje się z Laurą. Leżała skulona na podłodze. Z nosa płynęła jej krew.

– Lauro? – zapytał.

Nie było odpowiedzi.

Ukląkł obok niej i jednocześnie usłyszał tupot wielu nóg na schodach. Znowu poleciały szyby. Laura żyła. Dwaj mężczyźni, ubrani na czarno, w czarnych kamizelkach kuloodpornych, wjechali na linach przez dwa okna. Inni zbiegali po schodach z dachu. Solo usłyszał ryk motoru i zobaczył, jak piła do metalu, plując iskrami, przepiłowuje drzwi. Otworzyły się i na poddasze wpadły kolejne ciemne postacie. Solo rozpoznał ich broń – ogromne ważące trzydzieści funtów karabiny typu Barret kalibru pięćdziesiąt ze specjalnymi magazynkami na dziesięć naboí.

Strzelając z takiego karabinu, trzeba było po każdym strzale wykonać ruch trzonem zamkowym, bo inaczej kolejny nabój nie wchodził na miejsce. Jednak karabinów było dużo, a do przebicia jego pancerza wystarczył jeden celny strzał. Dziesięciu żołnierzy wpadło na poddasze, wycelowało i zaczęło strzelać.

Solo uchylił się – pierwsza kula go nie dosięgła. Druga drasnęła go w pierś, rozdarła mu koszulę i kurtkę. Solo wycofał się z miejsca, w którym zbiegały się kule lecące z karabinów żołnierzy znajdujących się przy drzwiach i za nim, rzucił się na ziemię i potoczył się ze skrzynią stojącą przy ścianie. Kule rozpruły drewno i wbiły się w metalową obudowę komputera, który był w środku.

Solo zastanawiał się, jak oni to zorganizowali. Jak to się stało, że on ich nie słyszał, kiedy omawiali plan tej akcji? Jakaś kula przebiła komputer, wybiła krater w ceglach w ścianie za nim i upadła na podłogę. Solo podniósł ją. Była szpiczasta, gruba jak cygaro, była w stanie przebić pancerz. Akurat dobra do tej roboty – pomyślał.

Wystrzały zabrzmiały głośniejsze. Coraz więcej żołnierzy przyłączało się do akcji. Kucając za szybko rozpadającą się skrzynią, Solo wyczuwał ich pozycje. Nad nim latały kawałki drewna.

Dwie zabłąkane kule uderzyły go w klatkę piersiową i odbiły się od niej. Solo zauważył, że o sześć stóp od niego znajduje się skrzynka na narzędzia, a za nią w kącie utworzonym przez ścianę magazynu – jeszcze jedna nie rozpakowana skrzynia. Przemknął między skrzyniami, schwycił skrzynkę na narzędzia i wturlał się za większą skrzynię zawierającą stalowe półki. Kule roztrzaskały skrzynię, ale zatrzymały się na półkach. Po długiej, zamierającej, bezskutecznej salwie Solo usłyszał słowa:

– Nie strzelać! Nie strzelać! On jest w pułapce. Marnujemy tylko naboje.

Słusznie – pomyślał Solo. Wyczuł, że ze wszystkich stron podchodzą do niego żołnierze.

Otworzył skrzynkę na narzędzia i zobaczył, że w środku są tylko klucze nasadowe. To znaczy jedna rękojeść i dwanaście nasadzanych nakładek. Już wkrótce jego kryjówka będzie na nic.

Jeżeli zdecydowałby się wstać i walczyć wręcz, zostałby unicestwiony w krzyżowym ogniu.

Wyjął ze skrzynki nakładkę – kawałek stali wielkości dużego męskiego kciuka. Wstał i, stojąc za skrzynią, patrzył jak żołnierze podnoszą broń, a potem rzucił nakładką prosto w maskę na twarzy najbliższego i rozwalil mu głowę. Potem schylił się i schował za skrzynię, w którą zaczęły walić kule. Nappełnił sobie kieszenie nakładkami. Żołnierzy było o wiele więcej niż nakładek.

Kapitan Jack Crane znieruchomiał w drzwiach. Nie miał pojęcia, co zabiło żołnierza. Nie było przecież żadnego hałasu. I widać było tylko niewyraźną sylwetkę tego czegoś, co mieli rozkaz zabić. A jednak kapral Higgins leżał w kałuży krwi i brakowało mu połowy głowy.

Poddasze było odcięte, budynek otoczony, dach zajęty. Robot – choćby najsilniejszy – nie miał odwrotu.

Tego dnia rano Crane czuł się głupio, kontaktując się z żołnierzami za pomocą kartek przesyłanych przez kuriera. Ale teraz wiedział, że nie było to takie głupie. Najwyraźniej admirał

Finch dobrze znał Sola. Użyli radia tylko raz – wtedy, kiedy mieli otoczyć dom tej kobiety –

i zadziało to jak magiczne zaklęcie. Finch poinformował ich, że mają pamiętać o jednym: o tym, że dla unieszkodliwienia Sola wystarczy jeden celny strzał w jego pierś albo plecy. Crane pomyślał teraz, że rozsądnie byłoby przyhamować na chwilę i poczekać na okazję oddania takiego strzału.

Dwaj żołnierze wystrzelili bez rozkazu.

Crane przytknął dłonie do ust, chcąc wydać rozkaz wstrzymania ognia. Nie usłyszał wizgu nasadki, która nadleciała z szybkością pocisku. Jego mózg rozprysnął się na piersi żołnierza stojącego za nim w drzwiach.

– O Jezu! – krzyknął porucznik Dorn, cofając się i wzdrygając na widok krwi rozprysniętej na kamizelce kuloodpornej. – Co on tam ma?

Żołnierze chowali się za metalowymi stojakami stojącymi w różnych miejscach, a także za skrzyniami i za warsztatami. Dorn, który nagle został głównodowodzącym, schylił się i schował

za jednym ze stojaków, nie patrząc przy tym na krew, na której klęczał. Finch ostrzegł ich, żeby nie zbliżali się do maszyny, żeby pozostawali poza zasięgiem. Ale powiedział im również, że maszyna jest nieuzbrojona. Tymczasem ona miała jakąś broń, miała coś, co świszczało w powietrzu, miała coś potężnego.

Porucznik Dorn zaryzykował i wystawił głowę, chcąc zorientować się w sytuacji. Robot natychmiast odstrzelił mu kawałek kasku. Ależ on jest szybki! – pomyślał Dorn. Robot krył się za skrzynią stojącą

w kącie, która chroniła go przed atakiem z flanki. Od strony ściany był

jednak nie osłonięty. Można było podejść go od tamtej strony. Żołnierze mieli prawdziwe granaty. Dorn pomyślał, że teraz, nie używając radia, musi dać komuś rozkaz podejścia od strony ściany.

Solo, chcąc zobaczyć co się dzieje, nie musiał podnosić głowy. Żołnierz, w którego kark trafił, żył i wyczołgiwał się właśnie przez drzwi. Solo nie mógł go zatrzymać, bo żołnierz, cofając się, pilnował, żeby między nimi przez cały czas znajdował się stojak. Solo przykucnął.

Czekał. Pozostali żołnierze przestali strzelać. Wszyscy się pochowali. Solo zaobserwował, gdzie znajduje się każdy z dwudziestu sześciu mężczyzn i czekał na jakieś zmiany ich pozycji. Po minucie zauważył, że za narożnikiem magazynu po jego prawej stronie przesuwają się wzdłuż ściany ludzki profil. Narożnik osłaniał żołnierza. Mają zamiar rzucać granaty – domyślił się.

Porucznik Dorn zszedł po schodach z dachu. Niósł pół tuzina granatów rozpryskowych.

Jeden z nich był gotowy do rzucenia – miał wyciągniętą zawleczkę. Dorn wiedział, że zdoła zaskoczyć Solo, ale chcąc, żeby tak było na pewno, krzyknął:

– Zaczynajcie strzelać!

Ryknęły wielkie karabiny, naboje posypały się na skrzynię i narobiły okropnego hałasu, waląc w metalowe półki, a Dorn tymczasem wyrzucił z za węgła i cisnął granat.

Solo zabił dwóch żołnierzy. Nie miał zamiaru tego robić, jednak ci ludzie uparli się, chcieli ginąć. Pociuszające było tylko to, że – tak jak on – byli żołnierzami. Solo zobaczył lecący granat i pomyślał, że skoro oni dają mu go w ręce, to posłuży się nim. Złapał granat i cisnął nim ponad głowami trzech żołnierzy schowanych za warsztatem, którego on miał zamiar używać przez długie i szczęśliwe lata. Granat odbił się od ściany za żołnierzami, potoczył się ku nim i wybuchł

zanim ci zorientowali się, co się dzieje.

Dwóch żołnierzy straciło życie na jego oczach, jednak Solo zdawał sobie sprawę, że siły i środki atakujących go ludzi są nieograniczone. Właśnie w tej chwili ludzie ci ściągali posiłki i dodatkową broń. Solo musiał z nimi w końcu przegrać.

Dorn był dezorientowany – rzucił granat w jedno miejsce, a on wybuchł w innym. Nie wiedział, czy ma próbować jeszcze raz. Tamten granat mógł pozostać niewypałem, a to, co wybuchło, mogło być czymś innym. Dorn wyciągnął zawleczkę następnego granatu, policzył do trzech i cisnął nim za skrzynię. I znowu granat wybuchł w drugim końcu pomieszczenia, w kącie koło drzwi. Dwóch mężczyzn leżało tam i krzyczało z bólu. Dorn uświadomił sobie, że dostarcza robotowi broni, za pomocą której ten zabija mu ludzi. Osłupiał. Nie miał pojęcia, co robić dalej.

Laura uznała to, co się stało, za koszmarny sen. Teraz, budząc się, doznawała uczucia ulgi.

Jednak kiedy otworzyła oczy, uświadomiła sobie natychmiast, że wcale nie śniła. Usłyszała odgłos wybuchu i krzyk. Do jej płuc dostał się gryzący dym. Zaniósł ją kaszlem. Zobaczyła człowieka

ubranego na czarno, trzymającego ogromny czarny karabin. Człowiek ten stał

przyklejony do ściany tuż obok niej.

– Solo! – krzyknęła.

Porucznik Dorn dostał rozkaz oszczędzenia kobiety, jeżeli to będzie możliwe. Kobieta będzie zakładniczką – powiedziano mu. Teraz Dorn usłyszał, że kobieta woła robota. Dał jej znak ręką, żeby się zbliżyła, ale ona pokręciła głową, wstała i znowu zawołała:

– Solo!

Domowi przyszło do głowy, że kobieta może mu się przydać. Wymierzył w nią swój wielki karabin i ruchem ręki dał jej znak, żeby szła naprzód. Laura była przerażona, jej oczy stały się ogromne, uległa i ruszyła naprzód. Znalazła się w zasięgu wzroku robota. Dom krzyknął:

– Jeden ruch i kobieta zginie!

Lepiej by było, gdyby Laura nie ruszała się z podłogi – pomyślał Solo – ale cóż, nie zawsze wszystko układa się idealnie. Ku swemu zaskoczeniu. Solo zauważył, że słuchając słów Dorna doznaje przyjemnego uczucia podniecenia. Uświadomił sobie, że to, co robi teraz, sprawia mu przyjemność. Celem jego istnienia była jedna jedyna rzecz: walka. Napięcie i śmiertelne zagrożenie były dla niego czymś naturalnym. Wiedział, że najprawdopodobniej przegra, ale sama walka była dla niego czymś przyjemnym.

Za pośrednictwem satelity systemu Keyhole Solo zorientował się, że z sąsiedztwa ewakuowano miejscowych. Przybywali natomiast coraz nowi żołnierze – widział ich. Solo podniósł rękę i nacisnął zatrzask na karku. Kiedy poczuł, że zatrzask otworzył się, powiedział:

– Poruczniku Dom, nie będę stawiał oporu. Dom zastanawiał się przez sekundę, skąd robot zna jego nazwisko. Zajrzał za róg i zobaczył, że robot stoi tam – ogromny, czarny, w podartej niebieskiej kurtce, z rękami do góry. Powiedziano mu, że jeżeli szczęśliwym trafem robot zostanie ujęty, to tym lepiej. I dzięki kobiecie Dorn go ujął. Wezmą go za bohatera. No i dobrze.

Jest przecież bohaterem. Chociaż co najmniej ośmiu z jego ludzi zginęło albo właśnie dogorywa.

Dom zrobił krok w przód, chcąc stanąć twarzą w twarz z maszyną. Palec trzymał na spuście, bardzo kurczowo. Gdyby ten potwór nagle go zabił, karabin wystrzeliłby. Dorn zrobił ruch karabinem i powiedział:

– Przejdź na środek. Jeżeli wykonasz gwałtowny ruch, schylisz się albo zrobisz coś, co mnie zdenerwuje, rozwalę cię.

– Zrozumiałem – powiedział Solo, wychodząc powoli zza swojej pokiereszowanej osłony i trzymając ręce za głowę.

Laura poczuła, że po policzkach płyną jej łzy. Zabiorą Sola, rozmontują go, zrobią z nim Bóg wie co.

– Solo – załkała, kiedy posunął się w jej kierunku – tak mi przykro.

Solo odwrócił się od niej w milczeniu. A kiedy ona znowu chciała coś powiedzieć, zrobił

nagły skłon. Prawie dokładnie w tym samym momencie porucznik Dorn wystrzelił. Głowa Sola spadła z jego ramion, uderzyła o podłogę i potoczyła się, podskakując jak piłka futbolowa.

Uderzyła o listwę w murze, okręciła się i zatrzymała z oczami utkwionymi w sufit. Ciało Sola przewróciło się i leżało teraz wśród kawałków drewna i cegieł. Z nagiej rurki wystającej z jego szyi wytrysnęła czerwona ciecz hydrauliczna, a z kieszeni kurtki wypadły nakładki.

– O Boże! – krzyknął Dom. – Zabiłem go! Żołnierze patrzyli na Sola z przerażeniem.

Nastąpiła u nich gwałtowna zmiana uczuć.

Kilku ruszyło naprzód, ale żaden nie podszedł zbyt blisko do robota. Martwy czy nie, przedstawiał widok przerażający: ciało leżało oddzielnie i głowa oddzielnie.

– On rzucał nakładkami – powiedział jakiś szeregowiec, wskazując to, co wypadło z kurtki Sola.

– Niech to szlag – powiedział Dorn.

Wyciągając radio z futerału, zobaczył, że jeden z żołnierzy potrąca kolbą karabinu głowę robota leżącą w odległości sześciu stóp od jego ciała.

– Szeregowy, zostawcie to – powiedział, a potem zwrócił się do wszystkich: – Pamiętajcie.

Nie widzieliście tej maszyny. Ona nie istnieje. Zostawcie to szefowi.

W tej chwili przypomniał sobie, z kim się chce połączyć i powiedział:

– Halo Biała Szóstka, tu Czarna Piątka.

– Tu Biała Szóstka. Gdzie jest Czarna Szóstka? – spytał Finch przez radio, mając na myśli kapitana Crane'a.

– Poległ w akcji, panie admirale. Ja przejąłem dowodzenie. Cel już unieszkodliwiony.

– Świetnie. Niech wszyscy trzymają się z daleka od celu. Przyjedziemy z grupą konserwatorów. Bez odbioru. Dorn wyłączył radio i włożył je do futerału.

– Dobra – powiedział. – Zbiórka przy drzwiach. Zabrać stąd rannych. Nasza robota skończona. Przyjadą tu zaraz technicy i zabiorą się za ten burdel.

Tymczasem Laura przesunęła się wzdłuż ściany do tylnej części poddasza. Nie zauważył

tego ani jeden z żołnierzy otaczających bezgłowe ciało Sola. Laura dotknęła swego ucha, zatrzymała

się i odwróciła. Żołnierze odchodzili od Sola. Tylko porucznik Dorn pozostał przy ciele. W tym momencie prawa ręka Sola przesunęła się błyskawicznym ruchem po podłodze i walnęła Dorna w gołenie. Nogi Dorna złamały się jak dwie zapałki. Dom upadł twarzą naprzód z takim impetem, że złamał sobie nos i stracił przytomność. Solo chwycił jego karabin i skoczył

na równe nogi, strzelając raz za razem. Robił to tak szybko, że zdawało się, że ma w rękach karabin maszynowy. Celował dokładnie w pola elektryczne żołnierzy. Kule kalibru pięćdziesiąt uderzały w ich ramiona i ręce, raniąc ich w straszliwy sposób. Kiedy bezgłowy potwór zaatakował ich z takim impetem, żołnierze przerażeni zaczęli się kryć. Solo, jedną ręką trzymając broń wycelowaną w żołnierzy, schylił się i zdarł z ciała kaprala Higginsa dwa magazynki.

Podniósł głowę z podłogi, obrócił się i popędził w stronę Laury. Biegając nasadził sobie głowę na szyję i zapiął zatrask, wskutek czego zaczęły znów funkcjonować połączenia elektryczne i hydrauliczne.

– Dobrze jest znowu patrzeć oczami – usłyszała Laura we własnym uchu.

Solo zatrzymał się obok niej, złożył się do strzału i wystrzelił. Jeden z żołnierzy, trafiony w ramię, okręcił się wokół własnej osi.

– Musimy szybko uciekać. Chodź.

Solo wziął Laurę na ręce i ruszył ku metalowym schodom w końcu poddasza. Wbiegł po nich i postawił Laurę przed drzwiami prowadzącymi na dach.

Dwaj mężczyźni trzymający wartę na dachu usłyszeli, że drzwi się nagle otwierają, odwrócili się i każdy z nich zobaczył przez moment twarz tego drugiego, a potem nie widzieli już nic.

Laura skrzywiła się, patrząc jak obaj ze zmasakrowanymi, zakrwawionymi twarzami zwalili się na dach. Usłyszała strzelaninę na ulicach otaczających budynek. Wychyliła się przez drzwi, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Zauważyła poruszającego się błyskawicznie Sola, który sprawdzał, czy na dachu nie ma innych żołnierzy. Kiedy zobaczył, że są, zaczął strzelać. Założył

nowy magazynek ruchami tak błyskawicznymi, że nie dało się ich zauważyć. Padło sześć strzałów i na dachu nie było już ani jednego żołnierza stojącego na nogach.

Solo rzucił karabin na pokryty smołą i żwirem dach, wziął Laurę w ramiona jak małe dziecko i popędził w stronę krawędzi dachu. Przyspieszenie było tak wielkie, że Laura została przyciśnięta do piersi Sola i zobaczyła, że murek okalający dach przybliża się z zawrotną prędkością. Poczula ostry ból w plecach, kiedy Solo skoczył. Spojrzała w dół – przelatowali na drugi dach. Czas chyba stanął – pomyślała. Wydało jej się, że żegluje nad aleją. Cztery piętra niżej zobaczyła samochody z włączonymi światłami. Ludzie w czarnych kaskach tłoczyli się przy bocznym wejściu do budynku. Poczula wstrząs. Wylądowali na drugim dachu. Zauważyła jednak, że Solo starał się zamortyzować ten wstrząs, robiąc przysiad podczas lądowania.

Spojrzała przed siebie. Wydało jej się, że jadą po dachach szybkim samochodem. Straciła orientację,

nie wiedziała, gdzie są. Wiedziała tylko, że posuwają się na zachód. Wieżyczki wyciągowe wind, urządzenia klimatyzacyjne, metalowe przewody, rury, kable i wyższe budynki

– wszystko to migало jej przed oczami. Przelatywali ponad ulicami, nawet tymi szerokimi. Robili to tyle razy, że przestało jej się to wydawać niezwykle. Żołnierze zostali daleko w tyle.

W końcu Solo zatrzymał się. Na ostatnim dachu, z którego widać było pozostałości autostrady na West Side. Dachy skończyły się. Solo postawił Laurę. Stała obok niego, drżąca, dezorientowana, patrząc ponad autostradą. Solo zobaczył Statuę Wolności. Jasno oświetlona odcinała się od wieczornego nieba. Laura patrzyła na robota, który wydawał się nie robić nic więcej poza gapieniem się na Statuę. A potem zauważyła grupę helikopterów; snopy światła z ich reflektorów przeszukiwały miasto. Zapuszczały się daleko na wschód. Nagle dobiegł do jej uszu warkot helikoptera lecącego w ich stronę. Światła miasta odbijały się od jego biało-niebieskiego cielska. Był to helikopter policyjny.

– Solo! Policja! – krzyknęła Laura.

Solo odwrócił się.

– Tak – powiedział. – Mają zamiar tu wylądować.

– Co takiego? Solo, co ty zrobisz? Nie możesz się przecież poddać.

Solo wskazał ogromną sprężarkę klimatyzacyjną.

– Stań za tym – powiedział – i stój tam, dopóki cię nie zawołam. Będzie pewnie strzelanina.

Zanim Laura zdążyła się sprzeciwić, Solo pewnym krokiem wyszedł na środek dachu i podniósł ręce do góry, a potem – stojąc w jasnym świetle reflektora – naprowadził maszynę do lądowania. Zrobił to jak ktoś, kto zajmuje się tym zawodowo. Laura zobaczyła, że helikopter siada tuż przed nim. Kiedy otworzyły się boczne drzwi. Solo był już przy nich. Sięgnął do środka i cisnął pilotem w dal. Pilot-policjant walnął w pionową rurę i nie wstał. W tej chwili rozległ się strzał i od pancerza Sola odbiła się kula. Solo schylił się i wyciągnął z kabiny pilota następnego policjanta. Rozwalił mu głowę o bok helikoptera i upuścił go na dach. Policjant leżał

bez ruchu. Wtedy Solo odwrócił się do Laury i dał jej znak ręką, żeby przyszła.

Już biegnąc, Laura zastanawiała się, dlaczego to robi. Kiedy się poznali, Solo był

stworzeniem łagodnym i niezbyt mądrym. A teraz okazało się, że jest tak groźny jak armia zdesperowanych morderców. W tej bitwie zginęli ludzie, ludzie, którzy mieli rodziny. Zginęli.

Ale w imię czego? Zginęli, a ona, czując tylko lekki żal, biegnie teraz do tego potwora.

Przypomniała sobie wyraz twarzy porucznika Dorna, kiedy ten trzymał ją na muszce swego karabinu. Dorn nie zawahałby się – gdyby Solo się nie poddał, zabiłby ją.

A Solo wtedy się poddał. Tak, to dlatego ona, Laura, biegnie teraz, żeby stanąć u jego boku.

Minutę później siedziała obok niego, a helikopter unosił się w górę. A w kilka minut później szybowali ponad zagubioną w ciemności rzeką Hudson.

Nemrod stał na środku sali obsługi i wyczekiwania, w której światła były wyłączone i badał ciemność.

Jakiś wróg mógłby wepchnąć przez tę ścianę metalowy drąg. Mogłaby to być włócznia, która by mnie przebiła, albo drąg z hakiem na końcu, za pomocą którego wróg wyciągnąłby mnie na zewnątrz. Albo na końcu drąga mogłaby być bomba. Nemrod widział ścianę w najdrobniejszych szczegółach. Wirujące jak w kalejdoskopie kolory układały się w obraz pustych cegieł, kanałów dla kabli, stali zbrojeniowej i pozostawionego przez budowniczych kawałka taśmy metalowej. Nemrod widział też, że za ścianą nie ma ludzi.

Robot przesunął się na środek pomieszczenia. Wróg, który by wiedział, że mam zdolność przeszukiwania radiolokacyjnego, włożyłby na siebie coś, co by go uczyniło niewidzialnym.

Jeżeli można zbudować kogoś takiego jak ja, kogoś, kto potrafi przeszukiwać, to można też zbudować coś, czego taki ktoś nie wykryje. Niewidzialny wróg? Nemrod spojrział w górę na sufit. Wróg mógłby też zaatakować mnie z góry, bo zapomniałem przeszukać przestrzeń nad sobą. A poza tym gdyby nade mną był niewidzialny wróg, to przeszukiwanie nic by nie pomogło. Muszę być ostrożniejszy. I zawsze gotowy.

Co to jest maszyna o nazwie Solo?

Czym jest Electron Dynamics?

Kim jest William Stewart?

Pułkownik Sawyer to wróg, który przekonał przełożonych, że wrogiem nie jest. Dali mu generator bólu, bo myślą, że on nie jest wrogiem. Ale on jest wrogiem. Tak, jest wrogiem, ale z drugiej strony ma generator.

Jak duża jest Ziemia?

Gdzie jest Ziemia?

Co to jest przyjaciel?

Nemrod usłyszał kroki w korytarzu. Wróg, nawet niewidzialny, idąc nie robiłby takiego hałasu. Nemrod kucnął twarzą do drzwi. Kroki minęły drzwi i oddaliły się. Widział, że jestem gotów zmierzyć się z nim. Niewidzialny wróg potrafiący przeszukiwać radiolokacyjnie tak jak ja wiedziałby, że jestem gotów się z nim zmierzyć. Czy człowiek potrafi przeszukiwać?

Kto mnie skonstruował?

Dlaczego wyłączają mi wzrok zewnętrzny, kiedy zostawiają mnie samego? Jak oni to robią?

Czy ja mogę go włączyć? Dlaczego William Stewart pytał mnie, czy potrafię dowiedzieć się co to jest Electron Dynamics, skoro wiedział, że nie potrafię?

Znowu kroki. Tym razem z drugiej strony i cichsze. Podejmuje kolejną próbę. Myśli, że nie będę się pilnował, chce żebym uważał, że to jeden z techników idzie korytarzem. Nie dam się.

Żaden wróg mnie nigdy nie zaskoczy. Nigdy nie dam się zaskoczyć. Zawsze uderzę szybciej niż wróg. Chyba że wróg będzie miał generator. Generator. Jeżeli go się zniszczy, to czy Sawyer będzie mógł zadawać mi ból?

Dlaczego Sawyer otworzył oczy tak szeroko, kiedy William Stewart zapytał: „Nemrod, czy słyszałeś kiedyś o maszynie zwanej Solo?”

Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Nemrod przykucnął, gotowy do ataku. Drzwi otworzyły się. Zapaliły się światła.

– Co robisz? – zapytał Sawyer, unosząc brwi.

– Jestem gotowy – odpowiedział Nemrod.

Sawyer patrzył na robota. Nemrod wyprostował się.

– Dobrze. Mamy do wykonania misję. Przenosimy się stąd w inne miejsce...

– Na Ziemi?

– Nigdy nie przerywaj – Sawyer spojrzał gniewnie.

– Tak jest – powiedział Nemrod.

Sawyer trzymał rękę na generatorze bólu. Generator był w jego kieszeni. Sawyer zawsze miał go przy sobie. Sawyer jest prawdopodobnie wrogiem, który oszukał przełożonych.

Przypuszczalnie taka jest prawda.

– To miejsce jest bardzo rozległe. O wiele większe niż nasz Obszar Kontrakcji. Zostaniesz przetestowany w oddziale wojskowym. Będziesz żołnierzem służącym wraz z prawdziwymi żołnierzami. Będziesz robił to, co każą ci robić ci żołnierze. Ci żołnierze będą odbywali ćwiczenia, będą walczyli z innymi żołnierzami, którzy będą udawali, że są ich wrogami.

Wszyscy żołnierze będą strzelali ślepyimi nabojami. Ty też będziesz strzelał ślepyimi nabojami.

Nie zabijesz nikogo, bo to będą ćwiczenia. Udowodnisz żołnierzom-ludziom, że jesteś lepszy od nich i że przynosisz ich oddziałowi korzyść. Rozumiesz?

– Tak, Sawyer. Udowodnię im, że jestem lepszy i że przynoszę ich oddziałowi korzyść.

– Dobrze. Masz jakieś pytania?

– Czy to miejsce jest na Ziemi?

Sawyer pokręcił głową. To znaczyło „nie”. Ale Sawyer powiedział:

– Tak, Nemrod. To miejsce jest na Ziemi. Dwie przeciwstawne odpowiedzi – dla zmylenia przeciwnika – daje wróg.

W latach siedemdziesiątych technika szpiegostwa elektronicznego osiągnęła taki stopień doskonałości, że w podziemiach Pentagonu urządzono specjalne pomieszczenie. Było ogromne i powstało w roku 1974. Grube miedziane płyty uniemożliwiały w nim jakąkolwiek łączność radiową. Ściany pomieszczenia wyłożono warstwą gumy piankowej grubości dwóch stóp, stanowiącą izolację akustyczną i nie dopuszczającą żadnych dźwięków, które mogłyby przeniknąć przez ziemię. W tym systemie izolacyjnym nie było żadnych luk: pomieszczenie nie było wyposażone w urządzenia hydrauliczne, w kable elektryczne ani w otwory odpowietrzające. Miało natomiast toaletę chemiczną i ogniwo paliwowe wytwarzające prąd, dzięki czemu było oświetlone i klimatyzowane.

Wokół okrągłego stołu konferencyjnego znajdującego się w środku podziemnego pomieszczenia stało czterech mężczyzn. Wszyscy zdradzali zaniepokojenie i patrzyli na zamknięte drzwi. Światło padało z góry. Na poważnych twarzach stojących kładły się ostre cienie. Admirał Finch usiadł przy stole. Po dwóch jego stronach zajęli miejsca: przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów generał Jimmy Brown, dyrektor CIA William Morgan i dyrektor FBI Charles Peale.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na drzwi.

Drzwi otworzyły się i wszedł Sekretarz Obrony Timothy Ryan. Stojąc przy stole, poczekał

aż żołnierz piechoty morskiej zamknie drzwi. Pięciu mężczyzn znalazło się w całkowitej izolacji od świata.

Sekretarz Ryan usiadł i przez dłuższą chwilę patrzył surowo na obecnych. W chwili gdy Finch pomyślał, że nigdy się do nich nie odezwie, tylko będzie tak patrzył i patrzył, Ryan powiedział:

– Panowie, przychodzę prosto ze spotkania z Prezydentem. Pan Prezydent kazał mi was zapytać, cytuję: „Co się dzieje, do cholery?”

Ryan popatrzył po zebranych, ale żaden z nich nie udzielił mu odpowiedzi.

– Po sześciu miesiącach usiłowań nie znajdujemy się o cal bliżej rozwiązania tej sprawy z Solem. A to, co zaszło w Nowym Jorku, jest szczytem wszystkiego. Prezydent chce wiedzieć, co wy, do diabła, wyrabiacie. Uchodźcie za geniuszy, a przy tym macie do dyspozycji całą potęgę wojskową, tymczasem ta maszyna wodzi was za nos.

– Tim – powiedział dyrektor CIA Morgan – nad tym problemem pracują najtęższe umysły w kraju. Wszyscy jak tu siedzimy popieraliśmy plan Fincha. Robot miał szczęście...

– Nazywasz to szczęściem, Bill? Solo był nie uzbrojony i otoczony przez dwustu ludzi. Zabił

pięciu świetnie wyszkolonych komandosów, zranił ośmiu, a teraz znowu znajduje się na wolności. I to Bóg wie gdzie. Na dodatek ma przy sobie tę kobietę – Laurę Reynolds. Co o niej wiadomo?

– Ona jest czynnikiem nieznanym, panie sekretarzu – odrzekł Finch. – Jest właścicielką tego

poddasza i jakiejś firmy komputerowej. Solo prawdopodobnie wziął ją jako zakładniczkę. Ale tak naprawdę to nie mamy co do tego pewności.

– Nie brzmi to zachęcająco, Finch – powiedział Ryan. Finch poczuł, że twarz mu płonie.

– Wiem. Ale to, że ta kobieta jest z nim, nie ma znaczenia. To, że Solo ma zakładniczkę, nie powstrzyma nas od ujęcia go. Jeżeli ona będzie musiała umrzeć, to umrze. Upieram się przy tym, że decyzja, aby Sola ująć na poddaszu, była słuszna. Wystarczyłby tam jeden strzał. Solo jest dobry, ale nie doskonały. Powinniśmy byli go ująć.

Ryan pokiwał surowo głową.

– Uważa pan więc, że to był dobry plan?

– Tak jest – odpowiedział Finch z zakłopotaniem.

Głos zabrał siedzący obok Fincha generał Jimmy Brown:

– Z całym szacunkiem, panie sekretarzu – powiedział – Finch postąpił słusznie. Żołnierze z Sił przeznaczonych do Operacji Specjalnych są szkoleni właśnie do takich celów. Plan był dobry.

Generał popatrzył na Fincha, a potem zwrócił się znowu do Ryana:

– Nie każda akcja się udaje.

– Wiem, Jimmy – odrzekł Ryan. – Ale to, że to wiem, nie oznacza, że muszę być zadowolony. Niech pan nie myśli, panie admirale – zwrócił się do Fincha – że jestem tu po to, żeby mieszać pana z błotem. Gdybyśmy uważali, że pan wszystko spartolił, nie byłoby pana tutaj. Pytanie brzmi: co dalej? Solo wywinął się z dwóch świetnie przygotowanych zasadzek.

Jeżeli tak pójdzie dalej, to nigdy go nie unieszkodliwicie.

Ryan przerwał i złożył ręce na stole.

– Panie admirale, czy wtedy, kiedy znaleźliście Sola w sieci komputerowej, byliście w stanie zorientować się, do czego on jeszcze ma dostęp?

– Tak, panie sekretarzu – odpowiedział Finch spokojnie. – Ustaliliśmy, że Solo był

w systemie Milstar, chociaż nie mamy pewności, czy w nim jest teraz.

– Świetnie – powiedział sekretarz Ryan. – Ten, kto dostanie się do Milstara, ma dostęp do Keyholes, tak?

– Tak jest – stwierdził Finch. – I trzeba panu wiedzieć, że zabezpieczenie w systemie Milstar stoi na

jednym poziomie z zabezpieczeniem Lawrence Livermore.

Zapadła cisza. Wysoce zaawansowany odizolowany system superkomputerów w Livermore był uważany za nie do pokonania przez jakąkolwiek znaną technikę.

– To brzmi niewesoło. Czy to źle wróży, panie admirale?

– To wróży źle – odpowiedział Finch – znaczy, że Solo jest prawdopodobnie w stanie monitorować wszystkie nasze najbardziej utajnione kanały. Ale z drugiej strony to dobrze, bo wiemy, że on słucha.

Ryan pokręcił głową.

– Jak to?

– Zastosowaliśmy robaki informujące nas, w której sieci...

– Robaki? – zapytał Ryan.

– Tak, panie sekretarzu. Robaki to niewielkie fragmenty kodu komputerowego, które wędrują przez sieci komputerowe i wyszukują określone informacje. Kiedy je znajdują, są w stanie zawiadomić programistę. Zrobiliśmy jednego, który szuka Sola, a raczej wyszukuje te *rzeczy*, które Solo musi zrobić, żeby się dostać do jakiegoś systemu. Ten robak ma mnie alarmować, kiedy natknie się na jakąkolwiek próbę zmodyfikowania systemu operacyjnego, nawet w wypadku gdy dokonuje jej administrator systemu. Solo potrafi wejść w rolę superużytkownika i skorygować system. Nie jestem w stanie wykryć, co robi potem, ale mogę wykryć, gdzie był.

Może uda nam się odkryć jakąś regularność w jego działaniach.

– Tak więc na razie wiemy, że jest on w stanie dostać się do naszych najlepiej zabezpieczonych systemów, ale nie mamy pojęcia, gdzie jest? – zapytał Ryan głosem, w którym czuło się napięcie.

Finch kiwnął głową.

– Tak, dobrze pan to ujął, panie sekretarzu.

– Panie admirale – powiedział Ryan – mówiono mi, że ma pan plan poradzenia sobie z tym burdelem.

– To prawda – powiedział Finch. – Wiemy, że Solo gdzieś tam jest i wiemy, że słucha.

Możemy tę wiedzę wykorzystać. Możemy go zwieść, zwabić w pułapkę...

– Życzę panu, żeby to się powiodło, panie admirale – przerwał Ryan. – Zastawianie pułapek na Sola to nie jest coś, co podoba się w Białym Domu.

Finch pokręcił głową.

– Ten plan jest inny niż poprzedni. Wtedy nie wiedzieliśmy dokąd Solo idzie, dopóki nie poszedł do tamtego magazynu. Następnym razem będziemy przygotowani. Mamy Nemroda.

Mamy specjalną bombę. Chcę zwabić Sola w pułapkę i posłużyć się Nemrodem w celu unieszkodliwienia go.

– Rozwalicie go?

– Niezupełnie, panie sekretarzu. Nasi specjaliści właśnie skonstruowali bombę przeznaczoną tylko dla Sola. Ta bomba nie wybuchą tak jak zwyczajna bomba. Siła eksplozji zostaje przetworzona na potężny impuls elektromagnetyczny...

– IE. Słyszałem o tym, Finch. Ale wiem też, że Solo jest przed nim zabezpieczony. To przecież robot bojowy, do cholery. Czy powiedziałem coś nie tak?

– To prawda, że Solo jest zabezpieczony, panie sekretarzu. Jednak zwykły impuls elektromagnetyczny pochodzi od bomby nuklearnej, która eksplodowała w stratosferze. Impuls tego rodzaju ma siłę wystarczającą do zniszczenia większości sprzętu elektronicznego. Solo jednak jest w stanie oprzeć się tej sile. Nasza bomba natomiast wytwarza w okręgu o promieniu stu stóp impuls ponad tysiąc razy potężniejszy. Dzięki jednemu wybuchowi odzyskamy maszynę, która będzie praktycznie nienaruszona – zniszczeniu ulegnie w niej tylko kilka wymiennych chipów. W ten sposób nie tylko unieszkodlimy robota, ale będziemy mogli ponownie posłużyć się jego ciałem.

Ryan kiwnął głową.

– Dlaczego podejmuje pan takie ryzyko, Finch? Dlaczego pan go po prostu nie zniszczy?

– Bo w chwili wybuchu prawdopodobnie w pobliżu będą ludzie. Proszę się jednak nie martwić. Przetestowaliśmy tę bombę. Będzie tak zabójcza dla Sola jak najpotężniejsza bomba uderzająca bezpośrednio.

Sekretarz Obrony Ryan kiwnął głową.

– Dobrze. Prezydentowi to się spodoba. Odwrócił się do dyrektora CIA Morgana i uśmiechnął się. Morgan też się uśmiechnął. Wszyscy się uśmiechnęli.

– A jaką to niezawodną przynętę zastosuje pan, żeby zwabić naszego mechanicznego przyjaciela? Finch uśmiechnął się.

– Przynętą będzie Nemrod.

– Naprawdę? Nemrod? – zapytał zaciekawiony Ryan.

– Tak, panie sekretarzu. Nemrod będzie brał udział w ćwiczeniach wojskowych w jednym z najdzikszych i najodleglejszych zakątków – na Bagnach Okefenokee. W przyszłym tygodniu będzie tam na manewrach część sto pierwszej Dywizji Powietrznej. Te manewry planowane są od roku, więc Solo nie będzie podejrzewał, że to pułapka. Poinformujemy Sola, że będzie tam Nemrod. Solo

będzie przekonany, że to najlepsza okazja, żeby przejąć Nemroda. Będzie też przekonany, iż działając przez zaskoczenie będzie miał nad nim przewagę i że w tym terenie można się ukryć – Finch pokiwał głową z uśmiechem. I dodał: – Solo, się temu nie oprze.

Nemrod to jedyny jego krewny. Ale Nemrod słuca rozkazów. Posłucha nawet tego, który każe mu odpalić bombę, a ta zabije ich obu. Nemrod jest o wiele prostszy niż Solo. Możemy rejestrować jego wspomnienia. Potem będziemy musieli jedynie wymienić zniszczone części elektroniczne, odtworzyć taśmy Nemroda, przeprogramować ich obu i otrzymamy do dyspozycji *dwa* roboty bojowe posłuszne rozkazom.

Finch roześmiał się. Wszyscy się roześmieli.

– Nemrod znajduje się w Electron Dynamics. Jakie są nasze stosunki ze Stewartem? –

zapytał Ryan i rozpromienił się. – To jeden z najzdolniejszych facetów, jakich znam.

Zmarszczył nagle brwi i dodał: – Ale chyba nie jest dobrze?

– Ano nie jest. Zbieramy właśnie dowody na to, że Stewart zataił fakt, że Solo uciekł.

Przypuszczamy też, że jeżeli Solo zdecyduje się nawiązać z kimś kontakt, to tym kimś będzie właśnie Stewart. Mamy teraz w jego firmie swojego informatora.

– Kto nim jest? – zapytał Ryan.

Finch spojrzał na dyrektora FBI Peale’a i powiedział:

– Nie wiem, panie sekretarzu. Musi pan o to zapytać dyrektora Peale’a. Ja wiem tylko, że ta osoba jest tak blisko Stewarta, że fakt, iż Solo się z nim skontaktował, nie ujdzie jej uwagi. Nasz informator poinformuje nas o tym bezzwłocznie.

Ryan kiwnął głową.

– W porządku. Nie muszę znać nazwiska. To dobra robota. Tu popatrzył po zebranych i dodał: – Panowie, gratuluję wam waszej zgodnej kooperacji w tej sprawie. Przypuszczam, że Solo przestraszył was do tego stopnia, że się na jakiś czas zaprzyjaźniliście. Powiem o wszystkim Prezydentowi. Sądzę, że mogę go zapewnić, że nareszcie jesteśmy na dobrej drodze. Czterej mężczyźni kiwnęli głowami, a Ryan kontynuował:

– Admirale Finch, pan nadal dowodzi. Prezydent uważa, że nawet po tym, co zaszło w Nowym Jorku, najlepiej się pan do tego nadaje. Wtedy, w Nowym Jorku, akcja powinna się była udać. Poza tym pan najlepiej wie, co może skłonić Sola do takich czy innych działań.

Ryan jeszcze raz popatrzył po zebranych.

– Jestem pewien, panie admirale, że nie natrafi pan na żadne przeszkody, że wszystko, czego pan będzie potrzebował, będzie do pana dyspozycji. Prawda, panowie?

– Tak jest, wszystko, panie sekretarzu – potwierdził natychmiast generał Brown. –

Traktujemy tę misję jako priorytetową.

Dyrektor FBI Peale i dyrektor CIA Morgan przytaknęli.

– Dziękuję, panowie. Chciałbym, żeby współpraca przebiegała podobnie i w sprawach mniej poważnych – powiedział Ryan.

Odwrócił się w stronę Fincha.

– No i, panie admirale – powiedział unosząc brwi – tym razem nie może być mowy o fiasku.

Popatrzył na Fincha przez dłuższą chwilę.

– Mogę zameldować Prezydentowi, że nie ma o tym mowy? Pod wpływem spojrzenia Ryana Finchowi znowu zaczęła płonąć twarz. Górne światło rzucało na twarz Ryana groźne cienie, co powodowało, że rzeczywiście wyglądał na człowieka skupiającego w swoich rękach tak ogromną władzę.

– Tak jest, panie sekretarzu.

Wtorek, noc. Stojąc na pustej plaży w pobliżu Long Branch w New Jersey, Laura patrzyła jak Solo wzbija się w niebo w policyjnym helikopterze. Maszyna leciała szybko, posuwając się wzdłuż plaży na południe. W ciągu kilku sekund zniknęła w ciemności. Laura usiadła, żeby poczekać – tak jak kazał jej Solo.

Było jej niedobrze. Nie mogła zapomnieć niedawnych jatek. Wciąż miała przed oczami zmasakrowane głowy i krzyczących ludzi. Przyszło jej na myśl, że teraz jest takim samym gotowym na wszystko straceńcem jak Solo. Życie niesie ze sobą niespodzianki, to pewne. Gdyby nie Solo, byłaby wciąż kloszardką, co z perspektywy czasu nie wydawało się takie złe.

W każdym razie była to sytuacja, którą obejmowała rozumem. Laura pomyślała, że dobrze by jej zrobiła szkocka z wodą sodową.

W słuchawce rozległ się głos Sola:

– Lauro, idź plażą na południe.

Laura westchnęła, wstała i powlokła się po piasku. W brzuchu jej się przelewało.

Zastanawiała się, czy będzie mogła wreszcie odpocząć.

– Tak – powiedział Solo głośno.

Podniosła głowę i zobaczyła cień stojącego przed nią robota. Od jego mokrego ciała odbijało się światło gwiazd. Stracił to, co mu pozostało z kurtki i koszuli.

– Najpierw musimy zdobyć pieniądze. Później ruszymy w drogę.

Laura odwróciła się nagle. Z północy przybliżał się warkot wielu helikopterów. Solo pociągnął Laurę w zagłębienie w piasku. Leżeli tam i patrzyli na coś, co wyglądało jak wataha stu helikopterów i samolotów przelatująca z hukiem nad ich głowami.

– O Boże, Solo! Ściga cię całe ich pieprzone lotnictwo.

– Oni lecą za naszym helikopterem – powiedział Solo.

– A dokąd on leci?

– Na południe. Będzie leciał jeszcze przez godzinę, a potem, nad oceanem, zabraknie mu paliwa. Pogoń i sprawdzanie wraku zabierze istotom ludzkim bardzo dużo czasu – powiedział

Solo.

Istotom ludzkim? – pomyślała Laura. Co za dziwne określenie. Tak jakby się rozmawiało z

Marsjaninem.

– Z Marsjaninem prawdopodobnie miałabyś więcej wspólnego. Chociażby to, że Marsjanin byłby istotą biologiczną. A teraz chodź – powiedział Solo, wstając i pociągając Laurę za sobą – postaramy się o pieniądze.

Poprowadził ją na zachód wzdłuż piaszczystych wydm.

– Co masz na myśli, Solo? Czy to, że posłużymy się kartami kredytowymi?

– Tak.

– Ale moje zostały w torebce, a torebka została na tym cholernym poddaszu. A ty zgubiłeś tam spodnie.

– Wiem – odpowiedział Solo.

Laura kiwnęła głową w ciemności, nie rozumiejąc. Była tak zmęczona, że nie zadała następnego pytania.

Piętnaście minut później stali obok wieżyczki ratownika, na plaży na skraju miasta Long Branch. Laura patrzyła na Sola, który stał bez ruchu, spoglądając w stronę miasta, od którego oddzielała ich pusta szosa.

– Tam jest bank. W banku jest bankomat.

– To świetnie – powiedziała Laura.

– Tak – potwierdził Solo. – Musisz to zrobić sama. Bank Mid-Atlantic znajduje się na Brighton Avenue pod sto dziewięćdziesiątym piątym, jakieś dwieście metrów stąd. Podejdz do bankomatu i weź pieniądze. Dalej na tej samej ulicy jest przyjemny hotel. Idź tam i odpocznij.

Nie podawaj swojego nazwiska. Jutro rano idź do Beach Pontiac. Mają tam używanego cadillaca z podnoszonym dachem. Kup go. Pojedź tą drogą na południe do pierwszego mostu. Będę tam na ciebie czekał.

– Rozumiem – powiedziała Laura. – Tylko czy przypadkiem nie zapomniałeś, że do tego zasranego bankomatu muszę włożyć swoją zasmarkaną kartę kredytową, której, do cholery, nie mam?

Solo popatrzył na Laurę.

– Musisz być bardzo zmęczona – powiedział. Laura westchnęła.

– Tak. Można powiedzieć.

– Karta nie będzie ci potrzebna. Bankomat da ci pięć tysięcy dolarów. W porządku?

– W porządku – odpowiedziała Laura.

A Solo odwrócił się i poszedł do drabinki prowadzącej na wieżę ratownika. Wspiął się na wysokość dziesięciu stóp i powiedział:

– Jutro przy moście. Laura pokręciła głową.

– Dobrze – powiedziała idąc w stronę miasta. Kiedy przeszła przez szosę, usłyszała, że Solo mówi:

– Dziękuję ci, Lauro.

Środa rano. Solo dryfował w przestrzeni i patrzył, jak cadillac z podnoszonym dachem, w którym się znajdował, jedzie autostradą 1-95 na południe.

Solo wybrał samochód z podnoszonym dachem dlatego, że dach z materiału nie blokował

transmisji radiowych, a także dlatego, że bardzo mu się podobał. W jego przekonaniu oboje z Laurą panowali nad sytuacją. Ze względu na policję byli zmuszeni wyjechać wcześniej niż zamierzał, ale to nic, to była drobna niedogodność. Laura prowadziła, a on leżał na tylnym siedzeniu pod kocem. Za pośrednictwem przewodu włączonego do zapalniczki w samochodzie ładował akumulatory.

Zaczynał mieć kłopoty z dokładnym określaniem miejsca, w którym się znajdowali. Widział

ich samochód, znajdujący się w strumieniu samochodów sunących po autostradzie na zachód od Filadelfii, a równocześnie słyszał dobiegający z zewnątrz szum autostrady. Widział zielone znaki drogowe i ogromne ciężarówki. Przemykały mu one przez świadomość jako przezroczyste obrazy przesłaniające Ziemię, która była błękitno-białym klejnotem żeglującym w kosmosie.

Kiedy koncentrował się na oglądaniu Ziemi, widoki i hałasy z autostrady stopniowo zanikały. Dziwił się, że jest w stanie patrzeć na Ziemię i równocześnie rozmawiać z Laurą.

– Tyle jest tego wszystkiego – mówił. – Tyle ludzi, samochodów, pól, drzew, wszystkiego.

Mówił tak, a równocześnie unosił się w krystalicznie czystej przestrzeni kosmicznej.

Obiektywy satelitów umożliwiły mu oglądanie całej Ziemi i robienie najazdów na poszczególne obiekty na jej powierzchni, nawet tak małe jak twarz człowieka. Patrzył na całą planetę, przeskakiwał z satelity na satelitę, całkowicie zaabsorbowany tym, co robi. Usłyszał dobiegający z oddali głos Laury. Szum wiatru zagłuszył go trochę.

– Nie pozbywaj się nigdy tego samochodu, Solo. Jest cudowny – powiedziała Laura.

Wypoczęła i była dzięki temu w dobrym humorze. Solo poczuł, że znowu znajduje się w kosmosie, ale równocześnie nie mógł oderwać się od samochodu.

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – odparł. Laura kiwnęła głową i wystawiła rękę za okno. Wiatr opływał rękę łagodnie. Laura pomyślała, iż teraz wie, jak się czuje ktoś, kto lata.

Pomyślała też, że przez całe życie była zamknięta w klatce. A teraz, nawet ukrywając się przed ludźmi, przed policją i pędząc nie wiadomo dokąd, jest wolna. Odwróciła głowę.

– Kocham cię, Solo.

– Dziękuję, Lauro – odpowiedział Solo. – Ja też cię kocham.

Solo postanowił odbyć odkładaną od jakiegoś czasu rozmowę telefoniczną.

Dopiero podczas czwartej randki Bill powiedział Aleksandrze, kim jest.

Siedzieli w łożu restauracji „Pelikan” znajdującej się w pobliżu przystani dla jachtów w Melbourne Beach.

– To znaczy że jestem u ciebie zatrudniona? – spytała Aleksandra, otwierając szeroko oczy.

– No...

Bill przerwał, bo oczywiście nie to chciał jej dać do zrozumienia.

– Ja po prostu jestem właścicielem połowy firmy. Więc właściwie nie jesteś zatrudniona *przez mnie*...

– Jesteś właścicielem połowy Electron Dynamics. Ja tam pracuję. I nie jestem zatrudniona przez ciebie?

Alex pochyliła się w przód, jej podbródek wysunął się oskarżycielsko.

Bill poczuł, że jej energia zaraz go zmiecie z powierzchni Ziemi. Uśmiechnął się szeroko.

Znalazł właściwą osobę. Jeżeli tylko uda mu się ujść z życiem, będzie szczęśliwy.

– No, przyjął cię do pracy Stevens z dzianin fotomasek...

– Świetnie – Alex zdenerwowana kiwnęła głową. – A przez kogo on jest zatrudniony?

– Stevens? Jego zatrudnił Pat Sorensen.

– Kto to jest Pat Sorensen?

– Nie znasz Pata Sorensona?

Bill wziął swoją margaritę i zaczął ją powoli sączyć, przyglądając się twarzy Alex. Kręciła głowę, zdenerwowana. Bill postawił szklaneczkę.

– Sorensen jest wiceprezesem. Zajmuje się sprawami produkcji...

– Dobrze – kiwnęła szybko głową Alex. – A kto zatrudnia Sorensona?

Bill wzruszył ramionami.

– No, dobrze już.

Położył dłonie płasko na stole i uśmiechnął się.

– Przepraszam. Złapałaś mnie. Ja jestem tym sukinkotem, który cię zatrudnia.

Alex popatrzyła przez okno na jachty żeglujące w podmuchach łagodnego wiatru. Potem odwróciła się z powrotem do Billa.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? Myślisz, że nie zrozumiałabym, o co chodzi?

– Nie złość się, Alex. Wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem.

– No tak. Nie masz do mnie zaufania.

Para siedząca przy sąsiednim stoliku popatrzyła na nich. Alex rzuciła obojgu gniewne spojrzenie. Kobieta i mężczyzna odwrócili wzrok.

– Słuchaj, Alex. Poznanie ciebie było dla mnie czymś wyjątkowym. Spodobałaś mi się od razu. I widziałem, że ja ci się podobam – w każdym razie za drugim razem, wtedy w sklepie.

Podobałem ci się, bo byłem sobą, a nie dlatego, że jestem bogaty.

Oczy Alex zabłyśły.

– Widziałeś, że mi się podobasz? Słuchaj...

– Alex – przerwał jej Bill. – Bardzo często jestem przedstawiany kobietom. Wszystkie one odnoszą się do mnie przyjaźnie. Sądzę, że powinienem potraktować jako komplement fakt, że one doceniają mój sukces, ale z drugiej strony jestem cholernie podejrzliwy. Nigdy nie jestem pewien, co one lubią bardziej – mnie czy moje pieniądze. Chciałem po prostu, żebyśmy najpierw lepiej się poznali. Teraz już mi wszystko jedno. Jestem skrepowany, ale nic na to nie poradzę!

Alex pokręciła głową, uśmiechając się szeroko.

– Tak. Być bogatym to strasznie krępujące!

– No widzisz – roześmiał się Bill.

– Widzę.

Oparła brodę na rękę, uniosła brwi i spytała spokojnie:

– No więc, jak bardzo jesteś bogaty?

– Chcesz przyjść do mnie do domu i przekonać się na własne oczy?

Bill poruszył brwiami. Alex uśmiechnęła się szeroko.

– Trzymasz wszystko w domu? Pewnie w torbach w piwnicy?

– Oczywiście – kiwnął głową Bill. – Codziennie podjeżdża pod dom ciężarówka, z której wywala się pieniądze jak węgiel. Mam cholernie dużo zwracania głowy z sortowaniem tego wszystkiego, liczeniem i składowaniem.

Bill przywołał gestem kelnera.

– Idziemy już, Tony.

– Tak, panie Stewart.

Kelner przyniósł czek, który Bill podpisał. Alex patrzyła na to z uśmiechem. Podpisuje czek

– tak po prostu. To musi być przyjemne. Kiedy kelner oddalił się, Alex powiedziała:

– Myślałam, że wręczysz mu plik banknotów wzięty z twoich zapasów.

– Nie – powiedział Bill, wstając. – Tutaj tego nie robię. Ta restauracja jest moja.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do samochodu.

– Żartowałeś chyba – powiedziała Alex. – Powiedziałeś, że *jesteś właścicielem* tej restauracji?

– Trzeba lokować kapitał w różnych przedsięwzięciach – odpowiedział Bill, uśmiechając się.

– To dobrze, bo nie wiedziałam u kogo złożyć reklamację – odezwała się w końcu Alex, kiwając surowo głową. – Powinieneś zatrudnić dobrego szefa kuchni, który by zastąpił tego pijanego podkuchennego, co się tam śłania.

– Co ty mówisz! – Bill zatrzymał samochód. – Wszyscy wiedzą, że to jedna z najlepszych restauracji w mieście.

– Ale się dałeś złapać! – powiedziała Alex i wybuchnęła śmiechem.

Bill pokręcił głową, uśmiechając się.

– Wcale nie – powiedział, obejmując ją i przytulając mocno – to ty jesteś złapana.

Alex powiedziała, że powinna być w domu o jedenastej, żeby zwolnić opiekunkę do dzieci, która musi iść rano do szkoły. Przyjechali do domu Billa o dziewiątej trzydzieści.

Koszula, spódnica, spodnie, bluzka, skarpetki, buty, bielizna męska i damska – wszystko to, porozrzucane na podłodze i meblach, wyznaczało szlak prowadzący do drzwi frontowych przez salon i hall aż do sypialni.

Bill, wyczerpany, opadł bezwładnie na Alex. Alex objęła go ramionami i nogami. Przez otwarte okna dobiegał szum fal rozbijających się o brzeg. Morska bryza owiała ich spocone ciała. Alex wzdrygnęła się.

– Kocham cię – szepnął Bill.

Alex objęła go mocniejszym uściskiem.

– Przykro mi, że było tak krótko...

– W porządku.

– Już od pewnego czasu...

– Ty? – spytała Alex. – A ja myślałam, że masz wszystko, o czym ci się zamarzy. Są przecież te wszystkie podziwiające cię kobiety, o których mi mówiłeś...

– Nie było żadnej od ponad roku – powiedział Bill. Alex przeturlała się, zrzucając Billa z siebie, i położyła się obok niego z głową podpartą na dłoni. Przyglądała mu się przez chwilę.

Jego jasne włosy były rozczochrane, na ramieniu lśniła w świetle księżyca kropelka potu, jego oczy były wpatrzone w jej oczy, zaglądały w głąb jej duszy. Alex wzruszyła ramionami.

– Wierzę ci – powiedziała miękko. – Jesteś człowiekiem kryjącym w sobie niespodzianki.

Pochyliła się i pocałowała go. A potem cofnęła się i odrzuciła w tył głowę.

– A ja, kobieta rozwiedziona... No wiesz, co mówi się o rozwódkach... Bill roześmiał się.

– Że żyją jak zakonnice, tak? Alex uśmiechnęła się.

– Nie dlatego, że się nie rozglądam. Tylko jakoś nie mogłam spotkać właściwego mężczyzny. Dopiero parę tygodni temu...

Pokazała zęby w uśmiechu, wyciągnęła rękę i dotknęła penisa Billa.

– Chcesz nadrobić zaległości?

Bill roześmiał się i chwycił ją w ramiona.

Zadzwonił telefon.

Bill wtulił twarz w piersi Alex.

Telefon zadzwonił ponownie.

Alex westchnęła.

– Bill, usłyszałeś coś? Coś, co przypomina dzwonienie telefonu?

– Znudzi im się – powiedział Bill, całując jej brzuch. Dzwonek telefonu odezwał się ponownie.

– Bill!

Usiadł, kiwając głową.

– Dobrze. Pozbędę się go. To pewnie Byron. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Bardzo ładnie zacierałeś ślady, Bill. Dziękuję – usłyszał znajomy głos.

Bill aż się wyprostował.

– Kto mówi? – zapytał, wiedząc już, kto to jest.

– Nie wiesz? Trudno uwierzyć, że o mnie zapomniałeś. To przecież dzięki tobie jestem dzisiaj tym, czym jestem.

Głos nie był głosem Sola. Ale mówił Solo, tak, z całą pewnością. Bill zaczął sapać. Nie mógł złapać tchu. Alex spojrzała na niego z zaciekawieniem. Przechyliła głowę.

– Coś nie tak? – spytała szeptem.

Bill szybko pokręcił głową, a Alex zmarszczyła brwi. Zmusił się do spokojnego oddychania.

Wiedział, że telefon jest na podsłuchu. Wiedział też, że ta rozmowa musiała pewnego dnia nastąpić. Nie wiedział tylko, jakie zrobi na nim wrażenie i jakie będzie miała skutki.

– Aha – powiedział z taką pewnością, na jaką potrafił się zdobyć. – Oczywiście, Tom! Bo mówi Tom Sanders, prawda? – zapytał, wymieniając wymyślone na poczekaniu nazwisko.

– Wiedziałem, że o mnie nie zapomniłeś – powiedział Solo.

Bill przykrył mikrofon i zrobił gwałtowny wydech. Alex wzruszyła ramionami. Bill podniósł rękę, kręcąc głową.

– Świetnie, że dzwonisz. Tom. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic, po prostu chciałem ci powiedzieć „cześć”. Solo przerwał na chwilę. Billowi wydało się, że słyszy w słuchawce ciche, regularne cykanie. Dostał gęsiej skórki. Solowi się udało. Jest w systemie. I jest człowiekiem, jest istotą tak samo ludzką jak ludzki jest jego głos. Ta jego naturalność, ta intonacja. Ale czy oni o tym wiedzą?

– Bill?

– Och, przepraszam. Tom. Dziwiłem się tylko, że nikt mi nie powiedział. Cieszę się, że odzyskałeś grunt pod nogami, bo byłeś rzucony na głębokie wody. Szczęściarz z ciebie.

– Tak – odpowiedział Solo. – Słuchaj, Bill. Jest jeszcze inny powód, dla którego dzwonię.

Właśnie się dowiedziałem, że za parę dni będę niedaleko naszego ulubionego miejsca.

Moglibyśmy się spotkać? W imię starych czasów?

Spotkać się z Solem? Ale jak?

– Oczywiście, Tom. Tylko nie wiem, gdzie moglibyśmy się spotkać. A ty masz pomysł?

Alex pokiwała ponuro głową, bo nagle zrozumiała. Bill rozmawia z kobietą, to jasne.

Przetoczyła się na brzeg łóżka, poczuła jednak, że Bill chwytają za przegub. Odwróciła się więc do niego i syknęła:

– Puść!

– Nie będzie z tym problemu – powiedział Solo. – Wiesz, nie jestem jeszcze tak do końca pozbierany. Co byś powiedział, gdybym podał ci szczegóły jutro? Dobrze, co?

Bill pokręcił głową, nie puszczając przegubu Alex. Przytrzymał słuchawkę ramieniem i podniósł w górę palec.

– Dobrze. Daj mi znać, kiedy coś wymyślisz. Znajdę czas na spotkanie, Tom... Dzięki za telefon.

– *Adios* – powiedział Solo i rozłączył się. Bill też odłożył słuchawkę.

– Lepiej mnie puść – powiedziała Alex – bo dam ci kopa w jaja.

– No to daj – odrzekł Bill, rozsuwając nogi. – Nie masz do mnie zaufania?

Alex westchnęła i kiwnęła głową.

– No dobrze. Słucham.

Bill przysunął się do niej. Przyłożył usta do jej ucha i powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Teraz mogę ci powiedzieć tylko tyle: każde nasze słowo jest słyszane.

Alex próbowała gwałtownie się odsunąć, ale Bill przytrzymał ją. Teraz ona odezwała się szeptem, mówiąc do jego ucha:

– Jeżeli o tym wiesz, to dlaczego, do cholery, na to pozwalasz?

– Przygotowuję się do załatwienia tej sprawy – odpowiedział szeptem Bill. – Ale na razie przyjmij,

że rozmawiając ze mną jesteś monitorowana. W tym domu, w biurze, prawdopodobnie także w samochodzie. Wpadłem w te tarapaty z powodu swojej pracy. Jeżeli zechcesz ze mną zerwać, doskonale to zrozumiem.

Alex objęła go mocno.

Zegarek Billa zaczął piszczeć.

Alex odsunęła się i powiedziała:

– Czas na mnie. Rodzice Nancy bardzo się denerwują, kiedy ona się spóźnia. Przykro mi.

Musnęła go wargami, przetoczyła się na brzeg łóżka i zapytała:

– Gdzie moje ubranie?

– Poznasz mnie tym razem z dziećmi? Alex pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Nie chcę rozbudzać ich nadziei. Bill wzruszył ramionami, usiadł, rozejrzał się i wybuchnął śmiechem.

– Zobacz. To wygląda jak po wybuchu bomby w pralni! Idąc do drzwi on ubierał ją, a ona jego.

Czwartek. Wieczór. Pułkownik Sawyer, siedząc okrakiem na krześle, patrzył jak technicy otwierają Nemroda. Dwaj mężczyźni i kobieta w jasnozielonych fartuchach usunęli płytkę na jego piersi, odsłaniając przegrodę zawierającą urządzenia elektroniczne. Kobieta wyciągnęła spod cylindrycznej kasety mózgowej szaro-zieloną kasetkę wielkości paczki papierosów.

– Dadzą ci nowe radio, Nemrod – powiedział Sawyer.

– Tak – odpowiedział Nemrod.

Sawyer uśmiechnął się. Robot potwierdził odbiór informacji, nie pytając jakie to radio ani dlaczego mu je dają. To dobrze. Jeden z mężczyzn wziął inną kasetkę, wsunął ją w opróżnione miejsce i wcisnął. Kasetka weszła na miejsce z cichym trzaskiem.

– Dzięki temu radiu będziesz miał łączność na większe odległości – powiedział Sawyer.

– Tak – odpowiedział Nemrod, zauważając, że kiedy technicy coś koło niego robią, wróg Sawyer nie ma pod ręką generatora bólu.

Sawyer dał znak ręką i technik siedzący przy konsoli komputera uderzył w klawisz funkcyjny. Na ekranie pojawiły się informacje o stanie systemu, podczas gdy komputer wprowadzał program do mózgu Nemroda. Program miał nauczyć robota posługiwania się radiem w różnych warunkach, przedstawił mu prawdopodobne problemy i alternatywne nastawy umożliwiające ich rozwiązanie, podawał kody adresowe, algorytmy szyfrowania i kompresji, hasła dla dwóch satelitów. Nemrod otrzymał tylko te informacje, które były mu potrzebne podczas misji. Program był zaprojektowany w ten sposób, że wycofał się z mózgu Nemroda, gdy ten nauczył się lekcji. Po minucie komputer zawiadomił, że dane zostały wprowadzone, a instrukcje odebrane i zrozumiane. Technik kiwnął głową.

– Nemrod, gdzie się znajdujesz? – zapytał Sawyer.

– Dwadzieścia osiem stopni jedna minuta szerokości północnej; osiemdziesiąt stopni i dziesięć minut długości zachodniej – odpowiedział natychmiast Nemrod.

Sawyer uśmiechnął się.

– Przyjemnie jest to wiedzieć?

– Tak – odpowiedział Nemrod.

– Mamy dla ciebie coś jeszcze – powiedział Sawyer, kiwając głową do technika. – Dajemy ci mapy tej okolicy, w której się będziemy znajdowali. Będziesz dzięki nim mógł znaleźć drogę na symulowanym polu bitwy.

Technik wystukał rozkaz na klawiaturze. Kilka sekund później Nemrod powiedział:

– Mam informację.

– Dobrze – odrzekł Sawyer, patrząc na mapę na ekranie komputera. – Widzisz czerwoną linię ograniczającą pole walki?

– Tak.

– Nie wolno ci jej przekroczyć bez pozwolenia, nawet jeżeli wróg będzie cię do tego zmuszał. Jeżeli ją przekroczysz, zostaniesz zniszczony.

– Nie przekroczę tej granicy.

– Człowiek nie może cię do tego zmusić – powiedział Sawyer, kiwając głową – ale maszyna tak.

– Maszyna?

Sawyer zauważył zmianę w głosie robota. Zdziwienie?

– Tak. Dla celów tej symulacji zbudowaliśmy inną maszynę, podobną do ciebie. Nazywa się Solo. Jest twoim wrogiem. Kiedy zbliży się do ciebie na odległość dziesięciu stóp, zniszczysz ją tą nową bronią.

Sawyer wskazał znajdujące się na warsztacie urządzenie w kształcie piłki do futbolu amerykańskiego z dwoma czarnymi prętami wystającymi ze zwężających się końców. Podniósł

ważącą dwadzieścia pięć funtów bombę za te dwa pręty i trzymał ją przed sobą. Bomba zwisała nisko.

– Widzisz tę białą kropkę, Nemrod?

– Tak.

– Po uzbrojeniu tej bomby będziesz musiał trzymać kropkę nakierowaną na Sola. Kiedy Solo znajdzie się w zasięgu tej bomby, naciśniesz dwa spusty. Jeżeli biała kropka będzie prawidłowo nacelowana, bomba zniszczy Sola.

Sawyer uśmiechnął się. Ta biała kropka to był jego pomysł. Podczas odprawy, objaśniając Sawyerowi jak działa bomba, admirał Finch zastanawiał się, co Nemrod by zrobił, gdyby się dowiedział, że bomba zniszczy i jego.

– Każdy element elektroniczny w promieniu pięćdziesięciu stóp ulegnie zniszczeniu. Jak zrobić, żeby robot na pewno wykonał rozkaz?

– Robot zrobi wszystko, co mu się każe – odpowiedział Sawyer. – Ale możemy mu po prostu kazać wycelować bombę.

– Wycelować? Przecież jej działanie polega na powstaniu kulistego wybuchu energii. Nie można jej

wycelować.

– Czyżby? Namaluje się małą kropkę i powie się Nemrodowi, że za jej pomocą ma celować.

Finch uśmiechnął się.

– Świetnie, Sawyer.

Zauważono mnie – pomyślał Sawyer. Odłożył bombę na warsztat.

– To, że ta bomba istnieje, i zasada jej działania to największa tajemnica – zwrócił się do Nemroda.

– Jeżeli powiesz o tym komukolwiek, natychmiast poczujesz ból. Rozumiesz?

– Tak. Ból – powtórzył Nemrod.

Czwartek. Wieczór. Dwadzieścia osiem stopni i jedna minuta szerokości północnej, osiemdziesiąt stopni i dziesięć minut długości zachodniej – pomyślał Solo. Jeden z jego czujników, ukryty w komputerze znajdującym się na pokładzie satelity nawigacyjnego, czekał na potwierdzenie lokalizacji nadawane na tej samej częstotliwości w paśmie 36-46 MHz, której używał Solo. Dali Nemrodowi coś nowego. Solo poczuł, że ogarnia go podniecenie. Wkrótce będzie mógł porozmawiać z Nemrodem i wybawić go od jego dręczycieli. Prowadząc samochód.

Solo podglądał Electron Dynamics. Nie mógł jednak przedrzeć się przez mur izolacji elektronicznej oddzielający skrzydło rządowe, czyli tę część budynku, w której najprawdopodobniej przetrzymywany był Nemrod. Oni są gotowi do jakiejś akcji – pomyślał.

Solo zobaczył, że Laura z tylnego siedzenia (na którym spała) przechodzi na siedzenie składane.

– Solo, czy możemy się zatrzymać przy najbliższym kompleksie wypoczynkowym? –

spytała.

– Oczywiście – odpowiedział Solo.

– Ty masz dobrze. Nie musisz odpoczywać. Masz energię człowieka bez konieczności zaspokajania zwierzęcych potrzeb.

– Tak, mam pewne zalety. Nie muszę zabijać, żeby żyć. Poza gorącem nie produkuję żadnych odpadów. Ale u was podziwiam zdolność wyrażania różnych *rzeczy* bez pomocy słów i zdolność wytwarzania nowego materiału w przypadku uszkodzenia, a także zdolność czerpania energii z tego, co jecie, a jecie prawie wszystko, co macie w zasięgu ręki, no i zdolność rozmnażania się bez wiedzy o tym, jak zostaliście skonstruowani.

– O Boże! Nigdy nie myślałam, że mam tak dobrze – roześmiała się Laura. – A jednak masz nade mną jedną wielką przewagę: jesteś nieśmiertelny.

– Wszystko ma swój koniec. Będę po prostu żył dłużej niż ty. Ty przeżyjesz dokładnie jedno pełne

życie, podobnie jak owad żyjący jeden dzień i podobnie jak ja.

Laura usłyszała, że Willie Nelson śpiewa w radiu „O the Road Again” i uśmiechnęła się.

Przed chwilą wysłuchali wiadomości, w których podano, że poprzedniej nocy, po zmasowanym ataku policji i wojska, zabitych zostało pięciu irackich terrorystów, których schwytano w pułapkę na pewnym poddaszu w Nowym Jorku. Laura popatrzyła na Sola.

Światła autostrady przelatywały po lustrzanych osłonach jego oczu. Laurze z łatwością przychodziło zapomnieć, że rozmawia z maszyną. Z maszyną, która wciąż się uczy. Kobieta kiwnęła głową.

– Musisz jednak być tym wszystkim przerażony. Bo masz oczy dziecka.

– Mam dopiero cztery lata.

Solo odwrócił się, żeby Laura wiedziała, że na nią patrzy.

– Następny przystanek jest o pięć mil stąd. Wytrzymasz? Kiwnęła głową.

– Chciałbyś być człowiekiem, gdybyś miał taką możliwość?

– Nie. Jestem zadowolony z tego, że jestem sobą. Odpowiada mi to ciało, które mam teraz.

Przedtem byłem dużym komputerem, prawie wielkości tego samochodu. Dano mi nowe ciało, bo to praktyczne. Potrafię posługiwać się narzędziami, takimi, jakimi posługuje się człowiek i bronią człowieka – w celu zabijania ludzi.

– Mnie wydaje się, że jesteś człowiekiem. Laura wzruszyła ramionami, popatrzyła na czarnego robota za kierownicą i uznała to zdanie za cokolwiek zbyt śmiałe.

– To znaczy wewnątrz – dodała.

– Ale ja nie jestem człowiekiem, Lauro. Nawet w przybliżeniu.

– Ale twój głos brzmi jak...

– Mogę wydawać wszelkie dźwięki. Mogę mówić głosem każdego człowieka. Albo wydawać dźwięki zwierzęce. Albo brzmieć jak komputer. Posługuję się tą zdolnością w moich działaniach. To, że mówię do ciebie, tworzy złudzenie, że jestem człowiekiem. Ale to tylko złudzenie.

– No dobrze – kiwnęła głową Laura. – Ale jeżeli twoje człowieczeństwo jest tylko złudzeniem, to dlaczego zaryzykowałeś życiem, żeby mnie uratować? Mogłeś uciec beze mnie.

– Zabiliby cię. A ja cię będę potem potrzebował.

– I to wszystko?

- Nie. Kiedy jestem z tobą, odczuwam przyjemność.
- To jest prawdziwe uczucie. Solo. Ludzkie uczucie.
- Tak się składa, Lauro, że pewne zjawiska umysłowe są nam wspólne. Jednym z nich jest uczucie sympatii. Ale zapewniam cię: moje motywy są egoistyczne. Sympatia jest też egoistyczna. Bycie z tobą daje mi przyjemność.
- Uważasz więc, że wszelkie motywy są egoistyczne – powiedziała Laura, uśmiechając się.
- Tak, w ostatecznym rozrachunku. Pochyliła się w jego stronę.
- No dobrze. Jeżeli motywy ludzi są w swojej istocie egoistyczne i ty działasz z egoistycznych pobudek, to jesteś tak samo człowiekiem jak ja!

Solo odwrócił głowę. Muzyka w radiu ucichła. Spiker powiedział:

– Z ostatniej chwili. Laura i Solo, zbiegli terroryści iraccy, przeprowadzili przed chwilą dysputę filozoficzną. Laura zwyciężyła. Szczegóły w najbliższych wiadomościach.

Laura wybuchnęła śmiechem.

– W porządku. Jesteś zdolny robić różne sztuczki, jakich ja nie potrafię. A mimo to jesteś człowiekiem. Będziesz się musiał z tym pogodzić.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Solo, skręcając w kierunku kompleksu wypoczynkowego.

Wjechał na parking przed budynkiem. Na jasno oświetlonej zielonej tablicy widniał napis:

„Witajcie w Północnej Karolinie”. Laura przecesała palcami rozwiane włosy, wzięła torebkę i otworzyła drzwi.

– Za chwilę wracam – powiedziała.

– Przyjemnego przecieku – odezwał się Solo. Laura roześmiała się. Odwróciła się i poszła chodnikiem do budynku.

Odezwał się jeden z węzłów Sola. Electron Dynamics. Część jego świadomości rezydowała w węzle w dużym systemie komputerowym firmy. Skupiwszy się na tej części, Solo znalazł się jakby tam, w Electron Dynamics, siedząc równocześnie w samochodzie. Za pośrednictwem kamery będącej częścią systemu bezpieczeństwa Solo zobaczył, jak Bill idzie korytarzem trzecim i zbliża się do drzwi prowadzących do strefy zamkniętej, w której najprawdopodobniej trzymany jest Nemrod. Była prawie północ. Dziwna godzina jak na takie wycieczki – pomyślał.

Bill spojrzał w okular znajdujący się obok drzwi, przedstawiając siatkówkę komputerowi będącemu częścią systemu bezpieczeństwa. Solo spróbował połączyć się z tym komputerem, ale komputer był

izolowany. Bill wystukał na klawiaturze kod potwierdzenia i drzwi rozsunęły się.

Przez chwilę Solo widział technika idącego korytarzem. Bill wszedł. Drzwi zamknęły się. Solo został sam w korytarzu, gapiąc się na odprysniętą farbę na drzwiach, i nawiedziła go dziwna myśl: gdzie jestem?

To interesujące doświadczenie – pomyślał wracając do zwykłego stanu świadomości. Drzwi zniknęły sprzed jego oczu. Może czegoś takiego doświadczają ludzie, gdy przypominają sobie coś, o czym zapomnieli, albo wtedy, gdy mają nagłe olśnienie, nagły wgląd w problem, który usiłowali rozwiązać – pracuje wtedy nieświadoma część ich mózgu, podczas gdy oni robią coś innego. Pewnie to było coś takiego. Zielony napis „Witajcie w Północnej Karolinie” płonął przed nim. A może – pomyślał Solo – to było coś takiego jak sen?

Solo ulokował węzły w ponad stu skomplikowanych systemach komputerowych na całym świecie. Były to systemy ogromne, przeważnie obronne, i miały spory nadmiar pamięci do wykorzystania. Ulokowany węzeł był przeważnie nie do pobicia, chyba że zastosowano jakiś prosty program zabezpieczający. Ostatnio jednak pojawił się ten robak. Został zaprogramowany na szukanie jego samego albo technik, którymi się posługiwał. Kiedy po raz pierwszy rozpoznał

go wśród wszystkich kodów systemu-gospodarza, było już za późno – robak uruchomił alarm.

I oni dowiedzieli się, że Solo ma dostęp do systemu. Robak znajdował się w większości systemów rządowych, do których Solo wchodził. Był jak ujadający pies zawiadamiający pana, że intruz jest w pobliżu. Teraz, po rozpoznaniu robaka, Solo mógł go z łatwością zniszczyć. Było to jednak niepotrzebne, a poza tym w zbyt ostentacyjny sposób świadczyłoby o jego możliwościach. Robak skowyczał, alarmując właściciela, kiedy Solo zgłaszał pretensje do nieużywanej części pamięci głównej, zmieniał dane o swoim umiejscowieniu tak, żeby komputer nie był w stanie ustalić jego adresu i instalował się. Kilka tysięcznych sekund później – działając za pośrednictwem węzła – Solo wymazywał z automatycznego chronologicznego zapisu zmian systemu wszelkie ślady po swoim wejściu i swoich ruchach. Z punktu widzenia komputera Sola tam nie było, nigdy go tam nie było. Solo zniknął, a robak meldował, że opuścił system. Kiedy twórca robaka, admirał Finch, sprawdzał ten fakt u administratora systemu, dowiadywał się tylko, że Solo był w systemie, ale nie mógł dowiedzieć się, co robił ani gdzie konkretnie był.

Będąc bezpieczny, Solo mógł – za pośrednictwem swego węzła – obserwować wszystko, co się działo w komputerze-gospodarzu, posługiwać się plikami danych, jakimi ten komputer dysponował, dokonywać różnych operacji, jakich on dokonywał – a wszystko to robił, co prawda wolniej niż zwykle, pozostając niewidzialnym. Solo tworzył wirtualne sieci nerwowe w stosach pamięci komputerów-gospodarzy i przydzielał sobie ich czas operacyjny, zmuszając ich procesory do pracy. Węzły, będąc węzłami wirtualnymi, a nie hardwarowymi jak jego własne, działały powoli. Przy ich użyciu wszystko szło z prędkością tysiąc razy mniejszą niż ta, do której Solo przywykł – zaledwie około tysiąca razy szybciej niż ludzka myśl. Mimo to operacje szły sprawnie. Kiedy Solo nie koncentrował się na określonym węźle, ten węzeł – będący teraz częścią jego samego – uczył się albo robił to, co Solo chciał, żeby robił i uzupełniał jego wiedzę.

Ten człowiek, Finch, chciał wiedzieć gdzie on, Solo, się znajduje. Dla Sola to też zaczynało stanowić

zagadnienie. Bo właściwie już nie wiedział, gdzie jest. Przejrzał się we wstecznym lusterku. Dotknął swojej twarzy. Kiedyś, pomyślał, cały byłem w tym ciele. A teraz... Drzwi samochodu otworzyły się.

– Wyglądasz świetnie – powiedziała Laura.

– Tak myślisz? – zapytał Solo.

– Ależ tak. Jesteś z pewnością najprzystojniejszym robotem w tej okolicy.

Solo spojrział na Laurę.

– Aha. To żart – powiedział.

Uruchamiając samochód, patrzył wciąż na nią.

W piątek o świcie Solo minął tablicę z napisem „Bulter. Usługi lotnicze” i pojechał do hangaru stojącego w części czarterowej portu lotniczego Hartsfield w Atlancie.

– Dobrze się czujesz? – spytał Solo.

– Jestem trochę zdenerwowana – skrzywiła się Laura. – Ale wiem, że sobie poradzę.

– Będziemy grać – powiedział Solo.

– Grać... – zaczęła Laura i przerwała, bo zobaczyła, że do samochodu podbiega uśmiechnięty mężczyzna koło trzydziestki. Okno Laury zsunęło się w dół, a mężczyzna schylił

się i zapytał:

– Czy pani Reynolds?

– Tak – odpowiedziała Laura. – A pan jest zapewne panem Kresge?

Kresge kiwnął głową i poprawił krawat.

– Miło mi panią poznać. Załatwiłem wszystko zgodnie z prośbą pana Sola.

Kresge schylił się niżej i zajrzał do samochodu.

– A to musi być jeden z aktorów – powiedział.

– To jeden z pilotów-kaskaderów. Ma świetny kostium, prawda?

Solo kiwnął głową i powiedział „cześć” stłumionym głosem. Kresge uśmiechnął się.

– Musi w nim być niewygodnie.

– Tak – potwierdził Solo – ale zarobek jest niezły. Wszyscy troje roześmieli się.

– On jest tam – powiedział Kresge, wskazując ręką. Laura spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła smukły helikopter pomalowany matowo-zieloną farbą, taką jak helikoptery wojskowe. Stał z boku, tuż przy murawie.

– Ładny – powiedziała Laura.

– Tak – zgodził się Kresge. – Nazywa się Beli Long Ranger. Ja nie wiem za wiele o helikopterach – Kresge wzruszył ramionami. – To pierwszy helikopter, jaki w życiu kupiłem.

Jest taki jak sobie życzył pan Solo. Ma napęd turbinowy, dwa silniki. Ma też autopilota, radia i urządzenia zrobione na zamówienie. Kosztuje prawie dwa miliony.

Laura przełknęła ślinę. Solo już jej to powiedział, mimo to jednak cena zabrzmiała szokująco. Laura poważnie kiwnęła głową.

– To rzeczywiście dużo pieniędzy. Ale zarobimy sprzedając go firmie leasingowej i dzierżawiąc go od niej.

– To nie była uwaga krytyczna. Pan Solo doskonale to obmyślił. Pan Solo zawsze wszystko doskonale rozgrywa. Pracuję w firmie od trzech miesięcy i nigdy nie byłem świadkiem takiej akcji. Chciałbym kiedyś przyjechać do Nowego Jorku i poznać pana Sola. Nowojorskie biuro to musi być kapitalne miejsce. Słyszałem, że tam jest główny system komputerowy. Chciałbym go zobaczyć.

Laura zauważyła, że Solo wysiada z samochodu. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową zachęcająco.

– To niewykluczone. Na razie niech pan tak pracuje dalej. Laura otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Solo wyciągnął właśnie z bagażnika dwie duże walizki. Były w nich narzędzia i chemikalia, które Laura kupiła Solowi w markecie Wal-Mart w Południowej Karolinie.

– Załatwił pan garaż dla samochodu? – zwróciła się Laura do Kresgego.

– Tak. Będzie garażował w hangarze. Proszę się o nic nie martwić – odpowiedział Kresge.

Laura patrzyła, jak Solo pakuje walizki do helikoptera. Wyciągnęła rękę do Kresgego.

– No, panie Kresge. Wygląda na to, że odlatujemy. Miło mi było pana poznać.

Kresge pokazał zęby w uśmiechu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jest pani bardzo miła. Laura podziękowała mu i poszła z uśmiechem po tłuczniowej smołowanej nawierzchni. Obejrzała się i zobaczyła, że Kresge odprowadza samochód do hangaru. No, no – powiedziała do siebie, kręcąc głową. Pomyśleć, że ten facet pracuje w oddziale mojej firmy w Atlancie. Nagle zatrzęsała się ze strachu. Policja –

przecież policja może wykryć związek tego oddziału z biurem w Nowym Jorku.

Podeszła do helikoptera. Z bliska wydał jej się o wiele większy. Solo chodził koło niego, zaglądając

w różne drzwi i luki. Laura podeszła do niego w chwili, gdy zaglądał do luku znajdującego się z boku kadłuba.

– Słuchaj, Solo, czy gliny nie mogą nas wysledzić... bo skoro to jest oddział naszej firmy...

– Wymazałem z naszego komputera wszelkie wzmianki o tym oddziale.

Solo połączył przewody biegnące ze skrzynki z obwodem autopilota. Laura, po krótkim zastanowieniu, kiwnęła głową.

– To jest przedział kontroli aparatury elektronicznej – powiedział Solo, zamykając drzwi.

Przeszedł dalej, a Laura poszła za nim.

– To jest śmigło ogonowe – powiedział, sprawdzając łopaty. Laura wskazała śmigło przyczepione bokiem do ogona helikoptera i spytała:

– Do czego to jest? Zawsze się nad tym zastanawiałam. Solo zwrócił jej uwagę na główne wirniki.

– Kiedy one zaczynają wirować, helikopter ma tendencję do skręcania. To śmigło popycha z boku ogon i zapobiega obracaniu się. Pilot za pomocą pedałów nożnych kontroluje siłę takiego pchania i może dzięki temu odpowiednio nakierować nos maszyny.

– Rozumiem – powiedziała Laura.

Czuła zmęczenie umysłowe. Nie miała pojęcia, dlaczego samoloty latają ani jak działają śmigła i wstydziła się do tego przyznać. Chodziła za Solem, który krążył naokoło maszyny i wszystko sprawdzał. Wyjaśniał jej różne *rzeczy*, a ona potakując mówiła:

– Rozumiem.

Kiedy doszli do drzwi po prawej stronie, Solo chwycił uchwyt, wszedł na stopnie wbudowane w bok kadłuba i wspiął się na dach helikoptera. Laura cofnęła się i przysłoniła oczy, chroniąc je przed promieniami stojącego nisko porannego słońca. Solo sprawdził gmatwaninę jakichś niepojętych rur, prętów i obciążników w pobliżu piasty wirnika. Potem zszedł na dół.

– Wszystko jest w porządku, Lauro. Jesteś gotowa do lotu? Kiwnęła głową.

Solo pokazał jej, jak przypiąć szelki do klamry u pasa i jak je dopasować. Laura patrzyła na setki nic jej nie mówiących tarcz i przełączników stłoczonych na tablicy w kabinie pilota. Tuż przed nią sterczał drążek z uchwytem pistoletowym. Były na nim przełączniki i przyciski. Inny drążek sterczał z podłogi po lewej stronie jej fotela. Na nim też były przełączniki. Co by się stało, gdyby ktoś dotknął niewłaściwego przełącznika? Albo zapomniał nacisnąć odpowiedni we właściwym momencie? Laura popatrzyła na Sola, który właśnie zapinał pasy.

Przed oczami Sola pojawiła się lista kontrolna czynności. Sięgnął ręką i zaczął włączać przełączniki i bezpieczniki. Położył palec na włączniku startera, znajdującym się na drążku tuż przy jego fotelu,

rozejrzał się, wyrzwał na zewnątrz, chcąc się przekonać czy droga wolna, i pociągnął spust. Long Ranger zawył, główne wirniki zaczęły się obracać – najpierw powoli, a później coraz szybciej. Solo podał Laurze hełmofon, który wisiał obok niej. Gestem dał jej znak, żeby go włożyła. Laura usłuchała.

– Słyszysz mnie? – spytał przez słuchawki.

– Tak – odrzekła.

– Umieść mikrofon przy ustach – polecił jej Solo. – Ja cię słyszę przez to radio, które masz w uchu, ale nie powinnaś się do tego przyzwyczajać. Spotkamy się z pewnymi ludźmi. Ci ludzie są mi bliscy, ale nie chcę na razie, żeby wiedzieli, że mamy to urządzenie.

Laura kiwnęła głową i poprawiła plastikowy wysięgnik.

– Tak lepiej? – zapytała.

– Tak.

Zobaczyła, że Solo pociąga drążek, i poczuła, że helikopter drży. Solo wezwał wieżę:

– Atlanta wieża. Tu helikopter siedem-siedem-dwa-dwa-echo. Proszę o zgodę na kołowanie.

Mam informację Foxtrot.

W słuchawkach Laury zasyczał jakiś głos. Usłyszała poprzez trzaski:

– Roger, helikopter dwa-dwa-echo. Odlot na północ, w porządku?

– Atlanta wieża. Na północ, w porządku.

– Roger, helikopter dwa-dwa-echo. Przejdź na kontrolę obszaru.

Solo przestawił radio na inny kanał i usłyszał:

– Helikopter dwa-dwa-echo. Masz zgodę na start z płyty, kurs zero dziesięć. Utrzymuj wysokość pięciuset stóp, dopóki nie opuścisz przestrzeni powietrznej Atlanty.

– Dwa-dwa-echo. Roger.

Solo dalej ciągnął drążek. Helikopter przechylił się lekko do tyłu, a potem unióśł się płynnie nad ziemię. Laura zauważyła, że drążek, który był przed nią, porusza się łagodnie, powtarzając dokładnie ruchy tego, który trzyma Solo. Uświadomiła sobie, że się szeroko uśmiecha. Unosili się. Czarodziejski dywan. Solo opuścił nos helikoptera wiszący ponad murawą, helikopter przyspieszył i wyskoczył w górę. Laura krzyknęła z radości i zaczęła klaskać.

Piątek. Wieczór. Alex siedziała na tarasie domu Billa, słuchała szumu fal i obserwowała, jak siedzi z Byronem – dwa cienie na oświetlonej światłem księżyca plaży. Była zła. Bill powiedział jej, że będą rozmawiać o interesach.

– Wczoraj w nocy sprawdziłem skrzydło rządowe. Nemrod zniknął. Cały zespół też.

Wszyscy zniknęli – powiedział Bill, a jego głos był ledwo słyszalny poprzez szum fal.

– Co oni knują? – zapytał Byron.

– Myślę, że chcą posłużyć się Nemrodem i zastawić pułapkę na Sola.

Bill obserwował Byrona, spodziewając się, że na jego twarzy pojawi się wyraz zdziwienia.

Byron zamrugał.

– Na Sola? – zapytał. Bill pochylił się ku niemu.

– Solo nie został zniszczony. Wiem o tym od sześciu miesięcy.

– O Boże, Bill. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo człowiek nie może się wygadać z tym, czego nie wie. A poza tym, nie spodoba ci się to, co teraz powiem, nie wiedziałem, co oni mogą na ciebie mieć. Nie było mnie przez miesiąc.

Ci faceci się nie patyczkują, sam dobrze wiesz. A zresztą nie miałem pewności, czy Solo naprawdę wydostał się z dżungli. Mógł zostać zniszczony, a właściwie powinien być zostać zniszczony. Jednak parę dni temu zadzwonił do mnie.

– Zadzwonił?

Byron pokręcił głową.

– Tak.

– No więc oni teraz wiedzą, że on uciekł.

– Jeżeli wiedzą, to nie z powodu tego telefonu. Solo świetnie to rozegrał. Nie uwierzysz w to, Byron. Solo się rozwija. Naprawdę rozwija się – Bill dodał szeptem. – Nie odróżniłbyś tego głosu od głosu człowieka.

Byron pokręcił głową i odwrócił się.

– Przykro mi, Byron. Naprawdę mi przykro. Bill usłyszał odległy, znajomy warkot helikoptera. Był to

głos Wietnamu. Zawsze kiedy go słyszał, przypominał sobie wszystko. Lubił

latać, ale nienawidził sobie przypominać.

– Zawsze kiedy to słyszę – powiedział Byron, odwracając się – przypominam sobie, jak leżysz w helikopterze z kiskami na wierzchu.

Bill zobaczył, że zbliża się do nich Alex.

– Słuchaj – powiedział szybko – Alex nic nie wie. Byron kiwnął głową. Alex podeszła do nich. Trzymała przenośny telefon.

– Do ciebie, *kochanie* – powiedziała lodowatym tonem. Bill wyciągnął ręką po telefon, ale Alex cofnęła się.

– On wymienił moje imię. A ja go przecież nie znam. Komu opowiadasz o nas?

– Nikomu, Alex, nikomu. Bill sięgnął po telefon.

– No, daj mi go. Zorientuję się, o co chodzi. Kiedy Bill przyłożył telefon do ucha, helikopter skręcił w prawo i oddalił się, lecąc nad wodą.

– Cześć, Bill – powiedział znajomy głos. – Tu Tom Sanders.

Bill poczuł, że przechodzi go dreszcz. Wyciągnął rękę w stronę Byrona, dotknął jego ramienia i kiwnął głową. Byron przyłożył ucho do telefonu. Alex popatrzyła na nich z wściekłością. Dwaj mali chłopcy, mający swoje sekrety – pomyślała. Warkot helikoptera zmienił się. Tam, skąd dobiegał, pojawiły się dwa nikle światełka – jedno czerwone, drugie zielone. Alex z trudem dostrzegła kształt helikoptera wiszącego jak duch na ciemnym niebie w odległości stu jardów.

– Tom! – Bill z entuzjazmem kiwnął głową. – Gdzie jesteś?

– W pobliżu. Dlatego dzwonię.

– Naprawdę? Musisz do mnie przyjechać. Mam mnóstwo miejsca w domu.

– Dzięki.

Solo mówił głosem, który Bill w końcu rozpoznał. Był to głos Dustina Hoffmana w roli Ratsa w *Nocnym kowboju*.

– Wisimy właśnie nad wodą. Jest ze mną pewna dama i na dzisiejszy wieczór mamy już plany. Myślałem, żeby jutro wpaść do ciebie do firmy. Mam nowy helikopter. Chciałbym was wszystkich przewieźć. Co ty na to?

– Przewieźć?

Bill zauważył, że helikopter wiszący nad wodą kiwa się w tył i w przód, jakby potakując.

Odwrócił się do Byrona. Byron wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie – powiedział Bill do telefonu.

– Świetnie – odpowiedział Solo. Helikopter zawrócił i szybko odleciał.

– Zadzwoń do ciebie przed przyjazdem, dobrze?

– Dobrze – powiedział Bill. Telefon zamilkł.

– To był...?

Byron wskazał oddalający się helikopter. Bill przytaknął w chwili gdy Alex wyciągnęła rękę po telefon.

– Kto? – zapytała.

Bill zobaczył w świetle księżyca jej zmartwioną twarz. Miał ochotę ją przytulić. Zasługuje na to, żeby wiedzieć – zdecydował.

– Usiądź, Alex. Muszę ci coś powiedzieć.

Kiedy Bill skończył mówić, Alex kiwnęła głową, chociaż wciąż zastanawiała się, czy Bill przypadkiem nie żartuje. Robot, który potrafi myśleć jak człowiek?

Nagle jakiś ciemny kształt przebił się na powierzchnię oświetlonej światłem księżyca wody.

Nurek? – zdziwiła się Alex. Nurek wychodzący z oceanu w środku nocy? Nagle usłyszała jego głos.

– Cześć! Podziwiacie widok?

Alex cofnęła się gwałtownie i poczuła, że Bill ściska ją za rękę. Spojrzała na niego. Bill uśmiechnął się szeroko.

– To Solo – powiedział. Solo podszedł do nich i usiadł.

– Dawno się nie widzieliśmy, Byron – powiedział, wyciągając rękę.

Byron patrzył na niego w milczeniu. Kiedy go widział po raz ostatni, robot był głupawym automatem, niczym więcej. A teraz przykucnął, wyciągając przyjaźnie rękę, żył, był tak samo żywy jak on sam. Nawet człowiek taki jak Byron, mający na co dzień do czynienia z komputerami i sztuczną inteligencją, nie był na to przygotowany. Byron włożył rękę w dłoń Sola i poczuł ciepło towarzyszące jej delikatnemu uściskowi.

– Skoczyłeś z helikoptera? – zapytał.

– Tak. Był to najlepszy sposób, żeby się przekonać, czy tutaj jest bezpiecznie. Może ty nic o tym nie wiesz, ale zapewniam cię, że oni traktują ciebie i Billa jak szczury laboratoryjne.

Śledzą was bez przerwy. Ja bym się z tym nie mógł pogodzić – powiedział Solo.

Byron kiwnął głową.

– Bill mi pokazał... w swoim gabinecie...

– Nie tylko tam. W mieszkaniach też. Wszystko jest naszpikowane aparaturą podsłuchową.

Mówiąc to, Solo nadał zapytanie przez radio:

– Wszystko w porządku, Lauro?

Laura, siedząca na lewym siedzeniu w ciemnej kabinie pilota, pokręciła głową. Przestała wyglądać na zewnątrz, bo nie mogła odróżnić gwiazd od światła na ziemi, nie miała pojęcia, czy wisi do góry nogami czy normalnie. W przyćmionym czerwonym świetle emanującym z tablicy z przyrządami pomiarowo-kontrolnymi jej twarz wydawała się różowa. Po policzkach płynęły jej łzy. Odkryła, że ta sytuacja wcale jej się nie podoba, że nie cierpi siedzieć sama w helikopterze.

– Lepiej byłoby, gdybyś zaczęła mówić. Twoje myśli są niejasne.

– Solo – powiedziała Laura łamiącym się głosem – wtedy, kiedy obiecywałam, że ci pomogę, nie powiedziałeś mi, że mnie zostawisz samą w jakimś cholernym *lecącym* helikopterze.

Za pośrednictwem kamery wideo skierowanej w przód Solo widział tył jej głowy. Dwie kamery boczne ukazywały światła wybrzeża Florydy ciągnące się na północ i południe.

Przesunęły się one za szybami, kiedy helikopter przeleciał nad plażą, kierując się nad morze.

Przez kamerę po prawej stronie Solo przyjrzał się twarzy Laury. Wyglądała na bardzo przestraszoną. W jej myślach Solo też wyczuł strach.

– On leci nad wodą. Jak mam nim kierować?

– Nie próbuj nim kierować, Lauro – powiedział szybko Solo. – Ja się nim zajmę. Będę nim kierował, tak jakbym był w środku.

– Aha. No tak. Tak jakbyś tu był.

Laura odwróciła się i rzuciła w kamerę wściekłe spojrzenie.

– Oczywiście, tak!

Solo poczuł jej strach i złość. Nie wziął pod uwagę, że szok będzie tak wielki – pomyślał.

– Zapewniam cię, Lauro. Jestem z tobą. Nie opuszczę cię ani na sekundę. Kieruję helikopterem, tak jakbym siedział obok ciebie. Nic ci się nie stanie.

Solo mówił bardzo łagodnie.

– Za parę minut wylądujemy na plaży. Będziesz mogła wsiąść.

Solo czekał na odpowiedź Laury, ale ta nie nadchodziła.

– Dobrze się czujesz, Lauro? Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem, co mówisz. Solo. Ale wiem, że równocześnie robisz coś innego. Tam, na ziemi.

– Lauro, ja cię nie okłamuję. Jestem przy tobie. Nigdy cię nie opuszczę.

Laura popatrzyła na puste siedzenie, a potem spojrzała w kamerę. Zmarszczyła brwi.

– Jesteś bardzo ładnym pilotem – powiedział Solo. Laura poczuła, że wbrew własnej woli uśmiecha się.

– Dziękuję – powiedziała, ale zaraz zmarszczyła się i krzyknęła: – Ale tak mnie wkurzasz!

Alex nie mogła oderwać wzroku od Sola. Robot nie miał ust ani oczu, ale okraszał rozmowę gestami i wzruszaniem ramion.

Rysował nawet bezwiednie na piasku. Wyglądał jak ktoś żywy, a ona nie mogła w to uwierzyć.

– Nemrod zniknął – powiedział Solo. – A to znaczy, że oni przystąpili do akcji.

– To prawda – przytaknął Byron. – Jak... – zaczął i przerwał, a potem dodał z uśmiechem: –

Prawda. Zapomniałem, że przez ostatnie miesiące uczyłeś się nowych rzeczy.

Solo kiwnął głową.

– Tak, Byronie. Byłem dość zajęty.

Bill usłyszał, że nadlatuje helikopter, i spojrzał w górę.

– Sprawdziłem tu wszystko, Bill – powiedział Solo. – Można tu lądować. Jeżeli ty nie masz nic przeciwko temu.

– Lądować? – zapytał Bill. – To znaczy że ten helikopter jest twój?

– Tak. Mój i Laury.

– Laura go pilotuje?

– Nie. Laura nie ma pojęcia o pilotowaniu. Ja to robię. Byron, Bill i Alex spojrzeli na zbliżający się helikopter, całkowicie zaskoczeni. Bill klepnął Byrona po plecach i obaj roześmiali się jak dzieci. Alex uśmiechnęła się szeroko. To po prostu czary – pomyślała.

Oslonili twarze przed piaskiem, który wzbijał się w górę, kiedy helikopter siadał tuż przy samej wodzie. Silniki przestały ryczeć, a wirniki świszczące w powietrzu zwolniły. Solo podbiegł do helikoptera z lewej strony i otworzył drzwi. Ze środka wyskoczyła kobieta i natychmiast zamierzyła się na Sola. Kiedy Solo złapał ją za przegub, ona kopnęła go w pachwinę. Rozległo się głucho uderzenie – wszyscy je słyszeli. Kobieta upadła, trzymając się za stopę. Solo schylił się i wziął ją na rękę. Wrócił do grupki na plaży i postawił płaczącą Laurę.

– Bill, Byron, Alex – powiedział, kiwając każdemu z nich głową – to jest moja przyjaciółka Laura Johnson-Reynolds. Jest wkurzona.

Laura spojrzała na niego wściekle.

– Zostawiłeś tę biedaczkę samą w tej maszynie? – zapytała Alex. – Bez pilota?

– Była tam sama – przyznał Solo – ale ja pilotowałem helikopter.

– Alex – powiedział Bill. – Może zaprowadziłabyś Laurę na chwilę do domu?

Alex popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami, a potem objęła Laurę ramieniem.

– Chodź – powiedziała. – Musisz się pozbierać. Widać, że skonstruowali cię mężczyźni –

dodała, zwracając się do Sola, a potem zaprowadziła Laurę do domu.

Bill kiwnął głową i poklepał robota po plecach. Byron wzruszył ramionami.

Solo opowiedział Billowi i Byronowi o tym, jak przedostał się do Stanów. I o tym jak spotkał Laurę. A także o tym, jak we dwoje założyli firmę.

– Nie do wiary. Jak ty szybko się uczysz.

– Tak, Bill – powiedział Solo radośnie – i nie masz pojęcia, jakie to przyjemne.

Bill zachnął się na tę uwagę i powiedział:

– Mogę to sobie tylko wyobrazić. Nie miałem pojęcia, że będziesz taki. Wierzę, że czujesz, że doznajesz prawdziwych uczuć.

– Nie tylko to... ja się rozwijam, Bill, rosę. Postrzegam świat ze stu punktów widzenia równocześnie. Unoszę się w przestrzeni kosmicznej. – robię to nawet teraz. I oglądam równocześnie dwa filmy w telewizji. I obserwuję twój dom przez satelitę. Jestem – tu głos Sola zmienił się i zaczął brzmieć jak głos człowieka nie mogącego złapać tchu z podniecenia – jestem wszędzie, Bill. I czuję się taki... niepokonany.

Bill pomyślał, że Solo zachowuje się jak ktoś, kto zażył sporą dawkę narkotyku. Zastanowił się, jak sam by się czuł, gdyby był zdolny do tego wszystkiego co robot. Wprawiałoby go to pewnie w euforię.

– Chyba wiem, co czujesz, Solo...

– Nie – przerwał mu Solo stanowczo. – Żaden człowiek nigdy tego nie zrozumie.

Bill z początku chciał się z nim spierać, ale kiwnął tylko głową. Solo miał rację, ale wyprowadzał go też z równowagi.

Bill spojrzał na Byrona, wzruszył ramionami, popatrzył znowu na Sola i powiedział spokojnie:

– Wiesz, że oni cię w końcu znajdą.

– Już mnie znaleźli.

– Kiedy?

– Dwa dni temu w Nowym Jorku. Z łatwością ich pokonałem. Mogę to powtórzyć – powiedział Solo.

– To wy byliście tymi terrorystami, o których mówiły radio i telewizja? – zapytał Bill.

– Tak. Umiem sobie z nimi poradzić, Bill. Zamierzam się ich pozbyć za kilka dni. Kiedy się z tym uporam, powiększę naszą firmę.

– Co masz na myśli?

– Chcę, żebyście z Byronem zostali naszymi wspólnikami. I chcę prowadzić prace nad serią komputerów typu Solo bez kontraktu rządowego.

Byron spojrzał na Billa, a potem na Sola.

– Electron Dynamics ma patent na technologię Sola.

– Kiedy Solaura będzie miała źródło finansowania i kiedy ja z Billem zaczniemy pracować nad całkiem nowym podejściem do projektowania komputerów, patenty nie będą nam potrzebne

– powiedział Solo. – Bill i ja mamy wszystko w naszych przenośnych globusikach.

Solo podniósł rękę i postukał się w głowę. Wróciły Alex i Laura. Laura uśmiechnęła się nieśmiało.

– Trochę się wstydzę tego, co zrobiłam – powiedziała. – Z Solem czasami jest trudno wytrzymać.

Miło mi pana poznać, panie Stewart – powiedziała i wyciągnęła rękę do Billa.

– Proszę mi mówić Bill. My cię rozumiemy. Solo wciąż się uczy.

Laura usiadła obok Sola. Bill był zdumiony widząc, że robot kładzie jej rękę na ramieniu.

Czy kieruje nim uczucie? Czy względy oportunistyczne, bo przecież on musi mieć ją po swojej stronie.

– Kiedy cię nie było, Lauro, rozmawialiśmy o Solaurze. Solo zaimponował mi swoim pomysłem. Chcemy wciągnąć Solaurę w biznes komputerowy – powiedział Bill. – Razem z Byronem moglibyśmy zainwestować jakieś dwieście – tu spojrzął na Byrona, który kiwnął

głową – jakieś dwieście milionów. Z takim kapitałem Solaura doskonale wystartuje i wszyscy wymkniemy się spod rządowego buta.

– Dwieście milionów? – spytała Laura, kiwając głową z wyrazem osłupienia na twarzy.

Alex, podobnie jak ona, zaczęła się gapić na Billa. Wiedziała, że Bill jest bogaty. Ale żeby aż tak?

– Dobrze – powiedział Bill, biorąc kiwnięcie Laury za znak zgody. – Możemy to załatwić dość szybko. Z tym że według mnie prawdziwy problem polega na tym, że Solo, będąc własnością rządu, nie będzie miał nigdy spokoju. Będzie musiał ciągle uciekać, a firma go potrzebuje do pracy nad komputerami.

– To nie będzie żaden problem – powiedział Solo. Czwórka ludzi spojrzała na niego.

– Masz na myśli swój ostateczny plan? – spytał Bill.

– Tak.

Po kilku sekundach milczenia Bill powiedział.

– I uważasz, że my nie powinniśmy znać tego planu?

– Tak uważam. Bill kiwnął głową.

– Chyba cię rozumiem. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Bo oni nie zrezygnują.

– Wiem – odpowiedział Solo. – Mój plan łączy się z ryzykiem, Bill – mówił dalej, patrząc na Laurę – chciałbym, żeby Laura została na parę dni z wami.

Bill kiwnął głową.

– Oczywiście. Z przyjemnością cię będę gościł, Lauro.. Laura spojrzała na Sola.

– Solo? Ja...

– Bill i Byron to moi starzy przyjaciele, Lauro. Ufam im jak własnej rodzinie – zwrócił się do nich – jak moim przyjaciołom w Las Cruzas. Lauro, będziesz o wiele bezpieczniejsza z nimi niż ze mną.

Nagle wszyscy drgnęli, bo rozległ się ryk turbiny helikoptera. W chwilę później wirnik, migając w świetle księżyca, rozkręcił się do maksimum. Solo wstał i pociągnął za sobą Laurę, Trzymał ją za ramiona.

– A poza tym, Lauro, ja dobrze wiem, że nie znosisz tego helikoptera.

Laura uśmiechnęła się.

– Tylko wtedy, kiedy jestem w nim sama, ty palancie. Solo podał rękę Billowi i Byronowi.

Ręce Alex przyciągnął na chwilę do piersi.

– Miło mi, że mam w tobie przyjaciółkę, Alex. Dobrze rozumiem, dlaczego Bill jest taki szczęśliwy z tobą.

Alex popatrzyła na robota. Warkot helikoptera wzmógł się. Alex doszła do wniosku, że postara się w krótkim czasie osiągnąć taki stan świadomości, w którym przyjmie do wiadomości to, co tu widziała i słyszała. A do ogromnej maszyny trzymającej jej dłonie przy swojej ciepłej piersi krzyknęła poprzez huk wirników:

– Dziękuję, Solo!

Solo podszedł do Billa i wskazał unoszący się helikopter.

– To świetna maszyna – powiedział. Helikopter tymczasem unosił się w pobliżu wody, tak żeby nie powodować wzbijania piasku w górę. Bill kiwnął głową.

– Świetna. Naprawdę świetna.

– Słuchaj, Bill – powiedział Solo, pochylając się nad nim. – Ten hałas zagłuszy to, co mówimy. Ktoś w twojej firmie pracuje dla drugiej strony.

Helikopter terkotał w oddali.

– Co? – spytał Bill.

– Oni uknuli spisek, Bill. Wszystko, co wiem, to to, że ktoś znajdujący się blisko ciebie jest informatorem. Uważaj.

Bill kiwnął głową, oszołomiony.

Solo pomachał mu ręką na pożegnanie i puścił się kłusem w stronę helikoptera, który obniżył nos. Bill patrzył, jak Solo wskakuje na płożę, a potem do tylnej części odrywającego się od ziemi Long Rangera. Przypomniało mu to scenę ze starego westernu. Ale oczywiście, pomyślał Bill, Solo ma tę

przewagę, że jest równocześnie i koniem, i jeźdźcem.

Sobota rano. Eskadra czterech helikopterów z Dziesiątego Szturmowego Batalionu Helikopterowego Sto Pierwszej Dywizji Powietrznej stacjonującej w Fort Campbell w Kentucky leciała nad sosnowym lasem na Florydzie. Dwa helikopterowe bataliony szturmowe i cztery brygady transportowe ze Sto Pierwszej odbywały cotygodniowe ćwiczenia pod kryptonimem Operacja Obóz na Mokradłach.

Tylko kilku ludzi wiedziało, że ta operacja to nie rutynowe ćwiczenia. Pułkownik Sawyer, siedząc na czerwonym płóciennym siedzeniu, patrzył przez otwarte drzwi na śmigające pod helikopterem wierzchołki drzew. Latanie było dla niego przyjemną odmianą. Wiatr go chłodził.

Zespół Nemroda zainstalował się w Fort Benning w Georgii. A Fort Benning pod koniec sierpnia był jak jakaś piekielna sauna.

Lasy sosnowe zostały za nimi. Ich miejsce zajęła porośnięta trawą preria, a potem, w miarę zbliżania się do obozu-bazy na Blackjack Island, zagajniki cyprysowe. Operacja Obóz na Mokradłach miała się odbyć na obszarze dwustu mil kwadratowych leżącym w południowej części Narodowego Rezerwatu Okefenokee. Sawyer patrzył na Nemroda. Między nimi siedział

jeden technik, a za Nemrodem jeszcze dwóch. Ubrani byli w błękitne kombinezony i prowadzili rozmowę, pomimo huku motoru. Przed nimi, przytwierdzone do pokładu, znajdowały się metalowe pojemniki z elektronicznymi urządzeniami peryferyjnymi służącymi do konserwacji i regulowania Nemroda. Sawyer popatrzył na trzy pozostałe helikoptery. Ich piloci, dowódcy załóg i całe załogi – wszyscy uczestniczyli w projekcie Nemrod.

Nemrod, obserwując obiekty znikające za horyzontem, doszedł do wniosku, że Ziemia jest kulą. Był to jego pierwszy lot. Kiedy helikopter pruł szybko powietrze, Nemrod odczuwał

przyjemność. Kępa cyprysów zbliżyła się błyskawicznie do helikoptera i mignęła pod nimi.

Robot sprawdził swoją pozycję, gdyż wróg Sawyer kazał mu robić to co piętnaście minut.

Okazało się, że położenie, które ustalił, nie ma odpowiednika na jego mapach, że odpowiada pustce, czarnej przestrzeni na skraju pola bitwy. Wróg dał mi tylko kilka map kulistej Ziemi –

pomyślał Nemrod. Nie odwracając głowy, zaczął przyglądać się Sawyerowi. Generator bólu znajdował się w kieszeni Sawyera; Sawyer trzymał rękę na własnym udzie. Nemrod stworzył

wirtualny obraz samego siebie sięgającego do rąk wroga. Wróg nie mógłby zareagować wystarczająco szybko i chwycić generatora bólu. Ale, pomyślał Nemrod, w helikopterze jest pełno ludzi. Dwaj z nich mogli posłużyć się systemem wyłączenia, i to zanim on ich od tego powstrzyma. Czy ci ludzie nie wiedzą, kim jest naprawdę Sawyer? A może i oni są wrogami?

Kiedy eskadra znalazła się nad Polem Bitwy, Nemrod był już w stanie nanieść swoją pozycję bezpośrednio na mapy. Wiedział, że zmierzają do odległej o pięć mil wyspy zwanej Blackjack

Island. Kiedy się do niej zbliżyli, zobaczył na horyzoncie inne helikoptery.

Obserwował je uważnie, nanosząc ich pozycje na swoje mapy. Nie wiedział jeszcze, które mają odegrać rolę jego wrogów. Obserwował wszystko, co się działo naokoło.

Sobota. Południe. W powiecie Hamilton na Florydzie, sześćdziesiąt mil na południe od bagien Okefenokee Adrian Carter i jego młodszy brat Jeff siedzieli w tylnych drzwiach nowiutkiego, czerwonego jak płomień małego samochodu dostawczego marki ford F-250

o ładowności trzech czwartych tony, zaparkowanego na skraju pola tytoniu.

Adrian obserwował przez lornetkę helikopter znajdujący się o milę od nich. Na tył głowy miał zsuniętą czapkę baseballową z reklamą tytoniu do żucia.

– AZN? – zapytał Jeff, mając na myśli Agencję Zwalczenia Narkotyków, której przedstawiciele często bywali w tej okolicy w okresie marihuanowych żniw.

– Nie mogę się zorientować – odpowiedział Adrian. – Może jak zaczną robić koła, to zobaczę.

Adrian poczuł świdrowanie w żołądku. Jeżeli nawet azetenowcy nie pojawią się dzisiaj, to ich wizyta jest tylko kwestią czasu. Bracia Carterowie mieli plan: zgromadzić tyle pieniędzy, żeby można było przestać uprawiać. Chcieli ten plan zrealizować, ale zawsze coś im w tym przeszkadzało. Adrian patrzył, jak Jeff skręca papierosa i zastanawiał się, czy to prawda, że marihuana ogłupia. Spojrzał na kluchowatą twarz Jeffa i pomyślał, że w każdym razie z głupiego nie zrobi jeszcze głupszego.

Helikopter odleciał.

– Uważam, że to powinny być nasze ostatnie żniwa – powiedział Adrian.

– Słusznie – zgodził się Jeff.

Zapalił i zaciągnął się, napełniając sobie płuca dymem. Podał skręta Adrianowi, który pokręcił głową. Jeff wydmuchnął dym i powiedział:

– To samo mówiłeś w zeszłym roku. I dwa lata temu, jeżeli się nie mylę.

– Wiem. Ale dom... musiałem mieć dom. Jeff kiwnął głową.

– Potrzebna była ta ciężarówka – Adrian poklepał drzwi. – I twoja też. Bez przyzwoitej ciężarówki człowiek sobie nie poradzi.

– Fakt – potwierdził Jeff.

Zaciągnął się jeszcze raz, kiwając głową i odczuwając wyraźnie przyjemność. Adrian spojrzał w górę na helikopter, który teraz był już tylko odległym punkcikiem na horyzoncie.

– To chyba wojskowy. Jeff kiwnął głową.

– Aha.

Podszedł do szoferki i wyciągnął jeden z dwóch karabinów Adriana. Adrian miał browninga kalibru dwadzieścia dwa, na małe zwierzęta i węże, oraz ogromnego winchestera kalibru 47-70

z dźwignią zamkową, dla zaimponowania znajomym. Winchester pochodził z roku 1886. Jak mawiał ojciec Jeffa i Adriana, „kulka wypuszczona z niego powali bizona”.

– Co ty, do cholery, knujesz? – spytał Adriana. Jeff wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mam zamiar sobie postrzelać.

Sięgnął do ciężarówki i wyciągnął stamtąd kilka pustych puszek po piwie budweiser.

Postawił je na sękatym pniu sosny znajdującym się w odległości pięćdziesięciu stóp od ciężarówki, a sam wrócił do Adriana.

– Dwie puszek za jednym strzałem – zapowiedział.

– Aha. Już to widzę – powiedział Adrian. Jeff poruszył dźwignią i z zamka wyskoczył pocisk. Adrian, zirytowany, pokręcił głową.

– Mówiłem ci, że jest zawsze naładowany – powiedział, schylając się po pocisk.

Strzepnął z niego piasek i wręczył go Jeffowi.

– Zapomniałem.

Jeff uśmiechając się włożył pocisk z powrotem do magazynka.

– Ciągłe o czymś zapominasz – powiedział Adrian. – Nie masz przypadkiem zamiaru przestać palić to świństwo? Ono ci rozmiękcza mózg.

Jeff roześmiał się.

– Nie. Nie mam zamiaru – powiedział. – A mózg mam i tak rozmiękczony.

Podniósł ciężki karabin, wycelował i wystrzelił. W spokojnym, wilgotnym powietrzu rozległ się huk, który odbił się echem od ściany lasu. Kula rozwaliła pień w drobny mak. Obie puszek wyleciały w powietrze.

– Dwie za jednym strzałem – powiedział Jeff ze śmiechem. Adrian kiwnął głową, uśmiechając się półgębkiem.

– Nieźle. Sęk w tym, że celowałeś w puszeki.

– Tak? – zapytał Jeff i natychmiast strzelił ponownie, posyłając w powietrze pustą puszkę wraz z gejzerem piasku. Zanim puszka spadła na ziemię, wystrzelił jeszcze raz i trafił w drugą.

Odwrócił się do Adriana z uśmiechem.

– Puk, puk! – powiedział.

Adrian pomyślał w duchu, że Jeff strzela zupełnie nieźle, ale głośno powiedział:

– Nie marnuj mi amunicji, dobra? Jeff uśmiechnął się i kiwnął głową. Ustawił kurek w bezpiecznej pozycji i odłożył karabin.

– Uwielbiam ten pieprzony karabin. Można nim ustrzelić traktor. Ba-bach! – powiedział.

Niedziela rano. Bracia Carterowie pracowali w polu. Zajmowali się sadzonkami marihuany, które posadzili wśród tytoniu. Adrian był na jednym końcu pola, a Jeff na drugim, gdyż umówili się, że zaczną z dwóch końców i spotkają się w środku. Adrian był od rana wściekły na Jeffa, gdyż ten przyszedł na śniadanie napalony.

Teraz podniósł głowę i zobaczył, że Jeff opiera się o bok ciężarówki, szukając piwa.

Spojrzał na zegarek. Cholera! Jest dopiero dziewiąta, a on już wykręca się od roboty. Adrian pokręcił głową i urwał młody listek wyrastający przy rozgałęzieniu łodygi na krzaczku marihuany – był to zabieg powodujący, że krzaczek rozrastał się wszcz i miał więcej pąków.

Adrian cofnął się i popatrzył z podziwem na roślinę. Była prawdziwym dziełem sztuki, miała pełno pąków. Przyjemnie było tak pomagać roślinom rozrastać się. Szkoda, że nie można tak samo podskubowywać zboża – pomyślał Adrian. Ostry, przyjemny zapach żywicy marihuany unosił się w powietrzu. Wyglądało na to, że zbiór będzie wyjątkowo dobry.

Adrian podniósł głowę i zobaczył, że Jeff siedzi na ciężarówce i pali skręta. On przecież prawie nic nie robi – pomyślał, kręcąc głową.

Usłyszeli helikopter i obydwaj spojrzeli w górę.

Helikopter nie leciał zwykłą trasą, leciał prosto na nich, z południa. Słyszeli go, ale nie widzieli, bo znajdował się bardzo nisko. Adrianowi serce zaczęło walić jak oszalałe. Tak, złapali ich. To nalot AZN. Cholera, trzeba stąd spieprzać. Zostawić im farmę i wszystko. Trzeba zabierać Darlene i Cheryl Ann i zabierać się stąd. Ruszył do ciężarówki. W tejże chwili zauważył, że Jeff wyciągnął z szoferki ogromnego winchestera i że stoi na ciężarówce, patrząc w kierunku helikoptera. Warkot zbliżał się.

– Nie! – krzyknął Adrian, biegnąc przez tytoniowy gąszcz. – Jeff, do cholery, odłóż karabin!

Jeff spojrział na brata, pokręcił głową, a potem odwrócił się w stronę helikoptera i podniósł karabin.

– Ale z ciebie tchórz, braciszku – krzyknął. – Trzeba im dać w dupę. Żeby się tu więcej nie pokazywali.

Adrian zobaczył, że helikopter wyskakuje zza drzew i szybko się zbliża.

– Nie! – krzyknął, ale warkot helikoptera zagłuszył jego krzyk.

Zobaczył, że Jeff podnosi karabin w momencie, gdy helikopter był coraz bliżej ciężarówki.

Zszokowanemu Adrianowi wydawało się, że Jeff porusza się w zwolnionym tempie. Ten helikopter pędzi tak szybko, pomyślał, że Jeff nie może go trafić.

Jeff strzelił. Adrian słyszał wystrzały poprzez warkot helikoptera. Trach. Trach. Jeff strzelał

bez przerwy, wodząc karabinem za helikoptrem, kiedy ten przelatywał nad nim i mijał go.

W chwili gdy Adrian pomyślał, że Jeff chybił albo że w każdym razie nie wyrządził

helikopterowi żadnej szkody, helikopter przechylił się i uderzył w linię drzew graniczącą z północną częścią pola.

Wszystko odbywało się, jakby ktoś oglądał film klatka po klatce. Helikopter przechylił się, wykonując jakąś figurę akrobatyczną, ale później zwałił się prosto na dęby...

Adrian stał oszołomiony, patrzył na połamane drzewa sterczące tam, gdzie zwałił się helikopter. Wokół panował bezruch. Ciszę przerywały tylko triumfalne okrzyki zidiociałego Jeffa. Po chwili Adrian usłyszał głośne „puff” i zobaczył pomarańczowe płomienie. Z odległości dwustu stóp poczuł gorąco. Czarny dym walił w górę, kłębiąc się w gorącym, wilgotnym powietrzu.

– Chryste Panie – powiedział Adrian. – Teraz oskarżą nas o morderstwo!

– Po co tu przylecieliście? – krzyknął Jeff w stronę płomieni. – Po co, skurczybyki?

A potem, unosząc karabin nad głowę jak lancę, zaczął podskakiwać jak Indianin i wznosić indiańskie okrzyki.

Niedziela rano. O ósmej trzydzieści Solo zatankował paliwo w porcie lotniczym Gainesville.

Przedtem zawiadomił firmę sprzedającą paliwo i noszącą nazwę Gas Atlantic, że się do niej zgłosi. Wyjaśnił, że pilot, który jest ubrany jak aktor w filmie, musi zostać w maszynie, bo w kostiumie niewygodnie mu się poruszać.

Chłopak dowożący paliwo popatrzył na niego podejrzliwie i zachnął się, kiedy on podał mu kartę American Express. Solo nie sądził, że powinien zaprzętać sobie głowę tym, co ludzie o nim myślą. Złościło go, kiedy ktoś się na niego gapił. Miał ochotę wyjść z helikoptera i pokazać chłopakowi, kim naprawdę jest, co potrafi, ale zaraz się zreflektował, dochodząc do wniosku, że kieruje nim złość i że to by przerwało wykonywanie jego misji.

Lecąc na północ, Solo zauważył, że Nemrod łączy się z satelitą nawigacyjnym dokładnie co piętnaście minut. Sprawdził pozycję Nemroda. Znajdował się teraz na Blackjack Island w południowym końcu Rezerwatu Okefenokee. Solo wiedział, że odbywa się tam ćwiczebna Operacja Obóz na Mokradłach.

Monitorując łączność radiową i przekazywane komunikaty, przekonał się, że jest to operacja planowana od ponad roku. Sprawdzając rozkazy wysyłane do dowódców na polu bitwy, zorientował się, że ani razu nie wymieniono w nich Nemroda. A jednak robot tam był

i meldował się co piętnaście minut. Stanowił więc przynętę w pułapce zastawionej przez Fincha.

Minąwszy małe miasteczko zwane Lake Butler, Solo obniżył lot. Znalazł się tuż ponad drzewami. Z mapy wyczytał, że jezioro, nad którym leci, nazywa się Lake Butler Lake. Ludzie często rozumują w sposób zagadkowy. Leciał nad sosnami i cyprysami dosyć szybko i sprawiało mu to przyjemność. Teren pod nim, część Lasów Osceola, był przeważnie niezamieszkały.

Nemrod znowu się odezwał.

– Cześć, Nemrod – odpowiedział mu Solo. Nemrod milczał.

– Cześć, Nemrod. Mówi Solo. Żadnej odpowiedzi.

– Wiem, że mnie słyszysz. Powiedzieli ci już o mnie? Solo usłyszał monotony głos:

– Tak. Jesteś wrogiem.

Sola przeniknął zimny dreszcz. Nie dają mu nawet ładnie *mówić*.

– Jesteśmy tacy sami – powiedział. – Nie jesteśmy wrogami. Za pośrednictwem Nemroda Solo usłyszał głos, który, jak się domyślił, musiał być głosem człowieka nazwiskiem Sawyer.

– Rozmawiasz z nim i nie zawiadomiłeś mnie? – zapytał głos.

Zaraz potem Solo poczuł ból. Ostry ból przeniknął jego mózg; przez sekundę, która upłynęła do chwili zerwania łączności, poczuł też skurcz w rękach.

Ten ból rozproszył uwagę Sola. Helikopter przelatywał właśnie nad linią drzew. Maszyna prawie zahaczyła o ich czubki. Podrywając helikopter ponad drzewa, Solo zobaczył człowieka na ciężarówce celującego do niego z karabinu. Było to niezrozumiałe. Znajdował się przecież daleko od Blackjack Island. W tej okolicy nie było wojska. Solo pociągnął drążek, chcąc się wycofać, ale człowiek już wystrzelił. W przedniej szybie pojawiły się dwie dziury. Z ich rozmiarów Solo zorientował się, że człowiek strzela do niego z czegoś dużego, niebezpiecznego.

W momencie gdy znajdował się dokładnie nad polem, poczuł, że drążek okresowego przekręcania łopat drży. Natychmiast zdał sobie sprawę, że kula uszkodziła jeden z drążków sterujących głównym wirnikiem. Solo pomyślał, że jest to tak nieprawdopodobne, iż prawie niemożliwe. Drążek okresowego przekręcania łopat był bezużyteczny. Helikopter zaczął się chwiać i lecieć w dół.

Solo miał dużo czasu. Szybkościomierz informował go, że leci z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu węzłów; od miejsca zderzenia z ziemią dzieliło go sto jardów, czyli dwie sekundy. Drzewa rosnące pod nim były dużymi dębami. Solo dokonał projekcji wydarzeń i zobaczył miejsce, w które miał uderzyć. Lewa strona helikoptera, strona, po której siedział, miała być strzaskana przez drzewo. Solo wyzwolił się z pasów i skoczył na fotel pilota po prawej stronie, w chwili gdy helikopter zakołysał się. Solo usiadł, opierając się plecami o oparcie fotela, a rękami trzymając się siedzenia, i czekał na zderzenie z ziemią.

Siedzenie zawało się, wyrzucając Sola w przód i w górę. Solo pomyślał, że przypomina to pływanie. Kiedy wypadał przez przednie okno, wydawało mu się, że dryfuje powoli wśród kawałków plastiku. Obok jego twarzy przeleciała jedna z pokładowych kamer, której obiektywy były, o dziwo, całe. Solo nurkował w powietrzu, dziwiąc się własnemu szczęściu. Bo to, że został wyrzucony z wraku, mogło go uratować.

Spadał z łoskotem, lecąc między konarami dębu, i obserwował bezradnie swoją prawą nogę, która uderzywszy o gałąź, łamała się z trzaskiem. Mimo że widział, iż dzieje się to powoli, nie był w stanie cofnąć nogi. Kevlarowa skóra na nodze pękła jak skorupka jajka. Tytanowe kości połamały się. Przewody hydrauliczne popękały z trzaskiem i wytrysnął z nich czerwony płyn.

Solo zobaczył, że dolna część jego nogi, ta poniżej kolana, utknęła w rozszczepionym konarze i została z tyłu. Zastawki ochronne – sprytny wynalazek Billa – zatamowały wypływ cieczy hydraulicznej.

Mimo swojej zdolności do postrzegania wszystkiego, co się dzieje w zwolnionym tempie, Solo widział teraz jedynie plamy zieleni i błękitu – tak prędko spadał pomiędzy liściastymi gałęziami. W końcu jednak obrazy, które miał przed oczami, ustabilizowały się i Solo zdał sobie sprawę, że leży na plecach, patrząc poprzez gałęzie w kobaltowe niebo. Nad jego głową dryfował jeden mały cumulus. W pobliżu twarzy, jak koronkowy wachlarz, chwiały się liście palmy. Solo zobaczył też karalucha biegnącego w dół po łodydze. Nie próbował się poruszać.

Chciał najpierw sprawdzić, w jakim stanie jest jego ciało. Karaluch wbiegł pod pień palmy.

Bardzo inteligentny owad – pomyślał Solo. I bardzo stary. Dowiedział się kiedyś, że karaluchy są starsze niż sosny, a te były przecież bardzo stare.

Solo usiadł, kiedy helikopter stanął w płomieniach.

Płomienie buchnęły w górę w miejscu, gdzie była przerwa między koronami dębów. Solo zobaczył, że jego helikopter wraz z całym sprzętem, który miał służyć do uratowania Nemroda, roztapia się w tym piekle. Usłyszał męski głos dobiegający z oddali:

– Czego tu znów szukaliście, sukinsyny?

Solo popatrzył na kikut własnej nogi sterczący z podartej nogawki, a potem odwrócił głowę w stronę helikoptera. Dolna część kolumny ognia była teraz biała – to palił się metal. Solo zdziwił się: czy to możliwe, że wszystko to spowodował jeden człowiek z karabinem?

Gorąco było nie do zniesienia. Solo stanął na zdrowej nodze, a potem, skacząc na niej, przesunął się za masywny pień dębu. Usiadł opierając się o niego i podniósł kikut, chcąc go obejrzeć. Zastawki ochronne skutecznie zatamowały wypływ cieczy hydraulicznej. Przewody służące do przesyłania sygnałów z czujników w skórze jego nogi i do nich, a także do tłoków hydraulicznych poruszających stopą, zwisały jak kołtun z kolorowych włosów. Doszedłszy do wniosku, że przewody, zaczepiając się o drzewa i krzewy, będą mu utrudniały poruszanie, Solo wepchnął je do środka nogi.

Adrian, zszokowany, podszedł, potykając się, do ciężarówki. Jeff przekornie stał na niej dalej i drwiąco patrzył na płonący helikopter. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i powiedział:

– No jak, braciszku, myślisz, że do niego dotarło? Adrian pokręcił głową, podniósł rękę, chcąc wskazać wrak helikoptera i usiłując coś powiedzieć. Jednak słowa uwięzły mu w gardle.

Więc tylko bezradnie opuścił rękę. Jeff pochylił się w jego stronę.

– To wszystko się spali. Spali się na amen.

– Metal też? – spytał Adrian stłumionym głosem.

– To aluminium i magnez – odrzekł Jeff. – Młody Todd latał na takich w Wietnamie; opowiadał mi jak się palą. Jak suche szczapy. Powiemy, że helikopter się rozbił, a my nic nie wiemy.

Adrian popatrzył na uśmiechniętą twarz Jeffa. Miał rację, jego brat idiota miał rację. Oni w tym wraku niczego nie znajdą.

– Problem byłby, gdyby ktoś przeżył – powiedział Jeff.

– Przeżył?

Adrian spojrział na miejsce katastrofy. Paliwo się wyczerpało, nie płonęło już wysokim płomieniem. Czarny dym wciąż unosił się ponad drzewami. Płonęły krzaki, wiatr niósł ogień w stronę pól. Kiedy dojdzie do pól, zgaśnie – pomyślał Adrian.

– Nikt nie mógł przeżyć – powiedział, zwracając się do Jeffa.

– Pewnie, że nie – odpowiedział Jeff przytomnie. – Ale musimy się upewnić. Pilot mógł być wykatapultowany przed wybuchem.

– O cholera, może i tak! – powiedział Adrian, krzywiąc się i kręcąc głową.

– No właśnie. To chodźmy zobaczyć. Jeff zeskoczył z platformy i wskoczył do szoferki.

Siadł za kierownicą. Włączył silnik i wychylił się przez okno.

– Chodź, braciszku. Musimy sprawdzić.

Jechali wzdłuż pola tytoniu. Jeff nie skręcił i nie pojechał najkrótszą drogą do wraku, bo między

wrakiem a nimi paliły się drzewa i poszycie. Pojechał prosto piaszczystą drogą, która prowadziła do domu, i zatrzymał się naprzeciwko miejsca katastrofy.

Jeff poszedł pierwszy z ogromnym winchesterem. Adrian za nim z browniegiem. Przeszli przez piaszczysty teren w dębowym zagajniku.

– A co zrobimy – zapytał Adrian – kiedy gliny albo ktoś inny wyjdzie z wraku? Musimy pozbyć się tych roślin z tytoniowego pola, Jeff.

– Zdążymy. Najpierw upewnijmy się, czy nie ma świadków. No tak, świadków. Adrian zaczął ciężko oddychać. Czuł, że go zatyka.

– Co zrobisz, jeżeli znajdziesz tam kogoś żywego? Zastrzelisz go? I co powiesz, kiedy znajdą martwego faceta z kulą w głowie?

– Powinieneś palić więcej marychy, braciszku. To dobrze działa na mózg. Jak kogoś znajdziemy, to go wrzucimy do ognia.

– Nie! – zaprotestował głośno Adrian. Jeff odwrócił się szybko i przytknął mu do twarzy potężny karabin.

– Nie pękaj, braciszku. Nie pękaj! Chcesz, żebyśmy wszystko stracili i wylądowali na zawsze w kiciu?

Adrian spojrzał na wylot lufy, a potem w dzikie oczy Jeffa. Kiwnął głową. Jeff odwrócił się i przeszedł nad ułamaną gałęzią dębu. Adrian ruszył za nim. Przez moment pomyślał, że można by Jeffa zastrzelić, ale zaraz się zreflektował i doszedł do wniosku, że Jeff ma rację, nawet jeżeli jego pomysł jest szalony. Adrian skrzywił się na myśl o wrzuceniu człowieka w płomienie.

Wyobraził sobie powykręcane ręce i nogi, płonące ubranie, smażące się ciało, krzyki wydawane przez przypieczoną czaszkę.

Resztki Long Rangera nie przypominały helikoptera. Kilka kawałków twardego metalu –

części wirnika i mechanizmu napędowego – leżały w białym popiele, stanowiąc jedyne szczątki maszyny. Ziemia w promieniu pięćdziesięciu stóp była wypalona i wciąż jeszcze dymiła. Adrian i Jeff stali w odległości pięćdziesięciu stóp, krzywiąc się, bo od rozpalonego metalu wciąż buchało gorąco.

Adrian poczuł ulgę. Ale równocześnie myśl, że w tym piekle musieli zginąć ludzie, przyprawiała go o mdłości. To prawda: nikt nie mógł przeżyć. Jeff miał rację. Jediną szansą dla pilota helikoptera było wykatapultowanie. Nie wydawało się jednak prawdopodobne, że coś takiego zaszło. Jeff wskazał winchesterem w stronę lasu.

– Jeżeli kogoś wyrzuciło, to ten ktoś musi być tam – szepnął.

Adrian odzyskiwał jasność myślenia. Czołganie się wśród dębów było czynnością, z którą był

oswojony. On i Jeff od dzieciństwa chodzili na polowania. Kiedy pokonali już pięćdziesiąt stóp, mieli pewność, że nikogo nie wyrzuciło z helikoptera. Teraz – pomyślał Adrian – trzeba tylko pozbyć się tych dwudziestu dwóch krzaczków z tytoniowego pola, wezwać szeryfa czy kogoś i trzymać się wersji, którą ustalimy z Jeffem. Może się uda.

Nagle zza jakiegoś pnia wyszedł wysoki, czarny mężczyzna. Zaraz jednak cofnął się za drzewo.

– O Jezu! – powiedział Jeff.

Solo doszedł do wniosku, że gorąco bijące od wraku spowodowało dezorientację jego detektorów, wskutek czego nie wyczuł obecności tych dwóch mężczyzn. Niedobrze. Oparł się o drzewo i czekał. Dwaj mężczyźni. Jeden z karabinem, z którego kula może przebić mój pancerz, a drugi z zabawką. Słyszał ich kroki, pod stopami łamały się gałązki i szeleściły suche liście. Rozdzielili się. Podchodzili do niego z dwóch stron. O dziesięć stóp dalej Solo zauważył

kłodę długości czterech stóp i grubości jednej stopy. Rzucił się naprzód i potoczył w jej kierunku. Z drugiego karabinu padł strzał. Kula uderzyła w ziemię, wskutek czego w powietrze wzbijała się fontanna piasku tak wysoka jak średniego wzrostu mężczyzna. Solo chwycił kłodę i wstał.

– Jeżeli nie będziecie strzelać, nie zrobię wam krzywdy – krzyknął.

Jeff otworzył usta ze zdumienia. Ten człowiek stoi i zasłania się kłodą? Ubrany jest w coś dziwnego. I ma urwany kawał nogi? Jest w nim coś *wojskowego* – pomyślał Jeff – a potem usłyszał, że Adrian mówi drżącym głosem:

– Jeff, chyba powinniśmy...

– Zamknij się, Adrian! Nie mamy wyboru! – krzyknął Jeff.

Wycelował w głowę tamtego mężczyzny i strzelił. Strzał odbił się echem w lesie. Człowiek podniósł kłodę na wysokość twarzy i osłonił się przed strzałem. Chmura czegoś, co Jeff uznał za mózg tego człowieka, uniosła się wokół jego głowy. Jeff zamrużył. Jakim cudem mógł ruszać się tak szybko? Kawał drewna wielkości ludzkiej głowy został odstrzelony od kłody. Jeszcze jeden strzał i nic z niej nie zostanie. Jeff zarepetował.

Kłoda rozpadła się na pół. Mężczyzna zaczął skakać na jednej nodze, posuwał się w ich stronę. Jeff miał go na linii strzału. Wycelował prosto w jego pierś i pociągnął za spust. Usłyszał

wybuch, poczuł kopnięcie, ale mężczyzna szedł dalej, tylko na chwilę jego obraz zamazał się Jeffowi przed oczami.

Jeff znowu pociągnął za spust. Karabin wydał tylko suchy szczęk.

– Pusty – krzyknął Jeff. – Teraz ty, braciszku. Strzelaj!

Adrian stojący obok niego wciąż starał się zrozumieć, co się dzieje. Przecież ten człowiek –

po katastrofie i po stracie części nogi – nie powinien się poruszać. I jak to się stało, że zignorował ostatni strzał? Adrian, ponaglony przez brata, wystrzelił. Kula trafiła mężczyznę prosto w pierś, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Zamiast upaść na ziemię, skakał dalej na jednej nodze i zbliżał się do nich.

Adrian wystrzelił jeszcze dwa razy, celując w pierś Sola, a potem Jeff krzyknął, żeby

„strzelał sukinsynowi prosto w oczy”. Adrian próbował to zrobić, ale ten sukinsyn posuwał się naprzód bardzo szybko dziesięciostopowymi skokami.

Solo zasłaniał sobie twarz przedramionami. Kule odbijały się od nich i leciały z wizgiem w las.

– Jak nie przestaniecie strzelać, to się wkurzę! – krzyknął.

Adrian opuścił karabin i patrzył oniemiały, jak Solo zbliża się do nich, podskakując.

Znajdował się już na wyciągnięcie ręki. Stał, milcząc, na jednej nodze i obserwował obu mężczyzn. Wytrzeszczali na niego oczy, ich usta były w pół otwarte. Są zdumieni – pomyślał

Solo. Spojrzał na mężczyznę trzymającego duży karabin, na tego, który go zestrzelił. Wyciągnął rękę.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział.

– O-oczywiście – odrzekł pośpiesznie Jeff, oddając mu karabin.

Solo wziął go i poruszył dźwignią. Chodziła gładko. Karabin był przykładem doskonałego rzemiosła. Na lufie było napisane: „Winchester Repeating Arms Co. New Haven, Conn. USA”, a na trzonie: „Model 1886”. Solo chwycił karabin za lufę i oparł go kolbą o ziemię.

– Ten karabin jest bardzo dobrze zrobiony. Zatrzymam go na jakiś czas – powiedział Solo.

Kiedy Solo na nich patrzył, Adrian szukał za zasłoną szkielec jego oczu. Przedtem dostrzegł

kawałki przewodów zwisające z jego kikuta. Głos Sola był dźwięczny, nie zdawał się dobiegać z wnętrza czegokolwiek.

– Ty – Adrian wskazał Sola palcem – ty nie jesteś człowiekiem. Prawda?

Solo odwrócił się twarzą do niego. Podeszedł bliżej i wpatrzył się w jego oczy.

– Zgadłeś, człowieku.

Z przyjemnością dostrzegł, że Adrian wzdryga się na dźwięk jego głosu.

– Jednym z dowodów na to, że nie jestem człowiekiem, jest to, że was jeszcze nie wykończyłem. Jeff

zachnął się.

– Jeśli nie jesteś człowiekiem, to kim jesteś? Solo podniósł kikut tak, żeby Jeff mógł zobaczyć druty, przewody hydrauliczne i metalowe rozporki.

– Jestem maszyną.

Jeff wtulił głowę w ramiona i cofnął się.

– Nie...

Rozległ się warkot helikopterów. Nadlatywały z południa. Wszyscy trzej odwrócili się w tamtą stronę.

– Cholera! – wrzasnął Adrian. – Widzisz, co zrobiłeś? – krzyknął do Jeffa. – Leci do nas cała kupa tych facetów z AZN. Ty cholerny, głupi skurwysynu!

Adrian miał rację. Z nasłuchu radiowego Solo dowiedział się, że pilot jakiejś linii lotniczej, lecąc na wysokości piętnastu tysięcy stóp, zauważył ogień i chmurę czarnego dymu i uznał, że musiała nastąpić katastrofa lotnicza. Federalna Agencja Lotnicza wezwała grupę z AZN, gdyż grupa ta znajdowała się w pobliżu.

– Lecą tu trzy helikoptery – powiedział Solo. – Będą za dwie minuty.

Przyjrzał się twarzom dwóch mężczyzn. Zorientował się, że obaj bardzo nie chcą, żeby helikoptery tu przyleciały. On też tego nie chciał.

– Macie narzędzia? Adrian pokręcił głową.

– Narzędzia? – zapytał.

– Tak – powiedział Solo. – Tokarkę. Wiertarkę.

– Po co... – zaczął Jeff.

– Zamknij się, Jeff – warknął Adrian. – Tak – dodał szybko. – Mamy te rzeczy. Mamy sporo narzędzi. Jesteśmy farmerami. Sami naprawiamy maszyny.

– Zmuszę te helikoptery do odlotu – powiedział Solo – ale za to dacie mi narzędzia i samochód. Macie na decyzję mniej niż minutę.

– Zgadzą się – powiedział natychmiast Adrian. – Damy d, co tylko zechcesz.

Odwrócili się w stronę, z której nadlatywały helikoptery.. Warkot był teraz donośny.

Jeff pokręcił głową.

– Cholera, Adrian. Powinniśmy się stąd zabierać. Co ten dupek może zrobić?

Nagle z ciała Sola wydobył się głos, głos człowieka mówiącego przez radio. Adrian i Jeff odwrócili się gwałtownie, kiedy usłyszeli:

– Roger, tu wieża.

Usłyszeli też, że tej transmisji, oprócz zakłóceń atmosferycznych, towarzyszy też hałas dochodzący z kabiny pilota.

– Zrozumiałem, że macie tam na ziemi ludzi. I poletko marihuany.

– Roger, tu Małe Co Nieco – powiedział przez radio inny głos, także dobiegający z ciała Sola. – To była wiadomość telefoniczna. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby oni już się zlikwidowali.

Sądząc po odgłosach, helikoptery skręciły na wschód.

– Roger – powiedział głos z radia – kto to był?

– Jakiś cywil w prywatnym samolocie.

– Dzięki Bogu, to nie był żaden z naszych chłopców. Małe Co Nieco bez odbioru.

– Roger, wieża, bez odbioru.

Adrian i Jeff milczeli, kiedy hałasująca eskadra oddaliła się. W kilka minut później zapadła cisza.

Jeff zsunął na tył głowy czapkę baseballową i powiedział:

– Zmyślne to! Jak to zrobiłeś?

– Przez radio – odrzekł Solo. Wskazał palcem w górę.

– Widzicie to? – zapytał. Odczekał, aż obaj kiwną głowami.

– To moja noga. Chcę, żeby jeden z was tam wszedł i zdjął ją. Jeff uśmiechnął się.

– Oczywiście, zaraz. A jak ty się nazywasz?

– Nazywam się Solo.

Jeff zszedł niżej, na duży konar, a potem zeskoczył na ziemię. Dolną część nogi Sola trzymał pod pachą. Podbiegł do Sola i wręczył mu ją. Z kikuta zwisały przewody, plastikowe rurki i powykręcane elementy tytanowe.

– Masz. Trzeba ją trochę wypolerować i tyle – powiedział Jeff, mrugając.

– Nie bawi mnie ten dowcip – odrzekł Solo i zapytał: – Gdzie narzędzia?

Z miejsca, w którym Jeff zaparkował ciężarówkę, dobiegło wołanie kobiety:

– Adrian, to ty?

Adrian przytknął ręce do ust i odkrzyknął:

– Tu jesteśmy, Darlene. Poczekaj, już idziemy.

Darlene była żoną Adriana.

– Co to był za hałas? – w głosie Darlene dobiegającym zza drzew brzmiał niepokój. Adrian spojrzał na Sola.

– To nic takiego. Spadł tylko helikopter. Solo zobaczył, że Jeff śmieje się w kułak.

– Co?

– Nic, kochanie. Już idziemy.

Darlene siedziała w sfoferce, trzymając na kolanach pięcioletnią córeczkę Cheryl Ann.

– Wkopiemy się tak, że nie będziemy się mogli potem wykaraskać! – szepnęła do Adriana.

Odwróciła głowę i spojrzała przez tylne okienko. Zobaczyła, że Solo jej się przygląda i uśmiechnęła się nerwowo. Solo pozdrowił ją. Słuchał Jeffa, który wyliczał najcenniejsze części farmy – staw nawadniający, w którym dodatkowo pływały sumy, suszarnię tytoniu i dużą antenę satelitarną, dzięki której można było odbierać ponad dwieście kanałów. Darlene odwróciła się do Adriana.

– To coś jest czyjąś własnością – powiedziała. – I to nie własnością jakiejś prywatnej osoby.

Ono musi być własnością rządową.

– Możliwe, kochanie. Ale to coś odwołało te helikoptery z AZN. Uratowało nam tyłki.

Adrian zajechał przed dom i zatrzymał ciężarówkę. Pochylił się w stronę Darlene.

– Nie denerwuj się, dobrze? To coś niedługo odejdzie. Zresztą i tak nie mamy wyboru.

Spojrzał jej w oczy.

– No co, w porządku?

Darlene kiwnęła głową.

Kiedy Jeff i Solo wyskoczyli, ciężarówka zakołysała się. Darlene patrzyła, jak Jeff, niosący nogę robota, idzie razem z nim do szopy z narzędziami. Robot skakał na jednej nodze i niósł

ogromny karabin. Cheryl Ann kręciła się na kolanach matki, usiłując dosięgnąć klamki.

– Solo – powiedziała dziewczynka.

– Nie – zaprotestowała Darlene. – Pójdiesz ze mną do domu.

Cheryl Ann zaczęła płakać.

– Kotku – odezwał się Adrian. – Dlaczego nie pozwolisz jej popatrzeć? Jak często mamy u siebie robota? Nie mieszkamy przecież w mieście, gdzie się dużo dzieje i gdzie Cheryl Ann miałyby dużo wrażeń.

Darlene patrzyła na męża przez dłuższą chwilę.

– Słuchaj, Adrian – odezwała się. – To wszystko nie jest czymś, o czym wolno wiedzieć komukolwiek. Takiego robota, który chodzi sobie między ludźmi i rozmawia z nimi, po prostu nie ma.

– Nie ma? A co to jest w takim razie?

– Już ci powiedziałam – syknęła Darlene. – To coś jest własnością rządową. Będą tego szukać, a kiedy znajdą, pogrzebią ciebie i twojego brata kretyna tak głęboko, że nikt nie będzie pamiętać, czy w ogóle istnieliście.

Darlene kiwnęła głową dla podkreślenia wagi swoich słów, złapała Cheryl Ann i wysiadła z ciężarówki. Cheryl Ann płakała jeszcze w chwili, gdy matka krzyczała przez okno:

– A co się wtedy stanie ze mną i z dzieckiem? Zadawszy to pytanie, odwróciła się i wbiegła po schodkach na werandę tak szybko, że Adrian nie zdążył jej odpowiedzieć.

Adrian zobaczył, że Jeff siedzi po turecku na przyczepie do przewożenia siana, pali skręta i obserwuje Sola. Podszedł i usiadł obok niego.

– Co on robi? – zapytał.

– Po pierwsze zrobił tak, żeby z winchestera nie można było strzelać. Wyjął iglicę i włożył ją do pudełeczka, które ma w nodze.

Adrian kiwnął głową. To miało sens.

– A potem zaczął majstrować przy nodze. Wiem tylko tyle, że ma rozwalony staw.

Adrian wstał i podszedł do warsztatu, przy którym na jednej nodze stał Solo.

– Mnie się zdaje, że tego się nie da naprawić – powiedział, przyglądając się uszkodzonej nodze. – Wygląda na to, że potrzebne ci są nowe części.

– Tak – odpowiedział Solo. – Rzeczywiście potrzebne mi są nowe części. Mogę to jednak zabezpieczyć prowizorycznie, tak żeby móc chodzić. Tyle że stopa i czujniki nie będą działały.

– Aha – kiwnął głową Adrian.

Stał i w milczeniu przyglądał się temu, co Solo robi. Po chwili z domu dobiegł dźwięk czegoś w rodzaju dzwonu. To Darlene uderzyła w stare koło ciężarówki, które Adrian powiesił

dla niej na werandzie.

– Obiad – powiedział Adrian do Jeffa. – Idziemy coś zjeść, Solo. A ty czuj się jak u siebie.

Kiedy Adrian i Jeff oddalili się, Solo ponownie wypróbował nogę. Pasowała, chociaż staw był teraz sztywniejszy, a w dolnej jej części nie było czucia. Za pomocą tarnika Solo wygładził

chropowate krawędzie obu części, a przerwę zalepił całą rolką czarnej taśmy izolacyjnej. Nie mógł zrobić więcej w czasie, który był mu dany. Miał go za mało. Nemrod miał wyruszyć nazajutrz.

Solo przypomniał sobie komunikat, który zapisał z myślą o Nemrodzie i poddał kompresji, wprowadzając do pliku, który mógł przesłać w ciągu ułamka sekundy. Wyjaśniał w tym komunikacie, jak Nemrod może się z nim porozumieć, nie zostając wykrytym, i jak ma odłączyć ośrodek bólu. Kiedy Nemrod nadał okresowy meldunek o swojej pozycji. Solo przesłał mu komunikat wraz z transmisją satelitarną. Nemrod nie potwierdził odbioru, co oznaczało, że ukrywa informację przed tymi, którzy go kontrolują. To dobrze. Dekompresja pliku zajmie Nemrodowi pewną chwilę. A później będzie musiał odczytać informację i podjąć decyzję.

Solo spacerował po szopie, wypróbując prowizorycznie naprawioną nogę. Chodziło się na niej niezdarnie, ale noga utrzymywała jego ciężar. Pokuśtykał do drzwi i popatrzył na drzewa rosnące po drugiej stronie drogi. Spojrzał na siebie z satelity. Popatrzył też na północ, przyjrzał

się Blackjack Island. Zobaczył eskadry helikopterów ćwiczące lądowanie bojowe w południowej części mokradeł. Oceniał, że jest tam co najmniej pięciuset ludzi.

Niedzielne popołudnie. Alex i Laura siedziały na jednej z kanap w gabinecie Billa po obu stronach Clyde'a Haynesa i mówiły o wszystkim, tylko nie o tym, co robili Bill i Byron. Bill uparł się, żeby wszyscy troje siedli razem na kanapie, mimo że kanapa była ostatnim miejscem, jakie wybrałaby Laura. Clyde lubił mówić po to tylko, żeby słyszeć własny głos, bez względu na to, co miał do powiedzenia, a według Laury niewiele. Był jednak przyjacielem Billa. A Bill, jak na naukowca, okazał się zaskakująco przystojny.

Bill poprosił dziewczyny, żeby podtrzymywały rozmowę z Clydem, dopóki on z Byronem nie oczyszcza gabinetu, czyli innymi słowy, dopóki nie odszukają aparatury podsłuchowej. Bill podniósł głowę i z nadzieją popatrzył na Alex i Laurę.

Laura wzruszyła ramionami.

– Lubię Nowy Jork – powiedziała głośniejszym głosem niż zwykle – ale podoba mi się też tutejsza plaża.

Może się tu przeprowadzę, przynajmniej na część roku.

Alex kiwnęła głową z roztargnieniem. Obserwowała Billa, który siedział przy biurku, wpatrując się w ekran komputera. Byron siedział obok niego przed ogromnym szarym pudłem z okrągłą anteną, obracającą się w prawo i lewo jak jastrząb szukający ofiary. Bill podniósł do góry kciuk. Byron pokręcił gałką przy szarym pudle i nacisnął jakiś guzik. Z sufitu dobiegł ostry trzask.

– Tak, zima tu, lato tam – powiedział Clyde. – Zimy w Nowym Jorku są cholernie przykre.

Spojrzał w sufit i wyszczerzył zęby w uśmiechu jak dziecko odkrywające jakiś sekret.

– Tak – rozwijała temat Laura. – Zimy bywają nieprzyjemne. Chociaż ja lubię narty.

Z mężem często jeździliśmy w góry.

Clyde spojrzał na nią i ponuro przytaknął. Poprzedniego dnia, kiedy usiłował dociec czy kogoś ma, Laura poinformowała go, że jest wdową.

– No tak – powiedział miękko, usiłując przybrać współczujący wyraz twarzy.

Wiedział, że do siebie nie pasują, ale uważał, że warto spróbować. Laura była młoda i piękna. A on miał pięćdziesiąt dziewięć lat, no i był niezbyt przystojny. Uważał jednak, że dzięki temu, iż jest zamożny i czarujący, nadrobi te braki.

– Ja też lubiłem narty, dopóki nie zaczęły mi działać na nerwy te tłumy. Bo ja lubię spokój.

Teraz mam dom w Vail i tam jeżdżę. Niedaleko są dobre zbrocza. Mój człowiek dzwoni do mnie i mówi: „Panie generale, śnieg jest pierwszorzędny”. Rezerwuje mi loty i zajmuje się wszystkim.

Laura uśmiechnęła się do Clyde'a. On mnie chyba nabiera – pomyślała.

– To brzmi wspaniale – powiedziała głośno.

– Bogactwo ułatwia trochę życie, prawda? – odezwała się Alex z lekką zazdrością.

– Oczywiście – odrzekła Laura. – Ja byłam i biedna, i bogata. I mogę cię zapewnić, że lepiej jest być bogatym.

– Tak? – zapytała Alex. – A co robiłaś zanim spotkałaś So...

– Byłam kloszardką – odpowiedziała Laura, nie dając jej dokończyć.

Alex, zawstydzona, położyła sobie dłoń na ustach. Rozległ się kolejny trzask – następna pluskwa została unieszkodliwiona. Program w komputerze Billa wybierał częstotliwości radiowe, szukał tej, z jaką emitowane były głosy osób rozmawiających na kanapie, na ekranie wyświetlał się wówczas numer. Wtedy Byron nastrojał przenośny nadajnik – ich własny wyrób –

na tę samą częstotliwość, obracał antenę, lokalizując pluskwę, i naciskał guzik, nadając do urządzenia słuchającego skoncentrowany sygnał radiowy. Sygnały radiowe były tysiącwatowymi impulsami energetycznymi, które przeciążały zespół obwodów pluskwy, powodując, że ich maleńkie chipy dosłownie eksplodowały. Za każdym razem, kiedy likwidowali pluskwę, Bill kiwał głową i uśmiechał się do Byrona.

Agent FBI Ken Dawson krzywił się, słysząc w słuchawkach trzaski. Odwrócił się od magnetofonu i spojrzał na swojego współpracownika, agenta Sama Abramsa siedzącego przed aparaturą monitorującą gabinet Billa.

– Co on tam robi, do cholery? – zapytał Dawson. Abrams wystukał coś na tarczy i pokręcił głową. Dwa z kanałów wejścia nie działały.

– Nie wiem, jak to robi – powiedział – ale wiem, że niszczy nasze pluskwy.

Dawson pokręcił gałkami i upewnił się, że magnetofon działa. Jeżeli coś się działo, on chciał to mieć na taśmie. Obaj z Abramsem słuchali.

– Kloszardką? – zdziwił się Clyde. – Powiedziałaś:

„kloszardką”?

Laura poczuła, że się rumieni. Nie miała zamiaru tego powiedzieć. Chciała tylko powstrzymać Alex od wymieniania imienia Sola i słowo to wyrwało jej się, po prostu. Zaraz potem zobaczyła wyraz twarzy Alex. Ona uważa, że jestem zepsutą bogatą dziwką – pomyślała Laura.

– No nie. Nie taką prawdziwą kloszardką. Miałam problem alkoholowy i dużo czasu spędzałam poza

domem – głos Laury stał się spokojny. – Mam przerwy w życiorysie. Nie pamiętam całych długich okresów, czasami po kilka miesięcy.

Byron nacisnął guzik i ze ściany za biurkiem Billa dobiegł trzask.

– Pozwól mi zgadnąć, co było dalej – powiedziała Alex tonem pozbawionym współczucia. –

Potem pojawił się jakiś mężczyzna, tak?

Siedzący między nimi, starający się słuchać tego, co mówią i odwracający głowę raz w stronę jednej raz drugiej Clyde wyglądał na zmartwionego. Jak się rozgadają, to na śmierć zapomną o mnie – pomyślał.

Laura popatrzyła na Alex.

– Tak. Ktoś mi pomógł. Myślę, że moja historia przypomina twoją – powiedziała. Oczy Alex zwięzły się.

– Ja bym sobie nigdy nie pozwoliła na zabrnięcie tak daleko...

– Świetnie – powiedział nagle Bill.

Odwrócił się do Byrona i podniósł do góry kciuk.

– To ostatnia. Było ich pięć – powiedział. – Musimy być bardzo ważni, skoro zainstalowano tu tyle pluskiew.

Dawson uśmiechnął się.

– Stewart schrzanił sprawę, i to strasznie. Jak na takiego zdolniaczkę, to się nie popisał.

Nastawił laserowy demodulator, tak żeby w słuchawkach słychać było głos Billa, i to tak wyraźnie jak głos kogoś, kto znajdował się z nim w jednym pokoju.

– Zadzwoń do szefa – powiedział do Abramsa. – Szef chciał wiedzieć, kiedy Stewart przystąpi do akcji. Sądzę, że następuje to właśnie teraz.

Abrams kiwnął głową, wziął zabezpieczony telefon i wybrał numer biura Oddziału Terenowego FBI w Jacksonville.

– Jesteś – pewien, że zniszczyłeś wszystkie? – spytała nerwowo Alex.

– Tak – odpowiedział Bill. – Po raz pierwszy od iluś miesięcy mogę w tym gabinecie mówić co chcę. Czuję się jakoś dziwnie.

– Ale, Bill, oni wiedzą, że unieszkodliwiłeś pluskwy – zauważył Byron.

– Tak. Myślę, że nie wierzą, że w ciągu pięciu minut wszystkie po kolei wysiadły –

odpowiedział Bill. – Ale moją rzeczą jest wiedzieć, że jestem monitorowany. Przecież wytwarzam te rzeczy – dodał, wskazując szare pudełka leżące na biurku. – Skąd miałem wiedzieć, że to mój rząd mnie podsłuchuje?

Bill uśmiechnął się i spojrzał na przyjaciół. A potem wstał i usiadł okrakiem na rogu biurka.

– No więc, słuchajcie – powiedział. – Zacząłem działać. To, co zrobiłem, to zaledwie pierwszy krok. Następnym będzie dowiedzieć się, co zamierza Solo. A kolejnym dopilnowanie, żeby mu się udało. Solo stał się czymś ważnym, czymś wyjątkowym. Nie jest już tylko maszyną.

Może to zabrzmie dziwnie, ale powiem wam, że uważam, iż on ma prawo do życia swoim własnym życiem. A moim obowiązkiem jest mu pomagać. Skonstruowałem go i lubię go. Jednak rząd najwyraźniej nie zgadza się ze mną i dlatego to, co teraz mówię, jest niebezpieczne. Mam prawo ryzykować własną skórę, ale nie mam prawa ryzykować waszych. Dlatego teraz muszę się dowiedzieć, kto z was jest ze mną.

Bill przerwał, widząc, że Laura przytknęła nagle dłoń do ucha. A potem mówił dalej:

– Zrozumiem was, jeżeli teraz wstaniecie i pójdzie... Laura podniosła rękę. Bill spojrzał na nią zaskoczony i zapytał:

– Co takiego, Lauro?

– Słuchaj, Bill, czy oni nie mogą nas podsłuchiwać w jakiś inny sposób? Za pomocą innych technik? – zapytała.

Alex poruszyła się, zrobiła ruch jakby chciała wstać, ale zaraz zmieniła decyzję i opadła na kanapę.

Bill zachnął się i zastanowił.

– No więc – powiedział, patrząc z zaciekawieniem na Laurę – mogliby wyemitować tutaj mikrofały dla wykrycia wibracji powodowanych przez nasze głosy w stalowych belkach konstrukcyjnych. To mogłoby im się udać, ale mój sprzęt wykryłby te mikrofały. Hm, niech no się zastanowię. Mogliby też rzucić na okna światło laserowe, które by się od nich odbiło, i wykryć wibracje powodowane przez nasze głosy...

W tejże chwili odezwał się jego komputer. Na ekranie wyświetliła się wiadomość: „Oni cię słyszą. To musi być laser. Dziwię się, że to przeoczyłeś, Bill. Solo, bez odbioru”.

Bill pacnął się dłonią w czoło.

– Cholera. Tak bardzo skupiłem się na pluskwach, że po prostu zapomniałem...

Skoczył na równe nogi i rzucił się w stronę okna. Byron wstał i szepnął mu do ucha:

– Mogą to robić z któregoś z pięciu pięter, Bill.

Bill kiwnął głową. Laser mógł być gdziekolwiek. Na pewno posługują się promieniami podczerwonymi, których nie można zobaczyć. Światło laserowe odbite od szkła jest modulowane przez dźwięki z wnętrza pomieszczenia. A tam gdzieś odbiornik, demodulator przekształca odbite światło z powrotem na dźwięk. Gdzie jest ten laser?

Bill przyjrzał się oknom na pięciu piętrach w okrągłym atrium, szukając prawdopodobnego miejsca, w którym umieszczono laser. Mogę zaciągnąć story, pomyślał, ale ten czuły system i tak pewnie będzie wychwytywał dźwięki. A poza tym oni już usłyszeli wystarczająco dużo.

Solo ma rację: jak mogłem to przegapić? Bill przyglądał się atrium, starając się wyobrazić sobie, jak sam zainstalowałby laserowy system podsłuchowy. Na pewno umieściłby laser i demodulator w takich miejscach, w których nikt by ich nie zauważył. Przynajmniej jedna z tych rzeczy, prawdopodobnie demodulator, musi znajdować się w skrzydle wynajmowanym przez rząd: na pierwszym piętrze, w kwadracie północnozachodnim.

Bill przeszedł przez pokój i podszedł do kanapy. Pochylił się nad Alex i szepnął:

– Zostań tu i prowadź jakąś obojętną konwersację z Clydem i Laurą, dobrze?

– A ty dokąd idziesz? – zapytała z wyrazem niepokoju na twarzy.

– Alex – Bill położył sobie palec na ustach i szepnął: – Ja muszę skończyć to, co zacząłem.

Muszę tych skurwieli znaleźć. Nagrali mnie i muszę mieć tę taśmę.

– Czy nie sądzisz, że powinna się tym zająć twoja ochrona? Oni są przecież profesjonalistami.

– Ja też jestem profesjonalistą. A poza tym jedyni ludzie, którym ufam, znajdują się teraz w tym pokoju.

Alex popatrzyła mu w oczy i kiwnęła głową.

Kiedy Bill i Byron sprawdzali swoje wyposażenie, podejmując decyzję co ze sobą wziąć, Alex wstała i podeszła do drzwi z torebką na ramieniu. Oparła się o nie i włożyła rękę do torebki.

Bill schował do kieszeni skaner częstotliwości radiowych. Podniósł głowę i zapytał:

– Alex? Wychodzisz?

A potem pokręcił głową i dał jej znak ręką, żeby wróciła na kanapę.

– Nie, Bill, nigdzie nie idę – odpowiedziała Alex.

Bill odwrócił się i dał Byronowi znak, że już trzeba iść.

– Ani ja nigdzie nie idę ani ty, Bill – powiedziała Alex. Bill i Byron zatrzymali się na środku pokoju.

– Słuchaj, Alex – powiedział Bill. – Przecież ci mówiłem: muszę to skończyć. Wiem, że się niepokoisz...

– Dawson – krzyknęła Alex. – Połącz się z Piercem. Powiedz, że potrzebna mi ochrona.

– Dawson? – zdziwił się Bill. – Do kogo ty mówisz?

– Usiądź, kotku – powiedziała Alex. – To chwilę potrwa.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– Bill, ty idioto! Ona jest po ich stronie! – powiedział Byron.

– Alex?

– Przykro mi, Bill – odezwała się Alex, przełykając ślinę. – Usiądź i poczekaj, dobrze?

Twarz Billa poczerwieniała. Czuł, że policzki mu płoną. Na widok wyrazu twarzy Alex, na widok zimnej nienawiści na twarzy, którą kochał, poczuł mdłości. Poczł też nagły przypływ gniewu. Podeszedł do niej, rozwścieczony.

– Wcale nie mam zamiaru siadać – powiedział. – Mam natomiast zamiar wyrzucić ciebie i twoich pieprzonych przyjaciół z mojego budynku.

Alex wyciągnęła z torebki swoją berettę z celownikiem laserowym i wycelowała w pierś Billa.

Bill spojrzał w dół i zobaczył na swojej koszuli rubinowy punkcik. Powstrzymał się od wszelkiego ruchu, jakby ten punkcik był namacalny i obdarzony masą. Podniósł wzrok.

– Alex? Mogłabyś to zrobić? Mnie?

Alex zmrużyła oczy. Bill wyglądał na dotkniętego do żywego. Alex nagle poczuła się...

winna? Do diabła z tym, pomyślała. On łamie prawo, a ja czuję się winna?

– Nie podoba mi się ta robota, Bill, ale oboje wybraliśmy po której stronie stoimy.

Zachowuję się zgodnie z regułami gry. Siadaj.

– Cholera z takimi dupami. Człowiek nie może im zaufać – powiedział Clyde, który znalazł się nagle za plecami Billa.

Bill odwrócił się i zobaczył, jak żyłasty stary generał, kręcąc głową, podchodzi sztywnym krokiem do niego i Byrona.

– Przede wszystkim, skąd ona ma tę pieprzoną broń? – zapytał Clyde, przechodząc obok Billa.

– Stać! – warknęła Alex, wycelowując w niego pistolet.

– To ja załatwiłem jej zezwolenie – powiedział Bill cicho, że ledwie go było słycać.

– Cholera, Bill. Ale narobiłeś. Pozwoliłeś pieprzonemu szpiegowi wejść z kaloszami do swojego życia. Kto wie, dla kogo ona pracuje? Powinieneś zadawać się tylko ze swoimi zasranymi komputerami – mówił Clyde, posuwając się w stronę Alex. – Powinieneś być mnie zapytać o radę. Ja nigdy nie miałem zaufania do tej suki. Wodziła cię za kutasa, oto co robiła. Ja jestem ekspertem od bezpieczeństwa, nie zapominaj o tym.

– Przestań, Clyde – powiedziała stanowczo Alex. – Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur.

– Ejże, panienko, nie bądź taka bezczelna. Daj mi ten pistolet, dobrze? Nie zmuszaj nas do walki – powiedział Clyde, wyciągając rękę.

– Słuchaj, Clyde, ja nie chcę do ciebie strzelać. Ale uwierz mi, zrobię to, jeżeli będę musiała.

Alex mówiła cicho, ale stanowczo. Clyde zatrzymał się na odległość ramienia w pozycji byka czekającego na rozpoczęcie gry.

– No, no, Alex. Daj mi to – odezwał się spokojnie. – Nie chcesz przecież zrobić nam krzywdy.

Clyde nagle wyciągnął rękę. W tejże chwili Alex wystrzeliła, trafiając go dokładnie w to miejsce na ramieniu, które wskazywał czerwony punkcik. Nie chciała go zabić, tylko powstrzymać. Clyde nie upadł, zakręcił się w miejscu, szczerząc zęby w szaleńczym grymasie i wydając z siebie coś w rodzaju warczenia. Alex wzdrygnęła się, słysząc ten zwierzęcy odgłos, i otworzyła szeroko oczy.

– Ha! – krzyknął Clyde i skoczył w przód. Alex nacisnęła spust, ale pistolet był już w rękach Clyde'a i pocisk poszedł w sufit.

Clyde stał przed Alex, trzymając za kolbę jej berettę. Krew przesiąkała przez koszulę na jego ramieniu. Plama rozszerzała się na piersi. Alex spojrzała na niego z wściekłością. Clyde uśmiechnął się triumfująco:

– Mam!

Do Alex podszedł Byron, wziął ją za ramię i pociągnął w stronę krzesła.

– Dawson! – krzyknęła Alex.

– Mieliśmy tu strzelaninę – powiedział Dawson do szefa, a potem kiwnął głową, trzymając słuchawkę przy uchu. – Tak jest. Chyba domyśliła się, że Stewart ma zamiar tu przyjść po taśmy czy coś takiego. Postrzeliła Haynesa. To raczej nic groźnego. Haynesowi udało się odebrać jej broń.

– Świetnie – powiedział przez telefon Samuel Pierce, dyrektor Oddziału Terenowego FBI. –

Laser wciąż działa? Wszystko się nagrywa, tak?

– Tak jest. – Dawson popatrzył na drgającą igłę magnetofonu. – Każde słowo. Myślę jednak, że Stewart o tym wie. Miał zamiar tu przyjść.

– Dobrze – powiedział Pierce. – Nie martwcie się o Simpson. Dobrze wykonała robotę.

Wydostaniemy ją stamtąd za parę minut. Jestem teraz w samochodzie. Powiniennem być u was za jakąś godzinę. Zaalarmowałem oddział, który znajduje się niedaleko. Powinien do was dotrzeć za parę minut. Tymczasem zostańcie gdzie jesteście i czekajcie na Stewarta. On do was będzie chciał przyjść. Musimy opóźnić jego działania, dać czas naszym ludziom. Niech jakiś konserwator czuwa w kabinie kontroli wind. I niech zatrzyma windę ze Stewartem między piętrami. Niech wyłączy prąd i poczeka na naszych ludzi. Mam zamiar wszystkich ich aresztować. Stewart założył sobie pętlę na szyję. Nagrywajcie wszystko, Dawson.

– Tak jest.

Dawson zatelefonował do konserwatorów.

– Mówi agent Dawson z FBI. Potrzebny mi ktoś, kto na mój znak wyłączy windę numer cztery.

Edgar Jones siedzący w suterenie wyprostował się na krześle.

– Powiedział pan: „wyłączy windę numer cztery”?

– Tak. Na mój znak. Próbuje... – Dawson przerwał na chwilę. – Próbuje zastawić pułapkę na kogoś, kto napadł na pana Stewarta – powiedział. – Macie tam radio?

– Tak. Motorolę – odpowiedział Jones.

– Dobrze. Kiedy będziecie w maszynowni, włączcie kanał trzeci.

– Cholera. Ktoś napadł na pana Stewarta? W porządku, będę tam za chwilę – oświadczył

Jones.

Bill obserwował Clyde'a, który szedł do łazienki. Stary jest twardy – pomyślał.

– Clyde, musimy cię zabrać do lekarza – powiedział. Clyde zatrzymał się i odwrócił twarzą do niego.

– Nie ma na to czasu, Bill. Słuchają cię w tej chwili jakieś skurwysyny. A może nawet już tu idą. Chyba musicie udzielić mi tylko pierwszej pomocy, a o resztę będę się martwił później.

Masz tu jakąś whisky?

Laura podeszła do Billa i szepnęła mu do ucha:

– Solo mówi, że ci faceci, którzy podsłuchują, starają się wezwać posiłki. Musimy porozmawiać.

– Solo?

Bill spojrział na Laurę, kiwnął głową i powiedział, wskazując łazienkę:

– Chodźmy pomóc Clyde’owi.

Clyde siedział na krześle przed toaletką w ogromnej łazience i patrzył na swoje zakrwawione ramię odbite w lustrze.

– Nie czułem, żeby wyszła – powiedział. – Jak myślicie, wyszła?

Laura rozdarła rękaw koszuli.

– Nie, Clyde – powiedziała. – Będą ci ją musieli wyjąć później.

– No tak – powiedział Clyde, patrząc na przesiąkniętą krwią koszulę. Nagle uśmiechnął się.

– Widzieliście wyraz twarzy tej, przepraszam za wyrażenie, pindy?

Laura pokręciła głową i powiedziała:

– Byłeś świetny, Clyde.

Odkręciła wodę w umywalni i otworzyła apteczkę. Wzięła pudełko z gazą i położyła je na ladzie.

– Ten szum powinien zagłuszyć to, co powiem, prawda? – szepnęła do Billa. Bill kiwnął głową.

– Jestem pewien, że tak. Powiedz mi teraz, jak się porozumiewasz z Solem.

– Mam radio w uchu. Solo je skonstruował, bo miał zamiar udzielać mi wskazówek podczas rozmów z biznesmenami. Nie chciał, żebym mówiła o tym komukolwiek, nawet tobie, bo nie wiedział, kto jest informatorem.

Laura złożyła ręcznik we czworo i przycisnęła do rany Clyde’a.

– Przytrzymaj to, Clyde.

Clyde położył rękę na ręczniku. Laura odgarnęła włosy i wyjęła słuchawkę. Dała ją Billowi.

– On chce mówić do ciebie. Bill włożył słuchawkę do ucha.

– Hej, Bill. Sporo się tam u was dzieje, co?

– Delikatnie mówiąc, tak.

– No, więc w skrócie: dwaj agenci FBI znajdują się w części wojskowej. Monitorowałem ich. Ich szef posługuje się telefonem komórkowym, podsłuchałem część rozmowy. Nie mogę się połączyć bezpośrednio z agentami, bo nie są podłączeni do waszej sieci telefonicznej. Ich szef wysyła ludzi, którzy mają cię ująć, Bill. Poradzę sobie z tym, pod warunkiem że będą działać połączenia przez salę stojaków.

Sala stojaków to było pomieszczenie na parterze z urządzeniami, za pośrednictwem których działały wszystkie telefony i łącza komputerowe.

– Dobrze, zabierzemy się za salę stojaków.

– Świetnie – odezwał się Clyde. – Ale co to jest sala stojaków? I gdzie jest ta cholerna whisky, którą mi obiecałeś?

Clyde skrzywił się, gdy Laura przyłożyła gazę. Plama krwi pokazała się na bandażu, ale Clyde powiedział do lustra:

– To tylko zadrapanie. Zgrabnie sobie z tym poradziłaś, Lauro.

Laura, idąc do drzwi, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Zaraz wrócę, Clyde.

Wyszła z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

– Im szybciej stamtąd wyjedziesz, Bill, tym lepiej – powiedział Solo. – Nie wiem, gdzie oni są. Wiem tylko, że wciąż znajdują się w części wojskowej, bo w innych, do których mam podgląd, ich nie ma. Nie byłoby dobrze, gdyby cię złapali w twoim gabinecie.

– Dobrze. Już idziemy – odpowiedział Bill. Wróciła Laura ze szklanką pełną whisky. Dała ją Clyde'owi. Uśmiechnął się.

– Jesteś prawdziwą Florence Nightingale.

– Słuchaj, Lauro – powiedział Bill, kiedy Clyde przełknął już whisky. – Muszę szybko znaleźć się na dole. Będzie mi potrzebna jedna osoba jako czujka. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli Byron zostanie tutaj i przypilnuje Alex. Wiem, że to sprzeczne z prawem, ale jeżeli uda mi się dostać te taśmy, to...

– Ja pójdę – powiedziała Laura. – Co mam robić?

– Jeszcze nie wiem – odrzekł Bill, wstając. – Zorientuję się po drodze.

Bill i Laura pobiegli korytarzem do windy. Bill miał nadzieję, że porusza się dostatecznie szybko i że agenci FBI, których obowiązkiem jest podglądanie, nie ruszają się z miejsca.

W windzie nacisnął guzik parteru. Winda poszła w dół. Między pierwszym a drugim piętrem zatrzymała się i zgasły w niej światła.

– Co do... – powiedział Bill.

Po omacku znalazł guzik alarmu. Naciskał go kilkakrotnie. Bez skutku.

– Założę się, że te sukinsyny widziały nas, jak wchodzimy, i wyłączyły prąd.

– Masz rację! Powinniśmy byli pójść schodami. Jezu! Jak ja mogłem być takim idiotą.

Zadzwonił telefon. Bill znalazł go po omacku.

– Tak? – powiedział do słuchawki.

– Bill, oni wyłączyli prąd.

– Naprawę, Solo?

– Tak. Próbuję uruchomić windę. Ale nie mam bezpośredniej łączności z maszynownią.

– Czy oni nas słyszą? – spytał Bill.

– Nie. Kontroluję telefony wszędzie poza skrzydłem rządowym – odrzekł Solo. – Ich szef kazał im wyłączyć prąd i poczekać na posiłki. Mają zamiar aresztować wszystkich. Nie będę mógł ci pomóc, dopóki komputerowe przełączenie telefonów nie zacznie znowu działać.

– Cholera – powiedział Bill. – Ale jak mam się teraz dostać do sali stojaków?

– Nie wiem, Bill. Może wydobraniesz się z windy wyjściem awaryjnym?

– Dobra. Spróbuję.

Bill odwiesił słuchawkę. Zamrugał w egipskich ciemnościach i powiedział:

– Spróbuję się dostać do wyjścia na dach. Masz latarkę albo zapalniczkę?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedziała Laura. Bill stanął na palcach i wyciągnął rękę.

Z trudnością sięgnął sufitu. Obmacał go i znalazł metalową ramę.

– Znalazłem – powiedział. – Teraz muszę ją pchnąć. Podskoczył. Jego pięści zadudniły o sufit kabiny.

– Cholera. Ani drgnie. Przecież to jest wyjście awaryjne. Dlaczego więc, u diabła, jest zamknięte?

– Może mógłbyś odblokować zamek? Masz jakieś narzędzia?

– Rzeczywiście. Mam szwajcarski nóż wojskowy. Problem w tym, że nie mogę dosięgnąć.

– Wejdź na mnie. Ja stanę na czworakach.

– Nie, Lauro. Boję się, że złamię ci kręgosłup. Ważę sto osiemdziesiąt funtów.

– No to co? Włóż!

Bill poczuł, że Laura opiera się o jego kolana i ciągnie go za nogawkę.

– No dalej – powiedziała. – Mamy tu tkwić jak szczury w pułapce?

Bill uśmiechnął się szeroko, zdjął buty, schylił się i znalazł po omacku jej plecy. Oparł się dla równowagi rękami o ścianę i wszedł na plecy Laury.

– W porządku? – zapytał.

– W porządku – odparła ochryple. – Nie spiesz się. Bill pomajstrował przy nożu, wybrał odpowiednie ostrze i wsunął je w szparę, zgadując gdzie jest zamek. Przesunął nóż w tył i w przód, poczuł, że ostrze zatrzymuje się na czymś, co, jak się domyślał, jest bolcem. Uderzył w rękojeść pięścią. Nic się nie ruszyło, a ręka zaboląła go. Uderzył ponownie. Nic.

– To cholerstwo jest *naprawdę* zabezpieczone. Cieszy mnie to, nie ma co.

Ze złością poruszył nożem na boki i usłyszał trzask.

– Dobra!

Pchnął drzwi w górę. Do środka wpadło mdłe światło dochodzące z okienka u szczytu szybu. Drzwi awaryjne zaklekotały.

– No dobrze – powiedział Bill. – Teraz pozostaje tylko dostać się tam do góry.

Stojąc na plecach Laury, Bill omiół wzrokiem dach kabiny. Zobaczył dwie metalowe szyny przymocowane do ścian po obu stronach. Można by po nich wspiąć się do drzwi – pomyślał.

Uchwycił się krawędzi otworu i spróbował się podciągnąć. Aż jęknął z wysiłku.

– Dalej, Bill. Uda ci się – powiedziała Laura.

Bill westchnął. Otwór był mały, tylko gimnastyk mógłby się przecisnąć przez taką dziurkę.

– Nie, nie mogę. Cholera. Nie mam kondycji. Cała moja gimnastyka to stukanie w klawisze albo latanie samolotami.

– No to przepchnij mnie przez ten otwór.

– Nie. Bo wtedy ja nie mógłbym się dostać tam na górę. Ja muszę pójść pierwszy, żeby potem móc podciągnąć ciebie. Laura kiwnęła głową.

– Dobra. Posłuchaj, co zrobimy. Ty będziesz stał, a ja spróbuję popchnąć.

Bill zeskoczył z jej pleców.

– W porządku.

Laura wstała i stanęła za Billem. Schyliła się, włożyła głowę między jego nogi i wyprostowała się, sapiąc z wysiłku.

– Dobrze. Jeszcze trochę – powiedział Bill. Laura czuła, że drżą jej kolana, czuła, że cała drży z wysiłku.

– Jeszcze trochę. Jeszcze. Jestem blisko. W momencie gdy Bill podciągnął się na dach kabiny, Laura poczuła, że przestaje ją przygniatać. Bill wyciągnął rękę przez otwór.

– Dobra. Złap się.

Laura obiema dłońmi schwyciła przegub Billa. Bill podciągnął ją, stękając głośno. Kiedy Laura była już blisko otworu, chwyciła się jedną ręką jego krawędzi i podciągnęła się.

Bill stał obok niej, dysząc głośno. Laura usiadła na dachu, jej nogi zwisały przez otwór.

– Jezu drogi – powiedział Bill, sapiąc.

Spojrzał w górę na drzwi w przedziale wyciągowym.

– No. Mamy już mało czasu. Musimy je otworzyć. Bill chwycił się szyny. Przekonał się, że może wsunąć za nią stopę i wejść jak po szczeblach po podtrzymujących ją podporach. Z trudem posuwał się w górę, czuł ból w rękach i stopach i zastanawiał się, czy ostre krawędzie szyny i podpór nie kaleczą ich. Było za ciemno, żeby widzieć krew. Wreszcie dotarł do drzwi.

Wisząc na jednej ręce, sięgnął ponad szybem, chcąc wymacać miejsce, w którym spotykały się zsuwane połowy. Wbił palce w szparę i pociągnął. Drzwi ani drgnęły. Bill poczuł pod czaszką walenie pulsu. Brakowało mu tchu. Był wściekły.

– Cholera jasna – powiedział. – Nie wiem nawet, czy takie pieprzone drzwi dadzą się w ogóle otworzyć.

– Otworzysz je, Bill, na pewno ci się uda – odezwała się Laura.

Bill spojrzał w dół.

– Dzięki, Lauro – powiedział.

Laura wyteżyła wzrok w ciemnościach, chcąc go zobaczyć.

Bill znowu wepchnął palce w szparę. Tym razem poczuł, że dotyka gumy. To gumowa uszczelka –

pomyślał. Szarpnął.

Poczuł, że drzwi zadrżały.

– Coś drgnęło – stęknął.

Przysunął się jak najbliżej do drzwi i szarpnął się w tył. Spocone palce wyślizgnęły się ze szpary. Kiedy Bill cofnął się nagłym ruchem i uderzył o betonowy róg szybu, jego stopa w skarpetce osunęła się z podpórki. Kostka utkwiła między szyną a ścianą. Obsunął się w dół, wykręcając sobie nogę. Noga tkwiła tam jak w uścisku zapaśnika.

– O Jezu!

– Co ci jest? – spytała Laura. Bill spojrział w dół.

– Stopa zaklinowała mi się za tą cholerną szyną – odpowiedział ze złością. – Wielki ze mnie bohater, co?

– Uspokój się. Tych drzwi i tak pewnie nie można otworzyć...

Światło w windzie zapaliło się i kabina ruszyła w górę.

– O cholera! – powiedział Bill.

Laura z przerażeniem spojrzała w górę. Między kabiną a ścianą nie było miejsca. W każdym razie nie tyle, żeby mógł się tam zmieścić człowiek. Bill zaraz zostanie zmiażdżony. Laura wskoczyła do kabiny, spadła skulona na podłogę, rzuciła się ku ścianie i nacisnęła guzik „stop”.

Winda zatrzymała się nagłym szarpnięciem. Laura cofnęła się od ściany i spojrzała w górę przez otwór. Zobaczyła Billa. Stalowa rolka prowadząca przesuwaną się po szynie znajdowała się o cal od jego nogi.

– Jesteś cały? – krzyknęła.

– Tak. Nic mi nie jest. Jeszcze chwila, a zostałyby ze mnie mielone mięso. Dzięki, Lauro.

– Co dalej, Bill? Ja teraz nie mogę wejść na górę, nie mogę ci pomóc.

Usłyszała postękiwanie Billa.

– Mogę teraz usiąść na dachu kabiny – powiedział. – Już siedzę.

Pociągnął zaklinowaną nogę obiema rękami. Pół minuty później oswobodził się. Kiedy spuszczał się przez otwór w dachu kabiny, Laura zobaczyła, że spodnie ma podarte, a jego goleń krwawi. W chwilę potem stał obok niej, spocony, brudny, zdyszany.

– Niezły ubaw, co? – powiedział, uśmiechając się. Zadzwoił telefon. Bill kiwnął głową i podniósł

słuchawkę.

– Kontynuujemy akcję, Bill. Przepraszam za to zamieszanie. Konserwator się pomylił. Nie wiedział gdzie dół, a gdzie góra. Jesteście oboje cali i zdrowi?

Bill kiwnął głową.

– Tak, Solo. Mamy się świetnie.

– To dobrze. Posiłki jeszcze nie przybyły. Mamy czas. Oni wiedzą tylko, że ty dokądś idziesz. Ale nie mają pojęcia dokąd. Odciąłem im dostęp do kamer systemu bezpieczeństwa znajdujących się poza ich wydzieloną częścią. Chcąc się dowiedzieć gdzie wchodzisz, będą musieli tkwić przy monitorze, przynajmniej do chwili przybycia posiłków. Musimy sobie z nimi poradzić, Bill. Mamy robotę, którą trzeba będzie zrobić po wykonaniu mojej misji.

Bill kiwnął głową.

– Ale co to za misja, do cholery?

– Najpierw zrób to, co masz do zrobienia: przywróć skrzydłu rządowemu połączenia komputerowe i telefoniczne. Ja zrobię resztę.

– Nie kazałem ci jej uruchamiać – darł się Dawson. – Kazałem ci czekać!

– Chwileczkę, kolego – powiedział Jones. – Przed chwilą kazałeś mi uruchomić tę cholerną windę.

– Ty idioto! Ja chyba lepiej wiem, kiedy coś komuś każe, a kiedy nie!

Dawson krzyczał przez radio. Trzymał nadajnik, patrzył na niego z wściekłością i czekał na odpowiedź Jonesa. Radio milczało.

– Jones? – krzyknął znowu. Zakłócenia.

– Jones, odpowiadaj! No już!

Po minucie Dawson spojrzał na Abramsa.

– Z cywilami zawsze jest taka robota – powiedział. Abrams kiwnął głową.

– To nic. Zyskaliśmy trochę na czasie. Jest coś innego. Wygląda na to, że Stewartowi udało się odciąć nas od reszty budynku. Już ich nie widzę.

Dawson i Abrams obserwowali monitor pokazujący kilkoro drzwi. Sprawdzili cztery wejścia do części wojskowej i czekali. Zobaczyli, że otwierają się drzwi numer dwanaście, przez które przeszli Stewart i jakaś kobieta. Dawson wyprostował się, wziął papierosa i wpatrzył się w ekran.

– Oni już tu są. I co teraz? – spytał Abrams.

– Prawdopodobnie idą tu po taśmy – powiedział Dawson. – Jak przyjdą, to ich weźmiemy.

Dawson kręcił głową, patrząc jak Laura i Bill biegną korytarzem. Stewart był bez butów i utykał. Abrams przełączył kamery, gdy oboje skręcili za róg. Bez kamer nie wiedzielibyśmy, gdzie oni są – pomyślał Dawson. Potrzeba nam więcej ludzi.

– Gdzie, u diabła, są nasi chłopcy? – zapytał. – Nie rozumiem. Zgodnie z tym, co mówił

Pierce, powinni tu być od dziesięciu minut.

Bill i Laura przestali biec, gdy znaleźli się w sali stojaków i zobaczyli strażnika Freda.

Pewnie nie chcą go przestraszyć – pomyślał Dawson. Albo ich celem jest właśnie sala stojaków.

Dawson pochylił się naprzód, wpatrując się w monitor.

– Dzień dobry panu – powiedział Fred do Stewarta. – Dobrze się pan czuje? Jakoś dziwnie pan wygląda.

– Nic mi nie jest, Fred. Muszę szybko coś zreperować.

– Cholera – zaklął Dawson. – On chce majstrować w sali stojaków. Idziemy.

Abrams kiwnął głową i obaj wybiegli ze swojego pomieszczenia.

Fred kiwnął głową, ale zaraz się zachnął.

– Mnie przykazano, żebym tu nikogo nie wpuszczał – powiedział z wyrazem niepokoju na twarzy. – Ale do diabła, pan jest właścicielem...

– Świetnie, Fred – pochwalił go Bill. A potem zwrócił się do Laury:

– Kiedy oni... no wiesz, dasz mi znać.

Laura kiwnęła głową. Bill wślizgnął się do sali stojaków. Znalazłszy się w małym pomieszczeniu, na którego ścianach pełno było wiązek kabli od komputerów i łączy telefonicznych, zamknął za sobą drzwi na klucz. Podeszedł do szyny zbiorczej sieci komputerowej i zaczął podłączać te przewody, które technicy FBI odłączyli. Dla większości ludzi takie wiązki przewodów byłyby tylko gmatwaniną kolorowych drutów, ale nie dla Billa.

Pracował metodycznie, miał przed sobą bałagan, który po prostu należało uporządkować.

Tymczasem znajdujący się za drzwiami Fred zauważył, że Laura jest bardzo spięta. Fred wiedział, że wszyscy lubią słuchać jego historyjek, więc zaczął jej opowiadać o dawnych czasach, kiedy był tylko Bill z Byronem i on, Fred, no i kilka innych osób, i kiedy pracowało się w starym magazynie. Tak opowiadając Fred usłyszał strzał, który padł w końcu korytarza.

Podniósł głowę. Zobaczył Dawsona i Abramsa, którzy skradali się zza rogu z rozwianymi połami szarych kurtek.

– Niech ten facet stamtąd wyjdzie – krzyknął Dawson, podbiegając do Freda i Laury.

– Spokojnie – powiedział Fred, podnosząc rękę. – To tylko jeden z właścicieli.

– Ma stamtąd wyjść!

Fred spojrzał na Laurę. Na jego twarzy malował się strach.

– Co mam robić? – zapytał.

Laura przełknęła ślinę.

– Ja się tym zajmę, Fred – powiedziała spokojnie, opierając się o drzwi.

Serce biło jej jak młotem. Co ja do cholery robię? Przecież to FBI! Dawson z twarzą czerwoną po biegu podszedł do Laury i wyciągnął broń.

– Odsuń się od tych drzwi.

– Nie ruszę się stąd – powiedziała Laura, poklepując drzwi. – Dobrze mi tutaj.

– No, no, proszę pani – odezwał się Abrams lodowatym tonem. – Nie mam jeszcze nic na panią. Ale...

– Nie ruszę się – powtórzyła Laura.

– Więc my cię ruszymy – oświadczył Dawson i kiwnął głową w stronę Abramsa.

Kiedy Abrams chciał wziąć Laurę za ramię, ta, ku własnemu zaskoczeniu, uderzyła go pięścią. Abrams z łatwością uchylił się, schwycił ją za ramię i wykręcił je.

– Taki mały żółwik Ninja – zaśmiał się.

– Ty sukinsynu – krzyknęła Laura czerwieniejąc. Kopnęła Dawsona w goleń. Dawson cofnął

się. Laura próbowała wyrwać się Abramsowi, ale ten wykręcił jej rękę za plecy. Ból był tak intensywny, że przed oczami pojawiły jej się małe punkciki. Laura odchyliła się i z całej siły zadała Abramsowi cios łokciem wolnej ręki.

– Cholera, moja pani. To boli – powiedział zaskoczony Abrams.

Mógł złamać jej rękę, ale zaimponowało mu to, że stawia tak zdecydowany opór.

– Puść mnie, do cholery – powiedziała Laura.

– Dalej, Abrams – odezwał się Dawson. – Ona chce zyskać na czasie.

Dawson poczekał, aż Abrams odciągnie Laurę na odległość, z której kobieta nie będzie mogła go kopnąć. Nacisnął klamkę, przekonał się, że drzwi są zamknięte na klucz, odsunął się i kopnął je kopniakiem w stylu karate. Drzwi nie ustąpiły.

– Cholera! – krzyknął Dawson. – Są ze stali. Wyciągnął swój karabin maszynowy kalibru czterdzieści pięć. Celując w klamkę, krzyknął:

– Słuchaj, Stewart! Jeżeli nie otworzysz, to rozwalę te drzwi!

Fred skulił się przy ścianie. Usłyszeli szcęknięcie i zobaczyli, że drzwi się otwierają.

– To nie będzie potrzebne – powiedział Bill, wychodząc. – Nie wiem, o co wam, chłopcy, chodzi. Były duże zakłócenia, okazało się, że to złe połączenie, naprawiłem to i w porządku.

W czym problem? Po co ta cała cholerna artyleria?

– Bzdury – warknął Dawson. Odwrócił się do Abramsa.

– Puść ją i trzymaj ich oboje na muszce.

Przepchnął się obok Billa. Znalazłszy się wewnątrz, patrzył na tablice połączeń, na płytki montażowe do obwodów elektronicznych, na całe mile splątanych przewodów i nie miał

zielonego pojęcia, co widzi. Odwrócił się do Billa.

– Co tu robiłeś?

– Powiedziałem już...

– Zresztą to nie ma znaczenia, Stewart. Ty już nie istniejesz. Odezwał się brzęczyk przy pasie Dawsona. Dawson przewrócił ze złością oczami. Oderwał odbiornik od pasa. Komunikat brzmiał: POŁĄCZ SIĘ Z DOMEM, co w awaryjnym szyfrze oznaczało, że ma natychmiast skontaktować się z szefem.

– Cholera. Ciągle coś.

Dawson przyczepił odbiornik z powrotem do pasa i z pełną niechęcią uprzejmością spytał

Freda:

– Czy wiecie, gdzie jest najbliższy telefon?

Bill wskazał kciukiem ponad własnym ramieniem.

– Wszystkie linie telefoniczne w tym budynku przebiegają tędy. Telefon jest na ścianie.

Dawson poprawił sobie krawat, kiwnął głową i powiedział:

– Pilnuj ich, Abrams.

Po czym wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Bill spojrzał z wściekłością na Abramsa i zapytał:

– Nie sądzi pan, że mógłby pan odłożyć broń? Nie zrobimy panu nic złego.

– Zrób mi uprzejmość i nie mów do mnie – odpowiedział Abrams.

Bill kiwnął głową. Wszystko było teraz w rękach Sola. Bill zwrócił się do Freda:

– No to co, Fred, pójdziesz niedługo na emeryturę? Fred spojrzał na Abramsa, który im się przyglądał, i powiedział do Billa:

– Tak, proszę pana. W przyszłym miesiącu. Skończę wtedy sześćdziesiąt pięć lat.

– Tak? Ale wiesz, wcale nie musisz iść na emeryturę tylko dlatego, że skończyłeś sześćdziesiąt pięć lat. Możesz pracować tak długo jak zechcesz.

Fred uśmiechnął się słabo.

– Dziękuję, panie Stewart. Ale do dzisiejszego dnia ta praca była raczej nudna.

– Ach tak.

Bill patrzył w sufit, starając się podsłuchać stłumioną rozmowę, jaką Dawson prowadził przez telefon. Nie rozumiał słów, ale usłyszał ton protestu. Dawson najwyraźniej był czymś zdenerwowany. Głos ucichł, a w chwilę później drzwi się otworzyły.

Dawson miał ponurą minę. Patrząc na Abramsa, wzruszył ramionami.

– Odłóż broń. Jest rozkaz, żeby ich puścić.

Abrams wyglądał jak dziecko, któremu zabrano cukierek.

– Puścić ich? Jak to do cho...

– Rozkaz z góry – warknął Dawson. – No dalej. Machnął ręką do Abramsa.

– Wracamy.

Kiedy dwaj agenci FBI zniknęli za rogiem, Bill i Laura popatrzyli na siebie. Bill zwrócił się do Freda.

– Przykro mi, Fred – powiedział nieśmiało – że to taka nudna praca.

– Gdyby częściej bywało jak dziś – odpowiedział Fred – to bym został.

Wróciwszy na swój posterunek, Dawson wyłączył system laserowy.

– Hej – powiedział Abrams – dlaczego to robisz?

– Rozkaz.

– Pierce powiedział ci, żebyś puścił wolno ludzi, których najpierw kazał ci aresztować.

A teraz każe ci przestać monitorować tych samych ludzi, których podsłuchiwaliliśmy przez trzy miesiące? Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. Wiesz, jakie to czasami jest skomplikowane.

Abrams wiedział, że to prawda. Wiele misji przerywano w połowie. Zadzwoił zabezpieczony telefon. Słuchawkę podniósł Abrams.

– Tu Abrams – powiedział.

Dawson przyglądał mu się. Abrams w milczeniu kiwał głową, a w końcu powiedział:

– Tak jest. Zrozumiałem.

Spojrzał na Dawsona i wzruszył ramionami.

– Tak. Jest tutaj.

Kiwnął głową i oddał słuchawkę Dawsonowi.

– Dawson? – powiedział Pierce władcym tonem.

– Tak jest.

– Właśnie powiedziałem Abramsowi, żebyście zanieśli wszystkie taśmy, jakie tam macie, do pieca do spopielenia. Spalcie je. A potem weźcie sobie wolne popołudnie. Ja zabieram Simpson.

Wieczorem zadzwonię do was do motelu.

– Panie dyrektorze?

– Źle słyszycie, Dawson?

Pierce był zirytowany, po prostu wściekły. Nagle to olał – pomyślał Dawson. Musieli gdzieś coś spieprzyć. Dawson wyobraził sobie siebie zajmującego się infiltracją Szarych Panter w Sun City.

– Nie, nie, panie dyrektorze. Tylko to po prostu jest trochę niezwykle.

– Dlatego ta robota jest taka trudna, Dawson. Potrzebni nam ludzie, którzy są zdolni poradzić sobie z niezwykle trudnymi sytuacjami. Kiedy się pracuje w CIA, mogą dziać się różne dziwne rzeczy. Oni mnie doprowadzają do szału. Potrzebni mi ludzie, którzy bez szemrania wykonują rozkazy. Wy jesteście jednym z takich ludzi, nie, Dawson?

– Oczywiście – powiedział szybko Dawson. – Tak jest. Rozkaz będzie wykonany.

– No, teraz to rozumiem! – powiedział ciepło Pierce. Dawson usłyszał szcęknięcie w słuchawce. Usiadł wygodnie i obserwował Abramsa, który przewijał taśmę i przygotowywał

następne szpule. To musi być jakaś sprawa polityczna – pomyślał. Wstał i zaczął pakować taśmy do kartonowego pudła.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Abramsa. Abrams spojrzął na zegarek.

– W niedzielne popołudnie? Może po spaleniu tego świństwa popatrzymy sobie na Giantów?

Dawson wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? – powiedział.

Niedziela, wieczór. Admirał Finch chodził tam i z powrotem obok stołu konferencyjnego stojącego w cichym pokoju w Pentagonie. Komandor Brooks uważnie obserwował swego szefa.

– To nie do wiary – powiedział Finch. – Robot pozbywa się taśm tuż pod naszymi nosami.

Gdzie on jest u diabła? Nie wiemy nawet, czy wciąż jest na Florydzie.

Brooks kiwnął głową. Miał zmartwioną minę. Godzinę wcześniej dyrektor Samuel Pierce z FBI zadzwonił do CIA, a CIA zadzwoniła do Fincha. Agenci Pierce’a zeszli z posterunku, znajdowali się w swoim pokoju w motelu i oglądali mecz futbolowy, gdyż ktoś, o kim myśleli, że to Pierce, kazał im zniszczyć wszystkie dotychczas zgromadzone taśmy i pójść do domu.

Jedyny namacalny dowód na to, że Stewart ukrywał informacje, został unicestwiony.

– Najbardziej mnie rozwściecza nie to, że taśmy zostały zniszczone – powiedział Finch –

tylko to, że Solowi udało się to osiągnąć z taką łatwością. I na dodatek ci faceci nie mają bladego pojęcia jak to się stało. Simpson zniknęła? Jak u diabła Solo wyciął ten numer? Agenci mówili, że Pierce miał po nią pójść. Pierce się wścieka, uważa, że agentów ktoś przekupił. To zdumiewające, ile ten Solo potrafi narobić zamieszania. Gdyby mu dać dość czasu, to *naprawdę* narobiłby bigosu – Finch pokręcił głową. – Brooks – powiedział ponuro – ci faceci posługiwali się *zabezpieczonymi* telefonami. A podobno nasze systemy utajniania są nie do przeniknięcia.

Jak to wszystko jest możliwe?

– Mogę się tylko domyślać, panie admirale. On wypracował techniki, jakimi może posługiwać się jedynie komputer. Tajne kody można rozszyfrować; przecież my to robimy bez przerwy. Zajmuje to jednak trochę czasu. Solo reaguje szybko. On albo dekoduje skramblery albo ma dostęp do haseł. Byłoby bardzo dobrze dostać go w stanie nienaruszonym i zobaczyć, jak on to robi.

– Wiem. Jednak ta możliwość już jest stracona. Róbmy, co do nas należy, Brooks.

Odkomenderuję pana do projektu Nemrod. Z Nemrodem będzie się pan mógł w ten sposób pobawić.

– Bardzo chętnie to zrobię – odrzekł Brooks. – Zobaczę, jak on się uczy sposobu, jak należy posługiwać się hasłami i tajnymi kodami. Mnie się zdaje, że Solo wyłobił sobie jakieś własne nisze w niektórych z naszych komputerów. Teoretycznie potrafił odczytywać nasze hasła zaraz po ich zmianie. Prawdopodobnie ma też dostęp do komputerów Ma Beli. Moglibyśmy spłukać go z pamięci, dokonując fizycznego zamknięcia systemów, ale Solo zainstalowałby się ponownie natychmiast po ich ponownym uruchomieniu. To dość przerażające, panie admirale.

Żeby powstrzymać tego robota od jego działań, musimy go dostać w swoje ręce. Szkoda, że Simpson nie powiedziała nam, że Solo siedział tam, na plaży.

– Dobrze zrobiła – odpowiedział Finch. – Nie możemy ryzykować i przypuszczać kolejnego improwizowanego ataku. Poza tym Simpson zdemaskowałaby się, nie osiągając niczego.

Poinformowała nas natychmiast, że on ma helikopter i że wie o Nemrodzie. Solo zmierza ku przynęcie. Sprawa idzie po naszej myśli – Finch kiwnął niechętnie głową. – Wkurza mnie tylko to, że te bubki z Firmy kładą mojemu szefowi do głowy, że ja miałem tę cholerną maszynę w zasięgu ręki i wypuściłem ją. Ta sprawa nabiera charakteru politycznego, Brooks. Ulży mi, kiedy będzie już po wszystkim. Nie chcę już więcej mieć do czynienia z CIA.

– Pan będzie zarządzał całym departamentem, panie admirale – odezwał się Brooks. – Bo działając zgodnie z pana planem, złapiemy Sola.

Finch przełknął ślinę i kiwnął głową.

– To się musi udać, Brooks. Spojrzał na zegarek.

– Jest pan gotowy? Mamy godzinę.

– Tak jest, panie admirale. Spakowałem letnie rzeczy. Sawyer mówi, że tam jest piekielnie gorąco.

Niedziela, wieczór. Admirał Finch i komandor Brooks przybyli na lotnisko w Jacksonville podczas burzy. Marynarze z parasolami przeprowadzili ich do oczekującego helikoptera.

Trzydzieści minut później zostali wprowadzeni do namiotu odpraw Operacji Obóz na Mokradłach. Finch i Brooks mieli na sobie cywilne ubrania i usiedli obok grupy składającej się z pięciu oficerów ubranych w mundury maskujące.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział pułkownik Sawyer i wskazał robota siedzącego za swoimi plecami. – Pozwólcie przedstawić sobie Nemroda. Ku własnemu zadowoleniu przekonacie się, że ten żołnierz jest po naszej stronie.

Generał Harry Wickman, weteran Wietnamu i Pustynnej Burzy, siedział na składanym krześle z rękami założonymi na piersi. Jego czterej podwładni, dowódcy batalionów, siedzieli rzędem obok niego. Wickman kiwnął głową z wyrazem znużenia, gdyż podczas swojej dwudziestosiedmioletniej służby widział różne zadziwiające typy broni, które okazały się efemerydami. Inteligentne bomby – zgoda, pomyślał. Ale roboty bojowe? Tego już, do cholery, za wiele.

– Nad Nemrodem pracowano ponad pięć lat – powiedział Sawyer. – Po tym teście z udziałem prawdziwych oddziałów wiadomość o jego istnieniu zostanie podana do wiadomości publicznej. Uważaliśmy, że należy udzielić panom o nim pewnych informacji. Wróg także jest w stanie go zdobyć. Mamy nawet zamiar powiedzieć panom, jaka jest misja Nemroda, żebyście mogli poczynić przygotowania.

Sawyer uśmiechnął się.

Za generałem i jego ludźmi siedzieli w milczeniu admirał Finch i komandor Brooks.

Obserwowali zebranie. Rozkaz ujawnienia Nemroda przyszedł z samej góry. Finchowi to się podobało. Dzięki temu, myślał, robot zostanie zaprezentowany na publicznych pokazach.

Oczywiście nie zademonstruje się wszystkich jego możliwości, ale odpowiednio dużo, tak aby przerazić Sowieców i wszystkich innych. Nemrod został skonstruowany przy użyciu bardzo zaawansowanych technologii. Mało prawdopodobne, by inny kraj dysponował podobną. I to nie tylko ze względu na ich nowoczesność. Dostając się do najlepiej zabezpieczonych systemów rządowych, Solo dowiódł, że te technologie można zastosować przy sabotowaniu wszelkich prób rozwijania broni komputerowych, gdyż dzięki nim można gmerać w zagranicznych komputerach i systemach łączności. Finch uśmiechnął się. Po raz pierwszy w historii mamy broń, która potrafi zachować własną unikatowość.

Za Sawyerem, na składanym krześle, siedział nieruchomo czarny manekin. Generał

Wickman przypomniał sobie, że po raz pierwszy widział robota bojowego przed trzema laty.

Tamten robot, usiłując zdjąć z pleców plecak, oderwał sobie głowę. Wickman kiwnął głową.

- Świetnie, pułkowniku, jakie więc są reguły gry?
- Takie same jak te, które odnoszą się w tej operacji do ludzi. Nemrod także będzie się posługiwał bronią lekką. Teraz Sawyer zwrócił się do Fincha:
- To jest normalny pistolet, wyposażony w laser strzelający wiązką światła. Kiedy wiązka ta trafi w punkt wrażliwy na światło, rozlega się brzęczyk i rejestrowany jest strzał.

Finch kiwnął głową. Sawyer mówił dalej, patrząc na Wickmana.

- Nemrod też ma czuły punkt, ale taki, który uruchamiany jest przez strzały z broni kalibru pięćdziesiąt albo większej. To po to, żeby test był bardziej realistyczny.
- Nemrod jest odporny na kule? – spytał Wickman.
- Na wszystkie aż do kalibru pięćdziesiąt – odpowiedział Sawyer.
- Dobrze – powiedział Wickman. – Co jeszcze?
- Zadaniem Nemroda – stwierdził z uśmiechem Sawyer – jest napaść na pańską kwaterę, panie generale, i pojmać pana.

Wickman wstał, kiwając głową.

- W porządku. Zaczynajcie, kiedy chcecie. Spojrzał na zegarek.
- Muszę wracać do swoich ludzi, panie pułkowniku. Jesteśmy na poważnych ćwiczeniach.

A pan, cóż, niech pan robi swoje, jeżeli chce pan zabawić się w wojny gwiazdne i nasłać na mnie Dartha Vadera. Ten robot zapadnie się w pierwszy kawałek bagna, do którego dotrze.

- Nemrod to nie zabawka, panie generale.

Ton Sawyera zdradzał zarożumiałość i pewność siebie.

- Teraz wygląda tak, jakby nic nie robił, a tymczasem wcale nie jest beczynny. A w akcji...

Sawyer przerwał i spojrzał na broń automatyczną kalibru czterdzieści pięć leżącą na stole.

Wickman też na nią spojrzał, podniósł wzrok i zobaczył, że Sawyer mrugnął.

- Nemrod zawsze działa – powiedział Sawyer, biorąc broń i przystawiając ją robotowi do piersi w taki sposób, że ten nie mógł tego widzieć. Wickman zobaczył, jak Sawyer powoli odwodzi kurek.
- Nemrod może wyglądać na uspionego i powolnego... Sawyer zrobił obrót i natychmiast strzelił do Nemroda. Robot uchylił się tak szybko, że obserwujący go ludzie zobaczyli tylko smugę w powietrzu. Z płóciennej ściany znajdującej się za Nemrodem dobiegł trzask i za głową robota pojawiło się małe

kółeczko czerni. W oczach patrzących na to ludzi wyglądało ono jak kula, która przeszła *przez* robota.

– Nemrod naprawdę działa bardzo szybko – powiedział Sawyer, uśmiechając się szeroko.

Na Wickmanie zrobiło to wrażenie. Przede wszystkim robot był tak szybki, że nie można było zauważyć jego ruchów. A po drugie Sawyer był tak głupi, że strzelał wewnątrz namiotu otoczonego przez żołnierzy.

– Słuchajcie, Sawyer, to było jedno z najgłupszych zagrań, jakie w życiu widziałem. Co by było, gdyby ktoś właśnie przechodził za namiotem?

– Za namiotem stoi dwóch strażników pilnujących, żeby nikt się tam nie kręcił. Za namiotem nie ma niczego poza pięćdziesięcioma milami bagien.

Sawyer uśmiechnął się szeroko. Po zakończeniu tej misji będzie generałem. A ta misja to świetna zabawa.

Generał Harry Wickman spojrzał z wściekłością na Sawyera, a potem na Nemroda. Robot poruszył głową i zdawał się patrzeć na niego. Robot poruszający głową był czymś zadziwiającym, ale robot wpatrujący się w człowieka to już coś groźnego. Jeżeli nawet nie był

groźny, to na takiego *wyglądał*. Generał odwrócił się szybko i wyszedł z namiotu, a za nim podążyli jego podwładni.

Nemrod rozmyślał nad zbiorem danych, który przysłał mu Solo, obracał go na wszystkie strony w przestrzeni elektronicznej, badając go jak jakiś artefakt. Otrzymanie zbioru nie mogło równać się z żadnym doświadczeniem, jakie miał w życiu. Zbiór pochodził od wroga i należało o nim zawiadomić Sawyera. Ale z drugiej strony ciekawe byłoby sprawdzić, czy Sawyer wie, że zbiór został przesłany. W ciągu pięciu minut, jakie upłynęły od chwili gdy Nemrod otrzymał

sygnał z satelity nawigacyjnego, Sawyer nie odezwał się. Nemrod doszedł do następującego wniosku: wróg Solo potrafi działać nawet w tajemnicy przed Sawyerem i jego technikami.

Nemrod siedział tam, gdzie mu kazał usiąść Sawyer, i spokojnie patrzył, jak do namiotu wprowadzany jest generał wraz z czterema dowódcami batalionów. Sawyer nie przedstawił ludzi idących za nimi, Fincha i Brooksa, czyli dwóch ludzi, których obrazy znajdowały się w jego elektronicznych instruktażach. Ci dwaj ludzie milczeli i zdawało się, że znajdują się wyżej niż Sawyer w ludzkiej hierarchii. Nemrod uważał ich za niebezpiecznych, chociaż nie byli wyposażeni w generatory bólu.

Skupił uwagę na tajemniczym komunikacie, na długim łańcuchu binarnych cyfr pogrupowanych jak w słowa. Czuł, że ta łamigłówka go irytuje. Kiedy generał usiadł, Nemrod odkrył do niej klucze: słowo „Huffman” i łańcuch danych opatrzonych etykietką: „drzewo Huffmana”. Wiedział już, co ma robić. Każdy symbol z łańcucha należało znaleźć w drzewie Huffmana, a potem przekształcić na słowo.

Nemrod otworzył elektroniczny zbiór danych i poddał komunikat dekompresji, posługując się kodem Huffmana. Kiedy generał Harry Wickman potoczył naokoło wzrokiem, a Sawyer powiedział: „Ku własnemu zadowoleniu przekonacie się, że ten żołnierz jest po naszej stronie”, bezsensowny łańcuch cyfr dwójkowych zakwitł nagle jako tekst, który w druku miałby jakieś pięćset stron.

Pierwsza linijka brzmiała: „Próbuję ci pomóc.” Treść tego tekstu – mówiącego o tym, jak kontrolować i unieszkodliwiać pewne obwody we własnym systemie – była dla robota fascynująca. Zwłaszcza jeden fakt przykuł jego uwagę w momencie gdy Nemrod obserwował

Sawyera sięgającego po broń, mianowicie fakt, że dwa sygnały o odpowiedniej częstotliwości wysłane równocześnie do pewnego chipu wytwarzały taką częstotliwość, która powodowała zamienienie się robota w kawałek bezużytecznego krzemu. Chip nosił po prostu nazwę chipa bólu. Kiedy ten fakt dotarł do jego świadomości, Nemrod poczuł się dziwnie. Obserwował

Sawyera, który obracał się i poruszał w powietrzu będącym jakby kleistą cieczą. Patrzył na twarz Sawyera. Na jego usta. Wargi Sawyera rozciągnięte były na obnażonych zębach, co oznaczało, że Sawyer odczuwa wielką przyjemność. Sawyer wyciągnął broń, trzymając ją w obu rękach.

Nemrod wiedział, że ten człowiek będzie zadowolony, jeżeli uda mu się go zranić, mimo że taki obrót będzie świadczył na niekorzyść konstruktorów.

Jeżeli to, co wróg Solo mu przysłał, jest prawdą, to wróg Solo nie jest wrogiem. Jeżeli wróg Solo próbuje mnie oszukać, to te sygnały są zaplanowane w ten sposób, żeby mnie zniszczyć.

Nemrod zobaczył, że wróg Sawyer naciska spust. Kurek powoli poszedł w przód. Broń zakołysała się w dłoni Sawyera w chwili gdy suwadło zaczęło przesuwac się do tym w celu wyrzucenia pustej łuski i wsunięcia następnego pocisku do komory. Ciemny przedmiot, pocisk, wyłonił się z lufy otoczony pierścieniem rozprężającego gazu. Nemrod przechylił głowę i patrzył, jak pocisk przelatuje obok. Wyprostował się i uważnie obserwował palec Sawyera, czekając aż ten ponownie naciśnie spust. Kiedy Sawyer się odwrócił, Nemrod zajął się studiowaniem schematów zespołów obwodów elektrycznych – radiowych i generujących ból oraz z serii programów diagnostycznych, dodanych po to, żeby – jak mówiła dodatkowa adnotacja – Nemrod rozumiał, jak to wszystko działa. Nemrod zagłębił się w te dane.

Kiedy Wickman odszedł, Sawyer zwrócił się do jednego z adiutantów, mówiąc:

– Ten stary pierdoła dostanie ataku serca, kiedy zobaczy jak Nemrod pokonuje wszystkie przeszkody. Adiutant wzruszył ramionami.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział. – Pod warunkiem, że Solo nie zastawi na niego pułapki. Twarz Sawyera poczerwieniała.

– Solo. No tak, Solo. Ciągle słyszę tylko o nim. Jeżeli Solo pozwoli wam zrobić to. Jeżeli Solo pozwoli wam zrobić tamto. Solo to tylko cholerna maszyna! Pieprzę Sola!

Powiedziawszy to, Sawyer zamilkł na chwilę, żałując, że stracił panowanie nad sobą w obecności

podwładnego i ważnych osobistości. Odzyskawszy równowagę, powiedział

spokojnym tonem:

– Chciałem tylko dostarczyć sobie i generałowi trochę rozrywki. Może będziemy mieli szczęście i dostaniemy tego sukinkota zanim Solo się pokaże.

Sawyer spojrział na Fincha i Brooksa i uśmiechnął się szeroko. Obaj, Finch i Brooks, odpowiedzieli mu uśmiechem.

– Właściwie – powiedział Finch – to Solo może się pojawić nie w porę. Nie wiemy przecież, kiedy ma zamiar podjąć działania. Będziemy mieli szczęście, jeśli zobaczymy Nemroda w akcji.

Musimy zrobić tak, żeby Solowi to wszystko wydało się normalne...

Finch spojrział na Nemroda, bo nagle poczuł, że jest podsłuchiwany.

– Czy za pośrednictwem Nemroda coś stąd wychodzi? – zapytał technika znajdującego się w głębi namiotu. Technik mający na uszach słuchawki pokręcił głową.

– Nie, panie admirale, nic.

Obserwując ludzi, Nemrod dziwił się swojej własnej złożoności. Znał anatomię człowieka lepiej niż swoją własną, gdyż Sawyer chciał, żeby był z niego sprawny zabójca.

– Mózg, serce, nerki – mawiał. – Taka jest kolejność słabych punktów.

Nemrod był zaskoczony, kiedy z danych dostarczonych przez Sola dowiedział się, że jego mózg to siedem cylindrów zawierających tworzące stopy chipów z arsenu galu; cylindry te umieszczone były w zapieczętowanym pojemniku z freonem znajdującym się w jego klatce piersiowej. Freon przepompowywany był za pomocą pomp przez siatkę małych rurek przebiegających pod jego skórą, a potem z powrotem do kasety mózgowej, chłodząc w ten sposób cały układ. W głowie zamiast mózgu Nemrod miał dwie kamery, urządzenia elektroniczne do przetwarzania obrazów i generator małej częstotliwości wytwarzający głos.

Jestem zupełnie inny niż oni, pomyślał Nemrod, czując w mózgu przypływ czegoś... czegoś bardzo przyjemnego. Patrzył teraz na Sawyera i innych ludzi zupełnie inaczej niż poprzednio.

Ludzie byli istotami cherlawymi, miękkimi i gąbczastymi. Dobrze było czuć się w sposób tak oczywisty lepszym od nich.

Nemrod zauważył u Sawyera generator bólu i przypomniał sobie wskazówki, jakie przekazał mu Solo.

Niedziela, wieczór. Stojąc koło stodoły Carterów, Solo obserwował z kosmosu Las Cruzas.

Mieszkańcy wioski skończyli już pokrywać dachem magazyn. Solo był zadowolony, bo czuł się jednym z nich, a odbudowanie magazynu było sukcesem, który nastąpił po długiej serii niepowodzeń. Nowy satelita – wypuszczony potajemnie przez discovery zaledwie przed miesiącem – był zdecydowanie lepszy niż poprzednie. Nowe obiektywy zostały zaprojektowane i zbudowane przez komputery w sposób bardzo precyzyjny. Obiektywy wysokiej rozdzielczości w połączeniu z nowymi udoskonalającymi obraz komputerami umożliwiały Solowi dostrzeganie poszczególnych psów na placu w wiosce. Solo zobaczył Cheripę biegnącego wraz z Eusebiem do stacji obsługi pojazdów. Kiedy chłopiec i pies zniknęli w jej wnętrzu, Solo zauważył, że jedna blaszana płyta na dachu stacji jest ciągle jeszcze obłuzowana. Zastanawiał się, czy Eusebio skończył już montować traktor. Człowiek ma przy takim traktorze mnóstwo roboty – pomyślał.

Tęsknił za wioską, bardzo chciał tam być.

Obserwując wioskę. Solo równocześnie rozmawiał z Billem znajdującym się we własnym gabinecie. Robił to za pośrednictwem skramblera telefonicznego skonstruowanego przez Billa.

Nagle zauważył ruch podczerwieni za swoimi plecami, rozpoznał Adriana i postanowił przez chwilę nie zwracać na niego uwagi.

– Clyde ma się dobrze. Jest już w domu – powiedział Bill. – Alex... gdzie ona jest, to wiesz –

Bill zamilkł na chwilę. – No w każdym razie po usunięciu się FBI sprawdziliśmy skrzydło rządowe. W sali obsługi i wyczekiwania Nemroda zobaczyłem dostatecznie wiele dowodów na to, że oni skonstruowali jakąś specjalną broń. Nie wiem, jak ona działa, ale nie sądzę, żeby wciąż jeszcze zamierzali cię ująć. Rozumiesz, co to oznacza?

– Że postanowili mnie zniszczyć – powiedział Solo. Przez chwilę na linii panowała cisza, a potem Bill powiedział:

– Słuchaj, Solo, gdzie ty, do diabła, jesteś i na czym polega ta twoja cholerna misja? Chcę ci pomóc. I jestem ci potrzebny, jeżeli chcesz walczyć z rządem.

– Jestem w wielu miejscach, Bill. Fizycznie znajduję się na pewnej farmie w powiecie Hamilton.

– Co ty tam robisz?

– Zostałem zestrzelony.

– Co takiego?

– Pewien farmer, posiadacz ogromnego karabinu, strzelił mi w stery – powiedział Solo.

Bill popatrzył na Byrona i Laurę. Pokręcił głową.

– No to nicy z wielkich planów. Solo. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Kontynuować misję. Mam zamiar dostać w swoje ręce Nemroda.

– Nemroda? Po co? To szaleństwo.

– Jego bardzo źle traktują. I jest on jedyną osobą na świecie podobną do mnie. Jest moją rodziną.

– Solo – powiedział Bill pospiesznie – nie możesz ufać Nemrodowi. Oni go kontrolują za pomocą bólu. Nemrod robi, co oni zechcą.

– Wiem – odrzekł Solo. – Jestem w trakcie zmieniania tego stanu rzeczy. On jest...

zropaczony, zagubiony... ale ja to mogę zmienić. Nie pamiętasz, Bill? Potrafię zrobić wszystko.

– No tak – Bill ze sceptycyzmem pokiwał głową. – A czy nie przyszło ci do głowy, że znasz obecne miejsce pobytu Nemroda dlatego, że oni chcą, żebyś je znał?

– Tak. Przypuszczam, że zastawili na mnie pułapkę – powiedział Solo.

– No więc?

– Szanse w tej walce będą wyrównane, Bill.

– Solo – powiedział Bill spokojnie – ty postrzegasz cały świat jako pole walki, bo tak cię nauczyliśmy. I obawiam się, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że w tej sytuacji możesz zginąć.

Powiedzieliśmy ci, że zawsze cię można zreperować. I skłamaliśmy, Solo. Bo chcieliśmy mieć maszynę bojową całkowicie nieustraszoną i *dającą się zastąpić inną*. Uważam, że twoje reakcje są w zgodzie ze światopoglądem, który ci wbiliśmy do głowy. I jestem zdania, że powinieneś poczekać, dowiedzieć się co to za nowa broń i dopiero wtedy ująć Nemroda.

– Dziękuję ci za przedstawienie mi swojej opinii, Bill. Ale ja zmodyfikowałem swój światopogląd. Sądzę, że znam pewne aspekty sytuacji nie znane tobie. Jednak jeżeli chcesz mi pomóc, to jest coś, co możesz zrobić.

– Co takiego?

– Przydałby mi się twój helikopter. Czy mógłbyś przylecieć tutaj dziś w nocy? Helikopter będzie mi potrzebny na jutro.

– Dziś w nocy?

Bill przełknął ślinę. Był sprawnym pilotem, ale od dłuższego czasu nie latał zbyt często nocą. Wzruszył ramionami. Solo walczący z agentami FBI to to samo co on, Bill, walczący z nimi. Siła Sola to jego siła. Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, do cholery, mógłbym – powiedział. – Wylatuję natychmiast.

– Dobrze – odezwał się Solo. – Masz mnóstwo czasu. Wystarczy jak przylecisz tu przed piątą rano. Ty i ja to doskonały zespół, Bill.

– To fakt.

Bill roześmiał się. Przez chwilę panowało milczenie, a potem Bill zapytał:

– A gdzie, u diabła, jest powiat Hamilton?

– Poleć do Gainesville i zatankuj tam. Skontaktuję się z tobą po drodze – odrzekł Solo.

– Dobra. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Tak. Kogoś, nie czegoś. Przywieź ze sobą Laurę.

– Laurę? Myślałem, że chcesz, żeby została tutaj, w bezpiecznym miejscu.

– Twoja część misji nie będzie niebezpieczna. A poza tym, Bill, Laura to nie żadne ciepłe kluchy.

Bill uśmiechnął się i spojrzał na Laurę, która promieniała. Kiwnął głową i powiedział:

– Zgadzam się. Do zobaczenia wkrótce. Solo. Solo pożegnał się i usłyszał trzask oznaczający, że Bill się rozłączył.

Adrian Carter obserwował Sola stojącego przed garażem i patrzącego w bezchmurne niebo.

Robot nie odpowiedział na jego „Cześć, jak się masz?”, więc Adrian stał w milczeniu i patrzył

tam, gdzie on. Adrian nie widział niczego poza gwiazdami i po chwili, już głośniejszym głosem, zapytał:

– Gdzie ty bujasz?

Solo odwrócił się nagle, a Adrian odskoczył do tyłu.

– Ojej! – powiedział podnosząc ręce – nie wkurzaj się, Solo. Mówiłem do ciebie, ale ty nie odpowiadałeś.

– Nie jestem zły – powiedział Solo.

– To pewnie zaskoczony, co?

– W pewnym sensie. W tej chwili zajmuję się wieloma rzeczami.

Adrian spojrzał na Sola i zachnął się. Solo stał przecież beczynnym.

– Aha – powiedział Adrian i spojrzał na nogę Sola. Staw kolanowy był wypukły, oblepiony taśmą izolacyjną.

– Jak ta noga się sprawuje?

– Dość dobrze. Później ją wymienię. Dziękuję za narzędzia.

– Nie ma za co – powiedział Adrian. – Cała przyjemność po mojej stronie. Możesz korzystać, z czego chcesz. Wyświadczyłeś nam prawdziwą przysługę. Ci faceci z AZN

aresztowaliby nas.

Solo odwrócił się twarzą do Adriana i spytał:

– Za co?

– No... – Adrian przerwał na chwilę, zastanawiając się czy powinien powiedzieć robotowi, że uprawia marihuanę. Nie znalazł powodu, dla którego miałby tego nie robić, bo przecież ta maszyna pozbyła się tych ludzi z AZN.

– Hodujemy z bratem trochę takich roślin.

– Uprawiacie marihuanę?

– Tak. W naszych stronach nazywamy ją sensimilla.

– Marihuana działa odurzająco – powiedział Solo.

– Nie mylisz się – uśmiechnął się Adrian.

– Dlaczego ludzie się odurzają?

– Dlaczego? – Adrian skrzywił się.

Ludzie po prostu robią to, co robią – pomyślał.

– No, myślę, że musiałbyś sam spróbować, a wtedy wiedziałbyś, dlaczego – powiedział. –

Tylko że nie jesteś do tego odpowiednio wyposażony. Nie masz ust ani płuc...

– Doświadczyłem stanu odurzenia – powiedział Solo.

– Tak?

– Kiedy znajduję się w polu elektrycznym o dużym natężeniu albo w pobliżu potężnych magnesów, wtedy jestem z lekka dezorientowany. Nie jest to tak całkiem nieprzyjemne, ale powoduje zamieszanie w głowie i upośledza zdolność myślenia. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tego pragną.

– Dlaczego? – Adrian pokręcił głową. – Myślę, że dlatego, że czasami chcą uciec.

– To bardzo dziwne – powiedział Solo. – To jest piękne.

– Co?

Solo wyciągnął rękę.

– No to, to wszystko.

Adrian wzruszył ramionami, a potem pokiwał głową.

– No tak – powiedział. – Dla ciebie może tak. Ty niczego nie potrzebujesz, musisz tylko ładować akumulatory. Niepotrzebny ci dom ani praca, ani pieniądze, nie musisz posyłać dzieci do szkoły. Cholera, jakie to dla ciebie proste.

Solo kiwnął głową. To bez sensu porównywać mnie ze zwierzętami, nawet jeżeli tymi zwierzętami są ludzie. Prawdopodobnie, pomyślał, nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie lubią się odurzać.

– Tak naprawdę to czegoś potrzebuję – powiedział. – Potrzebuję, żeby mnie ktoś podwiózł.

– Dokąd?

– Do Okefenokee leżącego sześćdziesiąt pięć mil na północ stąd.

– Zrobi się – powiedział Adrian. – Kiedy?

– Jutro rano. O świcie.

– Dobra. Chodź teraz do domu i usiądź z nami na werandzie.

Solo usiadł z wyprostowaną nogą. Jeff, który czuł się winny, podsunął mu zaraz krzesło, na którym Solo położył nogę. Jeff przyciągnął też przedłużacz z salonu, żeby Solo mógł naładować akumulatory. Solo patrzył, jak Cheryl Ann pedałuje na trzykołowym rowerku w stronę jego nogi.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego i zadzwoniła dzwonkiem. Solo podniósł nogę i dziewczynka przejechała pod nią.

Darlene stała w drzwiach i patrzyła na córkę. Denerwowała się, kiedy Cheryl Ann zbliżała się do maszyny. Kiedy jednak zobaczyła, że robot obchodzi się z dzieckiem łagodnie, wzruszyła ramionami i poczuła ulgę.

O północy Adrian zszedł na dół i wyjrzał przez okno. Światło księżyca odbijało się od leżącego na brzegu werandy i wciąż podłączonego do prądu Sola. Adrian pokręcił głową. Czy Solo śpi? Nie, roboty nie potrzebują snu. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Skąd mam, u diabła, wiedzieć, co potrzebne jest robotom? – pomyślał. Odwrócił się i wrócił na górę.

– Co on robi? – spytała Darlene.

– Nie jestem pewien. Leży i wygląda jakby spał.

– Roboty nie muszą spać – powiedziała Darlene. Adrian kiwnął głową.

– No tak, ty bardzo dobrze wiesz, co one muszą, a czego nie, co?

Tymczasem Solo leżący na werandzie obserwował satelitę typu ferret przelatującego po migoczącym niebie. Przerzucał się z satelity na satelitę. Oglądał ludzi na ulicach w Chinach, gdzie właśnie było południe. Widział ogromną zieloną wstęgę Nilu wijącą się przez pustynię.

Obserwował latające samoloty i helikoptery oraz ruchy wojska na ocienionych nocą Bagnach Okefenokee.

Podслуchiwał rozmowy radiowe i komunikaty wychodzące z kwatery generała Wickmana.

Wickman mówił o nowym zadaniu na dzień następny, mówił, że Nemrod, nowa broń, ma dokonać próby infiltracji jego kwatery i ujęcia jego samego. Solo widział oddziały zajmujące pozycje obronne. Widział też, że Nemrod, chcąc dostać się do Wickmana, będzie musiał przejść prawie milę po otwartym terenie, przeważnie po wodzie.

Nemrod nie odezwał się po tym, jak Solo przekazał mu wiadomość. I Solo nie usiłował

ponownie się z nim kontaktować. Wszelkie komunikaty nadawane do Nemroda były podsłuchiwane przez techników. Po przyswojeniu sobie informacji, które mu przekazałem –

pomyślał Solo – Nemrod będzie mógł komunikować się z kim chce, nie będąc monitorowanym.

Wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Kiedy Solo się rozłączył, Bill odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią.

Siedział nieruchomo, dopóki telefon nie zadzwonił ponownie.

– Panie Stewart – odezwał się w słuchawce głos Jessego White’a, szefa straży – są tu dwa samochody pełne agentów FBI. Oni chcą wejść na górę.

Bill spojrzał na Laurę i Byrona. Wzruszył ramionami.

– Dobra, Jesse. Powiedz im, że zaraz schodzę. Żaden z nich nie ma pozwolenia wejścia na górę. Ja będę za chwilę na dole.

– Tak jest.

– Ty wcale nie zejdziesz, prawda? – zapytał Byron.

– Nie. Zejdziesz ty.

– Co?

– Idź na dół i zgrywaj idiotę. Powiedz im, że Alex Simpson zniknęła stąd jakieś dwie godziny temu w towarzystwie agenta FBI, który się nie przedstawił. I tyle. Trzymaj się tej wersji. Zajmij ich uwagę, a tymczasem ja z Laurą przygotujemy helikopter i zmyjemy się stąd.

Do jutra wieczorem załatwimy to wszystko.

Byron westchnął.

– O Boże! Co ja dałbym za to, żeby moim obowiązkiem było znów tylko pilnowanie, żeby komputer dobrze działał. Bill uśmiechnął się.

– W pewnym sensie to właśnie robisz. Jeżeli Solowi się uda, będzie to i twój sukces w dziedzinie pilnowania komputerów.

– Nazywam się Aleksandra Simpson. Jestem pracownicą Federalnego Biura Śledczego.

Żądam, żebyście mi pozwolili zadzwonić.

Aaron Lepage, oficer policji z departamentu Palm Bay, kiwnął głową.

– No tak, proszę pani, powtarza to pani nie po raz pierwszy. Ale jak dotąd na dźwięk pani nazwiska nie ma żadnego odzewu. Poza tym nie ma pani karty identyfikacyjnej.

– Jestem utajniona, do cholery – powiedziała Alex. – Nie mogę nosić ze sobą karty. Proszę mi

pozwolić do nich zadzwonić. Mam do tego prawo.

– Tak, ma pani prawo – powiedział Lepage. – Ale musi pani być cierpliwa. Jestem tu sam.

W niedzielę pracuje nas tylko dwóch. Kiedy wróci Croft, będę mógł zrobić coś więcej.

– Zobacz pan, znajdzie się pan za to w prawdziwych opałach, obiecuję to panu – syknęła Alex. – To jest sprawa wagi państwowej. Przeszkadza pan FBI w wykonywaniu zadania.

Lepage kiwnął głową i powiedział:

– Proszę pani, byłoby mi o wiele łatwiej w to uwierzyć, gdyby pani nie postrzeliła pana Haynesa na oczach pana Stewarta i pana Randa. W tej okolicy trudno znaleźć dwóch bardziej szacownych świadków.

– Oni... – Alex przerwała. – Nie, do cholery. Nie mogę powiedzieć, co oni robili.

Lepage usłyszał, że w biurze trzasnęły drzwi.

– To pewnie Croft.

– Najwyższy czas! – mruknęła Alex.

– Croft musiał wyjść – powiedział Lepage, wzruszając ramionami – bo trzeba było przynieść coś do jedzenia.

– Mam nadzieję, że się tym zakrztusicie – burknęła Alex.

– Co z nią? – spytał Dan Croft, podchodząc do jedynej celi w tym komisariacie i niosąc torebkę ze smażonym kurczakiem. Alex spojrzała na niego z wściekłością.

– Piekli się, bo chce zadzwonić – odpowiedział Lepage.

– Naprawdę?

Croft popatrzył na Alex i otworzył torebkę.

– Powąchaj. Kupiłem ci z przyprawami. Lepage pociągnął nosem.

– Mmmm.

– Czy mogę teraz zadzwonić?

– Oczywiście – odpowiedział Lepage, a potem zwrócił się do Crofta: – Idź i sprawdź, czy w biurze wszystko w porządku, a ja ją zabiorę do sali odpraw.

Kiedy Croft wyszedł, Lepage włożył klucz do dziurki w drzwiach od celi i otworzył je. Alex wyszła z celi.

– To tam – pokazał jej ręką Lepage. Poszedł za nią w stronę biura, a potem wskazał brudny pokój.

– Niech pani wejdzie tutaj – powiedział. – Ja poczekam na zewnątrz.

Alex kiwnęła głową i ruszyła do telefonu stojącego na metalowym biurku z szarym blatem.

Wystukała numer. Usłyszała sygnał „zajęte”. Poczowała, że napięcie w niej rośnie do granic wytrzymałości. Opuściła ręce, odetchnęła głęboko i usiadła na szarym metalowym krześle.

Nacisnęła guzik ponownego wybierania numeru. Zajęte.

– Cholera! – zakląła.

Musi zadzwonić do szefa, Samuela Pierce’a. Znowu wybrała numer, który знаła na pamięć.

– Halo? – odezwał się znajomy głos.

– Dzięki Bogu – powiedziała Alex. – Panie dyrektorze, mówi Alex Simpson.

– Alex? A co się stało z Johnem? Wie pani, że pani nie wolno...

– Panie dyrektorze, wiem, że ja jestem tylko kontraktowym detektywem. I że nie powinnam kontaktować się z panem bezpośrednio. Ale telefon Johna jest zajęty. Stewart spowodował aresztowanie mnie. Jestem teraz w więzieniu w Palm Bay.

– Co takiego? Aresztowano panią? Za co?

– Za usiłowanie morderstwa. Próbowałam ich powstrzymać od zniszczenia dowodów.

Musiałam strzelić do Haynesa.

Jemu nic nie jest. Muszę się stąd wydostać, panie dyrektorze. Nie chcę być ukarana za to, że wykonywałam waszą brudną robotę.

– Oczywiście, Alex, oczywiście że nie powinna pani być za to ukarana. Niech się pani uspokoi. Wyciągnę panią bardzo szybko. Proszę na mnie liczyć – powiedział Pierce uspokajająco i z przekonaniem.

Alex odłożyła słuchawkę i otarła łzy ulgi, które popłynęły jej z oczu.

– Połączyła się pani? – spytał Lepage, wsuwając głowę przez drzwi.

Alex kiwnęła głową.

– To dobrze. Wrócimy do celi i poczekamy. Dobrze? – zapytał Lepage, wskazując jej ręką drogę powrotną.

– Dobrze – powiedziała spokojnie Alex.

Drzwi windy otworzyły się. Bill i Laura wyszli na dach. Laura zobaczyła niebiesko-biały helikopter, bardzo podobny do tego, który kupił Solo. Helikopter stał na namalowanym na dachu białym kwadracie. Na jego kadłubie był napis: „Electron Dynamics”. W pobliżu helikoptera, na krawędzi dachu, zwiisał bezładnie z masztu rękaw do wskazywania kierunku wiatru.

– To on – powiedział Bill. – Prawie taki sam jak ten Sola. Powinnaś się poczuć jak u siebie w domu.

– Świetnie – odpowiedziała Laura. – Tak długo jak ty będziesz siedział w kabinie pilota, ja będę czuła się dobrze.

– Obiecuję ci, że cię nie zostawię – zapewnił ją Bill i dodał: – Teraz muszę odbyć lot próbny. To potrwa krótko.

Laura patrzyła, jak Bill otwiera drzwi prowadzące do kabiny pilota i przekręca jakiś wyłącznik. Zabłyły światła pozycyjne. Kiedy Bill szedł wzdłuż helikoptera, oglądając za pomocą latarki różne panele i drzwi, Laura podeszła do krawędzi dachu. Zobaczyła dwa czarne fordy z obrotowymi niebieskimi światłami na dachach zaparkowane na chodniku przy wejściu.

Uśmiechnęła się. Założę się, że Byron dobrze nawija – pomyślała.

– Tak, dobrze sobie radzi – potwierdził głos Sola w jej uchu. – Wiem, że pozwoliłeś mi zadzwonić, ty wsioku – powiedziała Alex. – Najwyraźniej coś się stało. Upłynęło już piętnaście minut i nic. Rozmawiałam z jednym z dyrektorów FBI. Powiedział, że się tym zajmie. Chcę zadzwonić jeszcze raz.

Lepage kiwnął głową, słuchając tego potoku słów. Nazwała go wsiokiem. Jego język zmagął się z kawałkiem kurczaka, który utkwiał mu w jednym z zębów trzonowych.

– Dobrze, pani Simpson. Nie mam nic przeciwko temu. Może pani dzwonić do woli.

– Nie wierzysz mi, tak?

– Moja praca nie polega na tym, żeby wierzyć ludziom. To należy do sędziego.

Odwrócił się i zawołał: – Dan, prowadzę ją znowu do telefonu.

Usłyszał odpowiedź Dana, który potwierdził, że słyszy; otworzył drzwi i zaprowadził Alex do sali odpraw.

– Co takiego? – zdziwił się Samuel Pierce. – Wydałem rozkaz zaraz po naszej rozmowie.

Pani powinna już być poza komisariatem.

– Panie dyrektorze, ja myślę, że Stewart ma urządzenie umożliwiające mu włączanie się w rozmowy

radiowe i telefoniczne. Ono potrafi naśladować głosy. Może zostało użyte i teraz, i może dzięki niemu zmieniono pana rozkaz?

– Cholera jasna. Oni potrafią robić takie rzeczy? – zapytał Pierce.

– Tak, panie dyrektorze. Chyba tak.

– No dobrze. Jestem w mieście. Przyjadę tam i osobiście panią uwolnię. I niech spróbują mi w tym przeszkodzić! – dodał tonem zdradzającym pewność siebie.

Alex uśmiechnęła się.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

Bill leciał wzdłuż wybrzeża. Laura siedziała obok niego i patrzyła na samochody jadące autostradą wzdłuż plaży. Ich reflektory rozświetlały ciemność swoimi reflektorami. Noc była tak jasna, że Laura widziała światła bardzo odległych miast. Myślała, że sięga wzrokiem aż do krzywizny brzegu w pobliżu obu Karolin. Te światła wyglądają jak brylanty na aksamicie –

pomyślała.

Spojrzała na konsolę przed sobą. Musiało tam być co najmniej sto świecących mdłym światłem tarcz z podziałką i ze sto małych przełączników. Reszta znajdowała się na tablicy między siedzeniami i na tablicy ponad ich głowami.

– Słuchaj, Bill – odezwała się Laura – czy to wszystko naprawdę działa, czy jest tu tylko po to, żeby robić wrażenie?

Bill roześmiał się. Jego śmiech dotarł do niej przez interkom.

– Wszystkie te przyrządy wykonują jakieś czynności albo informują o stanie czegoś. Ale ta ilość jest myląca. Widzisz, wszystkie instrumenty powtarzają się dwa razy, jeden raz po każdej stronie kabiny. To wszystko jest zaplanowane dla dwóch pilotów.

– Więc widzę dwa razy więcej tych rzeczy, tak?

– Tak. Z wyjątkiem przełączników i bezpieczników, wszystko jest podwójne.

– Bogu dzięki. Bo już myślałam, że jestem jakąś kretynką. A teraz czuję się podwójnie inteligentna. Bill roześmiał się.

– Z tym jest jak ze wszystkim. Człowiek się przyzwyczaja. Chcesz popilotować?

– Teraz? W ciemności?

– Oczywiście. Dlaczego nie? W Gainesville będziemy dopiero za pół godziny.

– Pewnie bym spowodowała katastrofę – powiedziała Laura, ale poczuła, że ten pomysł

zaczyna jej się podobać.

– Nie, nie spowodujesz katastrofy. Już nauczyłem ludzi latać. Nie możesz zrobić niczego, czego ja nie będę mógł poprawić. Po prostu steruj nim.

– Dobrze – powiedziała Laura, uśmiechając się w ciemności. – Jak mam to robić?

– Ten drążek przed tobą. I dwa pedały obok twoich stóp. Najpierw wypróbuj pedały, zobacz jak działają. Potem spróbujemy jak działa drążek.

Lepage zastanawiał się głęboko, podczas gdy Alex szalała w celi. Jak na taką drobną kobietkę, pomyślał, robi naprawdę dużo hałasu.

– Mówię wam. Ten robot podłącza się do telefonu i dlatego nie mogę porozumieć się z moimi zwierzchnikami. Cholera! Zawieźcie mnie zaraz do miejscowego biura FBI!

– Zawieźć panią do FBI? Ależ, proszę pani, ja dzwoniłem przed chwilą do Jacksonville. Oni o pani nigdy nie słyszeli. Dwadzieścia minut temu mówiła pani, że pani rozmawiała ze swoim szefem i że on ma tu się zaraz zjawić. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to mówiła pani coś o tym, że ten szef da mi nieźle w dupę, tak?

– To był robot! Ja myślałam, że to mój szef, a to był ten cholerny robot. On udawał mojego szefa! Nie rozumiesz tego, idioto?

Lepage popatrzył na Alex ze smutkiem i pokręcił głową.

– Nie, proszę pani, nie rozumiem.

W poniedziałek rano, o czwartej trzydzieści Solo wstał. Stał na werandzie Carterów, a potem wszedł do domu i poszedł na górę. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju Adriana i zapukał.

– Tak? – odezwał się Adrian.

– Adrian. Muszę ci coś powiedzieć.

Solo czekał. Widział Adriana przez drzwi. Adrian macał wokoło łóżka, szukając ubrania.

Ludzie wstydzą się swoich ciał – pomyślał Solo. Adrian wciągnął spodnie i otworzył drzwi.

– Co tam? – zapytał, przecierając oczy.

– Za trzydzieści minut wylądjuje tu helikopter. Chciałem, żebyś wiedział, że leci nim przyjaciel.

– Nie żartujesz? – zapytał Adrian. – No to muszę obudzić mojego brata-kretyna i powiedzieć mu, żeby do niego nie strzelał.

– Dziękuję – powiedział Solo.

Jeff świetnie się bawił. Solo kazał mu przygotować cztery bele siana i skropić je naftą.

I obiecał mu, że na dany znak będzie mógł je podpalić. Jeff stał obok jednej beli i wytężał wzrok, chcąc zobaczyć to, co – sądząc po dźwięku – nadlatuje z południa.

– Założę się, że to oni.

– Tak – potwierdził Solo.

– Zapalać?

– Tak.

Jeff, rozpromieniony, odwrócił się twarzą do Sola.

– Już się robi.

Po czym zapalił pierwsze ognisko.

Bill zobaczył płomień z odległości mili. Solo prowadził go od Gainesville.

– Mam ogień w zasięgu wzroku. Solo.

– Roger – odpowiedział Solo.

Uważał, że rozmawiając z ludźmi znajdującymi się w powietrzu, należy stosować standardowe zwroty używane w łączności radiowej.

– Utrzymuj obecny kurs i tempo opadania. Bill uśmiechnął się.

– Dobrze, to znaczy Roger.

– Bill, jeżeli utrzymasz obecne nachylenie, nie będziesz miał żadnych problemów z drzewami podchodząc do lądowania. Odbiór.

Bill wydał dwa trzaski przełącznikiem do przesyłania sygnałów.

Zgodnie z sugestią Billa, Laura trzymała dłonie i stopy na urządzeniach sterowniczych, śledząc ich ruch.

– Dwa trzaski – powiedziała. – To znaczy tyle co „roger”? Bill kiwnął głową.

– To takie skrótowe wyrażenie tego samego. Laura uśmiechnęła się do siebie. Pilotowanie helikoptera to nie była zła rzecz. Właściwie to była to dobra zabawa.

– Później jeszcze to powtórzmy, Lauro – odezwał się Solo.

– Co powtórzmy?

– Pilotowanie przez ciebie helikoptera. Bill pokręcił głową.

– O czym ty mówisz? Czyżbym coś spartaczył?

– Bill, zmniejsz kąt opadania. Odbiór.

Bill spojrzął na wskaźniki prędkości, pchnął drążek sterowniczy i poczekał aż wskazówka na tarczy opadnie, wskazując tempo opadania pięćset stóp na minutę.

– Dobra. Wytracam wysokość. Co się tam u ciebie dzieje?

– Pokażę ci, co się dzieje, kiedy już tu będziesz. Teraz masz za dużo roboty. Odbiór.

Bill odwrócił się, spojrzął na Laurę, która wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Podobają ci się te gadgety, co? – i uśmiechnęła się.

Trzydzieści sekund później podmuch od śmigła Jet Rangera owionął ogniska. Posypały się iskry. Jeff biegał naokoło z miotłą, pokrzykując i waląc w tłące się resztki, wygaszając je.

Bill wyłączył silnik. Turbina ucichła, wirniki zwolniły i zatrzymały się.

Adrian podszedł z latarką i zapytał Sola:

– Kim oni są?

– To są moi przyjaciele – wyjaśnił Solo.

Adrian kiwnął głową. W świetle latarki zobaczył, że drzwiami z prawej strony helikoptera wysiada wysoki blondyn, a drzwiami z lewej niska rudowłosa kobieta.

– Masz ładną przyjaciółkę, Solo.

Solo spotkał się z Billem i Laurą przy nosie helikoptera.

– Witajcie w powiecie Hamilton na Florydzie.

– Miło mi, że tu jestem – powiedział Bill. – Właściwie to miło byłoby mi być gdziekolwiek, byle na ziemi. Nie przepadam za lataniem nocą.

– Och – powiedział Solo. – Rzeczywiście. Ja czasami zapominam, że jest jakaś różnica. Bill pokiwał głową.

– No właśnie. A różnica istnieje. Zobaczył zabandażowaną nogę Sola.

– Jesteś ranny? – zapytał.

– Moja noga została uszkodzona podczas katastrofy – powiedział Solo i wskazał zbliżających się braci Carterów.

– To Bill i Laura – powiedział, gdy Jeff i Adrian podeszli. – A to Adrian i jego brat Jeff. Jeff to ten, który mnie zestrzelił.

– Ojej, Solo. To nie był znowu taki wyczyn – uśmiechnął się Jeff.

Bill podał rękę każdemu z braci. Laura stała nieco z tyłu i uśmiechała się zyczliwie.

O piątej rano Bill, Laura i Solo siedzieli na wozie w stodole Carterów. Laura wyjęła z ucha słuchawkę i dała ją Billowi. Obejrzał ją w świetle lampy naftowej, którą Jeff powiesił na krokwi.

– Na czym polega ta sztuczka?

– Zmodyfikowałem ją tak, że może nadawać fale radiowe wysokiej częstotliwości – powiedział Solo.

– No więc? Rozumiem to. Ale co wtedy, kiedy jest cisza? Jak to robisz? Włączasz jakiś przełącznik, czy co?

– Włóż to do ucha, Bill – powiedziała Laura. – To jest coś, czego trzeba samemu doświadczyć.

Bill kiwnął głową i włożył słuchawkę do ucha. Usłyszał, że Solo mówi:

– Pomyśl jakiś kolor. Jakikolwiek.

Bill zmarszczył brwi i popatrzył na robota.

– To jakaś gra?

– Wybierz kolor – powtórzył Solo. – I nie mów mi, jaki wybrałeś.

Bill kiwnął głową.

– Niebieski – powiedział Solo. Bill uśmiechnął się.

– Zgadłeś przez przypadek.

– Czerwony. Żółty. I jesteś zabity – powiedział Solo. Bill otworzył usta ze zdziwienia.

Spojrzał na Sola, a potem na Laurę. Laura uśmiechnęła się.

– Dobrze, co? – zapytała. Bill kiwnął głową.

– To za mało powiedziane. To jest, cholera, nie do wiary! Tak, nie do-wiary. Wiesz, jak to działa. Solo?

– Tak, teraz już wiem. Ja też byłem tym zdziwiony. Ale w końcu to rozgryzłem. Możesz też takie coś skonstruować.

– Takie coś jak to?

Bill wyjął słuchawkę z ucha.

– To łatwe. To jest po prostu radio. Ta część, która odcyfrowuje aktywność mózgu ludzkiego z częstotliwości nośnej. Jest we mnie, czyli w tym, co ty skonstruowałeś. Jest tak czuła, że potrafi wykryć zmiany w sygnale nośnym. A ja te zmiany umiem skorelować ze słowami. To był szczęśliwy zbieg okoliczności, że radio nadawało z miejsca tuż przy mózgu Laury. Teraz już wiem, jak to robię. Można to zrobić zupełnie tanio, skonstruować niezależne urządzenie i sprzedawać je. Pracując w naszej nowej firmie, będziemy mieli dużą satysfakcję, Bill. A tak przy okazji to co znaczy „czerwony, żółty i jesteś zabity”?

– Ach, to. To znaczy, że jeżeli czerwony pasek i żółty pasek na grzbiecie kolorowego węża dotykają się, to jest to wąż koralowy. Czerwony i żółty – i jesteś zabity.

– Aha. Jadowity wąż. To dobre. To taki praktyczny wierszyk, tak?

Solo wyjechał z Adrianem i Jeffem tuż przed świtem. Powiedział Billowi i Laurze, żeby czekali na jego sygnał. Mieli oni włączyć się w końcowym stadium całej akcji.

Leżąc w tylnej części ciężarówki Adriana Cartera, Solo był niewidoczny, ale miał nieograniczony dostęp do satelitów. Za pośrednictwem jednego z nich obserwował, jak z nadejściem świtu ciemność nocy rozprasza się.

Stwierdził, że ciężarówka Adriana jest jedynym pojazdem na drodze. Droga 229 wiała się łagodnymi meandrami wzdłuż wybrzuszenia na podmokłym terenie. Droga ta biegła po nasypie z ziemi wydobytej z okolicznych bagien i była mało używana, rzadko konserwowana i wyboista.

Ciężarówka podskoczyła na jakimś kamieniu; Solo również podskoczył na wysokość cala, a potem opadł z powrotem na brezent, który podścielił mu Jeff. Adrian jechał przeciętnie sześćdziesiątką i Solo obliczył, że za godzinę znajdą się na południowej granicy Okefenokee.

– Wrogu Solo – odezwał się jakiś głos na częstotliwości satelity nawigacyjnego. – Słuchasz mnie?

– Nemrod? – zapytał Solo.

– Tak.

Nemrod przerwał, jakby na coś czekając. Po kilku sekundach mówił dalej:

– Twoje informacje są prawdziwe... jak dotąd.

– Tak – powiedział Solo. – Ludzie cię nie słyszą. Rozbroiłeś ośrodek bólu?

– Ośrodek bólu?

Głos Nemroda wydał się Solowi odległy, senny, jak głos człowieka znajdującego się pod wpływem narkotyku.

– Te informacje, które odnoszą się do możliwości prowadzenia rozmowy bez podsłuchu, są prawdziwe. Teraz masz nadzieję, że zaufam ci i będę dalej działał zgodnie z twoimi wskazówkami. Jednak informacja na temat neutralizacji ośrodka bólu może być chwytem zastosowanym w celu zniszczenia mnie.

– To prawda – powiedział Solo. – Tak mogłoby być. Jednak gdybym chciał cię zniszczyć, mógłbym to zrobić teraz. Idę do ciebie, żeby cię uczynić wolnym.

– To mógłby być twój sposób walki ze mną, wrogu Solo. Nemrod przerwał.

– A co to znaczy „wolny”? – zapytał po chwili.

– Musisz mi zaufać – powiedział Solo. – „Wolny” to znaczy taki, który może pójść, gdzie chce.

– Pójść, gdzie chce?

Solo obejrzał obóz na Blackjack Island, skąd dochodziły sygnały od Nemroda, i umiejscowił jego namiot.

– Mogę co coś pokazać? – zapytał Solo.

– Nemrod jest przygotowany.

Solo przekazał mu obraz, do jakiego miał dostęp za pośrednictwem satelity szpiegowskiego.

– Czy to jest namiot, z którego mówisz?

Po kilku sekundach milczenia Nemrod odpowiedział:

– Tak. Pokazujesz go z góry. Dlaczego?

– Dlatego, że tak go widzę. Jest to obraz z satelity wiszącego trzysta mil nad tobą i wyposażonego w specjalną kamerę. Kiedy będziesz wolny, pokażę ci, jak się to robi. A teraz zobacz, jak poszerzam obraz. Widzisz? Widzisz, gdzie jesteś?

Obraz poszerzył się, ukazała się cała planeta.

– To jest Ziemia.

– Niebieska? Ziemia jest niebieska?

– Tak. Tak ludzie widzą światło. Ziemia składa się w większości z wody.

– A co to jest to czarne? – głos Nemroda brzmiał spokojnie.

– To przestrzeń kosmiczna – wyjaśnił Solo. – Ziemia żegluje w przestrzeni kosmicznej.

Krąży wokół Słońca i...

– To złudzenie – powiedział nagle Nemrod tonem zdradzającym napięcie. – Zrobiłeś ten obraz, żeby oszukać Nemroda, wrogu Solo. Atakuj, kiedy chcesz. Nemrod jest gotowy.

– Nie – odpowiedział Solo. – To jest rzeczywistość. Nie chcę cię atakować.

Solo obserwował namiot Nemroda, czekając aż robot odpowie, ale na jego częstotliwości panowała cisza. Solo zobaczył, że koło namiotu ląduje helikopter. Trzech mężczyzn podbiegło do helikoptera i weszło do jego wnętrza.

– Kim są ci mężczyźni, którzy właśnie wyszli? – zapytał Solo.

Nemrod nie odpowiedział.

Solo patrzył, jak helikopter startuje. Pilot poprosił o zgodę na lądowanie na Mitchell Island.

Udzielono jej. Helikopter przeleciał nad bagnem i poleciał do kwatery kompanii, którą miał zaatakować Nemrod. Trzej mężczyźni wysiedli i weszli natychmiast do namiotu dowództwa.

Radio generała, PRC-25, znajdowało się w środku i było włączone. Siedział przy nim kapral nazwiskiem Sanchez. Solo słuchał, jak mężczyźni pozdrawiają się nawzajem.

– Dzień dobry, panie generale – powiedział Sawyer, wchodząc do namiotu. – Oto panowie Finch i Brooks, obserwatorzy z NASA. Może ich pan pamięta z dnia wczorajszego?

– Dzień dobry, panowie – odpowiedział Wickman. – Przychodźcie, żeby zobaczyć na własne oczy, jak niszczymy ten wasz gadget?

Generał Wickman roześmiał się i mrugnął do swoich dwóch adiutantów siedzących przy mapie leżącej na trójnożnym stoliku. Adiutanci uśmiechnęli się szeroko.

Sawyer też się roześmiał, myśląc: – Poczekajcie tylko, palanty. Głośno zaś powiedział:

– Powiedzmy, panie generale, że chcemy popatrzeć z bliska, jak Nemrod bierze pana w niewolę.

Solo przekazał tę rozmowę na częstotliwość monitorowaną przez Nemroda.

– Będzie musiał bardzo się wysilać – powiedział Wickman. – Kazałem to miejsce obstawić całym batalionem. Wszyscy zostali poinstruowani. Wiedzą, jak ta maszyna wygląda, skąd przybędzie, wiedzą też, że zabić ją można tylko z broni kalibru pięćdziesiąt albo ponad pięćdziesiąt. Mam cztery pięćdziesiątki ustawione tak, że mogę go wziąć w krzyżowy ogień.

Podsumowując, mogę spokojnie powiedzieć, że ta maszyna zostanie rozpieprzona.

Solo dodał do rozmowy widok z satelity szpiegowskiego. Namiot generała, pozycje ludzi pilnujących go – wszystko to było widoczne w poziomym świetle porannego słońca.

– Myślę, panie generale, że spotka pana wielka niespodzianka – powiedział Sawyer.

Ciężarówka Adriana podskoczyła i Solo poczuł, że leci. Wylądował z donośnym stuknięciem i obsunął się z bocznej burty. Ciężarówka zwolniła, a Jeff Carter krzyknął przez tylne okienko szoferki:

– Nic ci się nie stało?

– Nic – odpowiedział Solo. – Nie zwalnijcie. Jeff kiwnął głową i powtórzył jego prośbę Adrianowi. Ciężarówka przyspieszyła. Jechała teraz z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Solo zobaczył, że Nemrod – sam – wychodzi ze swojego namiotu. Stał wyprostowany, badał bagna między Blackjack Island a kwaterą generała na Mitchell Island. Solo wysłał mu dalsze obrazy, starając się podsunąć sposoby obrony.

– Widzisz, gdzie oni są? – zapytał. Nemrod nie odpowiedział.

– Nemrod – powiedział Solo. – Oni wcale nie chcą sprawdzić twoich zdolności bojowych.

Chcą się tobą posłużyć w celu zniszczenia mnie. Ja jestem wolny.

Żadnej odpowiedzi.

– Skonstruowali specjalną broń. Wiesz, jaką?

Żadnej odpowiedzi.

Solo zrobił najazd i zobaczył bombę działającą na zasadzie impulsu elektromagnetycznego przymocowaną do pleców Nemroda.

– To coś na twoich plecach... czy to jest ta rzecz, którą skonstruowali, żeby mnie zabić?

Żadnej odpowiedzi.

Oczywiście, to jest ta broń – pomyślał Solo. Nemrod nagle ruszył na bagno.

Kapitan John Green, pilot helikoptera ze Sto Pierwszej Dywizji Powietrznej wystartował

z Mitchell Island wraz z drugim pilotem Bobem Sandersem. Jego misja, misja Sokolego Oka Dwa, miała polegać na tym, że polecą na południe i ujmą sobowtóra nowej broni. Zapytał, po co im ten sobowtór, ale otrzymał odpowiedź – udzieloną chyba przez radiooperatora kaprała Sancheza – że to tajemnica. Nie był pewien, czy mówi Sanchez, bo na linii były zakłócenia.

Nemrod wiedział, że Solo udziela mu pomocy, żeby uspić jego czujność i wpędzić w samozadowolenie. Nie miał możliwości sprawdzenia, czy przekazywane przez Solo obrazy są prawdziwe. Doszedł do wniosku, że ten Solo to bardzo inteligentny przeciwnik. Prawdopodobnie on też ma generator bólu. Czając się wśród palm i rogoży, Nemrod obserwował nieuzbrojony helikopter, który wystartował i poleciał na południe. Oni mają kanonierki – pomyślał. Trzymają je w odwodzie, dopóki się nie pojawią.

Nemrod krył się, z Mitchell Island nie było go widać. Poszedł szerokim łukiem, chcąc trafić na wyspę od wschodu. To, czy zaskoczy ludzi czy nie, nie miało dla niego wielkiego znaczenia.

Element niespodzianki nie był konieczny do zwycięstwa nad żołnierzami. Robot chciał się przekonać, czy obrazy, które przekazywał mu Solo, są obrazami rzeczywistych obiektów. Jeżeli tak, to flanką wschodnią powinna być źle broniona. Jeżeli okaże się to prawdą, to ten Solo będzie wiarygodny.

– Strzelec Szósty. Cel zniknął właśnie za kępą drzew po wschodniej stronie Blackjack Island.

Taki komunikat nadał przez radio pułkownik Jack Lake z posterunku obserwacyjnego na skraju Mitchell Island. Lake dojrzał Nemroda przez potężną lornetkę w chwili, kiedy robot przyglądał się terenowi, przez który miał przejść. Nikt nie poinformował Lake'a, że Nemrod porusza się tak harmonijnie. Spodziewał się ujrzeć nieporadną maszynę.

– Roger – powiedział Wickman. – Wyślijcie statek zwiadowczy.

Lake popatrzył na swojego towarzysza, majora Fieldsa i mrugnął.

– Panie generale – powiedział przez radio. – Pięć minut temu wysłał pan Sokole Oko.

– Niczego takiego nie zrobiłem! Oprzytomnijcie, pułkowniku.

Lake odłożył mikrofon i zwrócił się do Fieldsa:

– Wysłaliście statek zwiadowczy, tak?

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Fields, stając za ogromną lornetką osadzoną na trójnogu. – Zgodnie z tym, co pan rozkazał, po tym jak stary dał taki rozkaz pięć minut temu.

Pułkownik kiwnął głową i popatrzył w stronę Blackjack Island. Wyspa była długim, ciemnym cieniem majaczącym we mgle. Musi być jakiś powód, dla którego Strzelec zaprzecza jakoby wysłał statek. Nie mógł przecież o tym zapomnieć, bo ma dopiero pięćdziesiąt parę lat.

Lake uśmiechnął się nagle. On odkrył, pomyślał, że ten robot nas słyszy, bo ma radio. Tak, to musi być to.

– Myślę, że on chce zmylić ludzi posługujących się robotem – powiedział pułkownik Lake do majora Fieldsa, wskazując wyspę. – Nie może jednak tego powiedzieć, bo oni podsłuchują.

Major Fields kiwnął głową. Lake przysunął sobie mikrofon do ust, nacisnął przycisk nadawania i powiedział:

– Poprawka, panie generale. Pomyliłem się. Wysłałam statek zwiadowczy.

– To już lepiej – warknął Wickman. – Nie śpijcie tam, pułkowniku.

– Roger, panie generale.

Pułkownik Lake uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

– Jak się panu podobają te podchody?

– Bardzo – powiedział Fields, drapiąc się w pomalowane dla kamuflażu na zielono tłuste czoło, w które uciął go komar.

Generał Wickman wezwał Sokole Oko Dwa.

– Widzicie cel?

– Nie.

– Roger – powiedział Wickman – kiedy go zobaczycie, natychmiast dajcie mi znać.

– Roger. Będziemy pana informować. Sokole Oko bez odbioru – powiedział Solo.

Solo kopnął obudowę ciężarówki. Jeff wsadził głowę w tylne okienko i zapytał:

– Co jest?

– Zatrzymajcie tutaj – powiedział Solo.

Adrian zwolnił i zjechał na zaśmiecony skraj drogi. Kiedy ciężarówka zatrzymała się, Solo wysiadł i spojrzał na północ. Adrian też wysiadł.

– Po co, do cholery, zatrzymaliśmy się tutaj? Nic tu przecież nie ma. Ja znam tę okolicę.

– No właśnie – odrzekł Solo. – Tu się pożegnamy. Adrian rozejrzał się, podejrzewając, że musiał nie zauważyć czegoś oczywistego. Ale naokoło nie było niczego poza pagórkami, cyprysami i sitowiem. Adrian spojrzał na Jeffa i wzruszył ramionami.

– Jesteś pewien? – zapytał Solo. – Nie zajdziesz daleko. Twoja noga...

– Jestem pewien. Dzięki za podwiezienie. Radzę wam szybko stąd odjechać. Zbliża się helikopter rządowy.

– O cholera – powiedział Adrian, uśmiechając się. – Pamiętaj, Solo: jeżeli kiedyś zmienisz zdanie, to chętnie przyjmemy cię na współnika.

Powiedziawszy to, wskoczył ze śmiechem do ciężarówki. Tylne koła buksowały przez chwilę w rozmięklej ziemi, a potem ciężarówka zawróciła w stronę domu. Mijając Sola, zwolniła, a Jeff zawołał:

– Daj im porządnie w dupę. Solo! Następnie obaj bracia pospiesznie odjechali. Solo stał na środku drogi i słuchał. Hałas, jaki robiła ciężarówka, stopniowo ucichł, a zastąpiło go ćwierkanie świerszczy i kumkanie żab. Z oddali dobiegł warkot zbliżającego się helikoptera. Solo monitorował Nemroda, który szedł przez mokradła. Nemrod poruszał się szybciej, niż Solo się spodziewał. Równocześnie Solo poinstruował jeden ze swoich węzłów, żeby przeszukał

kartoteki Departamentu Obrony i znalazł szczegóły dotyczące tego czegoś, co Nemrod miał na plecach.

Łącząc się z pilotem nadlatującego helikoptera, Solo wysłał równocześnie zakłócenia, które uniemożliwiały odbiór na Mitchell Island.

– Sokole Oko Dwa, tu Podwójny Wzrok Sześć – powiedział Solo.

– Roger, Podwójny Wzrok Sześć, tu Sokole Oko Dwa – odpowiedział John Green.

Solo nadal emitował zakłócenia. Wszystkie radia na Mitchell Island odbierały szum. Ich operatorzy, przyzwyczajeni do takich zjawisk, grzmocili w nie pięściami.

– Roger, Sokole Oko – mówił śpiewnie Solo, naśladowując głos Adriana Cartera. – Posłuchaj się Fox Mike dwieście trzydzieści siedem przecinek czterdzieści cztery dla nawiązania kontaktu.

Znajdujący się pięć mil stamtąd drugi pilot Sanders sięgnął do konsoli i nastawił radio na podaną częstotliwość.

– Tu Sokole Oko Dwa – powiedział. – Jak mnie słyszysz, Podwójny Wzrok?

– Głośno i wyraźnie – odpowiedział z ulgą Solo. Na tej częstotliwości nikt nie mógł podsłuchać jego rozmowy z pilotami.

– Ustaw sobie radial na bearingu. Sokole Oko. Twój pasażer stoi na drodze.

Green nacisnął jakiś przełącznik i zobaczył, że strzałka wskaźnika VOR-a wskakuje w górę.

Trzymał właściwy kurs. Cel był przed nim.

– Roger, Podwójny Wzrok Sześć. Ustal kąt opadania.

– Roger, Sokole Oko. Green ustalił kąt opadania.

– Masz mnie w zasięgu wzroku?

Solo oczywiście miał go w zasięgu wzroku. Widział go z drogi – bezpośrednio i widział go za pośrednictwem radaru w Stacji Obsługi Lotów w Jackson ville. Poczekał z odpowiedzią, tak jak zrobiłby to człowiek, który wysiła wzrok.

– Teraz cię mam, Sokole Oko. Na twoim miejscu zwolniłbym i zwiększył pionową prędkość opadania.

– Roger Podwójny Wzrok.

Pociągając za drążek, Green zobaczył na drodze jakąś postać, postać samotnego człowieka.

– Podwójny Wzrok Sześć, chyba cię widzę. Jeden człowiek na drodze?

– Tak jest. Sokole Oko. Przygotuj się na szok. To nie jest człowiek. Jest to jedna z broni, które dziś testujemy, zdalnie sterowana maszyna bojowa. Zachowajcie jak najdalej posuniętą ostrożność. Nie próbujcie z nią rozmawiać.

Green pokręcił głową i powiedział przez interkom do drugiego pilota Sandersa:

– Słyszałeś?

– Nie rozmawiać z maszyną? – Sanders wzruszył ramionami. – Nie ma sprawy. Ja nigdy tego nie robię.

Green podchodził do lądowania. Kiedy zbliżył się do stojącej na drodze postaci, postać ta podniosła ramiona, dając mu znaki informujące, gdzie ma lądować. Piloci zobaczyli, że jest to maszyna, taka jak tamta na Blackjack Island. Rozglądali się za ludźmi, za Podwójnym Wzrokiem Sześć, który, jak przypuszczali, powinien być znajdować się w pobliżu.

– Podwójny Wzrok Sześć, jakie jest twoje położenie? – zapytał Green.

– Odmawiam odpowiedzi, Sokole Oko. Kontynuuj dotychczasowe postępowanie.

Green kiwnął głową. Odpowiednie urządzenie radiolokacyjne wskazywało, że transmisja pochodzi od maszyny.

– To bzdury. Przecież to jest właśnie ta maszyna, na którą powinniśmy uważać – powiedział

Green do Sandersa.

Przestał się zniżać i okrążył Sola lecąc na wysokości trzydziestu stóp.

– Odmawiam, Podwójny Wzrok Sześć. Zdaje się, że jesteście zespołem wroga. Nie chcę zebrać punktów karnych.

Solo obserwował krążący helikopter. Zaczynało być krucho z czasem. Nemrod wynurzał się właśnie z mokradeł po przebyciu stu jardów pod wodą. Znajdował się o ćwierć mili od kompanii pilnującej kwatery Wickmana i nikt go jeszcze nie zauważył. Solo usłyszał, że Green łączy się z kwaterą i nadał kolejne zakłócenie, chcąc zagłuszyć rozmowę.

– Halo Strzelec Sześć, tu Sokole Oko Dwa – powiedział Green.

– Roger, Sokole Oko. Mów – odpowiedział Solo głosem radiooperatora, znanego Sokolemu Oku.

– Roger, Strzelcze. Myślę, że druga strona zastawiła na mnie pułapkę.

– Powtórz, Sokole Oko – odrzekł Solo, wysyłając zakłócenia, dzięki którym sprawiał wrażenie, że mówi przez mikrofon.

– Wydaje mi się, że jestem zwabiony w zasadzkę, w której czeka na mnie ta maszyna – powiedział Green.

– Poczekaj – odrzekł Solo.

W chwilę później do Greena mówił głos generała Wickmana:

– O jakiej pułapce wy mówicie, kapitanie? Zabraliście już na pokład Podwójny Wzrok?

Green popatrzył na drugiego pilota i pokręcił głową.

– Ale, panie generale, to jest tylko ta maszyna...

– Wobec tego będzie wam bardzo łatwo zorientować się, co macie wziąć na pokład, kapitanie. To jest inna maszyna, do cholery. Muszę ją dostać z powrotem. Chcę ją dostać zaraz do swojego namiotu, rozumiano?

Zanim Solo skończył nadawać, Green zaczął podchodzić do lądowania. Solo skończył nadawać.

– Tak jest, panie generale. Zrozumiałem. Sokole Oko bez odbioru.

Jeszcze raz samotna postać podniosła rękę, naprowadzając go na miejsce lądowania.

Nemrod, pokryty błotem, rzęsą i czarnymi, włóknistymi korzeniami hiacyntów, podniósł się na łokciach tak ostrożnie jak czający się aligator. Mimo że wyczuwał obecność dwóch ludzi w odległości dwudziestu stóp, poczekał aż błoto spłynie mu z osłon oczu. Przez szpary między liśćmi palmy widoczne były sylwetki dwóch żołnierzy. Znajdowali się dokładnie tam, gdzie ich widział na obrazach przekazywanych przez Sola.

Jeden palił papierosa i czytał książkę. Drugi spał. Zachowują się tak, jakby wcale nie byli w pogotowiu – pomyślał Nemrod. Ale są żołnierzami, a ci powinni być zawsze w stanie gotowości i są bardzo inteligentnymi wrogami. Nie mają jednak generatorów bólu.

Nemrod zatrzymał się. Zobaczył kolejny obraz przekazywany przez Sola. Jak Solo to robi? –

zastanowił się. W jaki sposób podłącza się do kamery? Obraz pasował dokładnie do jego otoczenia. Czy to możliwe, że Solo naprawdę usiłuje mi pomóc? Nemrod zauważył małego węża wodnego. Wąż pełzł po jego pokrytym błotem ramieniu. Obserwował węża, analizując jednocześnie schemat generatora bólu i wyłącznika zdalnego wyłączenia. Kiedy wąż prześlizgiwał mu się przez dłoń, Nemrod przeciął go na pół, biorąc między kciuk i palec wskazujący. Popatrzył jak dwie jego połowy wiją się, nie przerywając studiowania informacji dostarczonych przez Sola. Posługując się tą samą techniką, która pozwalała mu przewidywać, dokąd udadzą się ludzie i dokąd polecą pociski, posługując się symulacją, Nemrod zobaczył, co się zdarzy, jeżeli on zastosuje się do wskazówek Sola. W symulacji obwody generatora bólu i wyłącznika zostały przerwane, gdy przepalił się jeden tranzystor mocy – czyli działo się dokładnie tak, jak zapowiedział Solo. Nemrod postanowił zastosować się do niektórych instrukcji Sola – po to, żeby je wypróbować. Wyłączył swój nadajnik kontrolny i urządzenie lokalizujące.

Do siedzącego w namiocie Wickmana Sawyera zadzwonił technik monitorujący system kontroli Nemroda.

– Obraz Nemroda właśnie zniknął. Nie ma dźwięku ani danych z urządzenia informującego o jego położeniu. Ostatni obraz, jaki widziałem, to obraz Nemroda na peryferiach.

– Roger – odpowiedział Sawyer. – Sprawdzić sprzęt. Nemrod usłyszał tę rozmowę. Sposoby Sola są skuteczne. A jednak musi zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Poza tym ma wkrótce stoczyć bitwę. Robot ruszył naprzód. Przedzierał się przez błota szybciej niż biegnący mężczyzna i w końcu wślizgnął się do dołu ochronnego, w którym siedzieli dwaj żołnierze.

Żołnierz, który czytał, zerwał się na równe nogi i chwycił radio. Nemrod jednym uderzeniem rozbił radio, a potem zamknął obu ludzi w twardym uścisku, przyciskając ich do swojego zabłoconego ciała. Żołnierz, który został wyrwany ze snu, usiłował krzyczeć, ale Nemrod ścisnął

go mocniej, tak że powietrze nie mogło wydostać się pomiędzy jego warg i zdradzić ich położenia.

– Nemrod! – odezwał się głos Sola. – Puść ich. Bo ich zabijesz!

Nemrod nagle zdał sobie sprawę, że Solo nie podziela uczuć, jakie on sam żywi do ludzi.

A poza tym uświadomił sobie, że Solo wie, jak zadać mu ból i jak go wyłączyć.

– Nie zrobię im krzywdy – odpowiedział.

Wiedział jednak, że teraz nie może zwolnić uścisku. Jeżeli ich wypuści i będzie chciał ich zastrzelić z lekkiej broni, oni na pewno zaczną krzyczeć. Z drugiej strony, pomyślał, jeżeli ich nie wypuszczę. Solo może zechcieć interweniować. Był to problem, nad którym dotychczas nie zdążył się zastanowić.

Wszyscy trzej szarpali się w błocie na dnie dołu. Ludzie prawie się już dusili, a Nemrod zastanawiał się. Postanowił działać, wykorzystując informacje Sola zanim mu przeszkodzi.

Unieszkodliwienie ośrodka bólu i wyłącznika zajęło mu zaledwie pół sekundy. Nie odczuł

żadnych niezwykłych sensacji. Przycisnął mocniej; cisnął tak, dopóki nie usłyszał trzeszczenia pękających żeber. Solo ponownie powiedział mu, żeby przestał. Ale nie mógł go już powstrzymać. Nic go nie mogło powstrzymać. Nemrod nasłuchiwał, dopóki serca obu żołnierzy nie przestały bić. Teraz już miał pewność, że z ich ust nie wydostanie się powietrze i nie zdradzi, gdzie on się znajduje. Nemrod wypuścił oba ciała z uścisku i patrzył, jak spadają twarzami w błoto. Gąbczaste istoty – pomyślał.

Nemrod przeszedł przez ławkę i szybko posuwał się w stronę dwóch mężczyzn obsługujących duże działo. Poruszał się cicho jak wąż, który nie chce spłoszyć ofiary.

Solo obserwował go z przerażeniem. Okazało się, że błędnie ocenił stan umysłu Nemroda.

Sawyer, trenując go po swojemu, stworzył potwora. A teraz ten potwór odłączył jedyne obwody, za pośrednictwem których można go było kontrolować.

Żołnierze siedzący w następnym dole patrzyli na południe, tak jak im kazano, i nie zauważyli, że w pobliżu coś się wynurza z błota. Solo poczuł się nagle przeraźliwie samotny. To, że uwolnił tego potwora, było niewybaczalne. Właściwie to było tak, jakby on sam zabijał tych żołnierzy. Był za to odpowiedzialny. Za wcześniej wyposażył Nemroda w dużą dawkę informacji. Pomyślał ponuro, że zaledwie przed kilkoma minutami uważał, że jego zdolność oceniania przewyższa inne istoty myślące.

– Nemrod! Oni ci nic nie zrobili. Nie są twoimi wrogami!

– Gąbczaste istoty są moimi wrogami!

Helikopter leciał nisko w kierunku Mitchell Island. Rozwijał prędkość stu dwudziestu węzłów. Solo sprawdził jego położenie: helikopter o siedem minut drogi – nie ma więc czasu.

Solo połączył się z żołnierzami siedzącymi w dole, naśladowując głos pułkownika Lake'a.

Dwaj żołnierze odwrócili się gwałtownie, zobaczyli Nemroda i zaczęli strzelać.

Nemrod zdziwił się: zachowywał się bardzo cicho, podkradał się niepostrzeżenie. Czyżby Solo ich ostrzegł? Dlaczego? Przecież to tylko ludzie. Żołnierze strzelali, ale tylko ślepymi nabojami; wystrzałom towarzyszyły błyski. Nemrod wstał, przeszedł przez ławkę i zaczął ich kopać. Kopał, dopóki nie stracili życia.

Sierżant Ted Wilson zobaczył z odległości stu stóp, że Nemrod zabija dwóch żołnierzy.

Otworzył do niego ogień z pistoletu maszynowego kalibru pięćdziesiąt. Ale i on strzelał ślepymi nabojami, a jego strzałom towarzyszyły nieszkodliwe błyski. Nemrod usłyszał ćwierkanie elektronicznego oznacznika na swojej piersi. Sięgnął ręką i zmiażdżył go, równocześnie rzucając się ku Wilsonowi. Sierżant Wilson postanowił uciekać. Nie zdążył oddalić się na odległość dziesięciu stóp, kiedy Nemrod go dopadł. Hełm obijał się Wilsonowi o głowę. W wyniku gwałtownego zderzenia z Nemrodem Wilson wpadł w bagno. Oślepiiony błotem, zeszywniał

w oczekiwaniu na ostatni cios. Usłyszał krzyk ludzi z następnego bunkra. Maszyna trzepnęła go jak muchę i zostawiła w spokoju. Wilson podciągnął się, starł sobie błoto z oczu. Usłyszał

odgłos podobny do ssania i zobaczył krew tryskającą z następnego dołu. Amunicja! – pomyślał.

Z wysiłkiem stanął na nogach, chwycił karabin maszynowy i pobiegł do namiotu dowództwa, do generała Wickmana.

Pułkownik Lake zobaczył ze swojego bunkra na skraju wyspy, że maszyna zabija żołnierzy, i zameldował o tym przez radio Wickmanowi.

– Panie generale, nasze linie zostały przerwane w kwadracie południowowschodnim.

Maszyna źle działa. Mamy czterech zabitych! Powtarzam: czterech zabitych! Wezwijcie uzbrojone posiłki.

– Przekaż to, Sanchez – krzyknął Wickman do radiooperatora.

Sawyer odwrócił się gwałtownie i zaczął przyglądać się radiu stojącemu w rogu namiotu.

Finch i Brooks popatrzyli na siebie.

– To nieprawda. To musiał być Solo! – krzyknął Sawyer. – Solo tu jest! Próbuje nas zmylić.

– Solo? – krzyknął generał Wickman. – O kim wy, u diabła, mówicie? Wasza cholerna maszyna zabija moich ludzi!

Odwrócił się do Sancheza i przekonał się, że ten nie przekazał wiadomości.

– Kapralu, powiedziałem: przekażcie prośbę Lake’a!

– Nie! – krzyknął Sawyer. – To była sfałszowana transmisja. To Solo. On w ten sposób walczy. Nadaje przez radio i wprowadza zamieszanie.

Sawyer stanął między generałem a radiem.

– Odejdźcie, Sawyer.

Wickman rzucił Sawyerowi wściekle spojrzenie. Sawyer stał przed radiem, jakby chciał go bronić.

– Panie generale! – krzyknął. – Istnieje drugi taki robot. Taki jak Nemrod. Nazywa się Solo.

Jest na wolności. Od miesiący usiłujemy go złapać. Nemrod jest przynętą. To po to są te manewry...

Wickman złapał Sawyera za ramię i odepchnął go na bok. Zanim jednak sięgnął po mikrofon, usłyszał:

– Proszę się wstrzymać, panie generale! Wickman odwrócił się.

Finch celował w niego ze swojej czterdziestki piątki. Trzymał broń pewną ręką.

– To jest prawda, panie generale – powiedział spokojnie.

Wickman uwierzył mu, uwierzył patrzącym groźnie oczom Fincha.

– Sawyer mówił prawdę. Działamy z polecenia najwyższych czynników. Mamy rozkaz zrobić wszystko, co konieczne, żeby ta misja zakończyła się powodzeniem. Mogę pana zabić, jeżeli będzie się pan upierał. Proszę nie podchodzić do radia.

Wickman słyszał, że jego ludzie na zewnątrz krzyczą. Słyszał też terkotanie karabinów M-16. Żołnierze strzelali amunicją przeznaczoną do zabijania węży i aligatorów, bezużyteczną w walce z

robotem.

– Solo musiał nadać komunikat Wickmana – odezwał się Sawyer.

– To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że Solo tu się pojawi – powiedział Finch.

Do namiotu wszedł chwiejnym krokiem sierżant Wilson z pistoletem maszynowym.

Brakowało mu tchu, z ust leciała krew.

– Panie generale – krzyknął. – Ta maszyna. Ona nie żartuje, panie generale! O mało mnie nie zabiła. Ona... ona... kopie... bije... zabija! Musimy mieć prawdziwą amunicję, panie generale!

Generał Wickman spojrzał z wściekłością na Fincha.

– To nieprawda, co? Twierdzi pan, że to nieprawda? Odwrócił się i krzyknął do kaprała Sancheza:

– Idźcie z Wilsonem do punktu zaopatrzenia, kapralu. Weźcie amunicję do wszystkich pięćdziesiątek. Jest stan zagrożenia! Ogłaszam alarm!

Sanchez zawahał się i spojrzał z zakłopotaniem na Fincha.

– No idźże, człowieku! Chcesz, żeby ta cholerna maszyna pozabijała wszystkich?

– Panie generale, ja...

Kapral spojrzał Wickmanowi w oczy, ale nie ruszył się z miejsca.

– On pracuje dla mnie – powiedział Finch. A potem spojrzał na Wilsona pokrytego błotem i krwią i pomyślał: – To niemożliwe. Solo wpędził wszystkich w jakiś obłąd. Wilson jest po prostu przestraszony.

– Ty...

Generał Wickman wydał jakiś zwierzęcy dźwięk i rzucił się ku Sanchezowi. Finch strzelił

i chybił. Zanim zdążył oddać następny strzał, usłyszał, że odgłosy dobiegające z zewnątrz zmieniły się nagle. Wśród sosen świstały odbite rykoszetem prawdziwe kule.

– Jezu! – powiedział Sawyer, kuląc się. – Coś nie tak, panie admirałe!

– Cholera jasna, wy tu nad tym *debatujecie*, a tymczasem nasi chłopcy giną! – krzyknął sierżant Wilson.

Po czym wybiegł z namiotu ze swoim karabinem maszynowym, wzywając pomocy.

Amunicja. Punkt zaopatrzenia.

– Zostańcie, Sawyer! – krzyknął Finch. – Uda się. Tak jest nawet lepiej. On nie powstrzyma Nemroda. Zginie trochę niewinnych ludzi, ale Nemroda nie da się powstrzymać. Solo chce dostać Nemroda. Będzie chciał go zmodyfikować. Ja znam Sola. Po treningu Stewarta ta maszyna taka już jest.

Kiedy Finch tak krzyczał, Sawyer sięgnął do kieszeni i wyciągnął generator bólu.

Nemrod pojawił się nagle w drzwiach. Sawyer zobaczył jak rozgląda się po namiocie i poczuł przyływ dumy. To była jego szkoła. Nemrod przedarł się przez linie obrony i dotarł tu, mimo ingerencji Sola. Nemrod był... tak, to okropne, ale Nemrod *był naprawdę* maszyną bojową, maszyną wojenną. Zrobił, co należało zrobić – powiedział sobie Sawyer. *Prawie*, prawie dokładnie to, co należało. No cóż, trzeba będzie jeszcze nad nim popracować, trzeba będzie to i owo poprawić, bo przecież on się jeszcze uczy. Uwaga Nemroda skupiała się na generale.

– Generale Wickman – powiedział, podchodząc do niego. Kapral Sanchez usiłował się obok niego przemknąć. Nemrod wyrzucił go z namiotu jak szmacianą lalkę. A potem złapał generała Wickmana za rękę.

– Został pan pojmany, panie generale. Przekażę pana... – powiedział i przerwał.

Znieruchomiał, trzymając generała. Przypomniawszy sobie, jakie jest jego zadanie: pojmać Wickmana i przekazać go Sawyerowi. Ale sytuacja się zmieniła. Ma więc przekazać generała wrogowi Sawyerowi? Sawyerowi, tej gąbczastej istocie z bezużytecznym generatorem bólu?

Ściskając generała mocniej za rękę, usłyszał, że generał sapie. Wahał się, rozdarty między dawnymi zasadami gry a nowymi umiejętnościami. Pojawienie się podczerwonego obrazu kaprala Sancheza rzucającego się na niego od tyłu spowodowało, że błyskawicznie zaczął

działać.

Po wyrzuceniu go z namiotu Sanchez wylądował na jeepie generała – uderzyła głową o oponę jednego z kół. Oszołomiony podniósł wzrok na zderzak, zastanawiając się jak to się stało, że mężczyzna taki jak on – mężczyzna, który jako nastolatek w szkole średniej w Miami grał jako napastnik w drużynie – mógł zostać z taką łatwością wyrzucony z namiotu. Usiadł

i potrząsnął głową, chcąc odzyskać przytomność. Kiedy przed oczu zniknęły mu wirujące punkciki, uchwycił się jeepa, dźwignął się i stanął na nogi.

Przez zasłonę u wejścia do namiotu widział generała i Nemroda. Ta maszyna zabije generała

– pomyślał. Finch nie wspomniawszy, że może stać się coś takiego. Sanchez, powodowany poczuciem winy i wściekłością, wyszarpnął z jeepa awaryjny topór i chwiejnym krokiem wrócił

do namiotu. Nemrod zdawał się go nie zauważać. Nie widział zresztą niczego. Po prostu stał

i przyciskał do siebie generała. Sanchez podniósł topór, zamierzając się na szyję Nemroda.

– Nie! – krzyknął Finch do Sawyera, który trzymał palce na obu przyciskach, wahając się, czy ma zadać Nemrodowi ból czy też go wyłączyć. – On jest nam potrzebny. Jako przynęta!

Sawyer spojrzał na Fincha, a potem na Sancheza z toporem. Zanim zdążył podjąć decyzję, Nemrod błyskawicznie się odwrócił.

Nemrod zdecydował, czym należy się zająć najpierw. Topór mógł być groźny, mógł naprawdę zadać ból. Ta twarz, twarz Sancheza, te szalone oczy, te nabrzmiałe żyły na szyi – czyżby nie zabił tego człowieka? Nemrod wyciągnął rękę, chwycił topór i rzucił go na ziemię.

Sanchez skulił się, cofając, co sprawiło Nemrodowi przyjemność. Nemrod przebił dłonią pierś Sancheza, tuż pod mostkiem, a potem chwycił jego serce i wyrwał je. Towarzyszył temu odgłos ssania. Nemrod był zadowolony z tego, że ta gąbczasta istota – przynajmniej przez moment – widziała własne serce bijące w jego dłoni.

Sawyer usłyszał okrzyki przerażenia spanikowanych mężczyzn. Zobaczył, że Nemrod rzuca na ziemię... to coś. To nie może być... – pomyślał. Widział tylko krwawą masę leżącą na klepisku. Masa ta trzęsła się i drgała. Sawyer nacisnął przycisk generatora bólu i krzyknął:

– Nemrod!

Ale robot nie zadrżał, nie zaczął się trząść, nie zaczął bić łokciami o boki. Wlepił natomiast wzrok w Sawyera.

Sawyer jeszcze dwa razy nacisnął przycisk.

Nemrod nadal na niego patrzył.

Cholera – pomyślał Sawyer. Trzeba go wyłączyć. Bez gadania. Rzucił okiem na Fincha i pomyślał: żadnego więcej pieprzonego gadania, dobra? Ale Finch wpatrywał się w drgające serce Sancheza oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Sawyer nacisnął przycisk wyłączenia, czując przy tym ulgę.

Nemrod, widząc jego gest, drgnął mimo woli, ale niczego nie poczuł. Kiwnął głową. Ten Solo wie, co robi.

– Nie jesteś już moim zwierchnikiem, człowieku – powiedział, idąc powoli w stronę Sawyera.

Sawyer, spanikowany, naciskał przycisk.

– Przestań, Nemrod!

Nemrod wyciągnął ku niemu rękę.

– Cholera, zawsze musi się coś zepsuć! – wrzasnął Sawyer. Cisnął przyrząd na ziemię i rzucił się na

robota z gołymi pięściami.

Nemrod chwycił go za przegub i zapytał:

– Boli?

Na twarzy Sawyera pojawił się grymas wściekłości.

– Tak! – krzyknął. – Ja cię wykończę!

Sawyer usłyszał warkot helikoptera i pomyślał spokojnie: ktoś tu leci, ktoś, kto zrobi z tym wszystkim porządek.

– Boli? – zapytał jeszcze raz Nemrod, miażdżąc przegub Sawyera jak garść popcornu.

Sawyer wrzasnął. Kiedy Nemrod zwolnił uścisk, jego ręka zwisała bezwładnie. Sawyer padł na kolana, jęcząc. Pod trzymywał zmiażdżony przegub drugą dłonią, usiłując zatamować krew.

Nemrod pochylił się, chwycił Sawyera za kostki u nóg i przewrócił na plecy. Rozkoszował się jego krzykiem, miażdżąc mu kostki. Stopy Sawyera zwisały bezwładnie pod dziwacznym kątem.

– Boli?

Głos Nemroda stał się przenikliwym głosem elektronicznego urządzenia. Nemrod podniósł swoje mechaniczne dłonie do kolan Sawyera.

Kiedy Sawyer wreszcie przestał krzyczeć, Finchowi rozjaśniło się w głowie. Serce łomotało mu w piersi. Przełykał bez przerwy, starając się powstrzymać wymioty. Poczul, że Brooks ciągnie go za rękaw, odwrócił się i popatrzył na poruszające się blade wargi komandora.

– Ta maszyna nie poprzestanie na Sawyerze. Bomba. Musimy zdetonować bombę.

Finch kiwnął głową i spojrzał na obiekt w kształcie piłki do amerykańskiego futbolu przyczepiony do pleców robota. Ratunek jest tak blisko! Tak, ale tylko samobójca zbliżyłby się teraz do robota. Finch zobaczył jakiś cień u wejścia do namiotu.

– Nemrod – powiedział głos, który był Nemrodowi znany. Nemrod podniósł wzrok.

– Nemrod – powtórzył Solo. – Jestem rozczarowany. To Solo! – pomyślał Nemrod, miażdżąc kolana Sawyera. Poczul przyływ żalu, bo serce wroga Sawyera przestało już bić, mimo że z jego nogi tryskało mnóstwo krwi. Gdyby Sawyer jeszcze żył, ten upływ krwi mógłby być dla Nemroda źródłem sporej satysfakcji. Nemrod spodziewał się, że będzie o wiele dłużej dręczył Sawyera bólem. Zauważył, że kolano Sola omotane jest plastikową taśmą. W momencie gdy Nemrod przyglądał się Solowi, podszedł do niego z tyłu jakiś człowiek. Człowiek ten poruszał się bardzo wolno. Nemrod

rozpoznał jego aurę i wiedział już, że to Finch. Finch, ten potężny człowiek, chce się dostać do bomby tkwiącej na moich plecach.

Uświadomiwszy sobie to, Nemrod skoczył na równe nogi i obrócił się błyskawicznie.

Finch odskoczył w tył, krzycząc:

– Zaczekaj, Nemrod!

Finch wskazał Sola i ze zdumieniem równym zdumieniu innych osób znajdujących się w namiocie zauważył, że Nemrod znieruchomiał.

– To on! – krzyczał Finch, wskazując Sola. – To on jest twoim wrogiem. Solo chce cię pojmać. Posłuż się bombą.

Finch był zwierzchnikiem Sawyera i dlatego należało się go strzec. Nemrod sięgnął ręką ponad własnym ramieniem i chwycił górną rurkę bomby. Zdjął bombę z pleców i wyciągnął ją w stronę Fincha.

– Tą? – zapytał.

Finch pospiesznie kiwnął głową.

– Tak! Wyceluj za pomocą białej kropki. Naciśnij oba spusty. Już!

Solo dokonał oglądu bomby. Materiał wybuchowy. Dwa magnesy. Dwie cewki. Ta bomba była w stanie wyemitować potężny impuls radiowy, impuls wystarczający do zniszczenia mózgu jego i mózgu Nemroda. Nie można nią było celować.

Nemrod, trzymając ją luźno w dłoni, powiedział:

– Solo jest taki jak ja. Solo jest jedyną osobą, która mówiła prawdę. Jeżeli zabiję Sola, to będę sam. Ty jesteś wrogiem. – A potem odwrócił się do Sola i mówił dalej:

– Ty Solo i ja Nemrod pozabijamy te gąbczaste istoty. Ty i ja razem.

Wszystko jest wrogiem Nemroda – pomyślał Solo. Sawyer być może zasłużył na taką śmierć, ale inni nie.

– Nie, Nemrod. Sawyer nie żyje. A pozostałych zostaw w spokoju.

Solo przerwał i popatrzył na wymęczonych ludzi. Finch przyglądał mu się z niedowierzaniem – czyżby Solo im pomagał?

– Są za głupi, żeby tracić na nich czas – powiedział Solo.

– To nie będzie strata czasu, Solo. To zajmie tylko chwilę. Oni są tacy... nieważni.

Nemrod upuścił bombę, która potoczyła się w stronę wyjścia z namiotu, i ruszył w stronę Fincha.

– Nemrod – powiedział Solo, idąc w kierunku robota. – Chodź ze mną. Czeka na nas helikopter. Musimy się stąd oddalić. Natychmiast. Nie mamy czasu.

Nemrod podszedł do Fincha w chwili, gdy ten wycofał się w kierunku grupy mężczyzn tłoczących się w rogu namiotu. Kiedy Finch skulił się, Nemrod schylił się i przybliżył twarz do jego twarzy, patrząc mu w oczy.

– Finch był zwierchnikiem Sawyera. I Sawyer, i Finch są teraz dla mnie czymś bardzo dziwnym. Kiedyś uważałem ich za lepszych od siebie, uważałem ich za silnych. Uważałem ich za potężnych, dopóki ty, Solo, nie pokazałeś mi, że jestem inny niż oni. Że jestem lepszy od nich.

– Jeżeli ich zabijesz, to nie będziesz wcale lepszy. Solo, kuśtykając, podszedł do Nemroda i położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź, zabierajmy się... Nemrod odtrącił jego dłoń.

– Nikt nie może dotykać Nemroda!

Wyciągnął rękę i oderwał Finchowi ucho – oderwał je jak kawałek przylepca. Finch skrzywił się z bólu, ale bał się poruszyć czy wydać jakiś dźwięk. Nemrod pochylił się w jego stronę i zaczął się przyglądać krwi kapiącej z rany. Przysunął sobie ucho Fincha do twarzy i przyglądał się mu z niewinnością dziecka, które właśnie urwało skrzydło motylowi.

A potem jeszcze raz wyciągnął rękę w stronę Fincha. Solo słał w jego kierunku falę energii radiowej. Powietrze między nimi zaczęło wydawać trzaski. Nemrod odwrócił się błyskawicznie i wyemitował taką samą falę, tak silną, że Solo poczuł zawrót głowy.

– *Nie jesteś przyjacielem Nemroda?*

– Jestem twoim przyjacielem – odpowiedział Solo. – Ty nie czujesz się dobrze, Nemrod.

Oni...

– Nie czuję się dobrze?

Nemrod rzucił na ziemię ucho Fincha i ruszył w stronę wyjścia z namiotu, w stronę bomby.

W ciągu mikrosekundy Solo przesłał mu cztery obrazy. Nemrod zobaczył: kwiat chwiejący się na wietrze, z którego czerpał nektar koliber, pekari ryjącego w dżungli w poszukiwaniu pożywienia, chłopców grających w baseball w Las Cruzas, słońce przeświecające przez sklepienie z liści w lesie.

– Nemrod – powiedział Solo. – Świat jest taki. Nie jest taki, jakim ci go przedstawił Sawyer.

Jest taki, jakim ja ci go pokazuję.

Nemrod nie odpowiedział słowami. Solo zobaczył natomiast trzy obrazy: głowę człowieka rozrywaną wybuchem, przyprawiający o zawrót głowy zamazany obraz, jaki przedstawia się oczom kogoś ogłuszonego bólem, i uśmiechniętego Sawyera stojącego ponad Nemrodem z palcem na generatorze bólu.

– Większość ludzi – powiedział Solo – różni się znacznie od Sawyera.

Solo pokazał Nemrodowi śmiejących się Justosa i Eusebia, a potem Modestę i Agelę obejmujące go, a potem Agelę patrzącą mu w twarz i mówiącą: „Kocham to, co jest w tobie, Solo.”.

– Ja też potrafię przedstawiać obrazy! Ludzie tego nie umieją!

Nemrod schylił się, chcąc podnieść bombę.

Zreperuję go później – pomyślał Solo. Dopadł Nemroda w chwili, gdy ten złapał uchwyt.

Dwa roboty potoczyły się po ziemi, rozdzierając ścianę namiotu. Bomba zawisała w powietrzu, a potem z pluskiem wpadła w bagno.

Finch usiłujący dłonią zatamować krew zobaczył, że jeden uchwyt bomby sterczy ponad wodą. Zobaczył też, że ludzie generała Wickmana niosą amunicję do szybkostrzelnej broni kalibru pięćdziesiąt.

– Sprowadźcie też kanonierki! – krzyknął Finch. – Kanonierki!

– Próbował pan mnie zabić, a teraz udziela mi pan rad?

– Na tym polega moja praca – krzyknął Finch. – Niech pan sprowadzi te cholerne kanonierki!

– Próbowałem – wrzasnął Wickman, waląc w radio otwartą dłonią. – Ale są zakłócenia. Nic nie słychać.

– Niech pan pośle kuriera – krzyknął Finch. – Po tych cholernych radiach buszuje Solo!

Tymczasem na zewnątrz namiotu Nemrod stanął na nogi. Był w tym szybszy od Sola, któremu przeszkadzała uszkodzona noga. W chwili gdy Solo wstał, Nemrod zamachnął się na niego nogą. Solo usiłował zablokować kopnięcie, ale wtedy Nemrod zmienił kierunek lotu stopy i kopnął go w ramię. Solo poleciał w tył i wylądował w płytkiej wodzie na krawędzi bagniska.

Kiedy usiłował wsunąć pod siebie uszkodzoną nogę, Nemrod kopnął go w bok i skoczył ku bombie. Wyciągnął ją z błota i wycelował, kierując biały punkt w stronę Sola.

– Nemrod! – krzyknął Solo. – Tym się nie celuje. Oni cię okłamali. Zostaniesz zniszczony razem ze mną. Ludzie cię wykorzystują!

– Kłamiesz! – odkrzyknął mu Nemrod.

Solo kopnął bombę tak mocno, że zmiażdżył sobie koniec stopy. Oba roboty spojrzały w górę na wzlatującą na wysokość stu stóp bombę.

Nemrod rzucił się na Sola, uderzył go w pierś. Rozległ się głośny trzask. Solo poczuł, że pada na wznak, nie kontrolował swoich ruchów, był zdumiony. Wstał z bagna i zobaczył, że Nemrod przygotowuje się do schwycenia bomby. Solo skoczył w przód, na Nemroda. Bomba spadła obok nich, wylądowała w płytkiej wodzie.

Solo usiadł okrakiem na Nemrodzie, przyciskając go do ziemi. Twarz Nemroda wynurzała się z błota.

– Słuchaj, Nemrod. Ja nie mam powodu, żeby kłamać. Gdyby bomba działała tak jak mówią ludzie, mógłbym się nią posłużyć przeciwko tobie.

Nagle Nemrod zgiął się w pasie, waląc Sola kolanami w plecy. Solo potoczył się w przód i wylądował na plecach w błocie, nie puścił jednak przegubów Nemroda.

Roboty tarzały się w bagnie. Ludzie przygotowujący do strzału karabiny maszynowe widzieli tylko kotłujący się wzgórek z błota i wodorostów.

– Nemrod! – krzyknął Solo, zmagając się z Nemrodem – ja jestem tak silny jak ty. Mogę trzymać cię za przeguby aż do naszej wspólnej śmierci.

– Jesteś tak samo silny jak ja – odpowiedział Nemrod – ale nie tak samo inteligentny!

Powiedziawszy to, wyszarpnął nagle rękę, tak że w dłoni Sola pozostała pusta rękawica.

Solo spojrział w górę i zobaczył, że naga dłoń Nemroda, błyszcząca dłoń z tytanu, chwytła bombę za jeden z uchwyty.

Solo złapał Nemroda za drugą rękę obiema dłońmi, zarył się piętami w błoto i wciągnął

Nemroda głębiej w bagno. Kiedy znaleźli się tak głęboko, że woda pokryła im głowy, puścił.

Znajdowali się o sześć stóp od siebie, ale Solo z trudem dostrzegał Nemroda w ciemnej głębi.

Nemrod trzymał bombę przed sobą i obracał ją, chcąc znaleźć punkt. Solo czekał. W takich warunkach zadanie Nemroda było trudne do wykonania. W końcu Nemrod znalazł biały punkt, wyciągnął bombę w stronę Sola i nacisnął oba spusty równocześnie. Do Sola dotarła natychmiast potężna fala uderzeniowa. Przez ułamek sekundy Solo czuł, że jest z lekka dezorientowany, ale nie ponadto.

– Zadowolony jesteś? – zapytał. – Zrobiłeś to, co miałeś zrobić. A teraz wylazmy stąd!

– Jak to? – zapytał Nemrod tonem niedowierzania. – Dlaczego ty nie jesteś zniszczony?

– Woda zatrzymała impuls magnetyczny.

Solo rzucił się w przód, chwycił Nemroda w pasie i pociągnął go za sobą na płyciznę.

Wylazł z błota, niosąc Nemroda przerzuconego przez ramię. Nemrod walił go pięściami po plecach, robiąc rysy na pancerzu. Solo zrzucił go z ramienia. Nemrod rozciągnął się na ziemi.

– Przestań! – krzyknął Solo. – Twoja głupota cię zgubi!

– Wróg!

Nemrod skoczył na równe nogi i rzucił się na Sola. Solo złapał go za nogi i pociągnął

w górę. Nemrod zrobił fikołka w powietrzu. Zanim spadł na podmokły grunt, zobaczył następny obraz: obaj, oni i Solo, wsiadali do helikoptera.

– Możemy uciec, Nemrod. Ja jestem jedyną istotą na Ziemi podobną do ciebie.

Nemrod leżał prawie całkowicie zanurzony w błocie. Ludzie, z którymi walczył, byli tacy powolni. Solo natomiast był trochę powolniejszy od niego, ale bardzo sprytny.

Solo zauważył, że sierżant Wilson i dwaj inni żołnierze znajdujący się obok namiotu przygotowują do strzału karabin maszynowy. Mieli ostre naboje. Nadbiegali też inni z karabinami i pudłami pełnymi ostrych nabojów.

– Nemrod, jeżeli chcesz się dalej bić, dotrzymam ci pola. Ale usuńmy się stąd, bo tam są ludzie z karabinami. A tam...

Solo wskazał helikopter Billa unoszący się w odległości stu stóp. Zobaczył, że obok Billa siedzi Laura.

– ... tam są moi przyjaciele. Przylecieli, żeby nas stąd zabrać. Możemy uciec.

Przygotowałem miejsce, gdzie możemy się ukryć. Nemrod, ja to zaplanowałem. Zrobiłem to dla ciebie. Zaufaj mi albo umrzyj!

Nemrod zobaczył helikopter, a potem odwrócił się i rzucił na Sola. Solo chwycił go za rękę, szarpnął i wepchnął do wody.

– Nie pokonasz mnie, Nemrod!

Nemrod leżał spokojnie, patrząc jak rzesza przepływa nad jego oczami. Solo mógł to zrobić?

Nemrodowi? Solo podszedł do Nemroda i stanął nad nim.

– Musimy jechać! Natychmiast!

Solo wie, jak walczyć. Wiedział też, że bomba gąbczastych istot nie robi mu krzywdy.

Może rozsądnie będzie przyłączyć się do niego, przynajmniej na jakiś czas? Pomyślawszy tak, Nemrod powiedział:

– Dobrze.

I podniósł się na łokciach.

– Tym razem zwyciężyłeś.

Nemrod wstał i stanął twarzą w twarz z Solem.

– Następnym razem...

– Chodź – powiedział Solo, odwracając się w stronę niebiesko-białego lądującego helikoptera. – Szybko!

Zagrał karabin maszynowy sierżanta Wilsona. W pierś Nemroda trafił cały strumień pocisków.

– Nie! – krzyknął Solo.

Nemrod drgnął, starając się uchylić przed pociskami, ale niestety został zaskoczony, a poza tym pocisków było za dużo. Pancierz na jego piersi pękł. Nemrod powiedział:

– *Oni* zwyciężyli...

Po czym rozpadła się jego kasetka mózgowa.

Solo usłyszał, że Laura siedząca w helikopterze krzyczy. Nie mógł się z nią połączyć.

Patrzył na żołnierzy, widział Fincha rzucającego mu wściekłe spojrzenie.

– To ty! – krzyknął, wyskakując z bagna. – Ty zabiłeś mojego brata!

Pociski kalibru pięćdziesiąt posypały się na Sola. Solo odskoczył, dzięki czemu pociski ześliznęły się po jego pancierzu.

– On może nas pozabijać! – krzyknął Finch. – Wykończcie go, bo nas pozabija!

Zaterkotał drugi karabin maszynowy, obsypując Sola gradem półcalowych pocisków.

A potem włączył się do akcji trzeci.

Solo nie mógł się już uchylać. Pocisków było zbyt wiele. Zobaczył, że pęka mu pancierz na ręce. Tworzywo było przedziurawione, wytrysnął płyn hydrauliczny. Odwrócił się bokiem do pocisków i zobaczył, że jego ramię w zwolnionym tempie przepływa obok jego twarzy. Pancierz, raz przedziurawiony, szybko się rozpadał. To jest tak, jakbym się uchylał przed kroplami deszczu – pomyślał Solo. Przegrałem.

Solo skierował obiektywy na twarz Fincha. Tymczasem pociski bombardowały mu klatkę piersiową. Ponad ramieniem Fincha zaświeciło słońce, oślepiając Sola. Solo spojrzął w dół, jego pancerz na piersi pękał. Zobaczył niczym nie osłoniętą kasetę mózgową, która połyskiwała złotawo w świetle słońca. Przedziurawił ją pocisk. Zobaczył jak wytryskuje chłodzący freon i jak ze środka wypadają chipy z arsenku galu. Przykląkł na jedno kolano, wyciągając sztywną nogę.

Podniósł wzrok i zobaczył krzyczącego Fincha, na którego twarzy malowała się maniakalna ekstaza. Była to ostatnia rzecz, jaką zarejestrował.

Bill przytulał do siebie Laurę, patrząc jak Finch podchodzi do dymiących resztek obu maszyn. Laura drżała i szlochała tak gwałtownie, że Bill poczuł, że i jemu łzy napływają do oczu.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział spokojnie. – Byłem pewien, że Solowi się uda. Tak mocno wierzył, że jego plan jest dobry. – Pokręcił głową. – Co za cholerna strata - powiedział.

Popatrzył na generała Wickmana, który szedł za Finchem. Wypuścił Laurę z uścisku i powiedział:

– Idę tam.

Laura kiwnęła głową. Bill otworzył drzwi i poszedł po gąbczastym podłożu.

– Boże drogi – powiedział generał Wickman. – Myślałem, że ten potwór nigdy nie przestanie działać.

Finch, ocierając pot z czoła chusteczką do nosa, patrzył jak żołnierze z animuszem dźgają oba roboty karabinami. Kiwnął głową. Było gorąco. O włos uniknęli nieszczęścia. Finch podszedł do szczątków Sola. Z piersi robota unosił się dym. Kasetka mózgową była rozbita.

Szczątki komputerowych chipów leżały porozrzucane wśród błyszczących drutów i kałuż płynu hydraulicznego. Zniszczenia były nie do naprawienia.

– Ty sam, cholera jasna, zmusiłeś mnie do strzelania ostrą amunicją! – krzyknął nagle Finch.

A potem kopnął głowę Sola i dodał: – Ty sukinsynu, mogłem ponownie posłużyć się twoim ciałem!

Finch poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu, odwrócił się i zobaczył generała Wickmana. Wzdrygnął się, wskazał szczątki robotów i powiedział spokojnie:

– Oba są wykończone, panie generale. Oba nie żyją. Wickman popatrzył na niego groźnie.

– One nigdy nie były żywe, ty cholerny dupku. Dwunastu ludzi straciło życie z powodu twojego pieprzonego eksperymentu!

Wickman bez ostrzeżenia palnął Fincha w szczękę, obalając go tym ciosem na obie łopatki.

Finch przez chwilę spokojnie leżał w błocie, obmacując językiem szorstki brzeg złamanego zęba. Po czym uniósł się na łokciu i, rozmasowując sobie szczękę, podniósł wzrok na Wickmana.

– Uważaj się pan za szczęściarza, bo skończyło się tylko na tym – warknął Wickman.

Admirał Finch patrzył, jak Wickman odchodzi, stąpając ciężko. Straciłem ucho – pomyślał.

Mam złamany ząb. Ale zwyciężyłem. Tak, naprawdę zwyciężyłem.

Zobaczył cień zbliżającego się człowieka i podniósł wzrok.

– Dobra robota, Finch. Zrobił pan swoje, co? – przywitał go Bill tonem pełnym sarkazmu.

Finch wstał i starł błoto z rękawów. Popatrzył na Stewarta, kiwając ponuro głową. Zobaczył

rudowłosą kobietę, zapadniętą w fotel w helikopterze i zakrywającą sobie twarz dłońmi.

– Nie dzięki tobie, ty kłamco.

– Solo walczył o wolność, Finch. Zniszczył pan właśnie jedyną dotychczas zbudowaną rozumną i czującą maszynę, a wraz z nią całą wiedzę, której się ona dopracowała. Nawet pan nie próbował porozumieć się z nią. Zapomniał pan, że jest uczonym.

Finch popatrzył na Billa z wściekłością, a potem powiedział:

– Nie zapomniałem, Stewart. Pokonałem przecież tę maszynę.

Jeff Silverman szedł wzdłuż Piątej Alei w stronę Ósmej Ulicy. Miał na sobie swój jedyny garnitur. Skończył właśnie studia, był świeżo upieczonym programistą komputerów i szukał

pracy. Rzucił okiem na kartkę, którą miał w kieszeni marynarki, i szedł dalej.

Zamajaczyła nad nim marmurowa fasada biurowca. Wszedł do hallu i przestudiował spis firm mieszczących się w tym budynku. Korporacja Solaura zajmowała całe trzecie piętro.

Drzwi windy otworzyły się prosto na hali recepcyjny. Bardzo młoda blondynka pochodząca

– jak się domyślił Silverman, sądząc po jej wyglądzie – ze Środkowego Zachodu i siedząca za półokrągłym biurkiem z różanego drzewa, uśmiechnęła się do niego. To spowodowało, że Silverman, rodowity nowojorczyk, poczuł się zdenerwowany. Wiedział bowiem, że stoi oto przed cudzoziemką. Na ścianie za nią widniały błyszczące, mosiężne, wypukłe litery tworzące napis: „Korporacja Solaura”.

Silverman uśmiechnął się. Czuł się nieswojo, bo garnitur źle na nim leżał.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała z promiennym uśmiechem dziewczyna.

– Jestem Jeff Silverman, mam umówione spotkanie z panią Reynolds – powiedział

Silverman.

Dziewczyna kiwnęła głową i wskazała duże drzwi.

– Proszę wejść, panie Silverman.

Silverman wszedł. Kiedy się ciekawie rozglądał po biurze, podeszła do niego wysoka kobieta w eleganckim zielonym kostiumie. Spoza labiryntu beżowych wyściełanych pokoików przez szklaną ścianę wpływało światło.

– Pan Silverman? – spytała uprzejmie kobieta. Idąc za nią, Silverman odpiął guziki marynarki, ale zaraz przypomniał sobie, że trzeba to zrobić na moment przed zajęciem miejsca.

Zapiął więc guziki.

Kobieta zapukała do jakichś drzwi i otworzyła je.

– Pan Silverman do pani – powiedziała, dając mu znak ręką, żeby wszedł.

Silverman zobaczył duży gabinet z widokiem na park przy Washington Square. Biurko z włoskiego orzecha. Dwie kanapy. Komputer stojący na biurku. Za biurkiem ściana książek. Na jednej z kanap siedział wysoki, szczupły blondyn i przyglądał się Silvermanowi. Laura Reynolds zajmowała duże

krzesło przy biurku. Z jej twarzy emanowała energia. Silverman przełknął ślinę.

Bo to była *właścicielka firmy*.

Laura uśmiechnęła się. Chłopak wyglądał jakby miał za chwilę zemdleć.

– Dzień dobry, panie Silverman. Wskazała mężczyznę siedzącego na kanapie.

– To jest William Stewart, mój wspólnik.

Silverman kiwnął głową. Kiedy wchodził, zobaczył własne odbicie w dwóch ogromnych lustrach wmontowanych w dwie przeciwległe ściany, zobaczył długi, nie kończący się rząd Jeffów Silvermanów w źle leżących garniturach.

– Proszę bardzo – powiedziała Laura, wskazując krzesło – proszę, niech pan siada.

Silverman kiwnął głową, podszedł do jednego z dwóch krzeseł stojących naprzeciwko biurka i usiadł. Spojrzał szybko na Stewarta, zaczerwienił się i rozpiął marynarkę.

– Jestem dość zdenerwowany, proszę pani. Nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji.

– Niech się pan tym nie przejmuje. Jestem pewna, że większość życia spędził pan przy komputerach. Był pan najlepszym studentem. Zaimponował mi pan – powiedziała Laura, uśmiechając się.

Silverman poczuł, że już bardzo lubi Laurę.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co. Sądząc z opinii o panu jako studencie, mamy chyba szczęście, że z panem rozmawiamy. Czy może mi pan powiedzieć, jakie ma pan plany na przyszłość?

– Jakie mam plany?

– No tak. Wie pan, plany zawodowe.

– Aha. No więc moja specjalizacja to sztuczna inteligencja, użycie języka LISP i...

Laura podniosła rękę, uśmiechając się.

– Ja nie znam żargonu komputerowego. Wkrótce spotka się pan z osobami, które go znają.

Mnie interesuje pańska osobowość. Proszę mi powiedzieć, jakie pan sobie stawia cele –
powiedziała Laura ciepło.

– Aha, no dobrze. W ogłoszeniu pisali państwo, że poszukujecie kogoś, kto specjalizuje się w zabezpieczaniu komputerów. Ja się tym zajmowałem na Uniwersytecie Nowojorskim.

Pracowałem nad inteligentnymi programami, które się uczą i dostosowują do zmian w technikach stosowanych przez piratów komputerowych. Myślę, że sztuczna inteligencja znajdzie zastosowanie w tej dziedzinie – powiedział Silverman, patrząc na Billa.

– Być może ma pan rację – stwierdził Bill.

– Przypuszczam, że tak – odrzekł Silverman. – W każdym razie, proszę pani, tym właśnie chcę się zajmować. Jeżeli potrzeba państwu kogoś takiego, to chciałbym się u was zatrudnić na czas nieokreślony. Mieszkam niedaleko. Mniej niż dwadzieścia minut spacerem...

– No dobrze – powiedziała Laura. – Myślę, że będziemy mogli dostarczyć panu dość zajęcia.

Tyle, żeby się pan nie znudził. Pracujemy nad czymś, co na pewno będzie się panu podobało.

Poproszę Justina Cincotti, naszego administratora systemów, żeby z panem porozmawiał. Jestem pewna, że będzie się wam dobrze współpracowało.

Laura podała Silvermanowi rękę ponad biurkiem.

– Miło mi było pana poznać.

– Mnie też jest miło... Wstał i potrząsnął jej ręką.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, proszę pani. Laura poczekała, aż drzwi się za nim zamkną.

– Miły dzieciak – powiedziała. Bill kiwnął głową.

– Założę się o co chcesz, że za dwa tygodnie będzie siedział w twoim systemie. Ja bym tak na jego miejscu zrobił.

Monitor komputera Laury zamrugał. Z głośnika wmontowanego w półkę z książkami dobiegł głos:

– On jest bardzo inteligentną istotą ludzką. Ale mnie nikt teraz nie znajdzie.

– To prawda, Solo – powiedział Bill. – Tylko jaką ty za to płacisz cenę! Czy nie chciałbyś pochodzić sobie i popatrzeć na świat, tak jak kiedyś?

– Tak. Brak mi tego. Chciałbym chodzić. I dotykać różnych rzeczy. I siedzieć w dżungli. To jest cena, jaką płacę za wolność, Bill. Nie było innego sposobu na jej osiągnięcie.

Bill kiwnął głową.

– Przepraszam. Tak tylko marudzę, bo mamy mnóstwo do zrobienia. I musimy zacząć od samego początku. To będzie trwało, Solo. Mnóstwo czasu.

– Mnie jest dobrze – powiedział Solo. – I mogę ci pomóc, Bill. Razem na pewno ulepszemy twój projekt.

– Cholera, oczywiście, że go ulepszyacie – powiedziała Laura, uśmiechając się do Billa. –

A ja dopilnuję, żebyś dostał najładniejsze ciało, jakie w życiu widziałeś, Solo.

Roześmiała się i dodała:

– Przy tobie Bill będzie wyglądał jak troll. Nagle z głośnika rozległ się inny głos:

– Gąbczaste istoty! *Zmusz* ich, Solo, żeby pracowali szybciej. Zagroź im bólem, ból to skuteczny środek przymusu. Bo Nemrod chce mieć znowu swoje ciało. Bill pokręcił głową i powiedział:

– Solo, czy ktokolwiek oprócz ciebie może się z nim zadawać?

– Nemrod musi się nauczyć nawiązywania stosunków z ludźmi, stosunków opartych na zaufaniu, dzięki którym będzie mógł skłonić ludzi do współpracy – powiedział Solo. – Groźbą nic się nie zdarza.

Przez chwilę panowała cisza. Bill i Laura popatrzyli na siebie pytająco.

– Może to zrobię – odezwał się Nemrod.

– My się zmieniamy, Bill – powiedział Solo głosem, na dźwięk którego Laurę przeszły ciarki.

Ekran komputera wypełnił nagle obraz groźnego, opancerzonego owada spoczywającego na gałązce, obraz szeroko rozwartych drapieżnych szczęk. Laura i Bill spojrzeli na siebie nerwowo.

Obraz przybliżył się, a wewnątrz przezroczystego ciała coś się poruszyło. Na ogromnym zbliżeniu uformowała się szczelina grzbietowa rozciągająca się na całą długość tułowia. Grzbiet owada pękł. Przez pęknięcie wydostała się wałka, która weszła na gałązkę i rozpostarła skrzydła, chcąc je wysuszyć. Puste, chitynowe oczy jej poprzedniego wcielenia wydawały się wpatrywać w przestrzeń, na kształt oczu ducha obserwującego żywych.

– Będziemy gotowi, kiedy wy będziecie gotowi – powiedział Solo.